

F. HOESICK

JAN KOCHANOWSKI

W ŚWIEŹLE

DOTYCHCZASOWYCH WYNIKÓW KRYTYKI
HISTORYCZNO - LITERACKIEJ



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1908



02



54402

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku

FUW0074743

PRZEDMOWA.

W roku 1878 ukazał się w warszawskim *Ateneum* artykuł Romana Plenkiewicza p. t. *Jan Kochanowski wedle najnowszych opracowań*. Było to krytyczne sprawozdanie z świeżo wydanej wtedy niemieckiej rozprawy Rafała Löwenfelda o łacińskich utworach poety, rozprawy, która nie tylko była syntezą wszystkiego, co do owego czasu w ogóle napisano o Kochanowskim, ale nadto poruszała cały szereg nowych kwestyj w zakresie życia i twórczości czarnoleskiego poety, a tem samem nastroczała obfity materiał do dyskusyi. Artykuł Plenkiewicza, wypowiadający w wielu punktach odmienne zapatrywania, które gruntownie uzasadniał, miał w sobie jednocześnie coś z pobudki: nawoływał do ponownych studyów nad Kochanowskim, w których zakresie od czasu Przyborowskiego i Gackiego zrobiono u nas stosunkowo bardzo niewiele, występował z inicjatywą pomnikowego wydania wszystkich dzieł poety, a wreszcie stwierdzał potrzebę wyczerpującej biografii autora *Trenów*, przyczem, w kwestyi takiego monograficznego opracowania życia i twórczości Kochanowskiego, pisał co następuje: „Życiorys poety winien być niemniej w obszerne ramy ujęty. Samo z siebie wynika, iż należałoby go skreślić, nie tylko na tle swojskiem, ale powszechno-dziejowem, w otoczeniu renesansowej atmosfery, którą poeta oddychał. Taka zresztą biografia, oprócz zestawień wszystkich danych, odnoszących się do życia poety, powinna przedstawić najdokładniejszy obraz jego stosun-

ków, bliższego i dalszego otoczenia, charakteru, oraz wpływu tak na współczesną, jak i późniejszych czasów literaturę, jak niemiennie krytyczną i estetyczną wszystkich dzieł jego ocenę“.

Wezwanie to nie pozostało bez skutku. W roku 1884, w trzechsetną rocznicę śmierci poety, ukazały się trzy wspomniałe tomy istotnie pomnikowego wydania dzieł Kochanowskiego, wraz z zapowiedzią tomu IV, który między innemi miał objąć *Życiorys Jana Kochanowskiego wraz ze studyum nad jego dziełami*, skreślony przez Romana Plenkiewicza. Życiorys ten jednak dał długo na siebie czekać, bo aż trzydzieści lat, w ciągu których — w roku 1888 — ukazało się świetne i po dziś dzień nieprześcignione dzieło Tarnowskiego o *Janie Kochanowskim*. Po wyjściu tej książki, która w części biograficznej uwzględnia wszystko, *Co u nas o Kochanowskim pisano*, a w części krytycznej przynosi szereg mistrzowskich rozbiórów estetycznych, poświęconych dziełom poety, zadanie Plenkiewicza stało się o wiele trudniejszym, raz dlatego, iż jego przyszła monografia mimowoli wyzywała porównanie z niepospolitem dziełem Tarnowskiego, a powtóre, iż niechcąc powtarzać tego samego, co już czytelnik znajdował w książce autora *Pisarzy politycznych*, należało zapowiedziane od dawna dzieło nietylko oprzeć na innych podstawach, ale w niem o ile możności powiedzieć jak najwięcej rzeczy nowych, oryginalnych, które, inaczej oświetlając dany przedmiot, tem samem uzasadniałyby rację bytu jeszcze jednej obszernej monografii o Kochanowskim. Nie było to przedsięwzięcie łatwe, nawet po odkryciach Brücknera, który na podstawie odnalezionego przez siebie rękopisu Osmólskiego rzucił w 1891 roku w *Ateneum* na kwestyę życia i twórczości Kochanowskiego całe snopy nowego światła. Jakkolwiekby, w roku 1897 ukazała się wreszcie część I tomu IV dzieł Kochanowskiego, olbrzymi wolumin o 661 stronicach, na który złożyła się wielka praca Plenkiewicza, zatytułowana: *Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła*.

Przyszła kolej na recenzye. Wszystkie wypadły mniej lub więcej pochlebnie, wszystkie podniosły ogrom pracy, włożony w to wyczerpujące dzieło, wszyscy zarzucali autorowi, iż w bardzo wielu razach zbyt daleko dał się unieść wyobraźni, iż niejednokrotnie okazał się zbyt śmiałym w konstruowaniu niedość uzasadnionych hipotez, że zbyt obszernie i drobiazgowo podmalowane tło często pozostaje w rażącej dysproporcji w stosunku do samej postaci Kochanowskiego, która miejscami ginie w niem zupełnie, że pierwsze rozdziały o rodzie Kochanowskich, choć przynoszą rzeczy nowe, raczej się nadawały do osobnej monografii, a przypieczone do życiorysu autora *Trenów* stanowią zbyt wielki balast, w architektonice książki, i tak już pod względem kompozycji niemało pozostawiającej do życzenia; lecz niezależnie od tych zarzutów, którym zresztą niepodobna odmówić słuszności, wszyscy krytycy zgodzili się na jedno, iż dzieło posiada wartość wyjątkową, że ktokolwiek zechce pisać o Kochanowskim, nie będzie się mógł obejść bez pracy Plenkiewicza, który nią też zasłużył sobie na wdzięczność, nietylko czytającego ogółu, ale i badaczy piśmiennictwa. Nawet prof. Brückner, który w *Pracach filologicznych* najsurowiej i najbezwzględniej osądził całe dzieło, przyznał jej w końcu niemałe zalety. „Sprawiedliwość każe nam uznać — są jego słowa — że praca pana Plenkiewicza czyta się z przyjemnością i zajęciem; że może w czytelniku, nieświadomym czasów i ludzi, obudzić żywy interes ku świetnej i ruchliwej przeszłości; że stoi niemal na granicy między ściśle umięttem przedstawieniem a powieścią historyczną; że popularyzuje, co u nas nauka o tych nadzwyczaj ciekawych czasach i ludziach zdobyła i zestawiała. Że przytem Kochanowski nieraz zupełnie na dalszy plan zstępuje; że autor zanedbano fantazyi popuszcza wodze; że w ocenie ludzi i czasów nieraz od naszych zapatrywań, zamiast od współczesnych, wychodzi; i że mylny probierz przykładu: nie chcemy mu tego za zbytnią winę poczytać, chociaż właśnie

pomnikowa biografia ani dla bujnych fantazyi, ani dla nowoczesnych wywnętrzeń stosownem polem nam się nie wydaje. Nie wiemy, jak szersza publiczność przyjmie dzieło p. Plenkiewicza; może mimo ciężkiego formatu i zbyt wielu szczegółów rodowodowych, może mimo pisowni, zastosowanej niestety do pisowni poprzednich tomów (z barbarzyńskim kreskowaniem *é* i z owym fałalnym *ji*, drażniącym nerwy najspokojniejszego czytelnika), da się ona skusić zajmującym obrazom miejsc, czasów, stosunków i ludzi: zasługiwałyby na to i rzetelne trudy autora i staranność wydawnictwa... Więc mimo wszelkich zarzutów, jakie przeciw metodzie i krytyce po kolei podnosiliśmy, życzylibyśmy pracy p. Plenkiewicza szerokiego rozejścia się i licznych czytelników; mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie czyniliśmy, mimo polemiki naszej przeciw całemu planowi, i pojedynczym szczegółom, uważamy dzieło jego za zdrową i posilną strawę duchową. Daleko mu do tego, by było ostatniem słowem o Kochanowskim, ale zdolne ono przygotować i usposobić do poznania i ocenienia utworów poety, zdolne ono wprowadzić choćby nowicyusza do głębszej znajomości owej przeszłości, przykuwającej naszą uwagę żywą wymianą myśli, pełnej kolorów, ruchów i namietności, a brzemiennej w następstwa dziejowej wagi.

Mniej więcej na te same zalety i wady w dziele Plenkiewicza zwrócił uwagę w swej obszernej recenzji w *Przeglądzie Polskim* prof. Tarnowski; tylko, że jego sprawozdanie, jak zwykle, bardzo wykwentne w formie, o ile jest ciepłem w tych ustępach, gdzie mówi o zaletach książki, o tyle tam, w dyskusji z autorem, gdzie się nie zgadza z jego wywodami i sposobem przedstawienia rzeczy, trzymane jest w tonie łagodnym i pobłażliwym. „Autor — czytamy tam między innymi — podejmował się zadania ciężkiego, a chciał je spełnić nie powierzchownie, ale gruntownie i wszechstronnie. Chciał, żeby pierwsze pomnikowe wydanie Kochanowskiego kończyło się pomnikowym także jego żywotem, takim, który zostałby na zawsze, przynajmniej na długo, pewnym,

podstawnym, a gdyby się dało i klasycznym, czyli, żądał od siebie autor rozwiązania kwestyj zawiłych, wyjaśnienia ciemnych, sprostowania mylnie pojętych. W tym prawdziwym labiryncie niewiedomości i niepewności, sprzecznych podań, hipotez mniej lub więcej uzasadnionych, on zamierzył wyśledzić i wskazać rzeczywistą drogę, jaką szło życie Kochanowskiego. Kto miał sposobność dotknąć się tych zawiłych wątpliwości i sprzecznych odpowiedzi, ten wie, jaki to ogrom pracy zbadać je na prawdę i udowodnić to, co się ma za prawdę. Pan Plenkiewicz zaś chciał badać i dowodzić rzetelnie, szukać wśród tysięcy i tysięcy aktów stwierdzenia podań i domysłów; gdzie jaki ślad życia poety mógł się znajdować, tam on szuka, zagłębia się, i wydobywa jakiś wniosek, na którym opiera swoje przekonanie. Tak postępując, musiał opanować mnóstwo źródeł... Jakoż istotnie, jeżeli chodzi o nowe źródła, książka budzi niemały podziw, zwłaszcza w części pierwszej, opowiadającej historię rodu Kochanowskich. Na pytanie, jak się udała całość, tak odpowiada Tarnowski: „Rzecz wiadoma, że życie Kochanowskiego, znane nader ogólnikowo i niedokładnie, nasuwa mnóstwo pytań i wątpliwości, do rozwiązania bardzo trudnych, bo brak tych podstaw, na których możnaby oprzeć śmiało i pewne twierdzenie. Stąd ta wielka ilość przypuszczeń odmiennych, lub wprost sprzecznych, odnoszących się do pierwszej młodości i nauk, do pobytu za granicą, do różnych młodzieńczych miłości i miłostek, do pierwszych lat po powrocie do kraju, do powodów goryczy, z jaką poeta opuścił dwór królewski i t. d. Każdy badacz widzi inaczej, każdy innemi dowodami broni swego sposobu widzenia, a wszyscy prawie z większym skutkiem zbijają twierdzenia innych, niż popierają swoje własne. Z czytania wszystkich po kolei odnosi się to wrażenie, że wyjaśnił się tu i owdzie, nabrał prawdopodobieństwa, jeżeli nie pewności, jakiś szczegół, ale że całkowity ogólny zarys życia Kochanowskiego jest zawsze tak niepewny, takimi wątpliwościami zamglony,

a brakami poprzerywany, iż całość jego złożyć się na prawdę dotąd nie daje. Czy p. Pleniewicz rozwiązał to wielkie zagadnienie? jedno z najważniejszych i najciekawszych w naszej literaturze? Złożył całkowity ciąg życia Kochanowskiego, luki wypełnił, wątpliwości rozwiązał. Na pozór więc wszystko dobrze i nic więcej nie trzeba. Ale czy wszystkie dawniejsze podania i mniemania usunął zwycięzko, czy własne twierdzenia lub przypuszczenia poparł dowodami pewnymi? O tem nie jesteśmy dostatecznie przekonani, i zdaje nam się, że po tym ostatnim *Żywocie Kochanowskiego* mogą się utrzymać i bronić niektóre podania dawniejszych, że po nim, jak przed nim, niejedna okoliczność zostaje niewyjaśnioną, niejeden brak pozornie tylko wypełnionym. Zdaje nam się, że znowu wyjaśniły się tylko niektóre szczegóły, ale całość tego żywota została tak niepewną, jak była. Zwłaszcza, że sposób, w jaki autor rekonstruuje życie poety, a więc metoda, której się trzyma jako biograf, nie zawsze jest dostatecznie ścisłą, że podstawy naukowe, na których opierają się liczne wiązania hipotez Pleniewicza, nie zawsze są gruntowne. „Wszystko się składa, wszystko się logicznie łączy, niema żadnych przerw, pasmo snuje się gładko i rozwija jak z kłębka: jest cały żywot Kochanowskiego, od urodzenia do śmierci. Tylko czy pewny? Wszystko się składa, wszystko się logicznie łączy, wszystko mogło tak być. Ale czy tak istotnie było? To wielkie pytanie, na które twierdzącej odpowiedzi dać nie śmiemy. Nasze wrażenie i zdanie jest, że po tym żywocie, jak przed nim, stoimy przed zrównaniem o wielu niewiadomych, i zrównaniem nierozwiązanem. Pod te liczne iksy i ipsylony podstawione są ilości inne, niż bywały dawniej, ale czy prawdziwsze? Stoimy przed nowem rusztowaniem domysłów i hipotez; jedne z nich mają za sobą więcej, drugie mniej podobieństwa do prawdy, rusztowanie jest dobrze związane; ale rzadko która z jego części jest pewną i stałą. Domysły i hipotezy są inne, ale że nie dowiedzione, więc są zawsze tylko domysłami i hipo-

tezami. Nie mówimy tego o szczegółach rodzinnych i majątkowych, o datach i cyfrach; nie znamy tych aktów, a gdybyśmy nawet mogli zagłębić się w to morze, najpewniej nie umielibyśmy jeszcze tych źródeł i dokumentów krytycznie oceniać i sprawdzać. Widzimy ogromną autora sumiennność i pracę, i przyjmujemy za pewne, że się w tej części swego dzieła nie pomylił. Ale okoliczności i koleje życia poety, te niepewne i niejasne, te są, zdaniem naszym, rozjaśnione niby, ale tylko pozornie, a naprawdę tak niepewne, jak były. Prawdopodobnych jest wiele, udowodnionych, jako prawdziwe, mało. Nasze tedy zdanie jest, że gdyby p. Pleniewicz był stawiał swoje twierdzenia warunkowo, wątpliwie, jako możliwe, nie jako pewne, jego dzieło miałoby większą wartość, budziłoby więcej zaufania. Konstrukcja historyczna jest rzeczą bardzo piękną i potrzebną, ale trzeba obchodzić się z nią ostrożnie: podawać za pewne to, co jest rzeczywiście dowiedzione, a przynajmniej uzasadnione, ugruntowane, to, co prawdopodobne, ale tylko prawdopodobne, oznaczyć wyraźnie jako hipotezę; bronić jej, dowodzić jej, ale nie podawać jej za pewną, za fakt. Pan Pleniewicz tę ostrożność nie zawsze zachowuje; to zarzut największy, jaki mu mamy do zrobienia. Drugi byłby ten, że nic słuszniejszego i potrzebniejszego, jak tło historyczne, na którym rysuje się dopiero postać człowieka lub przebieg zdarzenia. Człowiek czy fakt, tylko w związku z całym swoim czasem może być należycie poznany i zrozumiany. Ale i w tem trzeba umiarkowania, wstrzeźliwości. W niniejszem dziele opowiadane są obszernie sprawy lub zdarzenia, do których Kochanowski nie należy i które nie wpływają na jego usposobienie, talent, czy życie. Śmierć Zygmunta Augusta n. p. musiała mieć miejsce w tem dziele; ale szczegółowy opis choroby i końca był zbyteczny. Książka rośnie przez takie epizody i dodatki, ale jej wartość nie rośnie. Czy zaś z tła tego występuje wyraźnie i plastycznie postać Kochanowskiego? Czy po przeczytaniu książki znamy i rozumiemy go

lepiej, niż przedtem? I na to pytanie odpowiedzi twierdzącej dać nie śmielibyśmy. Zdaje nam się, że zawsze jeszcze stymy, jakeśmy stali, przed szeregiem wątpliwości, zagadnień nie rozwiązanych, bo do pewnego rozwiązania bardzo trudnych. Stanowczego pomnikowego żywota Kochanowskiego nie dał nam p. Pleniewicz, jak nie dał żaden z jego poprzedników. Nie dał dlatego, sądzymy, że taki, przy materiałach, jakie posiadamy, danym być nie może. Ale ma on zasługę ogromnej imponującej długoletniej pracy i skrzętności, ma tę, że zebrał, uwzględnił, połączył wszystko, co się wyszukać, znaleźć i wiedzieć dało; ma tę, że złożył najobszerniejszy, najbardziej szczegółowy, najzupełniejszy żywot Kochanowskiego, na jakiśmy się przez trzy wieki zdobyli. To, co w nim niepewne, wyjaśnia, co niedokładne, sprostują nasi następcy, jeżeli im los posłuży i pozwoli odkryć źródła nam nieznane. My przyjmujemy wdzięcznie to, co jest, i cieszymy się, że ogół polski może się z jednej książki tyle o Kochanowskim dowiedzieć“.

W podobnym tonie utrzymana była również obszerna recenzja w *Przeglądzie Powszechnym*, pióra Antoniego Mazanowskiego. „Autor — zdaniem krytyka — wziął sobie za zadanie nakreślić obraz życia poety z dokładnością taką, żeby usunąć wszelkie wątpliwości, a przynajmniej ograniczyć je, o ile można. Trzeba też przyznać, że cel swój osiągnął o tyle, że w biografii niemal z pewnością oznaczył szlaki, po których szło to życie“. Za to w części estetyczno-krytycznej, poświęconej rozbiorowi i ocenie utworów poety, dzieło p. Pleniewicza nie usuwa w cień dzieła prof. Tarnowskiego. „Nie znaleźć tutaj ani tej bystrej analizy estetycznej, ani tego subtelного odczucia prawdziwych piękności, ani tej miary w szeregowaniu cennych i mniej cennych dzieł poety, jaką się zaleca poprzednia książka“. Ale cokolwiekby można zarzucić książce Pleniewicza, zasługa jego jest wielka. „Nawet i te rozdziały, w których w zbyt drobiazgowo odtworzonym tle ginie postać czarnońskiego poety, pisane

są — zdaniem Mazanowskiego — z taką dzielną znajomością wieku i ludzi, zresztą pisane tak zajmująco, że czytelnik postępuje w głąb dzieła, prowadzony umiejętną dłońią autora w wir wydarzeń, nie gubi się wobec coraz szerszych widnokręgów, nie gmatwa się w ich labiryncie, lecz owszem rozciekawia się i rozmiłowywa w życiu przeszłych wieków, tak odmiennem od dzisiejszego życia. Profesor Tarnowski pisał w swej książce o poecie: „Jeżeli chcesz wiedzieć, jakim był wiek XVI w Polsce, poznać go w jego religijnych uczuciach i walkach, w jego politycznych pojęciach i dążeniach, w jego filozoficznych dociekaniach i wątpliwościach, w jego moralnem, umysłowem i towarzyskiem życiu, w nastroju jego uczuć, smutku czy radości, w jego wesołości i żarciu, jeżeli chcesz poznać, czem była cywilizacja polska XVI wieku, jak wyglądała na stopniu najwyższym, którego dosięgła, czytaj Kochanowskiego“... Ale nie dość czytać: trzeba i rozumieć. Dotąd zrozumienie było bardzo utrudnione; dzieło p. Pleniewicza czyni je łatwem. Jako całość jest ono wyborym komentarzem XVI wieku, wypowiada na szereg lat ostatnie słowo o życiu Kochanowskiego i stanowi niewątpliwie najcenniejszy w okresie lat ostatnich nabytek wśród badań nad literaturą polską“.

Tak mniej więcej brzmiały i inne recenzje. W ogóle krytyka powitała dzieło Pleniewicza nader przychylnie, choć nie bez poważnych zastrzeżeń.

Gdy dzieło świeżo wyszło z druku, zwrócił się do mnie ówczesny redaktor *Ateneum*, ś. p. Stosław Łaguna, z propozycją, czy bym na podstawie dzieła Pleniewicza nie podjął się napisania *poczytnego* szkicu o Kochanowskim, szkicu, któryby, po odrzuceniu ciężkiego balastu naukowego, dawał barwny i zajmujący opis życia i twórczości poety, oparty na ostatnich wynikach badań w tym kierunku. Chodziło o to, żeby rzecz czytała się gładko, żeby szersza publiczność, ta, któraby nigdy nie przebiła się przez olbrzymie dzieło Pleniewicza, z łatwością mogła się zapoznać z biegiem życia

autora *Trenów*, z tem wszystkim, co w tem życiu jest najbardziej zajmującym i pociągającym, co stanowi jego poetyczny urok, a co z Kochanowskiego czyni jedną z najpiękniejszych postaci w historii naszej literatury. Propozycja była zaszczytną, jeśli się zważy, iż czynił ją autor *Dwóch elekcyj*, ale zadanie wcale nie należało do łatwych. Że jednak było bardzo ponętne, albowiem trudno o równie wdzięczny temat historyczno-literacki, jak nim jest Kochanowski, więc bez wahania postanowiłem spróbować, czy mi się nie uda napisać takiego artykułu, o jaki chodziło.

Nie krępowany co do rozmiarów, byle rzecz nie przenosiła dziesięciu arkuszy, niezwłocznie zabrałem się do roboty, poczem, co kilka dni, ile razy miałem większą partję napisaną, szedłem na ulicę Maryańską, gdzie mieszkał Łaguna, aby mu przeczytać na głos, co napisałem.

Tych kilka posiedzeń wieczornych, spędzonych u sędziwego uczonego-ascety, w jego parterowym starokawalerskim mieszkanku, nad wyraz miłe zapisało się w mej pamięci. Profesor — bo ten tytuł dawało mu się w rozmowie — najczęściej w szlafroku, bo już coraz bardziej zapadał na zdrowiu, tak, iż całymi tygodniami nie wychodził z domu, siedział na kanapie, nie przestając palić papierosy, i słuchał uważnie, ja zaś, zajmując miejsce obok, przy okrągłym stole, zawsze zavalonym książkami i gazetami, których stosy zalegały cały pokój, czytałem moją pracę. Łaguna przerywał wtedy jedynie, gdy mu się nasuwała jakaś uwaga, a że do tych uwag był bardzo skłonny, bo go raził każdy powtórzony wyraz, każdy mniej szczęśliwy zwrot stylistyczny, każdy nie dość gładko utoczony frazes, więc co jakiś czas następowała dłuższa pauza w lekturze, a przychodziła kolej na mały wykład profesorski *ex cathedra*, wykład świetny, który musiał być z ogromną korzyścią dla słuchającego: czy to, gdy poruszał rozległe zagadnienia historii lub literatury, czy też, gdy się obracał w ciśniejszym zakresie metodyki naukowej. Nadmienić wypada, że Łaguna — nigdyś profe-

sor prawa polskiego w uniwersytecie petersburskim — był urodzonym profesorem, bardzo pięknie wystawiającym się i lubiącym mówić. W ten sposób nieraz upływały godziny, tak, że te czytania w pokoju pełnym dymu — stale o godzinie 8-mej przerywane skromną wieczerzą z herbatą — prawie zawsze przeciągały się późno w noc, co również nie pozostawało bez wpływu i na zewnętrzny wygląd czytanego manuskryptu: ten bowiem, w miarę postępującego czytania, coraz bardziej zaczynał się pstrzyć od całego szeregu zmian i poprawek, ile że autor *Dwóch elekcyj* z zasady nie przepuszczał niczemu, co go pod jakimkolwiek względem nie zadowalniało w zupełności. Czasami po parę minut medytowaliśmy wspólnie, ażeby jakieś wyrażenie, które pozostawiało coś do życzenia, zastąpić właściwszem, odpowiedniejszym, dosadniejszym, ba, lepiej brzmiącym! Prawdziwy pedant, a raczej prawdziwy artysta i mistrz, z natury obdarzony subtelnym talentem pisarskim i konstrukcyjnym, czego tyłokrotnie złożył dowody w swych pismach historycznych, Łaguna, gdy chodziło o formę, o sposób przedstawienia i ujęcia tematu, był wymagającym niezmiernie, nietylko względem siebie samego (choćby pisał zwykłą recenzję do *Kwartalnika historycznego*), ale i względem tych, co za jego redakcyi pisywali do *Ateneum*. I tak na punkcie wszystkiego, co się równało kompozycyi i architektonice literackiej, co miało związek z rozmieszczeniem i rozmiarami pojedynczych szczegółów i epizodów w stosunku do całości, stawał się wprost nieubłagany i uparty, tak, że nigdy nie ustąpił, lecz przeciwnie z całą stanowczością domagał się zmian i przeróbek: bądź to rozwinięcia danej materyi, bądź — częściej jeszcze — skrócenia tego lub owego ustępu, który mu się wydawał nieproporcjonalnie długim lub rozwlekłym. Jakoż nie jeden raz musiałem — na poczekaniu u niego lub w domu u siebie — to, co zajmowało kilkadziesiąt wierszy, ściągnąć do kilku. Ale ponieważ wszystkie uwagi krytyczne, które czynił Łaguna, zawsze były słuszne, a przytem nacechowane nietylko

wielkiem doświadczeniem pisarskiem, nie mówiąc o wprost zadziwiającej erudycji we wszystkich dziedzinach, ale nadto osobistą życzliwością dla mnie — co z chlubą zapisuję — więc nic dziwnego, że bardzo wiele korzystałem z tej lektury, iż był to rodzaj seminaryum literackiego, równie miłego, jak pouczającego. Najczęściej bywało tak, że co na jednym posiedzeniu zostało odczytane i przedyskutowane, to za parę dni, poprawione i przerobione, przynosiłem do powtórnego przeczytania, poczem dopiero rękopis, w ten sposób uzskaższy redaktorskie *aprobatur*, szedł do drukarni. Nawiasem mówiąc, korekty, oprócz autora, robił jeszcze Łaguna, co niekoniecznie wywoływało zadowolenie zecerów, ale zato miało nader zbawienny wpływ na ostateczne wykończenie stylistyczne artykułów. Niemniej dobrze wyszła na tem i moja rzecz o Kochanowskim, wydrukowana w trzech zeszytach pierwszego tomu *Ateneum* z roku 1898.

W pracy tej — którą obecnie dla związanych z nią wspomnień poświęcam **Cieniom Stosława Łaguny** — starałem się o jaknajwierniejsze oddanie wyniku badań Plenkiewicza, a streszczając je, nie polemizowałem z autorem, co najwięcej w przypiskach dając wyraz niektórym nasuwającym mi się wątpliwościom. Albowiem nie chodziło o krytykę książki, ale o jej streszczenie, *resumé*, o rodzaj *essay'u*, skreślonego na jej podstawie. Cel, dla którego została napisana, był ten, żeby czytelnik dowiedział się z niej, w jaki sposób Plenkiewicz odtwarza przebieg życia i twórczości Kochanowskiego. Jakimi drogami doszedł do danych wyników, słowem, całe rusztowanie, przy którego pomocy wznosił budynek, nie miało być pokazane. Czytelnik miał zobaczyć sam gmach, bez rusztowania. Wiadomo bowiem — a zwłaszcza wiedzą o tem dobrze redakcje czasopism — że takie naukowe rusztowania, choćby najkunsztowniejsze, nie budzą zainteresowania wśród szerszego ogółu czytelników. Co jest dobre i zajmujące dla uczonych, dla specjalistów, to nie interesuje, a więc nudzi zwykłego śmiertelnika. Z tem się trzeba liczyć.

Pracę tę, tak napisaną, wydaję dziś, po 12-stu latach, w formie niezmienionej, jeżeli chodzi o treść, ale prawie w dwójnasób powiększoną przypiskami. Jeżeli nie zmienił tekstu, który zostawiłem prawie nietknięty, to uczyniłem to z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że do tekstu tego, przez pamięć Stosława Łaguny, mam pewne przywiązanie, a powtórę, że tekst ten, w danej postaci, jest wiernem odbiciem tego stanu kwestyi Kochanowskiego, w jakim się znajdowała w roku 1897, w chwili wyjścia książki Plenkiewicza. Już po ukazaniu się szeregu recenzji pomienionego dzieła, zwłaszcza po recenzjach Brücknera i Tarnowskiego, kwestya ta przedstawiała się odmiennie, podobnie, jak całkiem inaczej przedstawia się dzisiaj, po wyjściu cennej książki Nehringa, wydanej w Petersburgu, i po szeregu nowych studyów, poświęconych Kochanowskiemu, a których od roku 1897 ukazała się liczba poważna. Dość wymienić studyum Stanisława Zatheya o *Fraszkach*, rozprawę Stanisława Dobrzyckiego o *Pieśniach*, tudzież cały szereg przyczynków do życia i pism czarnońskiego poety, drukowanych w *Pamiętniku literackim*, a wśród których prym trzyma Windakiewicza *Erotyk Kochanowskiego*. Wszystkie te prace, każda w swoim mniejszym lub większym zakresie, prostowały i zmieniały bardzo wiele twierdzeń Plenkiewicza, tak, że gdyby mu dzisiaj wypadło robić nową edycję swego dzieła, musiałby je zmienić i przerobić w niejednym miejscu. Wszystko, co te prace przyniosły nowego, uwzględniłem w przypiskach, w odnośnych miejscach, tak, że czytelnik łatwo sobie uświadomi, jaką ewolucję przeszły niektóre kwestye w literaturze o Kochanowskim w ciągu ostatnich lat dwunastu: o ile sprawa postąpiła naprzód, w jakiej fazie znajduje się obecnie. To samo uczyniłem i w kierunku retrospektywnym, w równym stopniu uwzględniając — zawsze w przypiskach — literaturę o Kochanowskim, poprzedzającą wyjście dzieła Plenkiewicza, a której badania wykazywały inne rezultaty, dochodziły do odmiennych wniosków. A te wnioski i rezultaty niejednokro-



tnie bywały bardziej uzasadnione, silniej ugruntowane, niż wiele opinii Plenkiewicza, który często w swych wywodach idzie za daleko... Wszystko to, zestawione razem, systematycznie, daje dosyć plastyczny obraz tego, co do obecnej chwili zrobiono dla wyjaśnienia tej wielkiej historyczno-literackiej zagadki, jaką jest tak niedostatecznie znane życie Jana z Czarnolasu.

Z mojemu własnymi zapatrywaniem na wiele kwestyj w życiu i twórczości Kochanowskiego, streszczając poglądy innych, wstrzymywałem się o ile możności, w nielicznych wypadkach odstępując od tej zasady. Nie znaczy to, bym zawsze pisał się na te przedmiotowo streszczane opinie, podobnie, jak nie należy identyfikować obiektywizmu, z jakim w tekście streszczam wywody Plenkiewicza, z brakiem krytycyzmu z mej strony. Tak nie jest. Już wtedy bowiem, gdy pisałem mój szkic dla *Ateneum*, bardzo często nie mogłem się zgodzić z Plenkiewiczem, czemu nawet raz po raz — choć może za dyskretnie — starałem się dać wyraz. Cóż dopiero dzisiaj, gdy przed uzupełnieniem niniejszej pracy, na nowo przestudowałem wszystko, co o Kochanowskim pisano przed i po Plenkiewiczem, kiedy sobie urobiłem bardziej ugruntowane zdanie w niejednej sprawie, zwłaszcza w całym szeregu kwestyj, dotyczących młodości poety, jego *Lehr-* i *Wanderjahre*¹⁾.

Tymczasem winienem wytłómaczyć się przed czytelnikiem, co mię skłoniło do wydania niniejszej książki. Wszak nie jest to praca oryginalna, tylko streszczenie obcej. Niewątpliwie byłby to wystarczający powód, żeby jej nie wy-

¹⁾ Kwestyom tym poświęciłem dwa osobne studia literackie, które niebawem mają być drukowane. Pierwsze z nich, p. t. *Nowe hipotezy o najmniej znanych latach w życiu Jana Kochanowskiego*, zajmuje się głównie kwestyami, związanymi z młodością poety, z jego studiami za granicą przed ostatecznym powrotem do kraju; drugie, p. t. *Kochanowski i Reformacja*, przedstawia rozwój przekonań religijnych autora *Trenów*.

dawać osobno: niechby spoczywała w starym roczniku nieistniejącego już *Ateneum*. Być może, iż niejeden będzie tego zdania. A jednak, choć nie samoistna, kto wie, może się przyda, nawet jako taka. Dopóki niema popularnej książki o Kochanowskim, opartej na ostatnich wynikach krytyki historyczno-literackiej, niniejszy bezpretensjonalny zarys zastąpić może brak lepszej monografii o Janie z Czarnolasu. Dzieło Tarnowskiego, ze wszystkich, jakie są o Kochanowskim, najlepsze, jest całkowicie wyczerpane; Chlebowskiego *Jan Kochanowski w świetle własnych utworów* o ile również się wyczerpał, o tyle z pewnością jest przestarzały; popularny szkic Tatomira, ślicznie napisany, także nie jest łatwy do dostania, chyba u antykwaryuszów; książeczka Nehringa, choć bardzo wartościowa, jest zbyt treściwa; a olbrzymie dzieło Plenkiewicza, istna kopalnia dla specjalistów, nie zawsze jest przystępne dla szerszego ogółu. Książki, któraby w sposób popularny, a jednak nieco obszerniej, opowiadała o życiu i twórczości Kochanowskiego, niema w tej chwili. Może niniejsza uświadomi potrzebę takiego zarysu, może pobudzi kogo zdolniejszego, że w końcu da nam książkę o Kochanowskim taką, jaką na swój czas była znakomita powieść Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

Jeżeli książce mej uda się wywrzeć taki pobudzający wpływ, wówczas rola jej będzie skończona, a skromne zadanie spełnione.

Z tą myślą puszczam ją w świat, by, o ile ją na to stać, szerzyła kult Kochanowskiego, zachęcając do czytania jego nigdy nie starzejących się, a tem samem prawdziwie klasycznych utworów.

Kraków, dnia 30. grudnia 1906 r.

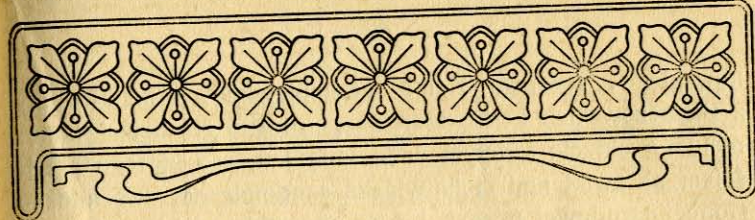
Autor.

Najślawniejszy poeto między poetami!
Ty nigdy nie umierasz, zawsze jesteś z nami,
Bo zawsze poglądając na twój wiersz wspaniały
Musimy się dziwować, że był rozum cały.
By nas kilku tysięcy stanęło z wierszami
Żaden taki nie będzie, musim przyznać sami...

Kasper Miaskowski.

Jan Kochanowski w Czarnymlesie
Wsi ojczystej mieszkając, takim wierszem śpiewa
Jakiego i Helikon podobno nie miewa,
A snadźby mieli mówić po polsku bogowie
Iścieby z Kochanowskim przestali na mowie.

Bartosz Paprocki.



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

W Sycynie (1530—1544).

Urodziny poety. I. Piotr i Anna z Białaczowskich Kochanowscy.
II. Rodzina poety. Żyłka literacka „jakoby dziedziczna“ wśród Kochanowskich. Kraj lat dziecinnych. Pierwsze wrażenia. Wpływ rodziny. Atmosfera domowa. Kierunek wychowania. Uczucia katolickie matki. Pierwsze nauki. Pierwszy nauczyciel. Wyjazd do Krakowa.

Wśród falistych wzgórz, ciągnących się lewym brzegiem Wisły w okolicy Kazimierza, w rozległym ostępie leśnym, szumiącym konarami prastarych buków i dębów, nad stawem ogromnym, zwanym Przerwiny, a zasilanym wodami rzeki Sycynki, rozłożyła się wieś Sycyna, składająca się — już w XVI wieku — z dwudziestu kilku „dymów“ włościańskich, wieś, w której po prawej stronie stawu, „poza cegielnią“, stał „stary“ drewniany dwór szlachecki, z ogrodem i lamusem.

We dworze tym, obszernym, jak przystało na dom zamożnego ziemianina, w roku 1530¹⁾, z ojca Piotra Kocha-

¹⁾ Tak twierdzi J. Przyborowski, na podstawie nagrobka poety, na którym czytamy, że umierając w 1584 r., liczył sobie lat 54. Tymczasem Szymon Starowolski, idąc za pierwszym bezimiennym biografem Kochanowskiego z roku 1612, twierdzi, że poeta urodził się w roku 1532 a umierając miał lat 52. — Ob. Józef Przyborowski, *Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego*. (Poznań, 1857), strona 11.

nowskiego, sędziego ziemi sandomierskiej, i matki Anny z Białaczowskich herbu Odrowąż, urodziło się dziecię, któremu na chrzcie świętym dano imię Jan, a z którego przyjęciem na świat nad cichą wioską sandomierską „wschodziło słońce narodowej poezji, by po wszystkie wieki najdalszym pokoleniom przyświecać“.

I.

Gdy się chce mówić o Piotrze Kochanowskim, jako ojcu przyszłego twórcy *Odprawy posłów greckich*, mimowoli przypomina się wiersz tego ostatniego, wypowiadający tę wielką prawdę życiową, że „wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie“. Bo czyż nie dziwnem zdaniem jest fakt, że właśnie ten Piotr Kochanowski, któremu było sądzone zostać ojcem pierwszego wielkiego poety polskiego, był niesłychanie prozaicznym, jako człowiek? Bardzo praktyczny i pozytywny z natury, nietylko pracował na roli (przyczem bliskość Kazimierza, głównego portu na Wiśle, ogromnie mu ułatwiała zbyt wszelkich produktów), ale nadto, zachęcony posiadaniem rozległych lasów dębowych sycylińskich i czarnolesskich, dających nieprzebraną moc żółędzi, uprawiał na wielką skalę hodowlę nierogaczyny. Na hodowlę tę, którą uznawał za równie szlachetny proceder, jak handel pszenicą lub żytem, zapatrywał się wyłącznie z punktu widzenia dochodów, jakie przynosiła, a dochody przynosiła mu znaczne. Mimo to nie zadawał sobie niemi. Żądny ciągłego pomnażania zysków — a namiętność ta rosła w nim z biegiem lat — nie cofał się i przed niewdzięczną rolą usługowego sąsiada, który innym chętnie udzielał mniejszych lub większych pożyczek, a który, co gorsza, niezawsze w takich razach, gdy chodziło o odbiór pożyczonej sumy, powodował się względami delikatności. Pod tym względem często nie miewał żadnych skrupułów, tak dalece, że „jako zastawnik budził w dłużnikach poważne obawy“. Gdy chodzi

o przykłady, stwierdzające powyższe zdanie, stoi się wobec prawdziwego *embaras de richesse*. I tak na przykład St. Sieciecki, nie mogąc się uiszczyć w oznaczonym terminie, musiał w końcu, chcąc nie chcąc, oddać mu „na wieczne czasy“ wszystkie dobra we wsi Chechły, od Stan. Cierskiego nabyte. Inny dłużnik jego — a jest ich bardzo wielu — Florian Krajowski, nie mogąc zebrać na termin wymaganej sumy, „wolał w niej oddać Krajów zastawem biskupowi chełmskiemu, niż jako zastawnika wpuszczać Piotra do niego“. Jako wierzyciel bowiem, a zwłaszcza jako zastawnik (to jest jako pożyczający na zastawę), był pan Piotr równie skrupulatny, jak niemiłosierny. Wielu przekonało się o tem niejednokrotnie, a między innymi i Anna z Sienna, wdowa po Stan. Kazanowskim, która, przyciśniona potrzebą, zaciągnęła podwójny dług u swego sąsiada z Sycyny, o tem zaś, jaki był przebieg tej sprawy, tak pisze uczony biograf poety: „Kochanowski i tym razem pożycza, ale już pod zakładem, żądając sto za sto w razie uchybienia na termin. Jak zaś go pilnował, widzimy z protestu, wniesionego przezeń w sam dzień św. Szczepana, a zatem w drugie święto Bożego Narodzenia! Rozumie się, że Anna nie przybyła z pieniędzmi i dług jej urósł w dwójnasób. Słowem, zakład była to lichwa, w formę prawną ujęta“. Wogóle, jeżeli chodzi o Piotra Kochanowskiego, to nie można powiedzieć o nim, żeby był czułym w stosunku do swoich dłużników; przeciwnie, odznaczał się pewną zaciekłością nawet, gdy chodziło o ściągnięcie swej należności. Takie postępowanie, oczywiście, wywoływało nieuniknioną reakcję ze strony przeciwnej, a że pan Piotr niezawsze na tej reakcji wychodził korzystnie, za tem przemawia jego spór z właścicielką Woli Sycylińskiej, Katarzyną Nieczujską, która, pozwana przezeń, nietylko nie stawiała się w sądzie, ale gdy Kochanowski zyskał wyrok zaoczny, skazujący ją na zapłacenie jeszcze 1.004 grzywien, ona zacięła się także, a zacięła się tem słuszniej, że suma powyższa, wymagana przez

powoda, „na posiadaczkę częściowej własności była tak wielka, że przewyższała jej wartość“. „Ale Kochanowski, powiada prof. Pleniewicz, chciał Nieczujską puścić z torbami i, mając wyrok w kieszeni, sądził, że na swoim postawi. Tymczasem bez względu na obecność woźnego i dwóch ze szlachty, towarzyszących wykonaniu wyroku, Nieczujka stawiała opór, a co gorsza, syn jej, Feliks, napadł na dwór Kochanowskiego i zadał ranę jednemu z jego służebnych“. Kto tak postępował ze swymi sąsiadami, ten nie mógł się cieszyć ich szczególną sympatią, bo nie pała się miłością do człowieka, który, jak on, niedość że „gromadził tylko pieniądze w celu nowego nabytku“, lecz, jako zastawnik, „wyciągał strunę do niemożliwych granic“, stawiając tak uciążliwe warunki swym dłużnikom, że ich nieraz swymi zakładami doprowadzał do majątkowej ruiny. To też „gdyby dziś na takim, jak Piotr, stanowisku brał kto odsetki równe udzielanym pożyczkom, domagał się, nie straciwszy sam złamanego szeląga, tak wysokich nawiązek, udzielał wreszcie pożyczek na zastaw, z powziętym z góry zamiarem wyrzucia z majątku po kilku naraz dziedziców, można być pewnym, że przeciw sobie powszechnieby oburzenie wywołał“. Na szczęście dla ojca poety, nadmienić i podkreślić należy, że takich, jak on, był legion, że prawie wszyscy postępowali tak samo, gdyż „prawo, w zasadzie uznając zakłady i zastawy, jako rękojmię przyjętych zobowiązań, tem samem osłaniało lichwą swą powagę“. To jedna okoliczność łagodząca. Drugą, którą Piotr Kochanowski mógł przytoczyć na swoje usprawiedliwienie, była ojcowska myśl o żonie i dzieciach: w razie, gdyby go dręczyły jakie skrupuły, mógł sobie tłómaczyć tem, że jako głowa licznej rodziny winien pamiętać o jej przyszłości, jak przystało na kochającego ojca. Że zaś był kochającym ojcem, tego dał liczne dowody... Co pewna, że był bardzo ambitny, że jeśli dbał o powiększenie majątku, to zwykłym groszorem nie był. „Prócz naturalnego zresztą przywiązania do rodziny, drugim dziedzicznym rysem

jego charakteru jest żądza wyniesienia swego rodu nad zwykły poziom szlachecki. Obok niej występuje próżność, znajdującą zadowolenie w kolejnym używaniu tytułów własności nabytych przez się majątków“. Już to w ogóle o tytuły dbał bardzo, a choć mu taki tytuł n. p., jak *Peter Cochanski in Conary haeres*, widocznie schlebiał, to jednak zależało mu i na innych, mianowicie honorowych. Dlatego nie cofał się przed służbą publiczną, a że należał do najmniejszych w okolicy, więc zarówno w grodzie, jak w ziemstwie, piastował różne urzędy, które mu oprócz dochodów dawały jeszcze pozycję społeczną. Zaczawszy od tego, że został komornikiem granicznym, po jakimś czasie awansował na sędziego grodzkiego radomskiego, aż skończył na zaszczytnym tytule sędziego generalnego ziemi sandomierskiej.

Z nierównie szlachetniejszej gliny była ulepiona jego druga żona¹⁾, Anna, w której żyłach płynęła rycerska krew Odrowążów. Nie była to kobieta pospolita; a 40-letni Piotr Kochanowski, żeniąc się z nią w roku 1525, w którym liczyła lat 18 dopiero, nietylko wchodził w zaszczytne koligacje ze znakomitszymi domami w Polsce, ale brał istotę, która się miała stać dobrym geniuszem jego domu. Ci, któ-

¹⁾ Pierwszą żoną Piotra była szlachetna Zofia, córka Jana Zasady, a wdowa po Mikołaju Kroguleckim. Ona to wniosła Piotrowi część Sycyny, należąca do pierwszego jej męża. Ożenił się z nią w roku 1522 i miał córkę Druzyannę, którą w roku 1537 wydał za Walentego z Tynicy. Zofia umarła po niespełna trzechletnim pożyciu z Piotrem, który wkrótce po jej śmierci, bo już w roku 1525 ożenił się powtórnie. Oto, co o tem jego pierwszym małżeństwie pisze Pleniewicz: „Nawzajem Piotr Kochanowski, aktem w tymże terminie spisany, zabezpieczył jej na Czarnolesiu 100 grzywien posagu i tyleż przywianku, z zastrzeżeniem, które pod pewnym względem jego charakter maluje. Gdy bowiem Zofia przypadła na nią części w Sycynie oddaje mu w bezwarunkowe posiadanie, on tymczasem, przyznając jej dożywotnią używalność z Czarnolasu, stawia warunek, że w razie jej śmierci majątek przez nią, jak wiano, wniesiony przejdzie na niego i na jego potomstwo“.

rym była znana osobiście, nazywali ją *spectatae pudicitiae prisciue moris*, co się pozwala domyślać, że musiała być dobrą, łagodną, pobożną i surowych obyczajów, taką je-
dnem słowem, jaką powinna być białogłowa z rodu Odrowążów. Z tego bowiem, że jako Białaczowska¹⁾, pochodziła z tak znamienitego rodu, była i mogła być dumną. Zawsz-
pamiętała o tem, że Odrowążanką była bł. Bronisława zwie-
rzyniecka, która, jako Norbertanka w klasztorze pod Krako-
wem, na wieczne czasy zapisała się w pamięci okolicznego
ludu, a jeżeli sąsiednia góra, porastająca krzewami róż, zo-
wie się górą bł. Bronisławy, to dlatego, że owe róże, jak
głosi miejscowe podanie, wyrosły z jej różańcowych paciorków
rozsypanych podczas modlitwy. Nie zapomniała też, iż Iwo
Odrowąż był kanclerzem Leszka Białego, a jako biskup krako-
wski, którym został po śmierci Wincentego Kadłubka, fun-
dował liczne klasztory i kościoły, w tej liczbie i krakowski
kościół Panny Maryi. Pierwsi Dominikanie polscy, św. Jacek
i św. Czesław, tak słynni z cudów, które czynili pomiędzy
ludem, także byli z rodu Odrowążów. A ów błogosławiony
Prandota z Białaczowa, biskup krakowski, co to wyjednaw-
szy kanonizację św. Stanisława, ciało jego, w srebrnej tru-

¹⁾ W recenzji o dziele Pleniewiczza, zamieszczonej w *Prze-
glądzie Polskim* z sierpnia 1898 roku prof. St. Tarnowski z pewnem
niedowierzaniem pisze o pani Piotrowej Kochanowskiej, jako Białaczowskiej z domu, przyczem sam nazywa ją Anną z Białaczowa. „Czy słusznie jest nazywać ją Białaczowską? Czy to nazwisko
wyrobiło się i ustaliło w jakiej gałęzi Odrowążów? Nie śmiemy
przeczyć, ale nie wydaje się to pewnem“. Wątpliwość tę rozstrzy-
gnął Plebański (w recenzji dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim)
wykazawszy na podstawie *Źródeł dziejowych* Pawińskiego (t. XV),
że już w księgach poborowych z roku 1508 spotykamy się z tem
nazwiskiem, użytym trzykrotnie z zakończeniem przymiotnem. „Na-
zwisko to więc w tej formie było upowszechnione już na początku
XVI stulecia, a jeżeli go używali mężczy przedstawiciele rodu (Abra-
ham, Piotr i Stanisław Białaczowscy), dlaczegożby nie miało służyć
i niewiastom należącym do niego?“.

mnie złożone, na Wawel ściągnął, wszak i on był Białaczowskim, a więc Odrowążem! A nie tylko błogosławionych
i świętych wydał ten znakomity ród. Gdy chodziło o powo-
lanie się na swych przodków, mogła pani sędzina, niedługo
szukając w pamięci, wymienić cały poczet kasztelanów i mar-
szalków nadwornych, oraz takich, co piastowali pierwsze
godności w kraju: Mikołaj, kasztelan sandomierski, był pod-
skarbm koronnym, Krzysztof zaś, naprzód wojewoda, na-
stępnie „Pan Krakowski“ od roku 1515, dzierżył pieczęć
większą, przyczem wywierał ogromny wpływ na Zygmunta
Starego. Nie brakło też i Odrowążów arcybiskupów... Cóż
dziwnego tedy, że Anna Białaczowska odziedziczyła, jako
Odrowążanka niepospolite przymioty umysłu i serca, że wy-
biegała nad poziom zwykłej ówczesnej szlachcianki¹⁾. Jakoż
tak było istotnie: nie ulega wątpliwości, iż w jej usposobie-
niu było wiele poetycznego, że i Kochanowski, jak Słowacki,
mógł powiedzieć do swojej matki: „Jeżeli miałem jaką po-
ezję w duszy, to ją od ciebie wziąłem“. Ten pierwiastek
uczuciowy, który tak silnie zaprawia poezję i charakter Jana
z Czarnolasu, najprawdopodobniej miał swoje źródło w du-
szy sędziny. Co pewna, to, że po za głęboką pobożnością,
która ją cechowała przez całe życie, i po za tem, coby w niej
Göthe nazwał *eine schöne Seele*, inteligencja i dowcip także
należały do jej cech charakterystycznych. Obdarzona umy-
śłem żywym i bystrym, a bardzo wrażliwa z natury, była
znana ze swego wrodzonego dowcipu. Dość powiedzieć, że

¹⁾ O tych różnych cnotach, odziedziczonych po różnych Odrowążach, Tarnowski pisze nie bez sceptycyzmu. „Naturalnie (przy
charakterystyce matki poety) wtrącona obszerna wiadomość o Odrowążach, od Iwona i św. Jacka, po których Anna odziedziczyć miała
pobożność i cnotę, aż do kwitnących Szydłowieckich i innych,
z którymi znowu wspólność herbu ma utrzymywać jeszcze resztki
związków rodzinnych“. Ten ironiczny ton, w jakim Tarnowski stre-
szcza opinię Pleniewiczza, najwymowniej dowodzi, że hipoteza nie
zdaje mu się być opartą na zbyt silnych podstawach.

Łukasz Górnicki, pisząc swojego *Dworzanina polskiego*, gdy mu przyszło podać kilka przykładów dowcipu, przytacza jedno z trefnych słówek sędziny. W ogóle „pani Kochanowska” słynęła z tego, że nie tylko była „stateczna pani” ale i „bardzo trefna”. Dowcip, który tryska z *Fraszek* Kochanowskiego, był spuścizną, odziedziczoną po matce.

Poeta kochał ją bardzo.

II.

Na nagrobku, który Jan Kochanowski położył swoim rodzicom, nazwani są Piotr i Anna Kochanowscy „najczulszymi rodzicami”. Dowodzi to, że musieli być w pożyciu z sobą szczęśliwi, że Bóg błogosławił temu związkowi. Że tak było, dowodził tego między innymi, także fakt, że pan sędzia sandomierski był „najczulszym” ojcem aż jedenastu dzieci, siedmiu synów: Kacpra, Jana, Piotra, Mikołaja, Andrzeja, Jakóba i Stanisława, oraz czterech córek: Katarzyny, Elżbiety, Anny i Jadwigi. Trudno o wymowniejszy dowód błogosławieństwa boskiego!

Co ciekawsze, że w tej licznej rodzinie, nieśmiertelnej przez to, że do niej należał tłumacz Psalmów Dawida, nie tylko on jeden zaciągnął się w szeregi sług Apolina i Muz. Należy podkreślić ten szczegół, bo jeśli chodzi o wykrycie źródła talentu autora *Trenów*, to okazuje się, że z tej krynicy czerpali także i dwaj bracia poety, Mikołaj i Andrzej. Że tem źródłem była ich matka, to prawie nie ulega zaprzeczeniu. Jakkolwiekby, Mikołaj Kochanowski, który za młodu kształcił się na uniwersytecie lipskim, także bawił się piórem, poezye zaś, które zostawił po sobie, wydane przez jego żonę p. t. *Rotuły*, są nader cenną pamiątką po nim, bo malują człowieka o sercu czystym i prawem, rozmiłowanego w starożytnych pisarzach, z których przetłumaczył całego Plutarcha. Nadto, zostawił po sobie *Napisy pod obrazy konterfektu żywota ludzkiego*, tudzież „ksiąg pełną komorę”, co

tem wymowniej świadczy o jego żyłce literackiej. Literatem także, i to wcale nie poślednim, był młodszy brat Mikołaja, Andrzej Kochanowski. I on poszedł w ślady swych starszych braci. Ożeniony z Zofią Sobieską, choć miał niemało zajęć, gospodarując w Baryczy, jednak wszystkie wolne chwile, ukradzione pracy około roli, poświęcał poezyi. W roku 1590 wyszedł jego całkowity przekład *Eneidy*, z listu zaś, pisanego w roku 1593 do Zamoyskiego, okazuje się, że zamierzał tłómaczyć i Liviusza. Ale nie koniec na tem. Usposobienie literackie, wyssane z mlekiem matki, nie wygaśnie jeszcze i w trzecim pokoleniu. Wszak Urszulka Kochanowska, gdyby nie była umarła, stałaby się, zdaniem ojca, „Safoną słowiańską”, bo skoro, dzieckiem będąc mówiła wierszami, to z pewnością, dorósłszy i dojrzaawszy umysłowo, pisywałaby poezye. Ale cokolwiekby się stało, pewnem jest, że syn Mikołaja Kochanowskiego, autora *Rotuły*, Piotr Kochanowski, zasłynął jako wyborny tłumacz *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa, a syn Kacpra Kochanowskiego, najstarszego z braci Jana, wydając *Proporzec* swego stryja, poprzedził go wierszowaną przedmową, której sam był autorem. Podobnież i o synu Andrzeja Kochanowskiego, tłumaczu *Eneidy*, powiadano, że był „uchowany w Helikonie z Muzami”. Jako taki, odznaczył się w bohaterskiej bitwie pod Chocimem, a Samuel Twardowski, opiewając jego męstwo, tak pisze o nim:

... Dotąd się Phebową

Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową
Y jakoby dziedziczną. Teraz na pogany
Do ostrego pałasza kształtnie przypasany,
Od katedry do bębnow, od pióra do piki,
Między stawa drugimi obok wojowniki...

Tyle poetyckich usposobień i talentów w jednej rodzinie, to nie prosty chyba przypadek. „Wprawdzie nikt z Odrowążów — jak to stwierdza Pleniewicz — nie zespolił swego imienia z literaturą ojczystą, ale zato w samych jego dziejach znajdujemy wiele poetycznego żywiołu. A jeżeli już historia

niejedną postać, należącą do tego rodu, przyodziła w szatę poezji, to o ileż poetyczniej przedstawiały się one w wyobraźni idących z niego niewiast, podtrzymujących życie w przekazanych im tradycjach, których wątek bezwątpienia o wiele był bogatszy, niż go piśmienne zachowały pomniki. Przy ograniczonych wiadomościach, jakie niewiastom ówczesne wychowanie dawało, podania owe rodzinne wraz z prawdami wiary, stanowiły niemal całą treść duchowego ich życia. Taki zaś podkład psychiczny musiał odpowiednio oddziaływać na kierunek uczuć i myśli, które utrwalając się i potęgując przez całe szeregi pokoleń, wytworzyły w końcu jakby duchową dziedziczość, która przez Annę przeniesiona na szczerp Kochanowskich, wydała tyle poetyckich uzdolnień. Im wrażliwsze, podnioslejsze były umysły, tem silniej oddziaływały na nie poetyczne tradycje. Że do takich należała sędzina, to własny jej syn złożył o tem w *Trenach* świadectwo“.

Tymczasem płynęły lata, a poeta — podobnie jak Mickiewicz w *Zaosiu* — pierwsze wrażenia swoje, które tak wielki wpływ wywierają na usposobienie człowieka, czerpał z natury wiejskiej, sielskiej. Tym „krajem lat dzieciennych“, który tak rzewnie przez całe życie wspominał inny poeta, była dla niego Sycyna, jedna z tych polskich „wsi spokojnych, wsi wesołych“, których urok później z takim umiłowaniem opisywał w *Sobótce*:

Dzień tu: ale iasne zorze
Zapadłyby znowu w morze,
Niżli mój głos wyrzekł wszystko
Wieśne wczasy i pożytki.

Ażeby powziąć wyobrażenie o tem, w jakim środowisku wzrastał przyszły autor *Sobótki*, wystarczy przeczytać pieśń jej ostatnią, w której poeta opisuje błogości życia na wsi:

Oracz pługiem zarznie w ziemię:
Ztąd y siebie, y swe plemię,
Ztąd roczną czeladź, y wszytek
Opatruje swój dobytek.

Iemu sady obradzają,
Iemu pszczoły miód dawają;
Nań przychodzi z owiec wełna
Y zagroda jagniąt pełna.

On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszystko nosi:
Skoro też siew odprawimy,
Komin wkoło obsiędziemy,

Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte,
Tam trefne płasy z ukłony,
Tam cenar, tam y goniony.

A gospodarz wzięwszy siadkę,
Idzie mrokiem na usadkę:
Albo sidła stawia w lesie,
Jednak zawždy co przyniesie.

W rzece ma gęste wiewierze,
Czasem wędą ryby bierze:
A rozliczni ptacy w koło
Ozywają sye wesoło.

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie skaczą leśni.

Za tym sprzętna gospodyni
O wieczery pilność czyni...

Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc ryczy,
Ona y spuszczać pomoże,
Męża wzmaga iako może.

A niedorośli wnukowie,
Chyląc sye ku starszej głowie
Wykną przestawać na małe,
Wstyd y cnotę chować w cale.

Tą samą poezją sielskości, którą tchnie ten wierszyk, oddychał i Kochanowski, kiedy podraستاł w Sycynie, a jest wiel-

kie prawdopodobieństwo, że niejedno wrażenie, wyniesione ze wsi rodzinnej, odbiło się w tym epilogu *Sobótki*. Bo kiedy się czyta o tych gęstych wcięciach w rzece, to mimowoli staje na myśli Sycynka, przepływająca nieopodal dworu sędziego, tak samo, jak czytając o owych stadach igrających przy wodzie, mimowoli widzi się wielki staw, w którego lśniącej tafli przeglądało się całe gospodarstwo rodziców poety. Podobnież można być pewnym, iż takich pieśni rozmaitych i gadek, śpiewanych i opowiadanych przy kominie, przy którym i tańczono nieraz, poeta niemało nasłuchiwał się w dzieciństwie, w Sycynie, gdzie również widywał matkę swoją, jak na podobieństwo owej „sprzędnej gospodyni” liczyła bydło powracające z pola, a potem „pilność czyniła” około wieczery. Na wszystko to Kochanowski patrzył oczyma dziecka i pacholęcia; wszystko to, począwszy od owych „obradzających” sadów i pasiek „miód dających”, a skończywszy na owych „prostych pieśniach”, które przy wtórze „rozlicznych ptaków” pastuszkowie grali na fujarkach, sączyło w duszę przyszłego autora *Sobótki* tę poezję pól i lasów, która choćby dlatego tylko jest poezją prawdziwą, rzetelną, że jest poezją natury. Lasy, otaczające Sycynę, „tworzyły nader zacieśniony widnokrąg, w którym myśl, nie znajdując szerszych przestworów, równie jak oko, nie mogła się rozstrzelać: skupiona, nawykła raczej do refleksyi, niż bezcelowego bujania. Wrażenia też, jakich tu w dzieciństwie przyszedł poeta doznawał, nastrajały jego duszę do odczuwania całej błogości sielskiego życia, płynącego spokojnym nurtem wśród rodzeństwa i dóbr ojcowskich, i utrzymując w harmonii rozwijające się władze jego umysłu, wytwarzały w nim ów nastrój psychiczny, który w późniejszym życiu pozwalał mu zakłócające wewnętrzną harmonię namietności do równowagi sprowadzać”.

Niemniejszy wpływ, aniżeli wieś i natura, wywierało nań najbliższe otoczenie, w którym się chował od dziecka, tudzież atmosfera domowa, którą oddychał do 14-go roku

życia. Przedewszystkiem ulegał wpływowi obojga rodziców, których, że kochał, tego dał dowód, nazywając ich „najczulszymi rodzicami”. Na zapytanie, czyjemu wpływowi ulegał bardziej, matki czy ojca, zdaje się, że jest tylko jedna odpowiedź, mianowicie, że głównie urabiał się pod psychicznym wpływem matki. Ojciec, zajęty sprawami urzędu, oddany interesom i gospodarstwu, rozrzuconemu w różnych miejscowościach (bo oprócz Sycyny, był właścicielem Czarnolasu, Woli Sycyńskiej, Konar i Baryczy, na której „ryb nie zliczy”), mało mógł się zajmować dziećmi, a tem samem i nie oddziaływał na nich. Co najwyżej mógł w nie przelać dziecinnie część swojej energii życiowej, która u niego skierowana do czysto materialnych zabiegów, u Jana stanie się podniecią do zdobycia rozległej wiedzy, a następnie przekazać im swoje usposobienie, będące kontrastem rycerskiego ducha i fantazyi. „Jest on w całym znaczeniu ziemianinem, który od czasu do czasu odrywa się od zajęć rolniczych i za stołem sędziowskim zasiada, ale który przedewszystkiem miłuje pokój, wygody, jak je pojmowano ówczesnie, i bynajmniej nie pragnie własnej krwi, ani cudzej, przelewów. To usposobienie odziedziczają po nim synowie, a przedewszystkiem poeta”. Ale jeżeli wpływ ojca da się ograniczyć do tak ciasnego zakresu, to wpływ matki, wychowującej swe dzieci *in severissima disciplina*, był prawie niepodzielny, wyłączny, a znaczny. Ona uczyła je prawd wiary¹⁾, ona wpa-

¹⁾ Oboje państwo Kochanowscy odznaczają się pobożnością w duchu katolickim. Nawet sędzia! Gdy Andrzej Białaczowski, brat sędziny, pragnie stawić kościół w Policznie, Piotr zaznacza swą obecność przy akcie erekcyjnym, co wprawdzie przemawiało na korzyść jego uczuć katolickich, ale nie bardzo świadczyło o jego szczodrości: bo mogąc do tej budowy dołożyć się jaką ofiarą ze swej strony, nie uczynił tego. „To już nie tkwi w jego naturze”. Ale na katolickie i religijne wychowanie, gdy chodziło o dzieci, zwłaszcza o Jana, kładł nacisk niemały, i pod tym względem bynajmniej nie hamował swej żony. „Wszakże i bez tego katolickie przekonania obojga występują w sposób niedwuznaczny w przema-

jała w nie zasady cnoty, ona wreszcie, zasilać ich dusze skarbami własnego ducha, karmiła je tradycjami własnego rodu, czem najwięcej może — zdaniem uczonego biografa poety — wpływała na rozbudzenie poetyckich uzdolnień Jana. Ona też, wpływając na rozwój jego uczuć i wyobraźni, ukrzepiała w nim tego ducha katolickiego, który cechował cały ród Odrowążów, a który i pod dachem dworu sycyńskiego gorzał bardzo silnym płomieniem.

Nie znaczy to, ażeby pod dach tego katolickiego domu nie przedostawały się echa reformy, którą w tym czasie wrzało tyle umysłów w Polsce. Jak tyle innych dworów, podobnie i dwór w Sycynie, zwłaszcza przy liczniejszych zjeździe sąsiadów, niejednokrotnie rozbrzmiewał religijnymi sporami, czyli, że i przyszły autor fraszki *Do Ojca świętego* niejednokrotnie przysłuchiwał się tym rozmowom. Że to nie pozostało nań bez wpływu, za tem przemawia jego dalsze życie...

Tymczasem rozpoczął pierwsze nauki, człowiekiem zaś, który, choć sam nie posiadał uniwersyteckiego wykształcenia, największą wagę przywiązywał do edukacji synów, szczególnie Jana, przeznaczonego do stanu duchownego, był sędzia. Ostatecznie nie było tajemem dla niego, że tylko człowiek „uczony“ może się wybić na znaczniejsze stanowisko: wiedział, że zarówno dwór, jak i kancelarya królew-

czeniu naszego Jana do duchownego zawodu. Oboje zapewne pragnęli widzieć go na najpierwszych godnościach kościelnych, choćby na stanowisku biskupa krakowskiego, i w tym celu niezawodnie do wyższych sposobili go nauk; tylko każde z nich prawdopodobnie innemi kierowało się pobudkami. Dla ojca przyszły ten zawód był środkiem do wyniesienia rodu; dla matki — urzeczywistnieniem gorących pragnień, by w synu dała krajowi drugiego Jana Prandotę; bo że ta postać błogosławionego biskupa wciąż się Białaczowskim marzy, to widzimy nie tylko z nadania jego imienia poecie, ale i w tej, napozór drobnej okoliczności, że Andrzej, budując kościół w Policznie, poświęca go czci św. Stanisława, którego kanonizacja nastąpiła głównie za staraniem Prandoty¹.

ska, roili się od humanistów, którzy stąd posuwając się na wyższe godności i urzędy, w końcu niejednokrotnie zasiadali stolice biskupie. A co im ułatwiało robienie tak świetnej kariery? Przedewszystkiem to, że byli „ludźmi nauk włoskich“. Przeświadczony o tem, gdy chodziło o wykształcenie synów, sędzia nie żałował grosza. Jakoż wszyscy otrzymali wychowanie, jak na swój czas, bardzo staranne. Szczególniej Jan. Kto mu udzielał pierwszych początków czytania i pisania? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tym pierwszym nauczycielem — zawsze najlepszym — była jego matka¹). Wprawdzie było zwyczajem w owym czasie, że mężowie i ojcowie przestrzegali zasady, „aby białe głowy piśma się nie uczyły y xiąg żadnych co się tyczy biegości a wyćwiczenia rozumu nie czytały“, ale pani sędzina, jako Odrowążówna, z pewnością należała do „pań littery znających“, a jako słynąca ze swego „ostrego dowcipu“, pewno, jako panna, była — za przykładem innych Odrowążówek — na wychowaniu w którymkolwiek z klasztorów. W każdym razie, jeżeli tą, która nauczyła czytać i pisać przyszłego tłumacza Psalmów Dawidowych, była matka poety, to książką, na której go czytać uczyła, mógł być tylko — obok *Żywota Pana Jezusa Chrystusa* Baltazara Opecia — którykolwiek z *Psalterzów*, bądź Wietora, bądź Walentego Wróbla, których wydanie przypada właśnie na lata pacholęce Kochanowskiego²). „Jeżeli zaś już teraz do duszy jego przemawiały te obrazy wielkości, potęgi i dobroci Boga, skreślone natchnionem piórem króla-proroka, to jakże to rozjaśniałoby nam genezę jego działalności, jako tłumacza *Psalterza*!“

Ale nauki początkowe, których mu mogła udzielać sędzina, były tylko wstępem do dalszej edukacji chłopca,

¹) Tak twierdzi też Starowolski, a więc i pierwszy bezimienny biograf poety z roku 1612, na którym chyba w danym razie zupełnie polegać można.

²) Profesor Brückner w swej recenzji o dziele Pleniewicza (*Prace filologiczne* tom V, str. 640—664) wcale nie jest przekonany

a jeśli go nie chciano posyłać do którejkolwiek ze szkółek okolicznych, do Sieciechowskiej na przykład, to należało go powierzyć preceptorowi domowemu, którym zwykle był bakałarz nauk wyzwolonych Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z tych, co, nie mogąc na dalszej nauce pozostać w Krakowie i dobijając się stopni magistrów, „szli na guwernerkę do szlachty biedniejszej, albo obejmowali posady kierowników szkółek katedralnych, parafialnych i innych pomniejszych“. Zapas wiedzy, którą posiadał taki bakałarz, nie był imponujący, choć wystarczał w zupełności, ażeby chłopcu dać średnie wykształcenie. „Pisał dwie słowie po łacinie, a dwie po polsku: *sanctus* święty, *maledictus* przeklęty“... Następnie zadawał dzieciom wierszyki, które na język ojczysty tłómaczył: *Ama Deum super omnia, Homo sine litteris speculum impolitum*... Później, w miarę zdobywania coraz większej słów obfitości, zadawano takich wierszy od 12 do 20, a naukę ich ułatwiały *Distichia moralia* Katona, świeżo w roku 1535 w Krakowie u Wietora wydane i zaopatrzone polskim i niemieckim przekładem; słowem, przechodzono, jak mówi Glicznier w swej *Księżce o wychowaniu dzieci*, „do zupełnie dobrej łaciny, t. j. do tłómaczeń łatwiejszych rzymskich pisarzów, dopóki nie przyszedł czas na celniejszych prozaików i poetów“. W podobny sposób kształciła się większość synów szlacheckich. Jeżeli trafnem jest przypuszczenie Małeckiego¹⁾, że takim *preceptorem*, pod

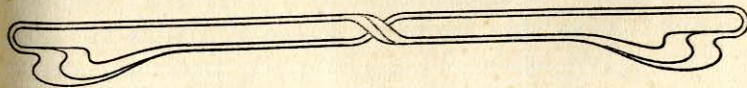
przez biografa poety, gdy ten „każe malutkiemu Jasiowi na psalterzu polszczyzny się uczyć“, niezależnie od tego, czy to był psalterz Wróbla, czy jaki inny.

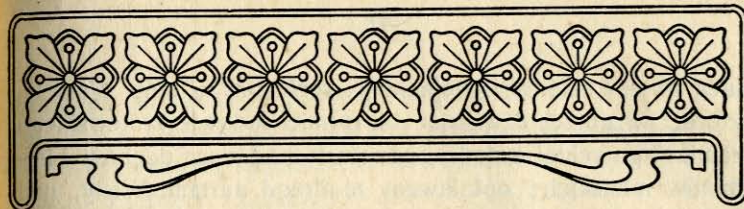
¹⁾ Pleniewicz przyjmuje w danym razie hipotezę Antoniego Małeckiego, z jego gruntownej pracy o *Młodości Kochanowskiego*, tylko że Małeki każe pobierać nauki Kochanowskiemu w szkole Sieciechowskiego klasztoru, której przełożonym był Jan Sylwiusz, a Pleniewicz czyni Jana Sylwiusza nauczycielem domowym w Sycynie. Hipoteza Małeckiego wydaje mi się nierównie prostszą a tem samem bliższą prawdy. Natomiast odrzuca hipotezę J. Przyborskiego, który Kochanowskiemu każe pobierać pierwsze nauki

którego kierunkiem kształcił się — wraz ze starszym swym bratem Kacprem — Jan Kochanowski, był Jan Czarnolas, z łacińska zwany *Silvius*, który w roku 1539 ukończywszy w Krakowie wydział *artium*, nietylko stopień bakałarza ale i magistra otrzymał, to o lepszego nauczyciela było trudno. Silvius bowiem, z Czarnolasu Kochanowskich, ze stanu kmieckiego pochodzący, a przez Macieja z Ryczywołu, opata klasztoru Benedyktynów w Sieciechowie, kosztem zgromadzenia na nauki do Krakowa wysłany, posiadał wszelkie dane, ażeby być doskonałym kierownikiem takiego, jak przyszły autor *Trenów*, ucznia. Jakoż wszystko przemawia za tem, że on, nie kto inny, przyjąwszy obowiązki pedagoga w Sycynie, przygotował młodego Jana Kochanowskiego do słuchania nauk akademickich, czyli że przeszedł z nim, pomiędzy rokiem 1539 a 1544, tak zwane *trivium*, t. j. kurs, obejmujący gramatykę, dyalektykę i retorykę.

Cokolwiekby, jedno jest pewnem: że z nadejściem roku 1544 czternastoletni Jan Kochanowski już był przygotowany o tyle, że mógł pojechać do Krakowa na uniwersytet. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że tam pojechał razem ze swym mentorem, Sylwusem, który mu ułatwi pierwsze kroki w stolicy...

w szkole w Krasnymstawie. Obacz *Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego*, strona 13. Nawiasem mówiąc, znaleźli się i tacy, według których Kochanowski chodził do szkoły w Policznej, gdzie jego głównym nauczycielem miał być niejaki Maciej z Zalesia. Gdzie dowody jednak? albo przynajmniej jakie takie uzasadnienie hipotezy?





ROZDZIAŁ DRUGI.

Lata nauki i wędrówki (1544—1557).

Kraków i Uniwersytet Jagielloński w XVI wieku. I. Kochanowski na wydziale *artium*. Wykłady w półroczu letnim 1544 roku. Wojciech Nowopolski. Szymon Marycki. Atmosfera reformy i... gamratek. Zofia. Pierwsze próby poetyckie. Przyjaciele. II. Śmierć ojca. Wyjazd do Tarnowa. Na dworze kasztelana. Wyjazd do Włoch. III. W Wiedniu. Wenecja. Paweł Manucyusz i jego akademii. Jędrzej Dudycz. Jędrzej Barzy. Franciszek Robortello i szkoła rządowa wenecka. Lato roku 1551 w Sycynie. Dwa półrocza studiów pod Robortellem. IV. Padwa i jej uniwersytet. Andrzej Patrycy Nidecki. Kochanowskiego twórczość łacińska. Wpływ Petrarci. Wiersze polskie. Zebrania koleżeńskie. „Przyjaciółki“. Lydia. Andrzej Dudycz w Padwie. Obawy Nideckiego. Zaraza. Kochanowskiego podróż do Rzymu i Neapolu. Królowa Bona w Padwie. Wyjazd do kraju. Powrót do Padwy. Wyjazd do Paryża. V. Paryż. Sorbona. *Collège des trois langues*. Poezya francuska. Piotr Ron-sard. Twórczość Kochanowskiego. „Czego chcesz od nas Panie“... *Venusta Galla*. Ossoliński i elegia do niego. Śmierć matki poety.

Powrót do kraju.

Okolony podwójnym pierścieniem wysokich murów, nastroszonych 46 basztami o dachach w formie stożków, a umocnionych wałem ziemnym i fosą, którą zalewała woda z Rudawy; wystrzelający w niebo mnóstwem wież kościelnych, nad którymi królowały ratuszowa i Maryacka, zdobna wiankiem drobnych wieżyczek, a co godzina rozbrzmiewa-

jąca swymi smętnymi hejnałami; rozłożony u stóp Wawelu, którego wzgórze, dźwigając olbrzymie budowle królewskiego zamku i gotyckiej katedry, panowało nad masą dachów i kominów miejskich; opłukiwany modremi nurtami Wisły, nad której krętą wstęgą szarzały poblizkie Krzemionki z zielonym kopcem Krakusa; a wreszcie rzucony na tło krajobrazu, który ze swemi szmaragdowymi błoniami i wzgórkami na pierwszym planie, a rozłożystą Babią Górą i śnieżnymi Tatrami w głębi widnokregu, należy do najbardziej malowniczych widoków w całej Polsce: Kraków, w chwili, gdy doń przyjeżdżał czternastoletni Jan Kochanowski, był jeszcze miastem średniowiecznym z wyglądu, w stylu Norymbergi i innych miast niemieckich.

Począwszy od bramy Tworzyjańskiej, do której wchodziło się po moście zwodzonym, a skończywszy na Wielkim Rynku, w którym się koncentrowało ruchliwe życie stolicy, wszystko tu nosiło niezatarte piętno ubiegłego stulecia, wszystko przypominało świetne czasy kwitnącego mieszczaństwa, którym się już miało pod koniec... Patrząc na gotyckie mury kościoła Panny Maryi, Sukiennic i ratusza, otoczone imponującym czworobokiem szarych kamienic zamożnych mieszczan krakowskich, a zwłaszcza przechadzając się ciasnemi, niewszędzie brukowanymi ulicami miasta, pośród wązkich, dwu- lub trzypiętrowych domów, charakterystycznych swemi wystającymi facytami i rynkami o smoczych paszczach, swemi kamiennymi godłami, wyobrażającymi różne przedmioty lub świętych i zwierzęta, i wreszcie swemi okratowanymi oknami, o drobnych, krągłych, jak gomółki, w ów oprawnych szybkach, przypatrując się tym średniowiecznym budowlom, a mając zwróconą uwagę i na zewnętrzną stronę życia, pulsującego na rynku, na ulicach, w kościołach, w gospodach i sklepach, obserwując bogatych mieszczan, w aksamitnych, futrem podbitych opończach, wielkich panów, jeżdżących karocami, a przybranych w karmazynowe delie i szuby, szlachtę w barwnych żupa-

nach lub kaftanach z bufiastymi rękawami, kobiety w złotogłowach i strojach krzyczącego koloru, chłopów w jaskrawych sukmanach, wieśniaczki w kraciastych chustkach, żydów w czarnych chałatach i sobolowych czapkach, widząc to wszystko, a nie znając miejscowych stosunków, trudno było, sądząc z pozorów, domysleć się i przeczuć, że nad tem pstrzem mrowiem ludzkim, zamieszkującym takie miasto, już się unosi powiew włoskiego renesansu...

Była to epoka bujności i pełni życia. W powietrzu, przesyconem miazmatami zażartych sporów religijnych, sporów o Kościół, o celibat i małżeństwo księży, o kalwinizm, luteranizm i arianizm, unosiła się jakaś horyacyuszowska woń rozkoszy i podnieconych zmysłów, zdrowych nerwów, silnych mięśni i rozkiełzanych namiętności, a wszystko to, zaprawne lubieżną żądzą użycia, rozpościerało swe nieograniczone panowanie, jeżeli nie nad całym miastem, to przynajmniej nad znaczną większością jego cywilizowanych mieszkańców. Wszystkie kulturalne umysły ulegały temu prądowi renesansu w życiu i w sztuce, a ulegały choćby tylko dlatego, że ten prąd szedł z góry, że jego głównym rozsądnikiem, nadającym mu impuls i piętno mody, była królowa Włoszka, małżonka zniedołęźniałego Zygmunta Starego, kobieta wytwornego smaku i poczucia artystycznego, mądra i wykształcona, która z chwilą swego przyjazdu do Polski, „pod niebem północnem stworzyła dla siebie atmosferę południowego aryzmu, i jakby w cieplarni, wyhodowała przepyszne kwiaty sztuki, których najświetniejszym okazem była kaplica Zygmuntońska, zbudowana w roku 1520 przez mistrza Bartolda Berecci, a przystrojona w owe precudne sztukaterie przez Jana Cini'ego z Syjeny, który tu rokiem Berecci'ego wyprzedził. Za nimi podążają do Krakowa inni włoscy artyści, którzy, jako sztukatorowie, medalierzy, rzeźbiarze kamei, budowniczowie i malarze, zdobią dwór Zygmunta i Bony, oraz dwory panów, nietylko może rozmiłowanych w aryzmie, ile w okazałości i przepychu“. Ci włoscy

przypisze sprawili, że mnóstwo gmachów gotyckich — który to styl dotąd przeważał nad Wisłą — poczęło się stroić w renesansowe okna weneckie (nie zawsze licujące z dawniejszymi ostrołukami), i że kiedy przyszło do odbudowania spalonego zamku na Wawelu, Zygmunt powierzył roboty te Franciszkowi della Lore, który, wznosząc owe pyszne dwupiętrowe krużganki, strojne w krągłe renesansowe arkady, nadał całemu zamkowi, nie tylko z zewnątrz, ale i wewnątrz, zupełnie włoski charakter.

Podobnej metamorfozie uległ i gmach uniwersytetu, którego gotyckie mury, poczynawszy od roku 1520, jęły się przyozdabiać w prostokątne okna weneckie. „I tu renesans, niby przylotna jaskółka, zdołał ulepić sobie gniazdo pod średniowiecznym sklepieniem audytoryów“. Niestety, duch, jaki w owym czasie panował pod sklepieniami tej Jagiellońskiej wszechnicy, bardzo wiele pozostawiał do życzenia. Ostatecznie była to siedziba scholastyki, która tu czuła się jeszcze wszechwładną panią domu, tak, iż zachodnio-europejski humanizm, lubo reprezentowany przez kilku dzielnych profesorów, robił wrażenie nieśmiałego małżonka, zahukanego przez swą magnifikę. Mimo to, przewaga moralna, jeżeli chodziło o wpływ na „żaków“, t. j. na młodzież uniwersytecką, była po stronie młodych profesorów-humanistów. „Dość było przy wykładach mówić o tej słonecznej Italii, co się kąpała w blaskach poezji starożytnego świata; ukazywać na mistrzów, przodujących rozwojowi wiedzy klasycznej na uniwersytetach Padwy i Bononii, wreszcie na takich mężów, jak Piotr Tomicki, Jędrzej Krzycki, Klemens Janicki, co choć już zeszli ze świata, aż nadto jednak wymownym byli przykładem, czem są wrodzone dary krasomówstwa lub poezji, gdy je rozwinie nauka, z tych ożywczych źródeł czerpana. A cóż mówić o żyjących wychowawcach tych uniwersytetów, jak Samuel Maciejowski, jak Marcin Kromer, Stanisław Hozyusz, Stanisław Górski, i nad wszystkimi górujący zdolnościami Stanisław Orzechowski,

który od lat trzech wróciwszy z Rzymu, głośny był już w całej Polsce nie tylko z zatargów o beneficja z biskupem przemyskim Tarłą, ale i przez świeżo na sejm krakowski w roku 1543 wydane pismo *De ordinanda republica* i pierwszą w tymże roku ogłoszoną drukiem *Turcykę*. Ludzie ci byli najwymowniejszą ilustracją ujemnych stron akademii krakowskiej i przykładem swym oddziaływali zarówno na zdolniejszych magistrów, którzy często bez pozwolenia nawet władzy uniwersyteckiej wyruszali za Alpy, jak i na młodzież akademicką, która nie mogąc jeszcze, lub nie mając o czem na dalsze studia za granicę wyruszyć, przynajmniej myślą odrywała się od żmudnych zaciekań scholastycznych i wybiegała nią ku owej zaczarowanej krainie, gdzie naówczas kwitnęły nauki i gdzie, jak mówiono, rozum się rodził“.

I.

Taką była atmosfera Krakowa i uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy na początku letniego półrocza roku 1544, w albumie akademickim, Michał z Główna, ówczesny dziekan wydziału *artium*, zapisał — pomiędzy 162 nowowstępującymi scholarami — nazwisko poety: „*Joannes Kochanowski, Petri de Syczynow, dioc. Cracov. 3 (scil. grossos) solvit*“¹⁾.

Odtąd zaczyna się jego życie studenckie, życie „żaka“ krakowskiego, które miało swoje uroki, jak każde czasy szkolne, ale i swoje strony nieprzyjemne. Przedewszystkiem odrębność, w jakiej trzymano żaków, bakałarzów i licencyantów, była mocno krępująca dla każdego z nich. „Wszyscy, z rzadkimi wyjątkami, obowiązani byli mieszkać w bursach, pod nadzorem magistrów, i podlegać prawom, przepisany osobnymi statuty. Tu wiedli oni życie wspólne na podo-

¹⁾ Obacz nader cenne, „na podstawie metryk uniwersyteckich“ skreślone studium Józefa Kallenbacha: *Jan Kochanowski w uniwersytecie krakowskim*, drukowane w *Ateneum* z roku 1884, tom III, strony 552—564.

bieństwo kleryków. Bo też istotnie uniwersytet uważano nie tylko za ognisko oświaty, ale i za rozsądnik duchowieństwa. Teolog, prawnik, nawet bakałarz wydziału *artistarum*, mógł przyjmować święcenia. Należało więc wcześniej usposabiać młodzież do tego stanu i ducha w niej odrębności zaszcześcić. Nie wolno też było scholarom używać sukni świeckich, trzewików z długimi szpicami, broni, czapek lub kapeluszy, słowem, wszystkiego, coby ich zewnętrznie do ludzi innych stanów zbliżało! Natomiast nosili spodnie obcisłe, na nogach półbuciki zamszowe, dalej *żupicę* czyli odzienie do pasa bez rękawów, kabał z sukna lub aksamitu, a na to wszystko nakładali *vestem clericalem*, czyli długą tunikę czarną, przepasaną pasem, wreszcie *czamłotową*, sukienną lub kitajkową czapeczkę na głowę. W takim stroju ukazywali się na mieście, w takim stroju chodzili na wykłady. Te zaczynały się bardzo rano, bo już o godzinie piątej, szóstej i siódmej, aż do południa. Tym sposobem, w zimie, pierwsze wykłady odbywały się przy świecy, co pociągało za sobą nie zawsze przyjemną konieczność zrywania się do dnia. Tembardziej, że znowu nie było tak dalece do czego się zrywać! Lektorya, w których słuchano lekcji, były bardzo pierwotne. Słuchacze, siedząc w drewnianych ławkach bez pulpity, wszystkie notatki byli zmuszeni robić na kolanie, a pióro maczali w kałamarzu przytwierdzonym do pasa. Wykłady zaś? Te były rozmaite.

W półroczu, na które się zapisał Kochanowski, magister Jakób Wyrzykowski objaśniał *Veterem artem*, czyli pierwszą część logiki, obejmującą sylogizmy i wnioski, co także wykładał Marcin *Cracovita*, najstarszy z kolegiatów na wydziale *artium*, a podobno „bardzo tępą głową” scholastyczna w każdym calu. Jan Dobrosielski, Sandomierzanin, wykładał w lektorium Ptolemeusza *Questiones posteriorum*, które były przygotowaniem do dysput, oczywiście w duchu scholastyki. *Priora*, to jest drugą część logiki, obejmującą rozbiór wszystkich składników pojęcia, jego określenie i po-

dział, wykładał Feliks Bendorski, jednocześnie słuchacz wydziału teologicznego. Jan ze Trzciany, Arundinensis, uważany za człowieka wyższych zdolności, wykładał w lektorium Galena *Librum de anima* podług Arystotelesa, a jednocześnie w lektorium Marona, prowadził *Questiones parvorum naturalium*, będące roztrząsaniem przedmiotów, objętych w krótkich traktatach z fizyki Arystotelesa¹⁾. Nakoniec Tomasz z Krakowa wykładał filozofię Alberta W., jako wstęp do fizyki Arystotelesa. To były wykłady scholastyczne, a czternastoletni Jan musiał ich słuchać obowiązkowo. Czy go zajmowały? Czy był dość rozwinięty umysłowo, ażeby ich słuchać z korzyścią dla swego rozwoju intelektualnego? Prawdopodobnie trzymał o nich to samo, co Rey z Nagłowic, który zauważył, że „gramatyka z logiką mogą się i staremu uprzykrzyć”. Na szczęście nie brakło i innych wykładów, owianych ożywcem tchnieniem wiedzy humanistycznej, do których młodzieniec, jak Kochanowski, bardziej mógł się zapalić. Do takich należały przedewszystkiem wykłady Wojciecha Nowopolskiego, po łacinie zwanego Novocampianus; był to wybitny humanista, jedyny przytem, który na uniwersytecie krakowskim — w tej chwili — uchodził za niepośledniego znawcę języka i literatury greckiej. Szkoda tylko, że w półroczu letnim 1544 roku wykładał gramatykę grecką. Ale i to mogło być z pożytkiem dla przyszłego tłumacza *Monomachii Parysowej*. Inni profesorowie o humanistycznym pokroju, jak Adam z Chęcina, objaśniający w tem półroczu *De officiis* Cyserona, wyłącznie zajmowali się literaturą rzymską: kilku, jak Zygmunt Obrębski,

¹⁾ W swym „szkicu literackim”, poświęconym rozbirowi *Filozofii Jana Kochanowskiego*, (Kraków, 1888), Kallenbach, wykazawszy w utworach poety ślady nauki Platona, Lukrecjusza, Cyserona i Seneki, podkreśla fakt, że Kochanowski ani słówkiem jednak nie wspomina nigdzie o Arystotelesie. „Czy mamy w tem widzieć rodzaj odwetu za owo przykre prześladowanie Arystotelesem, jakiego doznał z pewnością za lat młodocianych w Krakowie?”

lub Jan Więckowski, komentowali pisma Cyserona, reszta zaś, jak Michał de Wojnicz lub Hieronim z Łowicza, czytali Wergiliusza: pierwszy *Eneidę*, drugi *Georgiki*. Nadto Marcin z Brzezina objaśniał *Epistolas* Horacego, a substytut Bartłomiej Sabinka, zapoznawał z Terencyuszem.

Ale to letnie półrocze¹⁾, do którego i następne zimowe było podobne pod względem nieświeżego programu wykładanych przedmiotów, nie mogło iść w porównanie z letnim semestrem roku 1545, w którym humanizm, w ogóle dość po macoszemu traktowany w Jagiellońskiej *Alma mater*, wystąpił wyjątkowo świetnie: dość powiedzieć, że na 40 magistrów, wykładających na wydziale *artium*, aż 15 zapowiadało wykłady o różnych pisarzach greckich i rzymskich. Novocampianus, obok wykładu gramatyki Linacriusa, objaśniał *Iliadę* i Hezydoda *in graeco*; Maciej z Łomży czytał *Bukoliki* Wergiliusza, którego *Eneidę* i *Georgiki* objaśniał nadto dwóch innych profesorów; Michał z Wojnicza analizował *Satyry* Persiusza; Michał Kotarski komentował *De bello Jugurthino* Sallustiusza; a różne mowy i traktaty Cyserona, który zawsze był pupilem humanistów, zajmowały aż pięciu magistrów²⁾.

Ale wszystko to było niczem wobec faktu, że w tem półroczu znowu — po paroletniej przerwie — rozpoczął swoje

¹⁾ Po tem letnim półroczu wraca Kochanowski na wakacje do Sycyny, a po skończonych feryach, pod jesień, znów jedzie do Krakowa, lecz nie na długo, gdyż z powodu wybuchłej zarazy, wraca do Sycyny. Do Krakowa udaje się dopiero w drugiej połowie zimowego półroczu... Są to wszystko przypuszczenia, na których poparcie Pleniewicz nie przytacza żadnych dowodów.

²⁾ Małeki wymienia jeszcze Jana Leopolię (Nicza), który w tych latach był docentem prywatnym, a jako młodzieniec, odznaczający się porywającym darem wymowy, również mógł wywierać swój wpływ na Kochanowskiego. Uczony ten, choć z czasem zastąpił, jako jeden z naszych najpierwszych tłumaczy pisma świętego, wtedy w latach 1544 do 1547 wykladał tylko przedmioty świeckie. Obacz *Jana Kochanowskiego młodość* str. 11.

wykłady Szymon Marycki, Maricius, najświetniejsza gwiazda na humanistycznym firmamencie uniwersytetu. Wykształcony w literaturze klasycznej, którą studiował w Padwie, Bononii i Rzymie, pod takimi mistrzami, jak Łukasz Bonamico i Jędrzej Alcyates, nie miał sobie równego w Krakowie, gdy chodziło o znajomość Cyserona lub Demostenesa. Sam Novocampianus blakł przy nim, jak księżyc przy słońcu. To też wiadomość, że Marycki, świeżo przybyły z Włoch, gdzie w dalszym ciągu poświęcał się studiom humanistycznym, rozpoczyna swoje wykłady, musiała zelektryzować żaków z wydziału *artium*, a w tej liczbie i Kochanowskiego. Niestety, nie wszyscy cieszyli się tym powrotem Maryckiego, tymi zaś, którym jego przyjazd najmniej był na rękę, byli profesorowie-scholastycy. A że stanowili większość nauczycielskiego grona, że stali u steru zarządu, więc sprawili, że znakomity humanista musiał humanizm, wstępując na katedrę, zawiesić na kołku, i zamiast mówić o Cyseronie, w którym celował, wykladać przez całe letnie półrocze *Copiam verborum* Erazma z Rotterdamu i... Metafizykę, czyli, że był zmuszony przeżuwać scholastyczne wióry, które doskonale mógł przeżuwać kto inny. Ale starszyźnie uniwersyteckiej chodziło o to właśnie, ażeby o ile możliwości zmniejszyć humanistyczną wiedzę Maryckiego, a zarazem do minimum ograniczyć jego wpływ na młodzież, więc nań wywarło taką presję, że pod jej parciem jeszcze i przez całe zimowe półrocze z roku 1545—1546 wykladał *Nową logikę* i *Posteriora*, a w ciągu dwóch lat następnych, 1547 i 1548, miał wykłady z dziedziny astronomii! Swoją drogą nie dał za wygraną, i nie mogąc działać z katedry, działał słowem drukowaniem. W tym celu wydał w roku 1546, w tekście i przekładzie łacińskim, mowę Demostenesa *de Pace*, nie tając w przedmowie do tego wydania, że „jak dlatego zaraz po powrocie z Włoch wydał z komentarzami mowę Cyserona *pro Publio Quintio*, by z jednej strony wypłacić się za pomoc daną mu przez Kmitę, a z drugiej uczynić za-

dość *cupidae juventutis expectationi*, tak obecnie, ogłaszając po niej mowę Demostenesa, nie inną kieruje się pobudką, tylko, by młodzież polska, niepoślednie wykazująca zdolności, gdy się jej umysł starannej podda uprawie, z takiego zestawienia języków greckiego i łacińskiego, kształcąc się pod jego przewodnictwem, do obu literatur zamiłowania nabyła". W tymże roku jednak, w półroczu letnim, oprócz scholastycznych *Posteriorów*, które wykladał gwoili dogodzenia staremu Cedroviusowi i jego stronnictwu, zaczął objaśniać także mowę Cycerona *pro Quintio*, a w półroczu zimowym zdecydował się na rozbiór jego dyalogu *de Oratore*. Tym sposobem korzyść, którą Kochanowski mógł odnieść z wykładów Maryckiego¹⁾, naprawdę redukuje się do dwóch semestrów tylko. Ale i to coś znaczyło, tego bowiem, co z zakresu humanistyki usłyszał od Maryckiego, nie usłyszałby od żadnego z cyceronianów krakowskich. „Przecież jednoroczny czas tych wykładów zaledwie starczył, by do tak gruntownych studyów rozłakomić żadnego nauki młodzieńca, nie dając mu w dalszym ciągu możności zaspokożenia rozbudzonych pragnień przez mistrza, który marniał, w obcą sobie sferę zepchnięty. Bezwątpienia, wydając

¹⁾ O Maryckim i jego możliwym wpływie na Kochanowskiego pisze także i Małecki (*Jana Kochanowskiego młodość*, str. 11—12). Brückner zarzuca Pleniewiczowi, że zbyt obszernie rozpisał się o Maryckim, „o którym wcale nie wiemy napewno, czy kiedy uczył lub wpływał na Kochanowskiego“... (str. 642, *Prace filologiczne*, tom V). Cokolwiekby, Pleniewicz w tym razie ma za sobą powagę Małeckiego, który o wpływie, i to bardzo silnym, Maryckiego na Kochanowskiego, nie wątpi, uważając go za człowieka, którego dążność najwięcej zaważyła na szali w kolejach dalszego zawodu tego młodego tak z tamtym spokrewnionego ducha. „Marzenie Jana zwiedzenia klasycznej Italii, poznania ludzi nadających ton Europie w zakresie smaku, sztuki, wiedzy i poetyckiej piękności, zaszczone mu zostało niewątpliwie przez tego to pierwszorzędnego w kraju naszym wtedy przedstawiciela onej dążności“. *Przegląd polski*, rok 1884, sierpień, str. 12.

w roku 1547 mowę Demostenesa *pro libertate Rhodiorum*, chciał on podtrzymać zapał w młodzieży do stydów klasycznych i bądź co bądź, poszanowanie dla nich na uniwersytecie wywalczyć. Sam druk przecież nie mógł żywego jego słowa zastąpić, ani usuwanemu od katedr humanistycznych, na ogół młodzieży skutecznego wpływu zapewnić. Wpływ ten był jednak na poetę niezaprzeczone. Jak bowiem z jednej strony Marycki dał mu pierwszy prawdziwej umiejętności pojęcie: tak z drugiej, własnym przykładem jeszcze go więcej w tem przekonaniu utwierdził, iż tylko Włochy mogą dać mu wiedzę prawdziwą“.

Tymczasem bawił w Krakowie, a ulegając wpływom otoczenia, nasiąkał nie tylko wiedzą humanistyczną, ale i modnymi doktrynami reformy, wyznawanymi nawet przez takich ludzi, którychby o to najmniej podejrzawać należało. A jednak było tak w istocie! Przykładem Lismanin Włoch, który, choć był nadwornym karnodzieją i spowiednikiem królowej Bony, nie tylko sprzyjał kalwinizmowi, ale, wraz z Trzeciejskim, należał do jej najgorliwszych apostołów. A wszystko to działo się pod okiem prymasa-arcybiskupa Gamrata, który, jako tępicieł protestantyzmu, siał postrach między zwolennikami Kalwina i Lutra. Wszak pamiętano śmierć Wajgłowej, mieszcarki krakowskiej, która, że się wie, rze katolickiej sprzeniewierzyła, spłonęła na stosie, a spłonęła z rozkazu Gamrata. Na szczęście, biskup ten, choć prześladował heretyków, nie przez wszystkich był traktowany na seryo. Wiedzano o jego obżarstwie i opilstwie, a że i jego amory, nie tylko z Dorotą Dzierzgowską, wojewodziną mazowiecką, z którą stosunki sama Bona mu ułatwiała, ale i z całym szeregiem nierządnic, w których nie przebierał, nie były tajemnicą, tego dowodziła choćby nazwa *gamratki*, którą w tym czasie zaczęto nadawać wszystkim kobietom złego prowadzenia.

Taką „gamratką“ była również i owa Zofia, którą Kochanowski unieśmiertelnił w jednej ze swoich *Fraszek*,

a z którą znajomość niewątpliwie przypada na te lata studiów poety w Krakowie. Była to istotka ładna, dowcipna i miła, choć kto wie, czy w tym razie Kochanowski nie był trochę podobnym do Mickiewiczowskiego Tadeusza, któremu tak się spodobała Telimena, że, uniesiony młodzieńczym temperamentem, nie dostrzegł bielidła i drobnych zmarszczek na twarzy.

Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta,
A niewinnemu każda kochanka dziewczica.

Zdaje się, że i Kochanowski nie był wolny od złudzeń co do młodości Zofii, która, jeżeli nie była jego pierwszą miłością, to w każdym razie odegrała niemałą rolę „w sercu” poety. Inaczej nie pisałby o niej:

Ona była nadobna, ona wdzięczna była,
A wszystko jej przystało, cokolwiek czyniła.
Jej żart każdy był trefny, a gdy co kazała,
Zawždy wielką powolność po każdym poznała.

Jeżeli „po każdym”, to i po nim także, a jeśli mu się wydawała tak nadobną i wdzięczną, to z pewnością niejednemu wierszyk napisał pod jej wpływem. Bo że już w uniwersytecie będąc, pisywał wiersze, przeważnie łacińskie, to się rozumie samo przez się: raz, że „każdy chłopiec w tych latach składa wierszyki”, co dopiero chłopiec z tak poetycką duszą, jak Kochanowski, a powtóre, że jest kilka utworów poety, jak pieśń VIII jego *Fragmentów*, jak ustęp o „Mnichu” w *Carmen macaronicum* lub epigramat 33, poświęcony Royzyuszowi, które nie dadzą się odnieść do innej epoki w życiu przyszłego autora *Trenów*, jak do tych jego studiów krakowskich¹⁾.

¹⁾ Zbija to twierdzenie Plenkiewicza w recenzji swej prof. Brückner, opierając się na własnych słowach poety: *solus amor docuit blandos me fingere versus*. Słowa te, zdaniem recenzenta, odnoszą się „wyłącznie do wierszy łacińskich, a stanowczo wykluczają polskie, bo te zaczął poeta składać dopiero w Padwie, do-

A jeśli pisywał wiersze, to się z nimi nie krył przed przyjaciółmi, których zdania mógł być ciekawy. Tembardziej, iż grono jego przyjaciół krakowskich, choć nieliczne, składało się z samych ludzi wyborowych, wykształconych humanistycznie, z którymi rozmowy w godzinach wolnych od pracy, bądź w mieszkaniu którego z nich, bądź za sto-

piero dla Lidy, chociaż ta ani ich, ani łacińskich nie rozumiała; ją to bowiem *Latia atque recens* (świeża!) *Slavika Musa* śpiewała. I łatwo to pojąć. W Krakowie pisywał Kochanowski, jeśli tylko pisywał, jak wszyscy scholarze, wiersze łacińskie (ówczesnych polskich, on klasyk, i za wiersze wcale by nie uważał); we Włoszech dopiero uderzył go wdzięk poezji w języku narodowym²⁾, (str. 644). Nie godzi się też Brückner, by utwory, które Plenkiewicz zalicza do epoki przedpadewskiej, istotnie dały się odnieść do tego czasu.

Fragment VIII, który Plenkiewicz odnosi do roku 1545, domyślając się, że w nim poeta opowiedział losy Elżbiety, pierwszej żony Zygmunta Augusta, należy, zdaniem Brücknera, traktować razem z podobną Pieśnią I, 17. Nie godzi się też Brückner, by w *Carmen macaronicum* mogły się znajdować ustępy z czasów przedpadewskich.

Innego zdania w tej kwestii jest prof. Małecki, który przypuszcza, że wrodzony Kochanowskiemu pociąg poetycki władał nim zaczął we wczesnym już wieku i że nie ograniczał się u niego do samego tylko podziwiania obcych kreacji. „Wobec tego pierwsze próby poetyckiej twórczości Jana odnieść nam się godzi pewnie już do krakowskiej życia jego epoki. Mógłże nie poznać i nie odczytywać utworów w owych latach, które właśnie tam w Krakowie wychodziły z pod pras drukarskich”. Były to przecie już czasy, gdzie A. Trzycieski, Rej i różni inni, z imienia dziś nam nieznani pieśniarze, ogłaszali swoje rymy, które dla samej choćby już tej przyczyny, że to były polskie pieśni, zwracały na się uwagę powszechną, a zwłaszcza w gronie młodzieży krążyły z ręki do ręki. Wtedy to, za bytności Jana w Krakowie, pojawił się Rejowski *Żywot Józefa* (rok 1545); w tymże roku wyszedł z druku zbiór owych rzewnych i wielkiej piękności, choć w łacińskim wypowiedzianych języku *Elegii* Janickiego — że już inne tamtoczesne publikacje pominię. A jeżeli czytając to wszystko, podlegał Kochanowski wrażeniom, dającym nam się łatwo odgadnąć, to jakoż nie miało go to porwać i do próbowania sił własnych”. *Jana Kochanowskiego młodość*, strony 22—23.

tem którejkolwiek z gospód na Rynku, mogły być nie tylko źródłem umysłowej przyjemności, ale i z korzyścią.

Do takich przyjaciół poety, oprócz Sylwiusza, należał przede wszystkim Piotr Ruyz, Aragończyk, z przydomkiem de Moros, Hiszpan, zwykle nazywany Royzyuszem. Prawnik z wykształcenia, uczeń trzech akademii, dwóch włoskich i jednej hiszpańskiej, protegowany Gamrata, był profesorem prawa rzymskiego, a jako taki, odznaczał się nie tylko głęboką nauką, ale i porywającą wymową, co sprawiło, że na swe wykłady ściągali tłumy słuchaczy. Była to postać nadzwyczaj oryginalna, a wysoko ceniona przez młodzież, która w Royzyuszu widziała uosobienie europejskiej nauki. Nadto dał się poznać także, jako poeta: jego wiersz łaciński, napisany z powodu zaślubin Zygmunta Augusta z Elżbietą Rakuszą, zwrócił nań uwagę dworu i wszystkich wykształconych umysłów. Serdeczny w obejściu, dowcipny, a często i złośliwy, lubił otaczać się młodzieżą akademicką, na którą, jako humanista, wywierał olbrzymi wpływ. Kochanowski, wnosząc z jego epigramatu, gdzie Royzyusza nazywa „obywatelem świata“, zdaje się, także należał do tego grona, które się skupiło koło osoby ekscentrycznego Hiszpana, za czem poszło oczywiście, że pod wieloma względami przejął się jego sposobem myślenia. Tak na przykład Royzyuszowi zawdzięczał swe sympatyje dla domu habsburskiego.

Drugim przyjacielem Kochanowskiego, z którym go teraz mógł łączyć o wiele poufalszy stosunek, niż ze sławnym cudzoziemcem, był Jakób Górski, humanista, o pięć lat starszy od poety, bo już w roku 1542 zapisany na wydział *artium*, a człowiek niepospolity pod każdym względem. Można być pewnym też, że taki przyjaciel bardziej odpowiadał Kochanowskiemu, niż wielu innych, jak Andrzej Krajowski lub Grzegorz Podlódowski, choć temu ostatniemu było sądzone zostać szwagrem poety. Zato Stanisław Grzepski, o którego niezwykle biegłości w językach łacińskim

i greckim świadczy *Epitaphium* Kochanowskiego, był jakby stworzonym na towarzysza dla poety. Był to umysł wszechstronny, równie zapalony humanista, jak matematyk, a przytem, zdaniem Jana, uosobienie „nauki, cnoty, rozumu i postępów świętych“¹⁾.

II.

W pierwszej połowie roku 1547 umarł Piotr Kochanowski. Poeta zjechał do Sycyny. Tutaj, po pogrzebie sędziego, zaczęły się długie debaty w sprawach majątkowych i podziałowych, a jednocześnie i narady familijne, pomiędzy sędzią i jej opiekunami, co robić z Janem? Czy ma jeszcze wracać na uniwersytet krakowski, na którym już spędził blisko sześć semestrów, czy też ma przedsięwziąć co innego? On w każdym razie, gdy chodziło o jego zdanie, do Krakowa powracać nie miał ochoty, bo 1. co mógł skorzystać z wykładów tamtejszych, to już miał za sobą, 2. w Krakowie panowała zaraza, i 3. gdyby to od niego zależało, najchętniej pojechałby do Włoch. Niestety, o ile to było możebne za życia ojca, o tyle teraz po jego śmierci, wobec rozprzężenia w gospodarstwie, do czego nadto przybywała konieczność uregulowania interesów spadkowych, nie pozostawało nic innego, tylko sobie Włochy wybić z głowy. Chwilowo przynajmniej. Więc co robić?

Według hipotezy prof. Pleniewiczza, w chwili właśnie, gdy poeta, w rozmowach z matką i starszym bratem Kacprem, zastanawiał się nad tem pytaniem, mającem rozstrzygnąć o jego przyszłości, nadszedł list od hetmana Jana Tarnowskiego, list kondolencyjny, który, o ile był zaszczytnym dla sędziny, o tyle upoważniał do powzięcia decyzji, ażeby Jan na czas jakiś udał się na dwór hetmana, w roli

¹⁾ Obacz Kallenbach, *Książka ofiarowana Grzepskiemu przez Kochanowskiego, Przegląd polski*, 1884, sierpień, str. 173—176.

dworzanina. Wszystko przemawiało za tem, że hetman nie sprzeciwi się temu. W roku 1544, kiedy bawił w Sycynie¹⁾, jako członek komisji w sprawie rozgraniczenia Sycyny od dóbr królewskich Zwolenia, okazał się bardzo życzliwym dla sędziego, a jako ożeniony z Zofią Szydłowiecką, która, podobnie jak i sędzina, była Odrowążówną, a więc współherbowną z matką poety, mógł się poczuwać do powinowactwa z nią. Jakoż zdaje się, że tak było, skoro w liście kondolencyjnym do wdowy, zapewniał ją łaskawie, że zawsze może liczyć na jego życzliwość, gdyby się znalazła w jakiej potrzebie. W takich warunkach prosić hetmana, ażeby zechciał przyjąć młodego Jana, jako dworzanina, na swój dwór w Tarnowie, nie przedstawiało najmniejszego ryzyka.

Zatem poszło, jak przypuszcza prof. Pleniewicz, że następne dwa lata, aż do roku 1549, spędził poeta, jako dwo-

¹⁾ Jest to hipoteza oczywiście, którą Pleniewicz opiera na akcie rozgraniczenia Sycyny od dóbr królewskich Zwolenia. Nastąpiło to w roku 1544, latem, a pomiędzy członkami komisji, która zjechała dla dopełnienia tego aktu, figuruje i hetman wielki koronny, Jan Tarnowski, jak o tem świadczy jego własnoręczny podpis na rzeczonym dokumencie. Pleniewicz, opierając się na tym podpisie, idzie tak daleko (czy nie za daleko?), że przypuszcza, iż hetman wraz z liczną asystą, zaproszony przez właściciela Sycyny, tamże zetknął się z 14-letnim Janem Kochanowskim, którego mu nie omieszkało zaprezentować. Niemniej śmiałą hipotezą, mojem zdaniem, jest ów list kondolencyjny hetmana, wystosowany do sędziny po śmierci jej męża.

Już to w ogóle, zdaniem Tarnowskiego, Pleniewicz często grzeszy zbytnią domyślnością. „Weźmy n. p. (czytamy na str. 404) pierwszą młodość i nauki. Nic naturalniejszego, jak że sędzina Kochanowska chętnie oddała syna na dwór hetmana Tarnowskiego; nic naturalniejszego, jak, że hetman chciał go mieć towarzyszem syna. Podobieństwo do prawdy jest; ale jej rzeczywistości nie widzimy. Prawdopodobna chęć obu stron nie dostarcza jeszcze dowodu, a nazwisko Kochanowskiego zapisane między dworzanami hetmana, nie dowodzi, żeby to był ten Kochanowski. Opowiadanie zaś, jak hetman z okazji jakiegoś sądu granicznego do Czarnolasu

rzanin hetmański, w Tarnowie, na zamku kasztelana krakowskiego¹⁾. „Patrz na Tarnów, mówi Orzechowski w żywocie hetmana, jakie bogactwo u mieszczan, jako oprawne jest miasto wałami, mury i strzelbą ku obronie“. W obrębie tych murów obronnych i wałów, miała teraz 17-letniemu Kochanowskiemu, w atmosferze rezydencji wielkopańskiej, upływać jego *vita nuova*. Czy mu było dobrze z tą rolą młodego dworzanina? Zdaje się, że od razu miał możność korzystania z różnych przywilejów, których nie mieli inni dworzanie, i że od pierwszej chwili, gdy wstąpił na dwór hetmański, nietylę pełnił funkcje zwykłego dworzanina, ile został przeznaczony na towarzysza dla 10-letniego kasztelanica, Jana Krzysztofa, który wraz ze Stanisławem Latalskim herbu Prawdzic, wojewodziecm poznańskim, i Mikołajem Mieleskim herbu Gryf, synem wojewody podolskiego, pod ochmistrzostwem księdza Jakóba Niemieckiego, kształcił się w naukach. „Otóż dla tego grona młody, świeżo wyszły z akademii młodzieniec mógł być pożądanym nabytkiem.

zjechał, jak rodzice pokazali mu małego Jana w nadziei, że bystry chłopiec zwróci na siebie uwagę możnego protektora, jeżeli nawet przypadkiem zgadza się z prawdą, to jest zupełnie dowolnem, a za jedyną podstawę ma domysł“.

¹⁾ I na to niema żadnego dowodu, prócz faktu, że w jednym z rękopisów, przechowanych w bibliotece ordynacji Zamoyskich, zatytułowanym „Dwór sławnej pamięci nieboszczyka Jana hrabie z Tarnowa, kasztelana krakowskiego“ i t. d., a obejmującym cały składający go personal, figurują na końcu, w spisie kilkudziesięciu dworzan, i Kochanowscy także, lubo nie wymienieni imiennie. „Jeżeli jednak było ich kilku, to — zdaniem Pleniewicza — nikt, tylko Jan mógł im tu drogę torować. Tym jedynie sposobem można sobie wytłómaczyć ów ton poufality, w jakim on później do hetmana w Elegii V, księgi I przemawia; nieco mentorski, gdy w Elegii I tejże księgi zachęca młodego Jana Krzysztofa, by w ślady rodzica wstępował, lub gdy po jego zgonie koi boleść jego synowską. Jakby zresztą poeta doszedł do tak zażyłego z Mikołajem Mieleskim lub Radziwiłłem Czarnym stosunku, gdyby w tym właśnie czasie (1547 do 1549) nie bawił na dworze hetmana i gdyby go tam nie uwa-

Kto wie nawet, czy ten wzgląd nie zaważył w postanowieniu Tarnowskiego co do przyjęcia na swój dwór 17-letniego Jana? "... Kochanowski bowiem, „jako starszy młodych panią towarzyszy, mógł z jednej strony łagodzić surowość tego stosunku, w jakim do nich ze stanowiska ochmistrza i kapłana ksiądz Niemieckowski zostawał, a pomimo to, podzielać z nimi zabawy, zachować tyle powagi, by nie dopuścić swawoli. Że towarzystwo to było dla niego za młode,

zako za współherbownika, którego powinowactwo było zapewne w stopniu bardzo dalekim, ale którego, bądź co bądź, Odrowążanka rodziła".

W interesującej pracy Chlebowskiego, który niezaprzeczenie należy do głębszych znawców życia i dzieł Jana Kochanowskiego, znajduje się ustęp, który tu warto przytoczyć, jako potwierdzający hipotezę prof. Pleniewicza. „W wierszu na zgon Jana Tarnowskiego († 1561) po raz pierwszy występuje poeta w poważnej roli głosiciela cnót i zasług wielkiego męża. Dla utworu swego wybrał formę „pocieszenia“ (*consolatio*), pozwalającą mu przybrać względem młodego Tarnowskiego (któremu niedawno poświęcił Szachy) poufne mentorskie stanowisko, świadczące zresztą, że Kochanowski z domem Tarnowskich musiał łączyć bliski stosunek, (żona Mikołaja Radziwiłła, z domu Szydłowiecka, której dedykowana jest Zuzanna, była rodzoną siostrą matki Krzysztofa Tarnowskiego). Jak w dedykacji Szachów, tak i w tym utworze poeta przemawia do Krzysztofa Tarnowskiego, jakby do równego sobie kolegi („Mój hrabia“, „Jeśli cię dobrze znam“). *Ateneum* 1897, *Artyzm Kochanowskiego*.

Niezależnie od tego, prof. Tarnowski w sprawozdaniu książki Pleniewicza nie bardzo jest skory do uwierzenia, by istotnie Jan Kochanowski pozostawał w tak blizkich stosunkach z hetmanem Tarnowskim. Streściwszy ten ustęp książki Pleniewicza, Tarnowski tak pisze między innymi: „To tłumaczy ten bliski, poufny stosunek z hetmanem, z jego synem i z Mieleckim, który się daje widzieć w jego wierszach. Nie jest to zaś domysł, tylko fakt. Na dowód przytacza biograf rękopis biblioteki Zamoyskich: *Dwór nieboszczyka Jana z Tarnowa* i t. d. i t. d., w którym między wieloma imionami jest i nazwisko Kochanowskich, tylko bez imienia chrześnego. Streszczamy na teraz, nie dyskutujemy“. Znaczy to, że tematu do dyskusji może by nie zbrakło.

że wobec niego musiał się wbrew swemu usposobieniu i nawykniom do tonu pedagoga dostrajać, to więcej niż pewna; ale chyba rozumiał, że wszystko to było koniecznem następstwem stanowiska, jakie w domu wielkiego pana zajmował, i że, jeżeli stracił dawną swobodę (której zresztą, i jako żak krakowski, skazany na zakonne życie w bursie, zbyt używać nie mógł), to z drugiej strony zawiązywał z tymi 10- i 12-letnimi paniętami na dalsze życie stosunek. Ale jakiegokolwiek posługi spełniał na dworze hetmańskim, zawsze miał dość czasu, ażeby się ćwiczyć w dalszym ciągu w naukach, a choć w rozerwanem dworskim życiu nie mogło być mowy o systematycznej pracy literackiej, to jednak miał możność korzystania z przebogatej biblioteki hetmana, zasobnej w najrzadsze rękopisy i dzieła. Dodać należy, że były to przeważnie dzieła humanistyczne, rękopiśmienne kopie i *editiones principes* autorów greckich i rzymskich, hetman bowiem, sam będąc mężem „uczonym“, wykształconym w prawie, a w wolnych chwilach piszącym dzieje narodu, otrzymał wykształcenie humanistyczne, w duchu rzymskim. Kochanowskiemu mogło to wyjść tylko na dobre! Powtóre mógł korzystać ze światłych wskazówek księdza Niemieckowskiego, który był tak niezwyklej miary człowiekiem, iż Ferdynand, król rzymski, wyraził się o nim, że swoim synom pragnąłby dać takiego mistrza. Następnie, to przebywanie na dworze takiego potentata, jak hetman, pozostającego w ciągłych stosunkach nie tylko z najpierwszymi dostojnikami korony, nie tylko z Zygmuntem Starym i Zygmuntem Augustem, ale i z wielu obcymi monarchami, mogło być dla młodzieńca, jak Kochanowski, nader pożądaną szkołą życia. Ostatecznie obracał się między ludźmi wysokiej nauki, surowej staro-rzymskiej cnoty i biegłości w sprawach rycerskich, do których przedewszystkiem należał sam hetman, a stojąc przy boku tak wysokiego dygnitarza, mógł się wyrobić wszechstronnie, bo użyty do posług kancelaryjnych, mógł nabyć wprawę pisarskiej, przywy-

knąć do form dyplomatycznych, do liczenia się z użyciem każdego wyrazu. Pozatem nawykał do łask, do rozumnego szafarstwa i karności, tej ostatniej bowiem, której wzorem była karność wojskowa rzymska i spartańska, podlegał zarówno cały dwór hetmana, jak i jego syn własny: syn może więcej nawet, niż podwładni. Podobna atmosfera nie mogła pozostawać bez wpływu na dojrzewający charakter poety, tak samo, jak nie mogła nie wpływać na jego katolicyzm, w którym go ukrzepiała. Pod tym względem największy wpływ wywierał na niego, jak i na całe otoczenie, sam hetman, który nietylko — jak o nim opowiada Orzechowski — „naśmiewał się z tych nowowierników, którzy opak pismo wywracając, piątą ewangelię wymyślili ku wiecznemu potępieniu swemu“, ale „zakonności starodawnej chrześcijańskiej tak pilnie strzegł, że najmniejszej odmiany ani na dworze swym, ani na dziedzińcach swych, około wiary nie cierpiał“. Nie cierpiał również, ażeby w jego obecności źle mówiono o dynastii habsburskiej, której był szczerze oddany. I pod tym względem, gdy chodzi o przekonania polityczne, miał mu Kochanowski niemało do zawdzięczenia. „Wszystko to tembardziej oddziaływało na jego umysł, że wszedł w ten okres rozwoju, gdy siły ducha, naraz rozbudzone przyjaznymi warunkami, zaczynają działać w kierunku, wyrokującym o przyszłym powołaniu człowieka. Po czasach łamania się z trudnościami języka i wersyfikacji łacińskiej, nastąpił w rozwoju jego okres nowy: ubogi jeszcze co do myśli, uczuć i obrazów, ale nie pozwalający już wątpić o uzdolnieniu do poezji. Próby jego muzy zwróciły może księdza Niemcewskiego uwagę i, przez niego doszedłszy do wiadomości hetmana, wywołały postanowienie, które go miało na bity gościniec, wiodący do przyszłej sławy poetyckiej, wprowadzić“¹⁾.

¹⁾ Inaczej wypełnia te dwa lata w życiu poety Małecki w swej pracy o *Jana Kochanowskiego młodości*. Zdaniem autora *Listu żelaznego* 17-letni Kochanowski spędził lata 1547—1549 w Krakowie,

Było to w roku 1549. Syn hetmana, Jan Krzysztof, miał lat dwanaście. Hetman postanowił wysłać go z księdzem Niemcewskim i dwoma dotychczasowymi towarzyszami, za granicę, do Wiednia, na dwór Ferdynanda, a przy tej okazji — jak przypuszcza biograf poety — umyślił wyprawić i młodego Kochanowskiego, tylko nie do Wiednia, ale do Włoch, o których utalentowany młodzieniec marzył od tak dawna.

Oczywiście, że i sędzina, dowiedziawszy się o szlachetnym zamiarze hetmana, nie miała nic przeciwko temu

na uniwersytecie. „Nie podzielam przypuszczenia — słowa są Małeckiego — żeby koniec tutejszym jego naukom położyła śmierć ojca w roku 1547. Krótka przerwa w owej chwili z tego powodu mogła być nastąpić, ale jakże miał 17-letni wtedy młodzieniec, chciwy wiedzy i rozmiłowany w swoim zawodzie, a bynajmniej nie mający do walczenia z brakiem funduszy, osiadać dla tej żałoby na kilka lat próżnowania przy boku matki? W kłopotach gospodarskich miała ona dość pomocy w najstarszym swym synu, przezornym i przez całe rodzeństwo cenionym Kacprze. Dla idealisty Jana nie było nic właściwszego, jak do Krakowa powrócić“. I choć, zdaniem Małeckiego, (które to mniemanie dzielają i inni), brzebywał Kochanowski w Krakowie aż do roku 1549, to jest aż do sławnej owej, choć smutnej, wszystkich uczniów z uniwersytetu i miasta secesyi i rozsypki na wszystkie strony świata, secesyi, która, jako *Wyjście żaków z Krakowa* (odtworzone na jednym z obrazów Małtejski) wydarzyło się 15. kwietnia 1549 roku. Z zapatrywaniem powyższemu godzi się w zupełności i Windakiewicz w swej pracy o *Pobycie Kochanowskiego za granicą* (Kraków 1886). Odmiennego zdania jest Kallenbach, który uderzony „wyjątkowym milczeniem Kochanowskiego o uniwersytecie krakowskim“, wnioskuje stąd, że „Uniwersytet Jagielloński choćby dlatego tylko tak niewyraźnie zapisał się w pamięci Kochanowskiego, że w nim przyszedł poeta bardzo krótko zabawił“. Pięcioletni pobyt (do r. 1549), jak chce Małecki, zdaniem Kallenbacha, „z pewnością jakiś bodaj drobny ślad zostawił w pismach i do jakiegokolwiek wzmianki, czy o uniwersytecie, czy o kolegach swoich, zniewolił“. (*Jan Kochanowski w Uniwersytecie krakowskim*, str. 562). Jeżeli chodzi o uniwersytet krakowski, to zdaje mi się, że Kochanowski źle o nim nie trzymał, skoro w *Satyrze*, z wyraźną aluzją do Jagiellońskiej Wszechnicy,

wyjazdowi. Wszak wyjazd ten wprowadzał go na drogę, która go dowieść mogła do tych wysokich godności, jakie niegdyś Iwo i Jan Prandota z Białaczowa zajmowali w kościele! Dlatego, nie chcąc, ażeby jej syn podróżował wyłącznie na koszt swego znakomitego protektora, zaopatrzyła

tak się sprzeciwia wysyłaniu młodzieży na studia uniwersyteckie za granicę:

Tego baczyć nie mogę, dla której przyczyny
Wolicie do Włoch, abo do Niemiec śłać syny,
Mając swe szkoły doma, gdzie przedtem jeździli
Cudzoziemcy, którzy się nauką parali?
Widzą się wam podobno prostacy mistrzowie;
Ba, będą z nich po chwili Gregoryankowie,
Jeśli im i tę trochę weźmiecie, co mają.
Na dziesięć grzywien jednak dosyć wymyślają.
Ale niech ma zapłatę godność między wami,
Ręcę wam, że zrównacie z ich tam Sorbonami.
Nakoniec, ważcie doma taki koszt na dzieci,
Ujrzycie, że się do was wszystka Padew zleci.

Ja bym w słowach tych widział wymowne wstawienie się poety za uniwersytetem krakowskim. Zdaniem Kallenbacha, Kochanowski już w roku 1545 (a więc po jednorocznym zaledwie pobycie w Krakowie) wyjechał za granicę. Tak przynajmniej sądził w roku 1884. W wydanej jednak w roku 1888 *Filozofii Jana Kochanowskiego* i Kallenbach staje się skłonny do przedłużenia studiów Kochanowskiego w Krakowie do roku 1549. Rok 1549, jako ten, w którym Kochanowski opuścił uniwersytet krakowski, przyjmuje również i Tatomir (*Jan Kochanowski*, opowiadanie z XVI w., Lwów 1884).

Co się tyczy wspomnień z lat uniwersyteckich krakowskich, to nie zdaje mi się, żeby Kochanowski mniej wspominał Kraków, niż inne miasta uniwersyteckie, w których studiował. Wierszy zaś, dających się odnieść do czasów studiów w Krakowie, nie brak, zarówno we *Fraszkach*, jak w *Pieśniach*, a *Carmen macaronicum*, zaczyna się od wspomnienia czasów, gdy poeta był żakiem jagiellońskiej wszechnicy. „Jest blisko wysokiego Krakowa (czytamy tam) las słynny, odznaczający się dębami, zadziwiający mnogością żółędzi, położony nad Wisły wodą i gościńcem gdańskim: Dąbie nosi nazwę, Dubiem mianowali go przodkowie. Tam więc, gdy Syryusz palił suche pola i kanikuła niemądra rozganiała żaków, szedłem“... O Krakowie nie brak też wzmianek w *Apophtegmatach*.

go na drogę w 48 dukatów *in auro veri et justī ponderis*, które *notabene* pod dość ciężkimi warunkami pożyczyla od Jana Zaborowskiego.

Z funduszem tym, który jak na owe czasy był wcale znaczny, puścił się Kochanowski, w grudniu roku 1549, z taborem i towarzyszymi Jana Krzysztofa Tarnowskiego, do Wiednia.

III.

W Wiedniu, gdzie podziwiał „szeroki Dunaj“, zabałił niedługo. Wprawdzie mógł, korzystając z tego pobytu w naddunajskiej stolicy, zapisać się na uniwersytet miejskowy¹⁾, o wiele wyżej stojący od krakowskiego, ale mu było pilno do Włoch. Tam, przeczuwał, znajdzie to, czego mu nie mógł dać Kraków, tymczasem Wiedeń, który posiadał tylko jedną nadzwyczajność, mianowicie cudowny kościół św. Szczepana, także był miastem północnem.

A tymczasem jemu dusza rwała się na południe, w krainę słońca i starożytności. Nie zwłócząc więc, ni zważając na ostrą porę zimową, niesprzyjającą przeprawie przez „Alpy krzywe“²⁾, pożegnał swych towarzyszy, którzy właśnie szykowali się do uroczystego przedstawienia się cesarzowi, i powędrował za góry, do „sławnego miasta“, Wenecyi.

Wenecyą, „w pośród morza“ leżącą, jej mozaikami i marmurami, jej czarem i oryginalnością, jej Wielkim Kanałem i Placem św. Marka, był zachwycony. Zwłaszcza entu-

¹⁾ Również i Kallenbach przypuszcza, że Kochanowski w Wiedniu nie tylko podziwiał „szeroki Dunaj“, ale mógł być ciekawy i tutejszego uniwersytetu, do którego, kto wie, czy nie zajrzał, t. j. czy tu nie zatrzymał się czas jakiś, ażeby pochodzić na niektóre humanistyczne wykłady. Obacz *Jan Kochanowski w uniwersytecie krakowskim*. (Ateneum tom IV, str. 563).

²⁾ To jest przez Semmering, którą prowadziła najbliższa droga do Włoch.

zyazmował się dla jej czarujących kobiet, którym z pewnością przyglądał się *con amore*, skoro na samym wstępie zaraz napisał zmysłowy epigram *In puellas Venetas*, a wkrótce po tem, niezawodnie pod wpływem jednej z tych czarnobrewych „Nereid, które Neptun, wyludniwszy Adryatyki i Ocean, sprowadził do uroczego miasta Wenetów“, dowodził w łacińskiej elegii, że „jeszcze taka mądrość nie powstała w jego sercu, ażeby kochanie uważał za wielkie przestępstwo“.

Myliłby się jednak, toby przypuszczał, że młody autor tej elegii, wydostawszy się na wolność, o którą było tak trudno w Tarnowie, tylko się uganiał za pięknymi Wenecyankami, któremi roiły się słoneczna Piazzetta i Plac św. Marka, a w których on dopatrywał się samych Cyrcei i Syren, dowodząc, że choćbyś, jak Ulisses, „uszy zalepił woskiem, a nawet ogłuchł, jeśliś tylko wzroku nie pozbawiony, zginałeś“. Ostatecznie, choć na nim „dziewczęta weneckie“ robiły bardzo silne wrażenie¹⁾, doskonale sobie zdawał sprawę z celu swojej podróży za granicę: przede wszystkim wiedział, że nie po to przyjechał tutaj, ażeby tylko, „jako jeden z kochających, szedł za sztandarem Kupida“, a powtórnie był spragniony wiedzy, której w Wenecyi, w akademii słynnego humanisty Manucjusza, biło tak życiodajne źródło. Jeśli mu chodziło o należyte wniknięcie w ducha dzieł Cyserona, to lubieżna stolica Dożów, była jedynym miastem na świecie, któremu, jak się wyraził Franciszek Filelfus, nie tylko nie zbywa na uczonych do kształ-

¹⁾ Nawet zakosztował ich interesowności, sądząc z Elegii XIV księgi I, a zaawanturowawszy się z jedną, niebawem przekonał się, co to jest zdrada niewieścia. „Bezwątpienia (powiada Plenkiewicz) Włoszka wabiła go do siebie, dopóki mniemała, że ma do czynienia z bogatym forestierem; gdy spostrzegła pomyłkę, poszukała sobie innego, który mógł jej pieszczoty opłacać“. Z tych czasów pochodzi także epigramat *de spectaculis S. Marci* (o widowiskach św. Marka).

cenia młodzieży, ale które ich umie nagradzać odpowiednio. Do takich uczonych należał przede wszystkim Paweł Manucysz, przełożony słynnej akademii humanistycznej, będącej jego własnością. Był to rodzaj pensjonatu, w którym młodzież szlacheckich rodów, przeważnie z obcych krain przybyła, pobierała wykształcenie humanistyczne. Kochanowski zapisał się do tej akademii¹⁾, a choć z zapalem wziął się do studyowania Cyserona i elegików rzymskich, to jednak zauważył niebawem, że, jak i na słońcu są plamy, tak i Manucysz, lubo nieporównany jako znawca literatury starożytnej, ma swoje wady, jako pedagog: mianowicie, zbyt gorliwie opiekuje się swymi uczniami, zbyt ojcowską pieczę stara się otaczać każdego z nich, w czem dochodził tak daleko nawet, że radził im unikać pokus Amora, a zalecał miłość platoniczną²⁾. Podobne morały nie mogły się podobać poecie, któremu się tak podobały „dziewczęta weneckie“, więc poruszony temi strofowaniami swego mistrza, napisał elegię, w której „prosił grzecznie męża surowych zasad, by przecież soku kwitnącej nie pozabawiał wiosny, by pozwolił młodocianym roślinom na zie-

¹⁾ W dziele Papadoppolego, *Hist. Gymn. pat.* tom II, str. 266 czytamy: *Ejus (Cochanovii) nomen inscriptum est albis Polonicis (ad anno 1552 seqq.) palamque est, ipsum fuisse discipulum Robortelli, postquam operam dedit Venetiis institutioni Manucii*. Kallenbach przypuszcza, że studia Kochanowskiego w Wenecyi u Manucjusza przypadają na pięciolecie 1545—1550. Przerwa w studiach roku 1551 nastąpiła widocznie wskutek interesów rodzinnych, po ich załatwieniu wraca nasz Kochanowski do Włoch i przenosi się do Padwy.

²⁾ Kazimierz Morawski w swem dziele o Nideckim (str. 72, wyd. II) powiada, że miejscem stałego pobytu Manucjusza stała się Wenecja dopiero w roku 1555, co by oczywiście podcinało podstawy wielu twierdzeń Plenkiewicza. Że jednak w Wenecyi i przed rokiem 1555 zamożniejsza młodzież pobierała wykształcenie humanistyczne, dowodzi w tejże książce K. Morawskiego ustęp o Jędrzeju Dudyczu, który „od roku 1550 zaczął swe studia w Weronie i Wenecyi“, (strona 88).

lonej niwie delikatnemi listki ku słońcu wybujać". Ale nie poprzestając na tem, poszedł dalej, i w tejże elegii wystąpił z twierdzeniem, że „nawet i ci, co się mistrzami cnoty mianują i cnotę samą słowem i czynem wynoszą, i ci pragną, by ich darzono nazwą kochanków, tak, że nie jest wstydem kochać za ich przykładem". Była to wcale niedwuznaczna aluzja do Manucjusza, który, choć nie młody, w roku 1546 poślubił młodą Małgorzatę Odoni, a ta go już w następnym roku obdarzyła potomkiem.

Co pewna, to, że młodzi ziomkowie poety, z którymi kolegował a następnie zaprzyjaźnił się w akademii Manucjusza, niezawodnie podzielali zdanie swego towarzysza, a jeśli pod tym względem nie można ręczyć za Jędrzeja Barzego, to można ręczyć za Jędrzeja Dudycza, który, choć sobie dopiero liczył rok 16-ty, i choć jako protegowany swego wuja, arcybiskupa Granu, sposobił się do stanu duchownego, jednak w rzeczach miłości, do której pociąg wyssał z mlekiem matki swej, Wenecjanki z wielkiego rodu Scarbellatic, był o wiele doświadczeńszy, aniżeli 19-letni poeta. Tego doświadczenia, popartego rozległemi stosunkami wśród patrycyuszowskich rodzin weneckich, Kochanowski trochę zazdrościł Dudyczowi, z czem się nie taił nawet: najlepszy dowód, że pisząc elegię do przyjaciela — a przez tego przyjaciela należy rozumieć Dudycza — chwalił go, „iż się nikomu ze swej miłości nie zwierza, gdy on tymczasem, nie umiając jej ukryć, wszystkich oczy zwraca na siebie". W każdym razie namiętny temperament płochego Dudycza, bardzo przemawiał za nim, zwłaszcza, że poza tem był to wielce sympatyczny młodzieniec, nie tylko rozrywkom oddany i zabawom, w których awanturnicze miłostki grały główną rolę, ale i poważnej nauce, do której czuł niewymowny zapał¹⁾. Zwłaszcza Cyclerona uwielbiał. W zupełnie

¹⁾ Prof. Brückner (w recenzji dzieła Pleniewiczza), opierając się na dziełku Stieffa o Dudyczu stawia znak zapytania z po-

innym rodzaju był Andrzej Barzy, kontrast Dudycza. Skromny, nieśmiały, hołdował cnotcie, na której zasadzał prawdziwą wartość człowieka. Widocznie był zwolennikiem filozofii Seneki i Stoików. Kochanowski był innego zdania, i dlatego, w elegii do Barzesa, przekonywa go, że „niezawsze należy być cnotliwym", tam bowiem, gdzie idzie o dogodzenie żądy, najlepiej nie mieć żadnych skrupułów; żeby cnotliwy Hipolit, który się tak spodobał Fedrze, nie był tak cnotliwy, z pewnością wyszedłby na tem lepiej, niż na swej cnotcie. „A lubo ty, Barzesie, nie masz macochy, to przecie nie sądz, bym słowa te na wiatr powiedział".

Tymczasem płynęły miesiące, skończyło się letnie półrocze roku 1550, a z jego upływem miało się zakończyć także istnienie akademii Manucjusza, który postanowił zwinąć swój zakład. Czemu? Przedewszystkiem finansowe położenie akademii, pomimo sławy, jaką się cieszyła, wiele pozostawiało do życzenia, a to samo dało się powiedzieć i o zdrowiu jej przełożonego, który trapiiony różnemi *frequenti malatti* oraz uporczywą chorobą oczu, musiał się zacząć oszczędzać, jeśli chciał, żeby jego młoda żona nie została wkrótce wdową. Wobec tego, uczniowie akademii, a w ich liczbie i Kochanowski, musieli myśleć o przeniesieniu się do jakiego innego zakładu naukowego. Skończyło się na tem, że Dudycz pojechał do pobliskiej Padwy, Kochanowski zaś, któremu widocznie nie chciało się rozstać z poetyczną Wenecją, zapisał się, razem z Barzym, do weneckiej szkoły państwowej, *Scuola dello Stato Veneto*. Tutaj miał możliwość studyowania pod przewodem Franciszka Robortella, świeżo powołanego przez szkarłatny senat Dożów. Był to humanista niemniejszej sławy niż Manucjusz, a rozgłos, jaki potrafił wzbudzić koło swego imienia, zawdzięczał nie tylko swym wykładom, jakie miewał po ró-

wodu tej przyjaźni Kochanowskiego z Dudyczem w Wenecji i twierdzi, że gdyby autor znał dziełko Stieffa, „nie byłby Kochanowskiego z Dudyczem już w Wenecji tak stanowczo zapoznawał".

znych miastach włoskich, lecz i wybitnym pismem swoim, będącym rozprawami o rozmaitych przedmiotach z zakresu świata i literatury starożytnej. Kochanowski, zapisując się na jego wykłady, mógł być najlepszej myśli o swym wykształceniu humanistycznym, od takiego mistrza bowiem, jak autor *Paraphrasis artis poeticae Horatii* oraz traktatów *de Epigrammate*, *de Elegia* i t. d. mógł skorzystać niezmierznie wiele ¹⁾.

Niestety, ledwo się zabrał do studyów pod Robortellem, gdy nagle, najniespodziewaniej w świecie, na samym początku roku 1551, otrzymał list z domu, od rodziny, wzywający go, ażeby natychmiast wracał do kraju, albowiem obecność jego, z powodu różnych spraw majątkowych, jest

¹⁾ Całe to opowiadanie o pobycie i studyach Kochanowskiego w Wenecji, o ile jest streszczeniem ostatecznych konkluzji Pleniewiczza, o tyle jest podobne do mozaiki, żmudnie złożonej z samych hipotez. Wszystko, o czym jest mowa w tej części opowiadania, jest piramidą z kart, która może runąć za łada podmuchem krytycznym. Niestety, jedynym materiałem, jakim rozporządzamy, chcąc odtworzyć ten okres wenecki w życiu Kochanowskiego, są jego elegie i epigramaty łacińskie, o których krytyka wyraziła zdanie, że mogły być napisane w Wenecji, na co jednak niema dowodów niezbitych, a przeciwko czemu Brückner nawet „protestuje” w swej surowej recenzji dzieła Pleniewiczza. To samo da się powiedzieć o studyach Kochanowskiego. Czy rzeczywiście był w akademii Manucjusza? Czy istotnie, po jej zwinięciu, zapisał się do szkoły państwowej weneckiej? Wszystko to są hipotezy, może prawdopodobne, ale niestety, nie poparte dokumentami. Nawet i to nie jest pewne, czy Kochanowski istotnie przez rok 1550-ty bawił w Wenecji. I pod tym względem dzielą się zdania krytyków. W ostatnich czasach jeden Nehring (w recenzji książki Tarnowskiego) „przystaje na tę kombinację, że Kochanowski z Wenecji roku 1552 przeszedł do Padwy i wiadomość Papadoppolego pod tym względem zdaje mu się, pomimo wszelkich krytycznych zastrzeżeń, być wiarygodną”. Zdaniem Brücknera cały ten „okres wenecki” w życiu Kochanowskiego jest arcywątpliwym, wymarzoną może. Obacz *Op. cit.* str. 646. Dlatego też i owych „aż sześć elegii łacińskich”, które Pleniewicz uważa za napisane w Wenecji,

nieodrodną potrzebną. Nie pozostawało nic innego, tylko stawić się na wezwanie.

Przybywszy do rodzinnej Sycyny, dowiedział się, co było powodem, że go musiano oderwać od studyów. Sprawa była bardzo prozaiczna i nieprzyjemna, źródłem zaś, z którego wzięła początek, były jeszcze zawikłane interesy ś. p. Piotra Kochanowskiego, które żonie i synom zostawił w spuściźnie. Chodziło o jego spór z Erazmem Zielińskim z Zielanki, spór o granicę między Baryczą a Zielanką, który Zielińscy postanowili rozstrzygnąć w ten sposób, że jeden z nich, Feliks, nadciągnął z ludźmi konno i zbrojno (*superquitando alias* naye chawszy, mówi pozew sędziów) i rozpędziwszy pracujących przy grobli kmieci baryckich, podobno naruszył kopce graniczne. Stąd sprawa, proces, Kochanowscy pozwali Zielińskich, a że spór był tego rodzaju, że nieobecność pełnoletniego Jana dawała Zielińskim możność przeciągnięcia procesu, więc Kochanowscy, żeby zapobiedz temu, sprowadzili Jana. Przyjechał, ale nibawem zaczynał mieć dosyć tej pieniackiej atmosfery domowej, tych ciągłych rozmów o procesach, zakładach i mani-

Brückner odnosi do okresu padewskiego, gdzie im, jego zdaniem, „pewniej i bezpieczniej”. Za Wenecją, przed przyjazdem do Padwy, świadczy tylko Papadoppoli. Tarnowskiemu te studia w Wenecji — jeszcze przed wyjściem książki Pleniewiczza — wydawały się bardzo problematycznymi. Jest to zresztą zapatrywanie Windakiewiczza, który w swym *Pobycie Kochanowskiego za granicą* również posyła młodego poetę wprost z kraju do Padwy, do Wenecji zaś każe mu robić częste wycieczki. „W każdym razie nie przebywał on tam długo. Wyniósł bowiem stamtąd dwa tylko wspomnienia, do tych czasów odnosić się dające”... (str. 36). Podobnymi wycieczkami do Wenecji tłómaczy sobie także Windakiewicz znajomość Kochanowskiego z Manucyuszem (str. 39). Wycieczki te odbywał Kochanowski najczęściej z Patrycyem Nideckim, to też gdy Manucyusz pisze do Nideckiego, by się od niego pokłonił „swemu towarzysowi, młodzieńcowi niezwykle zdolności”, prof. Kazim. Morawski ma wszelką zasadę do przypuszczenia, że przez tego towarzysza (*contubernalis*) miał Manucyusz na myśli Kochanowskiego.

festach, pozwach i protestach, zwłaszcza, gdy po dniu 16. czerwca 1551 roku, w którym to dniu i jemu przyszło osobiście stawać w sądzie, sprawa obróciła się na niekorzyść Kochanowskich. Dla młodego humanisty i poety, przywykłego do spokojnych studyów nad Ciceronem i poetami, przerywanych miłostkami i wesołymi sympozionami w gronie kolegów, to ciągłe procesowanie się z sąsiadami, tak absorbujące umysły jego rodziny, nie mogło być pożądaniem i przyjemnym, jako atmosfera. Przywykł do innej. Jego wytworna natura czuła się nieswoją w tem otoczeniu, wśród tak niskiego poziomu spraw i zabiegów. Wiele rzeczy musiało go razić, tak, że nawet pobyt na wsi, której poezję i sielskość zawsze odczuwał tak żywo, nie zachęcał go do dłuższego pozostania w kraju, wśród swoich. Jakoż zaczął tęsknić do tej „Auzońskiej krainy“, którą niedawno porzucił. Patrząc na żółte łąny zbóż, obramowane ciemną linią lasów, wzdychał za błękitami Adryatyku, a rozmawiając z matką i braćmi, których wyłącznie absorbowały sprawy majątkowe, czuł niesmak i tęsknotę za zajęciami podnioslejszej natury. „Zdarzały się wprawdzie chwile, w których rodzina zapominała o swych kłopotach i w towarzystwie dochowujących dawnej przyjaźni bliższych lub dalszych sąsiadów, oddychała swobodniej. A wtedy to Jan rozповідаł o swym w ziemi włoskiej pobycie, prawił o uroczej lagun i Adryatyku królowej, o jej wspaniałych gmachach, placach, kanałach, cudnych niewiastach, kosztownych szatach, nagromadzonych z całego świata bogactwach, dziwnych zwyczajach, uroczystościach¹⁾, gondolach i różnych własnych przygodach; przecież chwile podobne trafiały się rzadko i nieraz może przerywało je urzędowe kołatanie laską we drzwi, przybyłego z nowym pozwem woźnego“.

¹⁾ „Św. Marek miał urządzić widowisko i już orszak uroczysty postępować począł, gdy nagle deszcz lunął i ciemna wszczęła się nawałnica, która baldachiny i obrazy świętych zmoczyła“. Epigram *O widowiskach św. Marka*.

Jednocześnie prowadzono rozmowy, dotyczące przyszłości poety, którą miała być karyera duchowna, karyera dostojnika kościelnego. Takie było życzenie matki, która mu narzucała stan duchowny, nie przeczuwając zgola, że Jan coraz mniej do niego powołania uczuwał, że mu się wcale nie uśmiechało „chwycić beneficja, ubiegać się o godności katedralne, tyć na duchownym chlebie i nigdy nie zaznać godziwych życia słodczy“. Wszystko to, a zwłaszcza celibat, przejmowało go wstrętem na samą myśl, i dlatego zaczął sprzyjać reformie, która mu mogła zgodniejszą z jego usposobieniem ukazywać przyszłość. Ostatecznie katolicyzm zdawał się bankrutować, tymczasem nowe doktryny przybierały coraz dotykalsze kształty. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że stary porządek ustępował miejsca nowemu „i w duszy poety zabrzmiało *Pereat!* streszczające w sobie najgorętsze jego pragnienia“. Ale się do tego nie przyznawał, bo tylko utrzymując rodzinę swą w tem przekonaniu, że się nie rozstaje z myślą o przywdzianiu sutanny, mógł liczyć na poparcie z jej strony, gdy powie, że pragnie wracać do Włoch. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: gdy stanęła kwestya jego dalszego kształcenia się, powrót do Włoch, w celu dalszych studyów, zarówno matka, jak i stryjowie, uznali za konieczny. Skończyło się na tem, że poeta, udzieliwszy swemu starszemu bratu, Kacprowi, plenipotencji do prowadzenia w jego imieniu wszystkich spraw majątkowych, pod jesień wyruszył z powrotem do Wenecyi.

Jechał na Kraków, gdzie zabawił czas jakiś, oczekując na jakakolwiek okazyję do Wiednia. W Krakowie miał wielu znajomych i kolegów, więc nie potrzebował uskarżać się na osamotnienie. Mimo to, mimo możności widywania się i gawędzenia z takimi ludźmi, jak Jan Sylwiusz, Jan Leopolita, Wojciech Nowopolski, Stanisław Grzępski i kilku innych, z którymi go łączyły serdeczniejsze stosunki, był nastrojony smutnie, a ze smutkiem tym zdradził się na wy-

jezdnem, w dedykacji tragedii Seneki, których tom, „mając odjeżdżać w kraj tak wielce oddalony“, ofiarował Grzepskiemu „w zakład wiecznej miłości“.

Stanąwszy w Wenecji, zapisał się na wykłady Robortella, pod którego kierunkiem też, oddany studiom klasycznym¹⁾, przez całe zimowe półrocze 1551 roku, oraz półrocze letnie 1552, z zapałem, a niezawodnie i z korzyścią wielką, pracował.

Wtem rozeszła się wieść, że stary Łazarz Bonamicus, chwała uniwersytetu w Padwie, przeniósł się do wieczności, i że senat powołał na opróżnioną katedrę Robortella. Upodobawszy sobie w wykładach mistrza, Kochanowski zdecydował się podążyć za nim. Tym sposobem, na następne półrocze zimowe przeniósł się do Padwy, zapisując się na wydział artystów.

IV.

„Czyż poeta nie doznawał żywszego bicia serca, na myśl, że znajdzie się w murach jednego z najstojniejszych, najstarożytniejszych po Salernie i Bononii uniwersytetu; że w tem ognisku i on zaczerpnie nowego światła, którego promienie, poczynając od XIII stulecia, rozjaśniały mrok

¹⁾ Felicyan (Faleński) w swojej *Pogadance o Fraszkach Jana Kochanowskiego* (Biblioteka Warszawska, 1881) zwraca także uwagę na możliwy wpływ Aretina, widoczny we fraszce *Dobrym towarzyszom gwoździ*. Bawiąc w Wenecji Kochanowski nie mógł nie słyszeć o rozgłosnem życiu i twórczości Aretina. Nie należy zapominać, że Aretino zmarł dopiero w roku 1556, i że za bytności Kochanowskiego we Włoszech mieszkał i prowadził niesłychanie bujne i hulawcze życie w Wenecji, skąd jego sława promieniowała na cały półwysep. Jego wiersze — mistrzowskie pod względem formy a w treści rozwiązłe — musiały być czytane przez młodzież uniwersytecką w Padwie. Tak rozumuje Felicyan. Mimo to St. Zathey, który do swego studium o *Fraszках* Kochanowskiego wciągnął i utwory Aretina, nie odnalazł w nich ani wiersza, od któregoby się dała wyprowadzić którakolwiek z *Fraszek* Kochanowskiego.

i jego własnej ojczyzny?“ Trudno w tym względzie odpowiedzieć coś stanowczego, bo choć świeża tradycja Klemensa Janickiego, który, jako żak padewski, był ulubieńcem Bonamika, mogła pobudzać wyobraźnię 22-letniego Kochanowskiego, to jednak, wjeżdżając w mury Padwy, którą prawdopodobnie znał przedtem, nie mógł być ślepym na to, że pod względem okazałości gmachów, przepychu życia, zaludnienia i bogactw, Padwa nie mogła się mierzyć z czarującą królową Adryatyku. Wenecja kipiała życiem stołecznem i handlowem, Padwa zaś, niezależnie od tego, że jej uniwersytet zaścianiał szkołę państwową wenecką, była prowincją. „Położona na równinie, otoczonej od południa malowniczymi Euganejskimi wzgórzami, które od niepamiętnych czasów okrywały bujne winnice; objęta nieforemnie łamiącym się murem, umocnionym szeregiem baszt w blanki zębionych; przerznięta wreszcie rzeką Bacchiglione, która swemi ramionami w środku miasta tworzyła obszerną wyspę: ówczesna Padwa z krętymi i źle brukowanymi ulicami, nosiła czysto średniowieczny charakter, któremu panujący tu w kościołach gotyk jeszcze więcej wyrazistości dodawał“. Ale niepoczesna w porównaniu z marmurową stolicą Dożów, Padwa miała także niejedno, z czego mogła być dumną, a jeśli mogła się chlubić pięknymi freskami Mantagna i Tycyana, zdobiciem mury jej kościołów, lub sarkofagiem Liviusza, odkrytym w roku 1547, to przede wszystkim szczyciła się podaniem miejscowem, według którego Padwę, dawne Patavium, założył po zburzeniu Troi Antenor. Że podanie to nie przeszło bez wrażenia na Kochanowskim, tego dowodzi chociażby jego *Odprawa posłów*, gdzie Antenorowi wyznaczył tak dużą i sympatyczną rolę¹⁾. Ale nie brakło i innych względów, dla których mógł niebawem zasmakować w życiu padewskim, bo jeśli chodziło

¹⁾ Nadto elegia XVII księgi III zaczyna się od słów: „Pomnę, co pewien mistrz brodaty (Robortello) zwykł był mawiać do mnie tam, gdzie Antenor leży po zgonie“.

n. p. o życie studenckie, to tutaj „żacy“ grali taką rolę, o jakiej nie mogli nawet marzyć w Wenecyi. Tam ginęli w masie ludności, a tu, zwłaszcza artyści t. j. zapisani na wydział *artium*, rej wodzili w całym mieście. „Wiadomo na przykład, iż wiele ulic padewskich mają z arkadami pod-sienia, któremi w czasie upałów lub deszczu wygodnie można krążyć po mieście. Otóż podsienia te bywały zwykle placem burd i figlów studenckich. Z nadejściem bowiem mroku, młodzież akademicka zbierała się tu gromadnie i zbitą masą całą ich szerokość zajmując, szorowała pod ich sklepieniami, wołając: *Qui va là? Qui va li?* i, albo roztrącała przechodniów, albo w razie doznanego oporu torowała sobie drogę kijem lub sztyletem. Niekiedy znowu wynikały krwawe bójkę pomiędzy studentami z powodu przyjaciółek, któremi się Padwa roiła“. Tak bywało przez cały okrągły rok, a że nawet statut uniwersytecki nie sprzeciwiał się zabawom studentów, powołując się na staro-rzymską maksymę, „aby po pilnej nauce następowała zabawa i rozweselenie, a to w tym celu, by umysły odświeżone stawały się chętniejszymi do przyjmowania nauk“, więc bawiono się całą duszą. Zwłaszcza bawiono się raz do roku, w epoce turniejów, tańców i widowisk teatralnych, urządzanych przez młodzież akademicką, pod patronatem rektora i konsyliarzów. Był to karnawał padewski, okres awantur, pijatyk i szczególniejszego kultu dla złotowłosej Wenus! „Pojedyncze jednak nacye nie poprzestawały na tej wspólnej zabawie, ale urządzały widowiska na własną rękę. Tak nacya niemiecka w dzień św. Jana dawała każdorocznie przy ulicy św. Katarzyny widowiska teatralne, na których ku uciesze zebranego ludu wystawiano tragedye i komedye“.

Ale zabawa zabawą, a nauka nauką. Bawiono się w wolnych chwilach, pozatem uczono się, uczęszczano na wykłady; takich bowiem, dla których sama nauka była jedną z największych przyjemności życia, nie brakło między żakami padewskimi. Powtóre, sam uniwersytet stał bardzo

wysoko. Oprócz przedmiotów scholastycznych, do których należały filozofia moralna, logika, sofistyka, astronomia, etc. etc., przedmioty humanistyczne, choć ilościowo przedstawiające się mniej świetnie, jakościowo nie pozostawiały nic do życzenia. Wykłady takiego Robortella, który w roku 1553 wykładał retorykę łacińską, były rozkoszą intelektualną dla jego licznych słuchaczy. Znakomite również, lubo mniej rozgłośnie, były prelekcyje Jana Faseoli'ego, Paduańczyka, który w roku 1553 wykładał literaturę grecką, niezależnie od tego, że w tej dziedzinie właśnie, zwłaszcza gdy chodziło o Eschylosa, Robortello położył znamienite zasługi. Niemniej wybitne były wykłady z dziedziny scholastyki, bo trzeba nadmienić, że uniwersytet padewski, chociaż był rozsądnikiem humanizmu, jednocześnie cieszył się sławą ostatniej twierdzy Arystotelizmu. Tylko, że tu Arystotelesa wykładano w greckim oryginale. Najświetniejszą gwiazdą tego wydziału był Antoni Pessera, powstający przeciwko Platonowi, w czem mu wtórowali nawet i młodzi humaniści, gdy chodziło o kobiety i miłość.

Poza uniwersytetem istniały tak zw. akademie studenckie, czyli korporacye, zawiązywane przez młodzież różnych narodowości. Polacy, za czasów studyów Kochanowskiego, jeszcze się nie byli zorganizowani w oddzielną akademię, stanowili tylko część nacyi ultramontańskiej. Że Kochanowski bywał na zgromadzeniach tych akademii, na których toczyły się — przy winie — rozprawy o filozofii, o Platonie i Cyceronie, o epikureizmie i stoicyzmie, o Marku Aureliusz i Senecie, tego pozwalają domyślać się jego padewskie elegie.

Podobnie, jak wątpić nie można, że brał udział w ożywionych dysputach akademickich, tak nie ulega wątpliwości, że na nich nie bywał sam, jeno w towarzystwie swych kolegów-ziomków, pomiędzy którymi prym trzymał Andrzej Patrycy Nidecki, wymarzony towarzysz dla niego, choć wiekiem starszy, bo już liczący sobie 32 lata. Umysł

humanistyczny *par excellence*, w Cyceronie fanatycznie rozmiłowany, zaprzyjaźniony z Lismaninem, pod którego wpływem, jako młody kleryk, pozostawał w Krakowie, protegowany Jędrzeja Zebrzydowskiego, biskupa krakowskiego, u którego był w wyjątkowych łaskach, (choć przedtem, już po otrzymaniu czterech mniejszych święceń, nagle wystąpił z zakonu Franciszkanów), zażyły przyjaciel Piotra Myszkowskiego i Łukasza Górnickiego, w roku 1549 poseł do Sejmogrodu, do królowej Izabelli, aż wreszcie podkopany na zdrowiu, kosztem Zebrzydowskiego wysłany do Włoch, aby mógł uczynić zadość gorącej chęci zdobycia wyższej nauki, był to już człowiek wyrobiony, dojrzały, dworski, obyty z ludźmi, a że, jako uczeń Maryckiego i Nowopolskiego, posiadał wiele punktów stycznych z Kochanowskim, więc wystarczało, ażeby się te „dwa *lumina* zacne korony polskiej“ zbliżyły do siebie, ażeby się po niedługim czasie związały najściślejszym węzłem przyjaźni i „mało nie jako brat z bratem doma żyjąc, wszystkie *secreta ingenii* z sobą *communicowali* i jeden nad drugiego nie mieli ani mieć chcieli rzeczy swych cenzora wierniejszego y przedniejszego“. Zdaje się nawet, że w końcu zamieszkali razem. Bądź co bądź, polubili się nadzwyczajnie, raz dlatego, że jak powiada wspólny kolega obu, Jędrzej Januszowski, „pospolicie równy równego szuka“, powtóre, że, choć nierówni wiekiem, bardzo do siebie przystali usposobieniami i zamiłowaniem humanistycznymi. Jeśli się różnili, to chyba pod jednym względem tylko: Nidecki, wytrwale oddany pracy, a przytem zmuszony zważać na swe słabe zdrowie, już był obojętny na młodzieńcze rozrywki i wybryki, kiedy Kochanowski szumiał jeszcze.

Mimo to, zachęcony przykładem Nideckiego, nie zaniedbywał się w studyach, gorliwie rozczytując się w poetach rzymskich, którymi, pisząc swoje łacińskie elegie i epigramata, przejmował się z całym pietyzmem i rozmysłem. O tem, iż we Włoszech już się miało pod koniec poezyi

łacińskiej, która po takim zastępie sław, jak kardynał Bembo, Buonacorsi, Boiardo i wielu innych, coraz bardziej traciła prawa do bytu, nie pamiętał, a przynajmniej zapominał bardzo często¹⁾. Co prawda, to go parły w tym kierunku nie tylko dzieła mistrzów poezyi rzymskiej, ale i bliskość miejsc unieśmiertelnionych w jej arcydziełach. „Sąsiednia Mantua była kolebką Wergiliusza; niemniej bliska Werona — Waleryusza Katulla; wybrzeże zaś południowe jeziora Garda, zwanego za czasów Rzymian *Benacus*, ulubionem miejscem pobytu tego poety. Tu na przykładzie Sirmio, wciskającym się w wód błękitny, wznosiła się jego willa, po której jeszcze do dziś dnia ślady murów pozostały... Wergiliusz, z powodu panujących na niem burz, które wysoko jego fale podnoszą, przyrównywał je do morza. Katullus zaś przykładem Sirmio nazywa wysp i półwyspów ozdobą. Nic też dziwnego, że powróciwszy z Bitynii, na jego widok z pełnej piersi wykrzyknął: *Salve, o venusta Sirmio!* To samo powitanie zapewne się i z piersi Kochanowskiego wydarło,

¹⁾ O ile Kochanowski w swych utworach łacińskich korzystał z poetów rzymskich, o tem czytelnik może się dowiedzieć z gruntownych rozpraw w tej materii, z których najważniejsze są:

1. Józef Kallenbach: *Kilka słów o Elegiach łacińskich Jana Kochanowskiego*. Obacz *Rozprawy Wydziału filologicznego*, (1884) strony 20—24.

2. Jan Maksymilian Pawlikowski: *Elegie łacińskie Jana Kochanowskiego w stosunku do rzymskich wzorów*. Obacz *Rozprawy Wydziału filologicznego*, tom XII.

3. Kazimierz Bronikowski: *O Foricoeniach Jana Kochanowskiego*, Kraków, 1888.

Pawlikowski wykazuje wpływy Tibulla, Kallenbach dowodzi niezbicie, że poeta, obok innych poetów rzymskich, prócz Owidyusza, Propercego, Katulla i Tibulla, nie mówiąc o Horacym i Wergiliuszu, ani o poetach greckich, w bardzo wielu miejscach szedł wiernie za Lukrecyuszem, którego poemat *de rerum natura* musiał znać bardzo dokładnie. „Gdzie i kiedy go poznał, trudno oznaczyć, wobec braku historii studyów Kochanowskiego. Być może, że w czasie pobytu swego w Padwie“.

gdy do tej miejscowości z Nideckim lub innymi towarzyszami zawiązał¹⁾).

Ale wczytując się w poetów rzymskich, nie zaniedbywał i włoskich, których utwory, pisane w narodowym i żywym języku, rugowały poezję łacińską. To też, poczynawszy od Dantego, dla którego jednak został obojętny w rezultacie, a skończywszy na Petrarce, w którym sobie upodobał szczególnie, karmił się poezją włoską, zwłaszcza studiując jej dział erotyczny, dział sonetów, nad którym panowała wszechwładnie *donna gentile*, Beatrice i Laura. Oczywiście że lektura ta, w miarę, jak mu coraz bardziej zaczęła trafiać do przekonania, coraz wyraźniej ją się odbijać na jego twórczości: nie tylko, że zachwycony Petrarką, napisał dwa łacińskie epigramaty na jego cześć, jeden na jego grób a drugi na pisma tegoż, ale pisząc, zaczął się zapożyczać u niego, żywcem biorąc jego wyrażenia, zwroty, pomysły²⁾).

¹⁾ Że tu był, okazuje się z Elegii IV, księgi III, w której opisując Włochy wspomina to jezioro. Porównaj St. Windakiewicza *Pobył Kochanowskiego za granicą*, str. 37. Kochanowski zwiedził prawie całe Włochy. W jednej z elegii wylicza 13 rzek włoskich, dwa jeziora i bagna Lukryńskie, a rzekom daje przymiotniki, które każą wnosić, że je własnymi oczyma oglądał.

²⁾ Odmienne zdania w tej kwestyi wpływu Petrarki jest prof. Stanisław Windakiewicz, który w swem subtelnym studyum p. t. *Erotyk Kochanowskiego* (drukowanem w *Pamiętniku literackim* z roku 1902) choć obszernie omawia wpływ Petrarki na niektóre utwory czarnoleskiego poety, to jednak nie wierzy, by Kochanowski zbyt gorliwie wczytywał się w Petrarkę, nawet w czasach Padewskich. „Kochanowski, zdaniem Windakiewicza, studiom literatury włoskiej nie oddawał się z równem przejęciem, jak klasycznym wpływ petrarkizmu polega u niego raczej na lekturze przygodnej”. Swoją drogą i prof. Windakiewicz przyznaje, a nawet to w rozprawie swej podkreśla, że „Kochanowski przebywał w Padwie w czasie najwyższego rozwoju petrarkizmu i dał się pociągnąć ogólnemu prądowi uwielbienia dla poety, odwiedził osobiście grób jego w Arqua dal Monte”, (str. 194).

Odmienne na tę kwestję zapatruje się Małecki, który na ten wpływ poezji włoskiej, a zwłaszcza Petrarki i Ariosta, bardzo silnie

Odtąd „panna najpiękniejsza” zaczyna figurować i w jego utworach, a co ważniejsze, że, choć nie przestaje pisać po łacinie, to jednak, idąc w ślady Petrarki i całej plejady współczesnych poetów włoskich, piszących w swoim języku, coraz więcej zaczyna pisać po polsku. Cały szereg

kładzie nacisk. „*Orland szalony* miał 60 osobnych wydań w ciągu samego XVI stulecia, a Petrarka takim był już bożyszczem wszystkich, że każde słowo, każda sylaba przezeń użyta, służyła za przedmiot podziwu u jednych, komentarzy u drugich, naśladowania u wszystkich. Żył w atmosferze takiej (wśród ludu, który poetów swoich umiał na pamięć), jakże to nie miało działać na wyobraźnię tego młodego Polaka, wprowadzać go w nowe światy, wzbudzać w nim aspiracje, nieznane dla niego w ojczyźnie”. *Jana Kochanowskiego młodość*, strona 23.

Felicyan (Faleński) w swem studyum o *Fraszkach*, o ile ironizuje na temat wpływów francuskich na Kochanowskiego, o tyle gorąco oświadcza się na rzecz wpływów włoskich. „Jak Dante i Petrarka przedewszystkiem nauczyli go dla tak zwanej pospolitej mowy łaciny się wyrzec, a następnie o tem tylko myśleć, jakby tu na wszelką miarę nie kim innym być, tylko sobą. Toćże on, wzorem pierwszego, powagę i głębokość sobie przyswoił; toćże on wprost od Petrarki miłośne pojął natchnienie”. Zdaniem Felicyana, należy także zwrócić uwagę na wpływ Boccaccia (zwłaszcza we *Fraszkach*). „Ten świetny umysł tyleż realistyczny, ile tamci (Dante i Petrarka) duchowi; tyleż ciekawy rzeczy tego świata, ile tamci zagłębieni w siebie; tyleż niesforny, ile tamci powściągliwi; a jednocześnie znowu tyle biegły artysta, że aż go to zrobiło godnym stać z nimi na równi. Więc oto skąd wzięł Kochanowski przykład zmysłu poglądowego, potoczystość opowiadania, żartu swobodę i powabne słowo, nierzadko nawet swawolę. Ale na tem też i koniec. Bo zresztą u nowelisty włoskiego ani szukać tego co w naszym Janie: obok pustoty zwrotu w siebie, słodkiej zadumy, a nie raz i pobożnego westchnienia. On rozpułstny tylko i szyderski, wiary jest płochej, a żadnej miłości. To tedy użytkowanie na swą potrzebę stron tylko mistrza tego niektórych, miarę nam daje bystrej rozważi, z jaką Kochanowski we włoskie wzory swoje patrzył”.

Skoro mowa o wpływach włoskich, to należy się tutaj także wzmianka cennej i bardzo subtelnej (zbyt subtelnej niekiedy) pracy Br. Chlebowskiego *O wpływie Ariosta na polskiego poetę* (*Tygodnik ilustrowany*, 1884, tom II, str. 147), gdzie wpływ *Orlanda szalo-*

Fraszek i drobnych wierszy, jak niektóre Anakreontyki, a przede wszystkim *Monomachia Parysowa*¹⁾, dadzą się odnieść do tej epoki twórczości poety.

Czy wiersze te czytywał swoim ziomkom, Nideckiemu, Barzemu, Januszowskiemu i innym? Z pewnością tak było, skoro swoich łacińskich poezji nie chował pod korcem. Wszystko upoważnia do wniosku, że swoje elegie i epigramaty łacińskie, szczególnie te, które były na temat miłości, czytywał na akademiach studenckich, gdzie go nietylko znano i lubiano, ale i zaszczytnie wyróżniano z pośród siebie: gdyby było przeciwnie, z pewnością go „nacye cyzalspińskie“ nie wybrały na zastępcę konsyliarza, tak, jak to miało miejsce przy końcu roku akademickiego 1553. A gdzieżby go mieli sposobność poznać lepiej i z lepszej

nego na niektóre utwory Kochanowskiego wykazany jest dowodnie. „Wrażenie (czytamy tam między innymi), jakie poemat Aryosta zоставił w duszy Kochanowskiego, było tak silne i trwałe, że w ostatnich nawet latach życia, opłakując najboleśniejszą stratę swoją, nie może wyzwolić się z pod tego wpływu i w żalach Orlanda, cierpiącego po utracie Angeliki, znajduje formę dla wyrażenia własnych uczuć“.

W głęboko przemyślanym i gruntownie uzasadnionym szkicu o *Filozofii Kochanowskiego*, mówiąc o wpływie Cyserona i Seneki na sposób myślenia poety, Kallenbach pierwsze poważniejsze wpływy tych filozofów wiąże pośrednio z wpływem Petrarcki. „Z autorów klasycznych, wskrzeszonych niejako do życia w dobie humanizmu, żaden bodaj nie miał takiego uznania, jak dwaj praktyczni filozofowie Rzymu: Cysero i Seneka. Wiele pod tym względem zależało od pierwszego impulsu. Petrarca pierwszy pokochał ich obu, przyswoił sobie ich mowę, myśli, uczucia, „a miłość pierwszego humanisty przeszła też na jego duchowe potomstwo“. Bobrzyński w swym artykule o *Stanowisku politycznym Jana Kochanowskiego* powiada, że poeta we wszystkich swoich przekonaniach politycznych kształcił się na Cyseronie.

¹⁾ Co się tyczy III księgi *Iliady*, to Brückner stanowczo jest zdania, że przekładu tego nie można żadną miarą odnieść do czasów padewskich, lecz późniejszych. *Op. cit.* str. 645. Br. Chlebowski odnosi przekład ten do epoki czarnoleskiej, do roku 1574.

strony, jak nie na tych różnojęzycznych a wesołych i gwarnych zebraniach koleżeńskich, na których, obok polskiej, włoskiej, niemieckiej i francuskiej mowy, panowała uniwersalna łacina, a których uczestnicy, noszący — zwyczajem humanistycznym — greckie lub rzymskie przezwiska Ligurionów, Nicephontów, Diodorusów, Torquatów etc. byli równie skorzy do słuchania miłosnych poezji łacińskich, jak do swobodnych rozmów o miejskich i uniwersyteckich plotkach, o wypadkach politycznych, lub kwestjach naukowych. „Istotnie należąca do nich różnych narodowości młodzież niewiele się zapewne troszczyła o nowe w literaturze włoskiej dążności i w erotycznych poezjach Kochanowskiego znajdując własnych uczuć odbicie, widziała w nim prawdziwie natchnionego śpiewaka. A jeśli w elegiach wyższego zadowolenia szukała, to epigramata, zostające nieraz w ścisłym związku z wypadkami i osobistościami dobrze jej znanymi, mogła uważać słusznie za najcenniejszą zebrań koleżeńskich przyprawę“. Zebrania te, które najłatwiej wyobrazić sobie na tle miejscowych winiarni, odbywały się przy winie i dziełach, co im nadawało specjalnie renesansowy charakter, a *Wein, Weib und Gesang* święciły tu największe tryumfy: przy brzęku kielichów i roztruchanów, przy gwarze rozmów sodalisów, sypały się grube żarty i koncepty w stylu *Fraszek* i niektórych epigramatów łacińskich Kochanowskiego, a wybuchom śmiechu, od którego trzęsły się wszystkie stoły, wtórowały piskliwe śmiechy „przyjaciółek“, różnych Krokolid, Filid, Neer, Korynn i Cypassyd¹⁾.

¹⁾ Najwymowniejszą ilustracją tych biesiad koleżeńskich są niektóre epigramaty łacińskie Kochanowskiego, niewątpliwie powstałe w tych czasach. Do takich należy *Votum*, w którym poeta pragnie, by mu się puławy pieniły słodkim winem, a dzban dostarczał niewyczerpanego nektaru; „a gdy piję (powiada), niech przy mnie siedzi wesoły towarzysz, niegardzący Bachusem, a czeładź niech ma pieczęć o winnicy“. To samo da się powiedzieć o epigramacie *Ad Sodales* (Do towarzyszy), w którym poeta ich

I Kochanowski, jak tylu innych jego kolegów, nie stronił od takich „przyjaciółek“, których pieszczoty niekiedy aż opiewaniem ich opłacał. Do takich należała „słodka“, „uporna“ i „rozkoszna dziewczyna“, Neera, której oczy „z gwiazdami walczyły o lepszą“, a której toczono ramiona Kochanowski wspominał z podobnem rozmarzeniem, z jakim Rafael wspominał *candidi braci* Fornariny; do takich należały Krokalityda i Filis, którym epigramat poety *Ad Sodales* zapewnił nieśmiertelność; do takich należała „śniada“ Cypassyda, co zaproszona przez poetę na wieczerzę, „przyszła z dwoma kozłami“; do takich należała rozpustna Korynna, którą „za dwa grosze“ można było mieć „bez żadnych zabiegów“.

Wszystko to były miłostki przelotne, będące uciechą dla zmysłów, a godne dowcipnych i nieprzyzwoitych epigramatów; z miłością jednak, absorbującą duszę, a godną namiętnej elegii, nie miały nic wspólnego. Ale przyszła kolej i na taką miłość.

Było to mniej więcej w połowie roku 1554¹⁾. Poeta poznał się z Lidią. Była to dziewczyna zepsuta, choć mniej

zachęca, ażeby „pili póki los pozwala“. „Wszak w podziemnym orku winnica nie rośnie, a beczki nie pienia się winem, lecz smętne rzeki siarką tam płyną i cis błądy brzegi osłania. Tu, przyjaciele, trzeba kochać; bo skoro sroga Kłoto nic przetrnie, i ciebie Krokalitydo, i ciebie, Filido, opuścim, i przez Styks na ponurej łodzi popłyniem“... Do tejże kategorii należy zaliczyć i epigram *In Bacchum*: „Pijmy wino wesoło i opiewajmy Bachusa, ojca piasów i przyjaciela pieśni... Gdy służba podaje nam dobrze doprawione puławy, wnet ucieka smutek... Więc winem się krzepimy i o troski nie dbajmy... Gdy sobie podchmielę, pragnę przewodzić w tanach, pragnę obficie skropiony wonnościami z wesołemi dziewczynami pisać“.

¹⁾ Jąbym sądził, iż początek tego romansu należałoby przesunąć przynajmniej o rok wcześniej, przeciąg czasu bowiem od roku 1554 do 1556 wydaje mi się zbyt krótki. Przypuszczenia moje opieram na Elegii II, a (X w ręk. Osm.). W elegii tej, pocieszając Liguryń, płaczącego nad uporem Neery, i radząc mu bólu nie oka-

zepsuta od innych. W każdym razie była ładniejsza! Jako taka, była na ustach wszystkich, zwłaszcza na ustach kolegów Kochanowskiego, między którymi słynęła ze swej niepospolitej urody i wdzięku. Wystarczy powiedzieć, że była blondynką... „Co do urody, powiada o niej Kochanowski w jednej elegii, Lidy¹⁾ wytrzyma porównanie ze wszystkimi i raczej je przewyższy, niż pokonana ustąpi. Lice jej jak śnieg, włos jak złoto, oczy jak gwiazdy, a wspaniałą postawą podobna do bogiń starożytnych. Czy chodzi, czy się

żyć, Kochanowski wskazuje na swoją „wierną kilkuletnią służbę“ Lidy, co chyba upoważnia do przypuszczenia, że poeta w ciągu swego kilkuletniego pobytu w Padwie niemal przez cały czas był uwikłany w miłosną kabałę z Lidią, która widać, że go dobrze potrafiła usidlić, skoro jej był „wiernym“. Na pytanie zaś, do jakiej sfery należała Lidy, w jakim rodzaju była to cortegiana, o tem najlepiej informuje *Kultura Odrodzenia* Burckhardta, rozdział o kurtyzanach tej epoki.

¹⁾ Aż do chwili odkrycia przez prof. Brücknera w bibliotece petersburskiej tak zw. „rękopisu Osmólskiego“, wszyscy, piszący o Kochanowskim, z jedynym wyjątkiem Windakiewicza, odnosili jego romans z Lidią do epoki paryskiej. Dopiero Brückner w swym arcyważnym artykule w *Ateneum* z roku 1891 rozstrzygnął kwestję tego romansu na korzyść Padwy. Za nieodparty argument postużył mu w danym razie dwie elegie Kochanowskiego, o których na stronie 18 i 19 tak pisze:

Elegia VIII rękopisu, w druku II, 6. do Lidy, pełna wyrzutu i gniewu. Różnice głównie stylowe, ale zarazem dla tego, kto w bajkę pana Löwenfelda niezręcznie skleconą o Lidy w Paryżu uwierzył, dowód z dokumentu, że romans z Lidią w Padwie się rozegrał: uchodząc przed niegodną chce poeta, by jego oczy już nie widziały „nienawistnych pagórków“ (*invisos... colles*), ale w rękopisie „euganejskich pagórków“ (*euganeos... colles*), to znaczy padewskich wedle sposobu mówienia rzymskich poetów. Dziesiąta elegia rękopisu, w druku II, 9. Różnice stylowe, nieznaczne; wzmianka o miejscu romansu z Lidią znowu zatarta, bo w tekście druku czytamy: „jeśli mię widzisz chodzącego po samotnych miejscach“, a w rękopisie „chodzącego nad brzegami Meduaku (*Meduaci ripis me Ligurine vides*); Medoacos (*minor*), to Bacchiglione, nad którym Padwa leży.

śmieje, czy mówi, sądzisz, że przepasana opaską Wenery. Robót kobiecych, zdaje się, Pallada ją nauczyła; wszystko lekką igiełką wyszyć potrafi. Gdy dźwięcznym głosem z lirą Orfeusza słodkie łączy słowa, sądziłbyś, że Syrena śpiewa¹⁾. Tak pisał poeta, oczarowany pięknnością „złotej Lidy”, która swe jasne włosy „trefiła żelazkiem”, a która, usidliwszy go, takie żary zdołała rozniecić w jego młodzieńczym sercu, słowem, tak go potrafiła opętać, że ze swawolnego birbanta zmienił się w zakochanego Romea. Co prawda, to nie była to zwykła hetera, jak owe Neery i Korynny z *Epigramatów*; zdaje się nawet, że mieszkała przy rodzicach, że chcąc się widywać z poetą, musiała walczyć z pewnymi trudnościami, wynikającymi z jej położenia, co ją niezmiernie podnosiło w oczach kochanka¹⁾. Powtórę nie była wcale łatwa do

¹⁾ O Lidy Kochanowskiego da się powiedzieć to samo, co o Cassandrze Ronsarda, tak przezeń sławionej w Odach i Sonetach, a której rzeczywiste imię nic nie miało wspólnego z tem zmysłowym Kassandry. Sam Ronsard powiada o swej poetycznej kochance:

Soit le nom faut ou vrai, jamais le temps vainqueur
N' osterà ce beau nom du marbre de mon coeur.

W swoim artykule w *Ateneum* roku 1891, przynoszącym tak cenne *Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego*, Brückner wychodzi z założenia, że elegie do Lidy są poważnym materiałem biograficznym, na którym można się oprzeć z całą pewnością, chcąc odtworzyć dzieje tej romansowej przygody w życiu poety. Zastanawiając się nad tem, co nam rękopis Osmólskiego przyniósł nowego dla poznania Kochanowskiego, stwierdza Brückner, że jeśli chodzi o daty zewnętrzne, biograficzne, zbiór ten wczesnych utworów poety zawiera niemal jedynie odbicie wrażeń włoskich. „Najsilniejsze między niemi wywarła Lidya i romans z nią kilkoletni, z najrozmaitszymi pojęciami, z całą skalą uczuć od łatwego poznania, chwilowego zdobycia, od przemijających rozstań i łążeń do wzajemnych wyrzutów, nieufności, zdrady, bo i poeta, wedle własnego wyznania, u innych umyślnie pociechy szukał, choć nie znajdował; z biegiem czasu częstsze, dotkliwsze upokorzenia miłości własnej, na jakie się natrętny a ubogi kochanek narażał; zrywa się nieraz, dumny ze swego rodu i własnego dowcipu, wy-

zdobycia, bo moralnie wyższa od innych „przyjaciółek” młodzieży akademickiej, przepadającej za nią, oddawała się tylko wybranym z pomiędzy wielu, przebierając w nich, jak w ulegalkach. To jej ceniecie się sprawiało, że gdy wyróżniła kogo, to go zaraz przykuwała do siebie, a przykuwała tem silniej, że działając na zmysły, jednocześnie budziła i czystsze uczucia. Tak było i z Kochanowskim. Na swoje szczęście, poeta miał wiele danych po temu, ażeby i taką Lidyę zainteresować swoją osobą. Musiała słyszeć o nim, jako poecie, a że odznaczała się „umysłem wykształconym”, więc mógł jej nawet imponować trochę. Dość, że zaprzyjaźniła się z nim, że zaczęła łączyć do niego, że się zgodziła na jedną i drugą samotną przechadzkę nad brzegami Meduaku, że w końcu, zmuszona kryć się ze swoją zakazaną miłością, na romansowe schadzki z poetą, które z nim miewała wieczorami, musiała przychodzić potajemnie, przebrana po męsku. Wszystko to rozniecało coraz gorętszy płomień miłości w młodym poecie, a rozniecało tembardziej, że Lidya, choć się stawiała na umówione schadzki, była oporną, pozwalała na wiele, ale nie na wszystko. Poeta napróżno pukał do jej drzwi: nie otwierały się. Cierpiał więc, odchodził z niczem, zapewniając samego siebie, że taka nieufność

lewa swą gorycz w ucinki, sarkazmy, przekleństwa; ślubuje zapomnieć, nigdy nie wrócić, a wraca, usilnie kryjąc łzy i niepokój, by ich na domiar nie wysmiano. Cały był uwiązł w tej nieszczęsnej miłości i dopiero obca ręka, której później dziękował, przyspieszyła zerwanie, na jakie sam nie umiał się zdobyć¹⁾.

To dogmatyczne stanowisko, zajęte w roku 1891 w *Ateneum* wobec stosunku elegii do rzeczywistości, zmienił Brückner w ciągu lat kilku na bardziej sceptyczne i niedowierzające, czemu dał wyraz w roku 1897 w *Pracach filologicznych* w recenzji dzieła Pleniewiczza. Bo gdy Pleniewicz tę miłość ku Lidy przedstawia jako „wulkaniczną”, recenzent widzi w tem podnoszeniu jej do jakiejś niezwykle wysokiej temperatury bardzo wiele przesady. „Podejrzynam poetę — pisze Brückner — że jak wedle własnego zeznania pijane rymy po trzeźwu pisywał, tak i miłość do Lidy więcej go w wyobraźni, niż w rzeczywistości, bawiła i trapiła”, (str. 655).

ze strony ukochanej, „śmierci się równa“, ale gotów był „znieść wszystko, byle tylko nie odjęto mi wszelkiej nadziei prześlągnięcia ciebie, o Lidy!“ Prześlągnięta ją w końcu. Zaczęły się dni szczęścia, a choć nie łudził się co do cnoty swej złotowłosej pieszczotki, to jednak uważał ją za cnotliwą o tyle, że oddawała się jemu jednemu tylko... Słowem, rozkochany w ślicznej dziewczynie, zapominał o jej płochości, a miłość swą, pod której wpływem pisał coraz piękniejsze elegie, traktował na seryo ¹⁾. O niej śpiewała jego łacińska i „młoda słowiańska Muza“, co znaczy, że go pobudzała i do pisania polskich wierszy, a sławiąc ją, jako swą „pannę najpiękniejszą“, przekonany był, że jeśli pieśni jego „mają jaki powab“, to zawdzięczał to Lidyi. Tymczasem i ona zdążyła zakochać się w poecie, tak dalece nawet, że stała się chorobliwie zazdrosną o niego, że chciała go mieć dla siebie wyłącznie. Ta zazdrość z jej strony, która tak mogła schlebiać Janowi, stała się przyczyną pierwszego dysonansu w ich stosunku. Oto zdarzył się niegodziwiec, który, chcąc poecie odbić kochankę, zaczął jej w wątpliwość podawać jego uczucia. Na samą myśl o tem, że się Kochanowski sprzeniewierza jej, że ją zdradza z inną, Lidya wpadła w rozpacz, czem wzruszony poeta, chcąc ją przekonać o swej wierności, napisał elegię, jedną z najczulszych, jakimi go natchnęła miłość ku Lidyi. „Dopókiż moje życie, gorzkie łzy wznawiać, dopókiż białe lica łzami skrapiać będziesz? To nie łzy twoje, lecz krew moja własna, co z twych oczu płynie, co zrasza twe szkarłatne jagody!“

W takim nastroju zastał poetę Andrzej Dudycz ²⁾. Przyjeżdżał z Paryża, gdzie studyował pod francuskimi mistrzami,

¹⁾ Kallenbach w szkicu o *Filozofii Jana Kochanowskiego*, mówiąc o wpływie Lukrecjusza, odnosi zajęcie się nim poety do czasów, „kiedy krewkość młodzieńcza igrała miłością ku Lidyi i szydziła z formalności Kościoła“.

²⁾ Tak utrzymuje prof. Pleniewicz. Czy się nie myli jednak? Co pewna, że Kazimierz Morawski w swej krytycznej monografii

a jeśli przyjechał do Padwy, to w tym celu jedynie, ażeby tu pod słynnym Gidonem Poncirollą rozpocząć studia prawne. Poza temi studjami jednak, któremi, płochy z natury, nie obciążał się zbytnio, prowadził życie wesołe, rozpustne, które sobie osładzał miłością „czarującej Menofili“, ale miłości tej, pomimo namiętnego przywiązania ze strony kochanki, nie traktował poważnie. Bawił się, ale serce miał wolne, widząc zaś, że Kochanowski naprawdę zakochał się w swojej Lidyi, że się przywiązał do niej, jak się do tego rodzaju „przyjaciółki“ przywiązywać nie należy, starał się amory te wybić mu z głowy. Ale przekonał się niebawem, że Kochanowski zabrnął głębiej, niż on przypuszczał pierwotnie. Dlatego, kiedy mu w drugiej połowie roku 1554 wypadło jechać do Anglii, postanowił nakłonić poetę, ażeby jechał z nim razem. Poprostu chciał go oderwać od Lidyi, a nie przewidywał zupełnie, że trafi na zacięty opór z jego strony. Widząc, że go Anglia nie nęci, doradzał mu Paryż, z którego sam miał najrozkoszniejsze wspomnienia, a którego zakładom naukowym, zwłaszcza nieporównanemu *Collège des trois langues*, przyznawał pierwszeństwo nad Padwą. Ale daremnie perswadował poecie, że sama zmiana mistrzów, a więc poznanie odmiennych metod wykładów i badań, może być tylko z największą korzyścią dla niego, że Padwa, jako miasto, nie może iść w porównanie z świetną stolicą Francji: Kochanowski, choć mu się wyjazd taki uśmiechał pod wieloma względami, wobec łez i narzekań Lidyi, oświadczył stanowczo, że zostanie, a odjeżdżającemu Dudyczowi, który z lekkim sercem porzucał w nim rozkochaną Menofilę, napisał elegię na pożegnanie, elegię, w której wyrzuca przyjacielowi, że wyjeżdża mimo zaklęć nieszczę-

o Andrzeju Petrycy Nideckim twierdzi z całą stanowczością (str. 88), że Dudycz dopiero lata 1554 do 1557 w Paryżu „po części współcześnie z Kochanowskim“ na naukach spędził. Stąd przyjaźń Kochanowskiego z Dudyczem odnosi Morawski do epoki paryskiej poety.

snej kochanki, a porzuca ją nie dla innej, lecz dla karyery. „Ach kamieniem jest, kto dla zysku miłość porzucił; we mnie nie znajdzie on naśladowcy. Czyż bowiem mógłbym patrzeć na płaczącą kochankę, lub powstrzymywać łzy na suchych policzkach, gdyby szalona poczęła uszy trapić skargami i gniewną ręką twarz sobie do krwi ranić? Niechaj pozostanę biednym, bylebym z tobą był, moja Lidy! Gdy ciebie posiadam, wszystkie mi królestwa za nic!... Skończyło się na tem, że Dudycz pojechał sam, a poeta został w Padwie, przy boku złotowłosej Lidy¹⁾).

Widząc to, Nidecki, przed którym poeta nie robił tajemnicy z tego, że tylko dla Lidy został we Włoszech, zaczął się niepokoić o niego. Wprawdzie o małżeństwie nie było mowy, skoro sama Lida zapewniała swego kochanka, że choć zazdrosna o niego, „nie pragnie go od ziemi ojczystej odciągać lub poślubiona łoże jego dzielić“ (na to nie był dość bogaty dla niej), ale nie ulegało wątpliwości, że go ten romans z piękną zalotnicą pozbawiał spokoju i zdrowia, że go kosztował mnóstwo czasu, odjętego poważnym studiom (nie mówiąc już o wydatkach). Więc zaczął tłómaczyć poecie, że stosunku z Lidyą nie powinien uważać za inny, tylko za przemijającą miłość, i dlatego źle zrobił, jego zdaniem, że nie pojechał z Dudyczem do Francji. Lecz te morały Nideckiego, choć podyktowane przez prawdziwą przyjaźń i życzliwość, nie znalazły oddźwięku w psychice zakochanego poety: tyle tylko, że na nie odpowiedział żartobliwym epigramatem łacińskim *Do Andrzeja Patrycego*, epigramatem, w którym zapewnia swego przyjaciela, że na

¹⁾ Stanisław Windakiewicz na str. 34 swej cennej rozprawy o *Pobycie Kochanowskiego za granicą*, umieściwszy jego romans z Lidyą na tle życia studenckiego w Padwie, zwraca uwagę na Elegię II, 6, w której poeta zaznacza, że wiersze, które pisał do Lidy, głośnem uczyniły jej imię w całym uniwersytecie.

Lecz i ta obniesiona wdzięków twoich chwała
Mnie należy, bo moja miłość cię wsławiała.

Amora niema sposobu. „Sam nie wiem, co począć z tym niegodziwcem: chociaż bowiem chciałbym względem niego być okrutnym i choć na to zupełnie zasługuje, nie mogę. Nie brak mu skarg, żeby mię zmiękczyć, nie brak prośb, któremi mnie nie tylko przejednać, lecz nawet zniewolić umie. Czy to pieśczętliwemi rączkami szyję obejmie, czy krasnemi ustami pocałuje, ten jego uścisk i srogą burzę morską zdolaby uśmierzyć, a ten gorący pocałunek nawet zagniewanemu Jowiszowi piorun wytrąciłby z ręki“.

Więc trwał w tym „okrutnym żarze, co przedtem zdaleka go parzył“, ale tymczasem coś się zaczęło psuć w jego stosunku do Lidy. Zauważył, że była jakby obojętniejszą, że jej jakby coraz mniej zależało na widywaniu się z nim, aż w końcu raz i drugi, kiedy on stawiał się na umówioną schadzke, ona nie przyszła, pozwoliła mu czekać na próżno. Co gorsza, to, że go taki zawód spotkał kilka razy z rzędu. Upłynął czas jakiś, a on nie mógł się zobaczyć z ukochaną. Co to jest? myślał sobie, i zaraz opadły go furye podejrzeń. A nuż go Lida zdradza. W tem uczuciu, szarpany wściekłą zazdrością, napisał namiętną elegię, pełną wyrzutów i złorzeczeń pod adresem Lidy. „Niecna! dla ciebie całą noc czuwam i ptak już pełnem gardłem dzień zapowiada; tymczasem ty, z włosami strojnymi w kwiaty, siedzisz pomiędzy pełnemi pułkami, albo przy dźwięku lutni przewodniczysz tańcom, a zamiast mnie, towarzyszy ci kto inny... Ach, niewierny rodzie! Tylko zdradzać umiecie i z biednych mężczyzn się naigrawać. Nieszczęsny, kto łatwe daje wam ucho, albo mniema, że słowa u was jakąś wagę mają. Ten może wierzyć, że deszcz suchy, a ogień mokry, kto wierzy, że wy bez zdrady mówicie“.

Ale mężczyzna, gdy kocha, jest łatwowierny, a kobiety, gdy chodzi o wytlómaczenie, o wybić czegoś z głowy mężczyźnie, bywają wielce pomysłowe w takich razach. Była też nią i Lida, która, jeżeli nawet chwilowo zdradzała poetę, to jednak zdecydowawszy się nie zrywać z nim osta-

tecnie, tak mu potrafiła usprawiedliwić swoją nieobecność na kilku schadzках, tak go potrafiła przekonać, że ją podejrzewał niesłusznie, ba, że ją krzywdził swymi podejrzeniami, bo ona jego tylko jednego kocha, że uspokojony poeta, nie tylko uwierzył jej zapewnieniom, ale tej swojej wierze w niezachwianą miłość Lidy dał wyraz w osobnej elegii, w której woła z zachwytem: „O, trzykroć, czterokroć, bez liku szczęśliwi ci, w których sercu wzajemna gore miłość!“

Taki stan rzeczy trwał aż do maja 1555 roku. Swoją drogą, choć pewny wierności i miłości kochanki, nie mógł się chwilami opędzić refleksji (zwłaszcza, gdy obliczał, ile złota kosztowała go ta „złota“ *gentil donna*), czy gdyby był mniej hojny, mniej skory do wydawania pieniędzy, gdy chodziło o zaspokojenie różnych zachcianek Lidy, czy i wtenczas byłby kochany równie namiętnie: jednym słowem, czy go Lidya nie wyzyskiwała przypadkiem, zarówno jego zaufania, jak trzosa. „Teraz bowiem (czytamy w jednej elegii, w tej samej, gdzie jest mowa o wzajemnej miłości Lidy) złoto jest w cenie: złoto, wierzaj mi, trzeba przynieść z sobą, kto chce miłością się parać... Tu nic nie znaczy szlachectwo, ani rodziców starożytna chwała, tu ani cnota, ani dowcip popłaca. Kto dał, zrównał się czynami z wielkim Achillem; kto dał, zwyciężył twoje wiersze, Homerze! Ale ubogiego wyśmiej i o próg wilgotny często szlachetnego boku naderż, wytrzymując mróz silny i deszcze nocne, gdy inny na łonie pani spoczywać będzie“.

Na szczęście dla poety, podobne refleksje rzadko wytrącały go z równowagi: był zakochany, a więc łatwowierny i ślepy na różne ujemne strony swej lubej. Ostatecznie posiadał ją, a tego żądał przedewszystkiem.

Nagle wypadło mu rozstać się z nią, i to na nieokreślony przeciąg czasu. W mieście wybuchła zaraza. Znaczna część mieszkańców, uciekając przed koszącą śmiercią, chrońnię się w góryste okolice, a zdaje się, że w tej liczbie byli

i rodzice Lidy: przynajmniej ona „uszyła w szerokie pola, wartkiem uniesiona kołem“. Poeta pozostał sam, a w jakim usposobieniu był po rozstaniu się z kochanką, jak patrzył na wszystko przez pryzmat tęsknoty za nią, o tem świadczy początek Elegii XIII, napisanej po wyjeździe Lidy, a w której Padwa jest nazwana „niewdzięcznym miastem“.

Tymczasem zaraza wzmagała się z dniem każdym, tak, iż w uniwersytecie musiano przerwać wykłady. Studenci poczęli się rozpraszać, a senat wenecki zaczął się zastanawiać nad przeniesieniem uniwersytetu. W takich warunkach i Kochanowski nie miał co robić w Padwie. Co począć więc? Dokąd jechać? Najchętniej pojechałby tam, gdzie przebywała Lidya, ale to było niemożliwe. Bądź co bądź należało myśleć o znalezieniu jakiego bezpiecznego schronienia przed pomorem. Wszystkie te wątpliwości rozstrzygnął Nidecki, któremu właśnie wypadła w interesach Kościoła, z polecenia Zebrzydowskiego, podróż do Rzymu. Namówił więc Kochanowskiego, żeby jechał z nim razem. Poeta zgodził się, ile że nic nie wiązało go z Padwą, skoro ją opuściła Lidya, i pojechali¹⁾.

¹⁾ Nie jest to wcale pewnem, motywy jednak, które Pleniewicz przytacza na poparcie tej hipotezy, są dosyć przekonujące. „Dowiadujemy się z życiorysu Andrzeja Nideckiego, iż ten za pierwszą swą bytnością w Padwie (1554—1556) „dotarł do bram wielkiego miasta i tu wszedł w stosunki z kardynałami Moronim i Puteonem, generalnym inkwizytorem Kościoła i wielkim przyjacielem Polaków“. Do przedsięwzięcia zaś tej podróży skłaniały Nideckiego nie tylko naukowe pobudki, ale i poruczone mu przez biskupa krakowskiego sprawy Kościoła, które on miał Puteonowi przedłożyć. Bez rozminięcia się przeto z prawdą, jesteśmy w prawie przypuszczać, że poeta w jego towarzystwie zwiedził *Romam aeternam*. Jeżeli bowiem kiedy do tego stosowna nadarzała się pora, to bez wątpienia w czasie, gdy panująca zaraza w Padwie zmuszała szukać bezpieczniejszego schronienia“.

Do tegoż czasu odnosi podróż poety po Włoszech (do Rzymu i Neapolu) także i Windakiewicz (*Pobył Kochanowskiego za granicą*, str. 36—39). Kreśląc przebieg tej podróży, Windakiewicz

Na pytanie, jakie wrażenie zrobiła na Kochanowskim *Roma aeterna*? odpowiada jedna z jego elegii łacińskich, w której tak pisze o wiecznym mieście: „Czegoż czas niszczący w ciągu długich lat nie pokona, czegoż — choćby było najszczytniejszem — dnie żarłoczne nie pochłona? Owo siedlisko bogów, stolica świata, złoty Rzym, na pół zapadły, ledwo imię swoje zachowuje; zaprawdę, takie już twarde prawo rzeczom ludzkim przeznaczone, że co najwyżej się wzniesie, najniżej upadnie. Taki los i Rzym spotkał”. Widoczna, że wrażenie, jakie na pocie zrobił Rzym, było smutne, przynębiające! Dziwna rzecz! Bo przecież Rzym ten, po którym teraz błdził Kochanowski, roił się jeszcze tłumem artystów ze starym Michałem Aniołem na czele, artystów, „którzy w pełni twórczości wznosili na podziw światu tchnące wspaniałością świątynie, wille i pańskie pałace, zdobili pędzlem ich facyaty i wnętrza, lub w przysionkach, dziedzińcach i na placach publicznych stawiali posągi, walczące o pierwszeństwo z grecką rzeźbą!” Wszak była to epoka najświetniejsza dla chrześcijańskiego Rzymu, epoka najwyższego rozkwitu renesansu w sztuce, mogąca pochłubić się takimi papieżami-mecenasami, jak Juliusz II i Leon X; takimi artystami, jak niedawno zmarły Rafael, i takimi arcydziełami malarstwa i architektury, jak *Loggia* Rafaela, jak kościół świętego Piotra, jak sklepienie kaplicy Sykstyńskiej. A ogrody watykańskie, a tyle arcydzieł rzeźby starożytnej, zdobiących rezydencję papieża, a *Laokoon*, a *Apollo Belwederski*, a *Mojżesz* Michała Anioła? Czyż Kochanowski nie

tak pisze: „Droga do Rzymu (z Padwy) prowadziła na Ferrarę, Bolonię, Florencję, Sienę, oprócz Florencji, same miasta uniwersyteckie i głośnie w całym świecie”. Nie kwestyonując podróży Kochanowskiego po Włoszech, owszem, uważając ją za fakt nie podlegający najmniejszej wątpliwości, prof. Kallenbach w swej rozprawie o *Janie Kochanowskim w uniwersytecie krakowskim* przesuwa ją o cały szereg lat wcześniej, mianowicie do roku 1550 lub początku roku 1551, jakkolwiek wcale się nie upiera przy swem przypuszczeniu. *Ateneum*, 1884, tom III, str. 563.

widział tych cudów? Owszem, widział, bo inaczej byłby nie pisał w tejże elegii: „Mamże jeszcze wspominać grody, silnym obwiedzione murem, i tylu sławnych mistrzów? mamże wspominać obrazy i posągi, świątynie bogów, od złota błyszczące, tylu dzieł pomniki i ogromy, groźne jak piramidy?” Nie ulega wątpliwości, że to wszystko Kochanowski oglądał za swego pobytu w Rzymie, tak samo, jak nieraz patrzył zamyślony na „bystry Tyber“, bieżący „pod dawny mur“, ale również nie ulega wątpliwości i to, że go zarówno te świątynie „od złota błyszczące“, przez które należy rozumieć kościół św. Piotra, jak i te „obrazy i posągi“, pozostawiły zimnym. Czemu? Bo nie miał zmysłu do odczuwania piękna w sztukach plastycznych, z czego sobie nawet sam doskonale zdawał sprawę, jak tego dowodzi jeden z *Fragmentów*:

Ja na farbach malarskich nic się nie rozumiem,
Także wiele z marmurem postępować umiem.

Jednem słowem, nie znał się na malarstwie, ani na rzeźbie. Powtóre, wybierając się do Rzymu, jechał nie po to, ażeby tu podziwiać arcydzieła dłuta i pędzla mistrzów odrodzenia włoskiego: czego innego szukał, czego innego był ciekawy. A tego nie znalazł, to zaś, co znalazł, rozczarowało go. Bo nie o Rzym współczesny mu chodziło, ani o stolicę katolicyzmu (w której był raczej skłonny dopatrywać się — jak protestanci — apokaliptycznego Babilonu, aniżeli zachwycać się pompą obrzędów religijnych, lub przepychem dworu papieskiego), ale o Rzym starożytny, Rzym z czasów Cyceirona i Wergiliusza. Niestety, o ile przyjechał spragniony oglądania i podziwiania resztek starożytnej Romy¹⁾, o tyle

¹⁾ Windakiewicz, opisując *Pobyt Kochanowskiego za granicą*, również podkreśla z naciskiem, że podróż po Włoszech podjął młody autor Elegii w celu czysto humanistycznym, aby obaczyć ten świat starożytny, znany mu zaledwo z wykładów, zwłaszcza zaś, aby stanąć na miejscach, na których rozgrywała się mityczna opowieść Wergilego. Dlatego też uczucie, w jakim Kochanowski zwie-

zawód, jaki go spotkał pod tym względem, równał się pierwotnemu zapałowi na myśl, że zobaczy to wszystko: to bowiem, co zostało po dawnej stolicy imperyum, równało się stosom rozwalisk i gruzów. Na *Forum Romanum*, gdzie się rozlegał głos Cyncerona, z pośród grubej, wiekami nagromadzonej warstwy nasypisk, sterczały głowice kolumn, lub szczyty łuków tryumfalnych, ukryte wśród drzew i krzewów, porastających wśród rozwalin. Na rozłożystym Palatynie, wznosiły się olbrzymie mury i arkady pałacu Cezarów, porośnięte krzewami i chwastem, a na sklepieniach, pokrywających niższe piętra budowy, wznoszono wille, zakładano ogrody, siano zboże. Podobny widok przedstawiały Termy Karakalli, forum Trajana. Cóż więc dziwnego, że poeta-cynceronianin, patrząc na te kupy gruzów, odwracał od nich oczy, jak od upiora minionej wielkości i chwały, i że nie mogąc w nich odnaleźć ducha dawnych Kwirytów, zwrócił się wyłącznie ku literaturze rzymskiej, w której był tak biegły, a w której ów duch starożytnej Romy, zaklęty w spiszone słowa wielkich mowców, historyków i poetów, przeżywał wszystkie kataklizmy stuleci. Poetycznym odbiciem tego wrażenia, jakie na nim uczynił „nawpół zagrzebany” Rzym starożytny, jest fraszka *O Rzymie*:

Jako wszystkie narody Rzymowi służyły,
Póki mu dostawało y szczęścia, y siły:
Także też, skoro mu się powinęła noga,
Ze wszystkiego nań świata uderzyła trwoga.
Fortunniejszy był język: bo ten y dziś miły:
Tak zawždy trwalszy owoc dowcipu, niż siły.

Czytając tę *Fraszkę*, mimowoli myśli się o *Irydyonie* Krasińskiego, a wyobrażając sobie Kochanowskiego, przy-

dał na przykład Rzym, było inne zupełnie, niż to my sobie wyobrazić możemy. „Rzym bowiem chrześcijański, sądząc z tych źródeł, które posiadamy, nie wywarł nań żadnego wrażenia, z lubością zaś oglądał świątynie i budowle starożytne, a uniesienie go rwało, gdy się przypatrywał tym szczątkom klasycznego świata”, (str. 37).

patrującego się — z Nideckim pospołu — tym „nawpół zagrzebany” ruinom dawnych pałaców i świątyń rzymskich, myśli się o wstępie do *Irydyona*. „Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? Gdzie patrycyusze twoi, z nożem ofiarnym i włócznią w rękę, z sercem pełnym tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemiecy plebejanów, ukrócciele Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu? Gdzie mowce twoi, panowie dusz tysięcy, stojący ponad łalami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? Gdzie żołnierze legionów, bezsenni, ogromni, z twarzą spieklą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów?... Wszyscy zniknęli jedni po drugich: przeszłość ich zagarnęła i, jak matka, tuli do łona. Nikt ich nie wydrze przeszłości... Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne, jak półbogi, ni silne, jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem... Kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym bluszczem“. Można być pewnym, że w takim samym nastroju, jak ten, który tak po mistrzowsku oddają poetyczne słowa *Irydyona*, i Kochanowski błędził nad brzegami Tybru, „smętnie teraz toczącego swe wody“.

Dlatego z przyjemnością uciekał do pobliskiego Tiburu, nad „miłe brzegi Anijenu“¹⁾, dokąd go, oprócz górskiego orzeźwiającego powietrza, nęciły wspomnienia Horacego. Zrobił także wycieczkę do Neapolu, wrażenie zaś, jakiego doznał, zwiedzając ten starożytny gród Parthenopy, odbiło się w jednej z *Fraszek* poety:

Dojędz y Parthenopy, a uirzysz te lasy,
Gdzie złotey różgi szukał Eneas przed czasy;
Tamże y piekło będzie y ogromna skała,
Z której wieszczka Sybilla odpowiedz dawała.

¹⁾ Elegia XIII, księga III.

Neapol, do którego, zdaje się, pojechał sam (Nidecki bowiem, zajęty sprawami kościoła krakowskiego, nie mógł się ruszać z Rzymu), bardziej mu się podobał, niż wieczne miasto; tutaj bowiem, wśród lazurów i opalowych blasków zatoki Baje, znalazł mniej ruin, a więcej wspomnień o poetach, o Cyцерonie. Tutaj słynny mówca rzymski posiadał dwie wille, a w jednej z nich, zwanej akademią, a położonej nad morzem, wykończył większą część swoich pism filozoficznych. Tutaj znajdowały się owe dawne Baje, o których mówi Horacy, „że ich żadne na świecie ustronie nie przewyższa powabem“. Tutaj, na tych rozkosznych wybrzeżach, uwiecznionych dymiącym Wezuwiuszem, rozgrywały się najnamiętniejsze sceny romansu Propercyusza i Cynty. Tutaj znajdowała się willa Cezara, ulubiona rezydencja Oktawii, siostry Augusta, której Wergiliusz — w tej willi właśnie — czytywał wyjątki z *Eneidy*. I tutaj wreszcie, w północnej stronie Neapolu, u samego wstępu do groty Pauzylipe, już opisanej przez Senekę, znajduje się grobowiec Wergiliusza, „na którym, za czasów Kochanowskiego, w całej świeżości zielenił się laur, zasadzony ręką poświęconą Petrarki“. Wszystko to musiało głęboko wzruszać poetę.

Tymczasem minęło lato, zbliżał się początek roku akademickiego, a z Padwy dochodziły pomyślne wieści o wygasającej zarazie. Jednocześnie i Nidecki zdążył uporać się ze sprawami biskupstwa krakowskiego, w których pertraktował z kardynałem Puteonem. Spełniwszy swój obowiązek, mógł wracać do Padwy. Wrócił tedy, a Kochanowski pojechał z nim razem. Było to na jesieni roku 1555.

Wracając do grodu Antenora, Kochanowski nietyłem ślał o Robortellu i jego wykładach, na które miał uczęszczać w dalszym ciągu, ile o Lidyi, co do której najwięcej interesował się pytaniem: wróciła już, czy nie jeszcze? Okazało się, że nie wróciła. Stąd smutek poety. Elegia IX, księgi I, opiewająca żale nieszczęśliwego Likota, pasterza, za Filidą, jest wyrazem tej tęsknoty za Lidją: Likotas — to Kocha-

nowski, Filida — to Lidya. „Filido, bez ciebie niema żadnej pociechy dla biednego Likota: po rozłączeniu z tobą utracił on wszystkie radości. Bez ciebie, czy to dzień, czy noc wilgotna panuje na niebie, ni nocą, ni we dnie płakać on nie przestaje; strudzone oczy nie kleją mu się do snu słodkiego; ni pióro, ni muza, nie sprawiają mu już przyjemności. Ciebie jednej szuka on ustawicznie w strapionem sercu, o ciebie pytają wszystkie pagórki i gaje... Opłakują go i sosny szyszkorodne, i wawrzyny zielone, i strome skały na wierzchołkach gór. Ty jedna twardszą jesteś od skały i dębu; ty jedna nie użalisz się nad ludzkim nieszczęściem; ty pozwalasz, by Likotas od frasunku okrutnego zmarniał; tyś obojętną na to, czy żyje on, czy ginie. Jeżeli go stracisz, któż ci wtedy pieśni nucić, kto pod wysokie niebiosy sławić cię będzie?“ A nie wiedział poeta, że kiedy pisał o tej obojętności kochanki, twardszej od skały, miał jakby wieszczce przecucie tego, co go miało spotkać niebawem. Bo któż mógł przewidzieć, że Lidya, wróciwszy do Padwy, wróci na to tylko, ażeby nie chcieć odnowić dawnego stosunku z młodym *forestierem*. A jednak cios taki miał spotkać poetę. Lidya wróciła, ale wróciła zajęta kim innym. Poeta spostrzegł to odrazu, a kiedy płocha dziewczyna dała mu wyraźnie do zrozumienia, że wszystko już skończone pomiędzy nimi, porzucony kochanek wpadł w rozpacz. Nieszczęście chciało, że nawet poskarżyć się nie miał przed kim, Nidecki bowiem, który był jego powiernikiem w takich razach, właśnie bawił w Wenecyi, u Manucjusza. W tem uczuciu napisał epigram *Ad Andream Patricium*, w którym zapewnia przyjaciela, że nikogo tak widzieć nie pragnie, „jak ciebie, mój Patrycy, w tym moim smutku. Jeżeli przeto życie me jest ci drogie, nie zwódź-że mnie wciąż, błagam cię, nadzieją swego powrotu; gdyż albo ty, albo nikt nie potrafi uleczyć mej boleści“... A kiedy Nidecki powrócił wkońcu, poeta, na powitanie jego, napisał taką smutną fraszkę *Do Jędrzeja*:

Który mój nieprzyjaciel, y człowiek tak srogi,
Trzymał cię po te czasy, Jędrzeju mój drogi,
Kiedym cię ja najbardziej smutny potrzebował,
Abyś mię był w mym ciężkim frasunku ratował?
Serce mi bowiem żarły troski nieuśpione,
Jakie nieleda komu mogą być zwierzone.
By mi cię wždy nakoniec odesłał był cało,
Nie takby mię nieszczęście moje frasowało.

A po tej fraszce ¹⁾ nastąpiła inna, w której strapiiony poeta prosił Andrzeja, ażeby mu radził, co ma czynić w tem dopuszczeniu, ażeby go ratował, starał się wyrwać z niedoli:

... Jakiem ja dary dawał? jakim rymy składał?
A dziś mię wstyd: bom więcej, niż było, przykładał.
Równałem często jej płeć ku rumianej zarzy,
A ona kramną barwę nosiła na twarzy.
Chwaliłem jej niegodne chwały obyczaje,
Więc mi też mą nieprawdę fałszem dziś oddaje.
Przeto póki gniew świeży w mym sercu panuje,
Póki człowiek swą krzywdę i wzgardzenie czuje,
Ratuj mię, jako możesz, a wyrwi z niedoli:
Nie wiesz, jako niewdzięczna miłość sercu boli.

¹⁾ St. Zathey w swem studium o *Fraszki Kochanowskiego* (strona 408) zwraca z powodu wiersza tego uwagę, że nie wszystkie Fraszki, które poeta pisał *Do Jędrzeja*, dadzą się odnieść do Nideckiego. „Fraszka 51, księgi II, *Do Jędrzeja* mówi o zdradliwej kochance, którą poeta przedtem chwalił bez miary, a teraz się wstydzi tego, że chwalił. Koniec wiersza taki:

... póki gniew świeży w mym sercu panuje,
Póki człowiek swą krzywdę i wzgardzenie czuje,
Ratuj mię jako możesz a wyrwi z niedoli:
Nie wiesz, jako niewdzięczna miłość w sercu boli.

otóż jeśli tę Fraszkę porównamy z wierszem *Do Andrzeja Trzecieckiego* (Fraszka 78, księgi II) zostającym w związku z miłością do Hanny:

Bóg ci zapłać Jędrzeju, coś mię dziś upoił:
Boć we mnie niepotrzebne troski uspokoił,
Które mi serce gryzły... etc.

powstanie w nas wątpliwość, czy rzeczywiście, jak przypuszczano dotychczas, dwie Fraszki do Jędrzeja odnoszą się do Nideckiego?

Tymczasem Lidya uciekała mu z oczu, unikała okazyi do spotkania się z nim, i pozwalając mu „ginać stroskanemu“, upoważniała do przypuszczeń, że kto inny zażywa jej słodkich pieśczęt. Zrozpaczony poeta zaczął — w elegiach — myśleć o samobójstwie, a zanim się zdecydował targnąć na własne życie, pocieszał się trunkiem. Zaczął pić na umor, chcąc w winie zatopić swe „troski nieuśpione“. Doszło do tego, że koledzy jego, widząc, w jaki sposób szukał pociechy, aż go musieli powstrzymywać od nadmiernych libacji na cześć Bachusa. Jednocześnie, uniesiony ambicyą, postanowił nie wystugiwać się przewrotnej dziewce, tudzież zaprzestać wszelkich starań o odzyskanie jej utraconych względów. Porzuciła go, trudno: trzeba się pogodzić z tą myślą! Ot, lepiej uczyni, gdy sobie poszuka innej, która go oceni tak, jak na to zasługiwał. I kto wie, czy nie zaczął rozglądać się za jaką nową przyjaciółką. Dowiedziawszy się o tem, Lidya, urażona w swej miłości własnej, poczęła czynić jakby pewne kroki ku zgodzie, a gdy poeta nie pozostał obojętny na te zwodnicze nadzieje, któremi go dawna kochanka zdawała się pociągać ku sobie, gdy dostrzegła tylko, że gotów wrócić do niej, w tejże chwili odzyskiwała swą mrozącą obojętność dla niego. Wyczerpany tem wszystkim, zwątpił ostatecznie, ażeby kiedykolwiek wróciła do niego, i przekonany o jej zmienności, cały żal, jakim mu wezbrało zranione serce, wylał w namiętnej elegii: „Nieszczęsny to był dzień, gdy ciebie, Lidyo, ujrzały moje oczy! Biada mi, żem równocześnie nie poznał się na twoich obyczajach, nie ocenił twego umysłu! Czemuż nie jesteś tak stałą, jak celujesz urodą? Serce twe, niestety, nie odpo-

Czemu nie do Trzecieskiego?... Z *Foricoeniów* wiemy, że poeta przed Nideckim zwierzał się ze swych kłopotów sercowych. Z Fraszki zaś 78 księgi II, że zwierzał się przed Trzecieskim, a prawdopodobniejszem nawet wydaje się przypuszczenie, że Fraszka 51, księgi II, odnosi się do zdrady Hanny, niż, że (jak to twierdzi p. Pleniewicz) zostaje w związku z miłością do Lidyi.

wiada piękności. Ale i sławę z niej, niegodziwa, zawdzięczaś mnie jedynie! Lecz przyjdzie czas, gdy sobie moją wierność przypominisz. Ale ja ucieknę wtedy, wiarołomna, od ciebie“.

Tymczasem zaszedł fakt, który jego uwagę zwrócił w innym kierunku. W marcu 1556 roku rozeszła się wieść, że królowa Bona, jadąca z Polski, będzie przejeżdżała przez Padwę. Jakoż niebawem zaczęto czynić przygotowania na jej przyjęcie, wznoszono bramy tryumfalne, etc., a wkrótce Padwa zaroila się mnóstwem przyjezdnych z Wenecyi i Neapolu, przybyłych na powitanie Bony. Zjechało się dużo arystokracji, aż wkońcu, dnia 27. marca przybyła królowa, witana przez wysłańców senatu, którzy ją zapraszali do Wenecyi, oraz przez miejscowego podestę, a przedewszystkiem przez gremium profesorów uniwersytetu, „którego rektorzy przedstawili jej Polaków na naukach bawiących“. Tym sposobem chyba i Kochanowski został zaprezentowany królowej. Następnie, po świetnej uroczystości przyjęcia, Bona, wraz z całym orszakiem dworzan i fraucymeru, zatrzymała się w Padwie, a z nadejściem wielkiego tygodnia, dla odbycia rekolekcyi i spowiedzi, zamknęła się w miejscowym klasztorze św. Stefana. Dopiero dnia 27. kwietnia, a więc po całomiesięcznym pobycie w grodzie Antenora, udała się do Wenecyi. W ciągu tego miesiąca, Kochanowski, któremu hołdy składane Bonie, jako królowej polskiej, musiały mile głaskać jego uczucie narodowej dumy, zbliżył się do dworu, w którym było wielu Polaków, a bardzo być może, iż starał się także o zawarcie bliższych znajomości z pannami z fraucymeru królowej¹⁾. Nie uszło to baczności Lidy, która, może

¹⁾ Niestety, wszystko to są tylko domysły Pleniewiczza, nie poparte żadnemi dowodami. Adam Bełcikowski w swym „wizerunku“ o Kochanowskim, zamieszczonym w kilku numerach *Tygodnika ilustrowanego* z roku 1884, pomimo wszystkich argumentów przeciw doszukiwaniu się w elegiach łacińskich materiału biograficznego, cały romans z Lidyą uznaje „za fakt historyczny“ (str. 129),

powodowana odrobiną zazdrości, a niewątpliwie wyrachowaniem, że jednak ten młody poeta nie musi być byle kim, skoro ma przystęp i do królewskiego dworu, znowu zbliżyła się do Kochanowskiego, zaczęła nań zastawiać sidła, a poeta, w którego sercu jeszcze nie była wygasła namiętność dla pięknej kurtyzany, od razu dał się ułować w ten kuszący potrzask. Tym sposobem pogodzili się znowu.

Po chwilowem złudzeniu jednak, jakiemu uległ poeta, niebawem przyszło ponowne rozczarowanie. Lidy bowiem,

przebieg zaś tej miłości wyobraża sobie w ten sposób: „Młodzieniec z poetyczną wyobraźnią, w najgorętszym wieku, bo w trzecim dziesiątku lat, młody humanista, przepędzający za granicą żywot bez wątpienia w samych tylko męskich towarzystwach swoich kolegów, nie mający łatwego przystępu do domów prywatnych i nie myślący pewnie o tem, aby na obcej ziemi szukać sobie dozgonnej przyjaciółki, coś dziwnego, że poszedł za prądem czasu, za przykładem swoich mistrzów starożytnych (Katulla i Tibulla) w poezyi i na łonie pięknej kurtyzanki szukał zaspokojenia pragnień serca. Nieszczęściem dla niego było tylko to, że do tych związków wnosił także pewną część szlachetniejszej swojej natury, że dla niego miłość nie była zupełną i nie mogła mieć powabu bez prawdziwej namiętności i bez uczucia. Rozkochany poeta dawał także serce i w zamian serca żądał. Tego nie mógł otrzymać; doznawał więc zawodu, czuł się oszukany i cierpiał. Cierpiał tem więcej, że mimo całego zaślepienia miłości, musiały mu się niezadługo otworzyć oczy. I odezwała się w jego piersi ta tak trudna napozór do pojęcia, a w rzeczywistości tak naturalna dysharmonia dwóch sprzecznych uczuć. *Odi et amo*, musiał powtórzyć za Katullem... Skargi i żale na kochankę mieszają się też ciągle do namiętnych wybuchów uczucia. Poeta wie dobrze, że ta miłość była dla niego nieszczęściem, że w ulubionej nie znalazł duszy równie pięknej, jak ciało... Rozgoryczenie stawało się coraz większe; wyrzuty i napomnienia nie trafiały pewnie do celu, spotykając się z obojętnością, albo nowym fałszem. Przyszło wreszcie do tego, że wiarołomstwo nie mogło już ulegać wątpliwości... Nigdy później tak namiętne i rozpaczne dźwięki nie brzmiały na erotycznej lirze Kochanowskiego; w elegiach (do Lidy) czuć żar krwi młodzieńczej i zarazem nieprzewyciężony urok, jakim go pierwsza zapewne w życiu kochanka aż do zapomnienia się podbiła i zhołdowała“.

o ile okazała się skora do odnowienia stosunku z porzuconym kochankiem, o tyle przekonał się, że jej wielbiciel, pomimo swych stosunków z dworem królowej polskiej, wcale bogatszym nie jest po jej wyjeździe, niż przedtem, zaczęła bardzo szybko ostygnać w swej miłości dla niego, a kiedy sobie upatrzyła bardziej intratną zdobycz, porzuciła go. Kochanowski wpadł w rozpacz, a że był recydywistą na punkcie swej miłości ku Lidy, więc od tego nowego miłosnego zastrzału cierpiał tem silniej. Widząc to Nidecki postanowił raz nareszcie koniec położyć tej namiętności swego przyjaciela. W jaki sposób? Uważał, że Kochanowski bądź co bądź powinien wyjechać z Padwy. Ale dokąd? Do Paryża. Cóż, kiedy Paryż nie uśmiechał się poecie: miał jakąś nieumotywowaną odrazę do niego. Nagle zaszła okoliczność, która Nideckiemu ułatwiła zadanie nakłonienia Kochanowskiego, ażeby porzucił mury Padwy: był to list od Zebrzydowskiego, naglający Nideckiego do powrotu, albowiem obecność jego w kraju, jako biegłego w redagowaniu urzędowych aktów łacińskich, była niezbędną. Nidecki nie wahał się ani chwili, lecz postanowił jechać zaraz; że jednak było to pod sam koniec roku akademickiego 1555/1556, więc decydując się na natychmiastowy wyjazd, postanowił wyjechać nie sam, lecz z Kochanowskim, dla którego dalsze pozostawanie w Padwie, w bliskości Lidy, uważał za zgubne. W tym celu, niezrażony tem, że go nie zdołał namówić na wyjazd do Paryża, zaczął namawiać go, ażeby z nim na czas wakacji pojechał do kraju, do Sycyny; tam (myślał sobie) wpływ matki, braci i siostr, poparty wpływem atmosfery rodzinnej, patryarchalnej, będzie najbawienniejszym lekarstwem na jego „troski nieuśpione“. Kochanowski dał się nakłonić, i w czerwcu już, razem z przyjacielem opuścił gród Antenora, tracąc z oczu „nienawistne mu euganejskie wzgórza“. Wyjechał prawie chyłkiem, nie pożegnawszy się z nikim; Nidecki bowiem, z obawy, aby zżeczna Lidy w ostatniej chwili nie zniweczyła jego zachodów, wszys

urządził tak, iż nikt nie wiedział, że i Kochanowski jedzie z nim razem. Stąd po wyjeździe ich rozniosła się pogłoska po Padwie, że Jan gdzieś przepadł bez wieści. On tymczasem, na wyjeździe, na myśl, że uwalnia się z pod syreniego czaru Lidy, napisał taką fraszkę *Do Jana*, przez którego rozumiał siebie samego:

Radzę, Janie, day pokój przedsięwzięciu swemu:
Bo bądź krótko, bądź długo, przecie przydzie k'temu,
Że się człowiek obaczy: a co mu dziś miło,
To mu będzie za czasem wstyd w oczu mnożiło.
Tę rozkosz, którą teraz tak drogo szacujesz,
Puścisz taniej po chwili, gdy prawdę poczujesz.
A tak co ma czas przynieść, uprzedź go ty raczey,
Odmień swój bieg, a żagle nakręć wczas inaczey.
Świadomeś słów łaskawych, y piękney postawy,
Zdradę widzisz: znayże więc, co przyjaciel prawy.
A ty, o morska Wenus, chluśni zraz tey paniey,
A pomści się wzdychania, y moich złes, na niey.

Na początku lipca był już Kochanowski w Sycynie¹⁾. Wprawdzie, zjeżdżając w tym czasie, zrobił ogromną niespodziankę swym najbliższym, których witał po czteroletniej rozłące, ale tembardziej ucieszono się z jego przyjazdu, iż właśnie dwie siostry jego, Katarzyna i Elżbieta, wychodziły za mąż: pierwsza za Pawła Komorowskiego, druga za Mikołaja Kozła. Temci lepiej, że przyjechał, bo będzie na dwóch weselach!... Szkoda tylko, że przyjechał jakiś „smutny“, mizerny, bladolicy, z jakąś gorączką w podsiniałych oczach. Ale choć była to bladeść, o której Heine powiedziałby, że pochodziła *von vielen Studieren*, to jednak zostawała nadzieja, że parę miesięcy, spędzonych na wsi, wrócić młodemu humaniście dawną czerstwość i rumianość lica. I on był tego zdania, byle mu zbyt nie suszono głowy szczegółowymi opowiadaniem o nigdy nie kończących się proce-

¹⁾ Już w połowie lipca, w dniu św. Małgorzaty 1556 roku stawał Kochanowski osobiście w grodzie radomskim.

sach z sąsiady, o wynikających stąd kosztach i stratach; bo 1. były to sprawy, które go mniej interesowały, jako zbyt poziome, a 2. przyprowadzały go o niemiłe wyrzuty sumienia, że „kiedy jego ukochanym tak gorzko i kłopotliwie życie płynęło, on tymczasem oddawał się płochym miłostkom, i dla istoty, jego uczuć niegodnej, marnował zdrowie, pieniądze i czas naukom kradziony“. Swoją drogą nie mógł zapomnieć o Lidy; choć musiał przyznać, że już zaszła w nim zmiana pod tym względem: był smutny, ale nie dlatego, że się rozłączył z Lidy, że jej nie widział, że go od niej dzieliły setki mil, lecz że, choć pragnął, nie mógł się pozbyć tej „zastarzałej miłości“. A pragnął szczerze wyleczyć się z niej ostatecznie. W tem uczuciu napisał nową fraszkę *Do Jana*, fraszkę dziwną jednak, bo zakończoną pobożnem błaganiem, ażeby się raz uwolnił od tego wrzodu.

... Wieleś ty, Janie, sobie pozyskał radości¹⁾
Na czas potomny z tej to nieszczęsnej miłości.
Bo co jeno kto komu abo mówić dobrze,
Abo y czynić może, obojętne to szczerze
Wypełnił, czego serce niewdzięczne przechować
Nie mogło: a tak przecz się dalej masz frasować?
Owszem umysł swój utwierdź, odeym się swej woli,
A szczęściu na złość nie bądź dłużey w tey niewoli.
Trudno nagle porzucić miłość zastarzałą,
Trudno, lecz się już na to uday myślą całą.
To samo zdrowie twoje, na tym wszystko tobie,
Możno, albo nie można, przełom to na sobie.

Panie, jeśli należy tobie się zmiłować,
A możesz y w ostatniem zginieniu ratować,
Weyrzy na mię smutnego: a jeśli cnotliwy
Żywot mój, oddał ten wrzód odemnie szkodliwy,
Który wkradł się, jako gnusność, w skryte kości,
Wygnał mi wszytki prawie z serca me radości.
Już nie o to ja stoję, by mię miłowała,

¹⁾ Mojem zdaniem, wiersz ten należy odnieść do czasów późniejszych, do miłości ku Hannie, do epoki przekładania *Psałterza*.

Abo, co niepodobno, cnotliwą być chciała,
Sam zdrów być pragnę, a ten ciężki wrzód położyć:
Panie, za mą pobożność chciej mi to odłożyć.

Jakoż powoli zaczął przychodzić do siebie: szarpnięty organizm, pod wpływem świeżego powietrza, zaczął się odradzać szybko, a w uzdrowionem ciele wyzdrowiała niebawem i dusza. Otoczony kochającą rodziną, zarówno jej, jak i swym przyszłym szwagrom, odznaczającym się wyśmienitym humorem, miał do zawdzięczenia, iż odgryzał się nadzwyczaj szybko. Wesołe gawędy z nimi i ich przyjaciółmi, jowialny humor szlachty, która przy stole, a zwłaszcza przy winie lub miodzie, nie znosiła zadumy na twarzy uczestników biesiady, najwięcej przyczyniły się do rozpędzenia jego chmur padewskich, a że je rozpędziła niebawem, o tem świadczą liczne *Fraszki* poety, niewątpliwie powstałe w tych czasach, a tak wesołe i dowcipne, że aż nieprzyzwoite niekiedy, jak ta n. p., w której jest mowa o Koźle i... piskorzu.

Tymczasem upłynęło lato, zbliżał się termin wyjazdu poety. Jak zwykle w takich chwilach, poprzedzających rozstanie na czas dłuższy, rozmowy, które Kochanowski prowadził z matką i braćmi, zaczęły przybierać poważniejszy nastrój, aż w końcu zeszły na narady, dotyczące jego dalszego pokierowania: kwestya, która pani sędzinie leżała bardzo na sercu. „Nie było jej zamiarem tamować mu drogi do dalszego kształcenia się za granicą, skoro go ku temu wiodła ochota, ale jako matka przezorna chciała te jego studia skierować na drogę bardziej praktyczną. Wszak w naukach greckich i rzymskich był już mistrzem skończonym; czas więc było poświęcić się teraz naukom, które w przyszłości mogły go wynieść na najpierwsze w kraju stanowiska. Za takie zaś uważała teologię i prawo. Jak jedna bowiem, tak drugie, czy w kościele, czy na dworze królewskim, zapewniały mu przed innymi pierwszeństwo“. Poeta nakłonił się do życzeń matki, ale zataił przed nią, iż pod względem przekonań religijnych rozchodził się z nią całko-

wicie: o sutannie przestał myśleć prawie zupełnie, choćby dlatego tylko, że „kapłanowi żenić się niema być wolno”. Temu był absolutnie przeciwny.

Nakoniec pożegnał się ze swoimi i, zaopatrzwszy się w pieniądze na drogę, które w sumie 70 florenów wypoczył od stryja swego, Mikołaja Kochanowskiego, podstarościego radomskiego, ruszył do Krakowa, gdzie mu powierzono 16-letniego Piotra Kłoczowskiego, ażeby go zabrał do Włoch. Kochanowski podjął się tej odpowiedzialnej opieki, a wyjechawszy razem ze swym młodym Telemakiem, już na początku semestru zimowego, a więc pod jesień roku 1556, był z powrotem w Padwie.

Kto wie, czy pomimo wszystkiego, co pisał o chęci wyleczenia się ze swej „zastarzałej miłości” ku Lidy, czy nie ona była powodem, że znowu zdecydował się na Padwę. Co pewna, to, że przyjechawszy tutaj, kiedy się dowiedział od kolegów, że Lidya na wieść o jego tajemniczym zniknięciu płakała rzewnymi łzami, był niemniej wzruszony tą niespodziewaną nowiną, jak się mógł śmiać z niesłychanego zdziwienia tych swoich przyjaciół, którzy, nie wiedząc nic o jego wyjeździe do kraju, odrazu pogodzili się z myślą, że go na jakiejś wycieczce podmiejskiej musieli zamordować bandyci. W tem przeświadczeniu powiedzieli także i Lidy, że zbójcy zabili jej kochanka, co — wbrew ich przewidywaniu — tak rzewne łzy wycisnęło z pięknych oczu dziewczyny. A więc płakała, kiedy jej powiedzieli, że on nie żyje? Płakała, oddawała się rozpacz, czyli, że go kochała, że jej był drogi, że mylił się, gdy ją posądzał o obojętność i wiarołomstwo, czyli, że ona była niewinna, a tym, który ją krzywdził samem posądzeniem o płochość i zmienność, był on. To go rozbroiło tak dalece, że gotów był wrócić do Lidy. Ta ostatnia zdziwiła się zapewne, gdy poetę, rzekomo zabitego przez bandytów, nagle spotkała znowu, żywego i zdrowego, a co najważniejsza, skłonnego do pojednania z nią, do nawiązania przerwanego stosunku, ale nie miała

nic przeciwko temu. I znowu nastąpiła zgoda, zaczęły się miodowe chwile gruchań i schadzek, a poeta był bardziej zakochany, niż kiedykolwiek. Dziękował przypadkowi, który zrzucił, że Lidya chwilowo opłakiwała jego zgon, bo mu to pozwoliło przekonać się o jej „miłości i pocziwości”, a biorąc asumpt z tego pomyślnego epilogu tej rzekomej śmierci, napisał nową elegię do Lidy, w której tak mówi między innemi: „Więc, gdyby się tak było spodobało Parkom i losowi, chętniebym żywot złożył, a łzy, jakiebyś, moje życie, wylewała, byłyby dość wspaniałym obchodem mego pogrzebu”. Tymczasem, ponieważ był zdrow i cały, i „czuł się bezpieczny na każdym miejscu”, był spragniony pocałunków i pieśczęt swjej ukochanej. „Teraz należy się bawić, teraz, moja Lidyo, kochać, teraz pełną dłonią chwytać radości, teraz są stosowne lutnie i pieśni, teraz wolno się błakać po mieście, tak, że ledwie późną nocą powrócisz do domu”.

Ale niedługo trwało to uniesienie. Bo chociaż Lidya płakała na wieść o zgonie poety, co rzeczywiście dowodziło, że jej zupełnie obojętnym nie był, ale i to nie ulega wątpliwości, że go sobie nie upodobała bezinteresownie: za miłość swoją, a raczej za tę komedię miłości, którą, mniej lub więcej przejmując się swoją rolą, grała przed nim, wy magała zapłaty, nie pocałunkami i poezjami, ale gotówką. To sprawiło, że zaślepiony poeta przejrzał wkońcu, że ostatecznie poznał się na przebiegach pięknej hetery, i zrazu, płacąc za każde dłuższe sam na sam, bawił się tą farsą udawanej namiętności, aż wreszcie sprzykrzyło mu się i to; zaczynał mieć dosyć Lidy. Już w nim budziła niesmak¹⁾.

¹⁾ Zdając sprawę w *Kwartalniku historycznym* w roku 1892 z artykułu Brücknera w *Ateneum* z roku 1891, prof. Nehring bardzo krytycznie zapatruje się na kwestję romansu z Lidyą, wysnutego z łacińskich elegij poety. „Bardzo ważną jest kwestya — słowa są Nehringa — o ile w elegiach łacińskich, a po części w pieśniach polskich Kochanowskiego treść miłosna wzięta jest z życia. Niektórzy biografowie Kochanowskiego (Tarnowski w ich liczbie), którzy

Ażeby się raz na zawsze odczepić od niej, postanowił wyjechać z Padwy, zwłaszcza, że tu, w braku towarzystwa Nideckiego, coraz bardziej zaczynało mu być obco i nieswojo. Lecz dokąd jechać? Rozmyślając nad tem pytaniem, przypomniał sobie, jak go w swoim czasie Dudycz namawiał

szczegółowo wchodził w treść jego łacińskich elegij, umieszczał n. p. Lidyę w Paryżu: prof. Brückner na podstawie rękopisu petersburskiego przenosi ją do Padwy i ma niezawodnie słuszność za sobą, niwecząc tkaninę biograficznych szczegółów, wysnutych z niektórych drukowanych elegij, sam jednakże w elegiach petersburskich szuka przyczynków do biografii Kochanowskiego i wychodzi z tego przekonania, że poeta w Padwie był w słodkich więzach miłości Lidyi i że w tej miłości doznał rozmaitych przeżyć i przygód; wedle jednego miejsca w nieznaney dotąd elegii zdawałoby się, że kochanka miała raz jakoby fałszywą wieść o zginieniu (lub zgonie?) Kochanowskiego. Autor podaje zysk wysnuty z elegij łacińskich, szczególnie petersburskich, na str. 20; mnie trudno zgodzić się na to, aby można miłość do Lidyi w Padwie ze wszystkimi szczegółami wcielić do biografii Kochanowskiego, i zawsze stoję na stanowisku wątpliwego, zaznaczonem w recenzji o dziele prof. Tarnowskiego w tem tu piśmie, III, 276 i n. Lidya wydaje mi się być imieniem wziętem z Horacego i adresem idealnym, do którego młody poeta zwraca wyrazy miłości; później, zdaje mi się, że znacznie później, n. p. w elegii 6, księgi I w druku, wielbił on także Lidyę; zresztą owe miłosne westchnienia, miłe nadzieje, kłopoty, katusze lub rozkosze miłości, rozstania się z kochanką, zazdrość szczęśliwшему i t. d., także w niektórych pieśniach polskich są zbyt znanymi tematami liryków rzymskich, Petrarki i jego naśladowców, aby w konwencyonalnych miłosnych sytuacjach Kochanowskiego znaleźć coś indywidualnego, czego nie było już w innych erotykach. Jeżeli Kochanowski później zmieniał sytuację, n. p. zmieniając Włochy na Francję, kiedy oddawał elegie do druku, to czynił to niekoniecznie, aby zatrzeć ślady niemiłych wspomnień, ale że może nie przywiązywał wagi do treści. Zresztą, choć porzory teraz są za tem, że kochanka Kochanowskiego w dwu petersburskich księgach elegij, nie zawsze po imieniu nazwana, jest jakoby jedną i tą samą osobą, co Lidya (prof. Brückner też w tem przekonaniu upatruje n. p. w Likocie i Filidzie w elegii I a, Jana i Lidyę), to jednakże trudno wszystko do jednej i tej samej Lidyi odnieść, n. p. że Kochanowski do owej płochej i chciwej złota pa-

na wyjazd do Paryża, do *Collège des trois langues*, jak mu to samo niedawno doradzał Nidecki. Jakoż zdecydowawszy się na Paryż, zaczął się zbierać do podróży, a w trakcie tych przygotowań, święcąc wyzwolenie swego ducha z pęt „zastarzałej miłości“, napisał jedną ze swych najpoetyczniejszych elegij. Na jaki temat? Na temat miłości, której bogi-

dewskiej kochanki odzywał się z kwestyami dogmatycznymi o zbawieniu i o usprawiedliwieniu przez cnotę lub łaskę“. W swym zarysie biograficznym o *Janie Kochanowskim* (Petersburg, 1901) prof. Nehring w dalszym ciągu z niedowierzaniem odnosi się do kwestyi Lidyi, pisząc o niej na stronie 7. i 8. co następuje: „Już w recenzji o dziele prof. Tarnowskiego wypowiedziałem to zdanie, że miłosne wynurzenia poety były ćwiczeniami poetycznymi, naśladowaniami wedle rzymskich liryków i włoskich Petrarkistów; później zaś, zdając sprawę z artykułu prof. Brücknera oświadczylem się znowu przeciwko wcieleniu zawartości tych elegij, w których Lidya jest kochanką, do biografii Jana Kochanowskiego, jeszcze raz twierdziłem, że niepodobna w tych wynurzeniach do Lidyi, której imię jest wzięte z Horacego, przez wzgląd na naśladowanie i przez wzgląd na to, że poeta i równocześnie i później nawet w polskich poezjach pisał erotyki do przeróżnych nazwanych i nienazwanych kochanek, upatrywać coś indywidualnego“. W ogóle prof. Nehring, jak to zaznacza o kilkanaście wierszy dalej, „nie może się przekonać, że Kochanowski rzeczywiście kochał się w heterze Lidyi“ i życiorys poety ułożyć wedle tego postanowił. Mimo to, ustęp o Lidyi i elegiach padewskich, choć osłabiony zastrzeżeniami, wypadł w swej zasadniczej treści tak samo mniej więcej, jak w artykule Brücknera i w książce Pleniewiczza. Skonstatowawszy fakt, że Kochanowski łacińskimi elegiami opiewał różne padewskie hetery, z którymi uprawiał miłostki, prof. Nehring wyszczególnia Lidyę, jako „najszczęśliwszą niby pomiędzy niemi“. „Była piękniejszą i wykształceńszą od innych, i w ręcznych robotach, i umysłowo; oddając się Kochanowskiemu, musiała wzbudzić i zaciejsze uczucia. Różne koleje z nią przechodził poeta, jak zwykle bywało z zakochanymi poetami w starożytnym świecie i u Petrarkistów; wdychał do nieużytej, był szczęśliwy, kochanka go odjeżdżała lub oddawała się bogatszemu, bo złoto i w tej miłości odgrywało rolę niepoślednią, zrozpaczony oddawał się trunkowi, wreszcie wszystko ustało. Poeta sam porzucił rozkosze i katusze miłosne, wyjeżdżając do Rzymu i Neapolu, wreszcie po wznowionych bezskutecznie stosunkach

nie błagał, ażeby „pomna na łzy przezeń wylane, chciała z jego serca wyprowadzić załogę i gdzieindziej zatknęła swoje sztandary“, i na temat Lidy, którą żegnał tą elegią, a żegnał równie czule, jak sarkastycznie. „I ty, Lidy, zaspiał w spokojnych marzeniach; nie wzniecaj w sobie więcej ani nadziei, ani bojaźni. Nie będziesz płakała, o światło

przeniósł się do Francji“ (str. 13). Omawiając zaś twórczość poety z tego czasu, łącińską głównie, czyni przytem prof. Nehring uwagę, że „większa część elegij i ód wysnuta jest z własnych życia wypadków i wrażeń, nawet erotyki do Lidy i innych kobiet czynią poniekąd wrażenie obrazów z własnych przygód i wspomnień miłosnych“ (strona 22).

Ignacy Chrzanowski w swej *Historji literatury polskiej* bardzo sceptycznie zapatruje się na rzetelność uczucia Kochanowskiego dla Lidy, o której powątpiewa nawet, czy to była rzeczywista kobieta z krwi i kości, czy też tylko wytwór bujnej wyobraźni poety. „Podczas pobytu za granicą — słowa są Chrzanowskiego — pisał (Kochanowski) za przykładem Tibullusa i Propertiusza elegie miłosne, w których opiewał swą miłość ku jakiejś Lidy i smutki, o jakie go ta miłość przyprawiła. Prawdziwego, szczerzego uczucia w tych elegiach niema; prawdopodobnie owa Lida zupełnie nie istniała: poeta pisał elegie jedynie dla wprawy w wiersz łącińskim“.

Nawiasem mówiąc, istnieją w literaturze rosyjskiej dwie rozprawy krytyczne o Kochanowskim, obie drukowane w Kijowie, jedna z roku 1897, druga z 1898. W pierwszej z nich, pióra p. M. Glocke, zatytułowanej *J. Kochanowski i jego znaczenie w historii polskiej obrazowości XVI w.*, autor, opierając się na pracach uczonych polskich, nie mówi nic nowego dla nas; w drugiej zaś pióra p. J. F. Kożin'a, zatytułowanej *Kriticzeskija etudy o niekotorych lirycznych proizwiedienijach Jana Kochanowskaho*, autor, również opierając się na rozprawach polskich, wysnuwa niektóre oryginalne wnioski, które jednak w niczem nie zmieniają ustalonych już poglądów w kwestji Kochanowskiego. Nierównie lepszą, aniżeli część druga, analizująca *Treny*, a powtarzająca wywody uczonych polskich, jest pierwsza część pomienionej rozprawy, zastanawiająca się nad liryką erotyczną poety, przychem autor wypowiada swe niedowierzanie na punkcie miłości do Lidy, twierdząc, że Kochanowski naśladuje Tibulla i Horacego, a Lidy używa jako pretekstu do pisania erotyków.

moje, nad wyłamaniami przezemnie drzwiami, ani doznasz groźb zmieszanych z prośbami. Nie zazielenią się w twych progach zawieszzone wieńce, ani flet ochryply zajęczy u podwójów... Desyć-em już przeniósł zdrad, dostateczniem poznał waszą niegodziwość. Czas mi pamiętać o zaszczytnym znaku wysłużonego żołnierza“. W takim nastroju gotował się do drogi, a kiedy wreszcie przyszła chwila wyjazdu z Padwy, zdaje się, że wyjechał bez pożegnania z Lidyą¹⁾.

Było to w końcu października 1556 roku, zanim jeszcze zdążyły się rozpocząć wykłady w uniwersytecie. Zamiastjechać lądem, przez „Alpy krzywe“, obrał drogę na Marsylię.

¹⁾ Ta romansowa historia o Lidy, której za tło miała służyć Padwa, budzi poważne wątpliwości w prof. Tarnowskim, który ją w swojej książce o *Janie Kochanowskim* przedstawił odmiennie, a przedewszystkiem odniósł ten romans z Lidyą do czasów paryskich poety. Stąd w recenzji o książce Pleniewiczza znalazł się w tej kwestji (na str. 409—410) następujący ustęp: „Ważniejsza jest kwestya Lidy. Czy Kochanowski tyle razy z nią zrywał i tyle razy do niej powracał, czy od niej chciał go oderwać Nidecki, kiedy go wywiózł do Rzymu, czy dla niej pisane były śliczne pieśni: *Acz mnie twa droga i Próżna rada w tej mierze* — o to mniejsza. Jedno wydaje nam się niedowiedzionem, drugie wątpliwem; ale niepodobna dyskutować o wszystkim. Istotną wagę ma tylko pytanie, czy ta miłość opanowała poetę we Włoszech, czy we Francji? Jeżeli we Włoszech, to tem samem upada przypuszczenie p. Löwenfelda i przyłączenie do Elegij paryskich tych, które się odnoszą do Lidy. Wiemy, że w tej sprawie p. Pleniewicz nie jest sam; stoi za nim, czy przed nim, p. Windakiewicz. Wiemy i wierzymy, że pobyt we Włoszech trwał dłużej, niż pobyt w Paryżu. P. Pleniewicz przytacza zaś fakt, bardzo w tej mierze znaczący, Kochanowski był w Polsce w lipcu roku 1556, skoro podpisywał jakiś akt w Radomiu. Czy byłby na to spieszył z dalekiej Francji i zaraz znowu do Francji wracał? Padwa była bliższa; zatem skłonni jesteśmy uwierzyć, że do Paryża pojechał dopiero po połowie roku 1556. Ale to skracałoby tylko jego pobyt we Francji, nie znaczyłoby, że Lida była we Włoszech. Nie będziemy się upierać, ani sobie życia nie odbierzemy z rozpacz, jeżeli się pokaże, żeśmy się (w dziele z roku 1888 o *Janie Kochanowskim*) pomylili, jak inni, i że romans z Lidyą odbywał się we Włoszech. Ale te argumenta, które dotąd przywo-

W tym celu, w Livorno lub Genui, wsiadł na okręt, i mając przy sobie, obok innych książek, także i poemat Vidy *Scaccia ludus*¹⁾, ażeby się nie nudzić zbytnio, gdy okręt będzie

dziane były na dowód, do zupełnego przekonania jeszcze nie wystarczają“ (strona 410).

Nadmienić wypada, że prof. Nehringa przekonały argumenty prof. Plenkiewicza, bo w swej pracy o *Janie Kochanowskim* (z roku 1900) zaliczył elegię do Lidyi, a więc i romans z nią, do padewskiego okresu w życiu poety (strony 13, 22).

¹⁾ Według twierdzenia Plenkiewicza w czasie przeprawy morzem z Włoch do Francji powstały pierwsze rzuty *Szachów*, na co nie godzi się Brückner (*Op. cit.* 646). Jego zdaniem, nie można zarzekać tego poematu odnosić do podróży morskiej, bo równałoby się to dosłownemu pojmowaniu tego, „co poeta obrazowo wyraził“. Prof. Nehring wszakże, w swej pracy o *Janie Kochanowskim* (Petersburg, 1900) podziela opinię Plenkiewicza, przyjmując fakt, że Kochanowski, jak sam powiada, w czasie podróży morzem układał swój utwór wedle łacińskiego poematu humanisty Widy. („Widę przejmował“), więc prawdopodobnie roku 1556, kiedy z Włoch płynął do Francji, (strona 67).

Nawiasem mówiąc, prof. Małecki (przed Witkowskim) bardzo silnie zaznacza różnicę między utworami Vidy a Kochanowskiego, przyczem odnosi *Szachy* do epoki padewskiej. Małecki kładzie nacisk na okoliczność, że Vida napisał swój poemat, gdy był na studiach w Padwie, mając lat 20. „W początkowej swojej części (dopóki chodzi o wykład prawideł gry) *Szachy* Kochanowskiego są parafrazą poematu Vidy. W dalszym wątku jednak autor polski porzuca swój oryginał, zastępując go własną inwencją. Choć rzecz sama, od tego miejsca poczynając, jest więc zupełną własnością Kochanowskiego, to któżby jednak w jej przeprowadzeniu całkiem nie widział oczywistego wpływu Aryosta? U tego to tylko mistrza w tym rodzaju poezji mógł się nasz młody poeta tej elegancji w traktowaniu przedmiotu i tej lekkiej potoczystości w dykcji nauczyć“. *Jana Kochanowskiego młodość*, str. 24. Br. Chlebowski, który w swej pracy o Janie Kochanowskim poświęca *Szachom* cały osobny rozdział (jeden z najlepszych w książce), również uważa, że wdzięk, którym się ten poemat odznacza, niewątpliwie ma źródło swe w poezji włoskiej, mianowicie noweli włoskiej.

Z powodu kwestyi *Szachów* w książce Plenkiewicza pisze Antoni Mazanowski w swej recenzji, co następuje: „Czas pisania

płynął z rozpiętymi żaglami, puścił się na pełne morze, wstępując w nowy — ostatni tym razem — okres swych humanistycznych lat nauki i wędrówki. Jechał nie sam, lecz w towarzystwie jednego ze swych kolegów padewskich, nieja-

Szachów nie jest oznaczony, a choć bystre dostrzeżenie w dedykacji porównania młodego Tarnowskiego do nowego miesiąca istotnie odsyła wydanie tego wiersza po za rok 1561, to jednak niekoniecznie wyznacza mu ono rok 1562/3, bo w roku 1564 i 1565 aż do roku 1566 mógł jeszcze poeta to samo mówić. Wszak młody Tarnowski zmarł w roku 1567 i nikt zapewne na pięć lat przed śmiercią jego nie wiedział, że w tym roku umrze. Kwestya tedy wydania *Szachów* pozostaje nierozstrzygnięta, skoro p. Plenkiewicz nie obalił zdania prof. Tarnowskiego, że wyszły w roku 1567, ani p. Witkowskiego, że pierwsze wydanie *Szachów* wyszło w Krakowie u Wierzbęty w roku 1566. Autor snąc tej ostatniej rozprawy nawet nie przeglądał, ani *Szachów* ze *Saccia ludus* nie porównywał, skoro mówi, że cały przebieg gry w poemacie Kochanowskiego jest najzupełniej zgodny we wszystkich szczegółach z opisem przez Vidę skreślonym“.

Prof. Teodor Wierzbowski w *Pamiętniku literackim*, tom III, z roku 1904, w „notatce“ pod tyt. *Ze studyów nad Kochanowskim* występuje z kunsztownie skonstruowaną hipotezą, że w poemacie Kochanowskiego *Szachy* królowna Anna, to Anna Jagiellonka, Fiedor — carewicz moskiewski, Borzuj — Magnus, książę ostrogski, a Tarses — to ów król wahający się i trzymający w rezerwie pretendentów do ręki królowny, słowem Zygmunt August, król kunkator, Tarsesem przewany przez poetę, od łacińskiego słowa *tardus*, nieskwapliwy, nierychły. „Pojmując w ten sposób genezę poematu i stosunek jego do współczesnych wypadków, wnioskować muszę (pisze Wierzbowski), że *Szachy* napisane zostały w roku 1562. Jadąc w roku 1556 z Włoch do Francji, Kochanowski tłómaczył na polskie poemat Vidy, ale dopiero roku 1562 powziął myśl przerobienia poematu, w sposób oryginalny, zgodnie z ukrytą tendencją“. Tem się, zdaniem Wierzbowskiego, tłómaczą ustępy w poemacie, dosłownie tłómaczone z Vidy, i ustępy, napisane oryginalnie i samodzielnie. Czas pierwotnej edycji, wobec braku roku wydania na pierwszym druku, odnosi Wierzbowski najwcześniej do roku 1563, najpóźniej do roku 1566.

Twierdzenie to zbija prof. Brückner (*Pamiętnik literacki*, t. III, str. 277, *Ze studyów nad Kochanowskim*) dowodząc, że w roku 1561

kiego Karola, dobrze znającego Francję i Paryż, i z nim wyładowawszy w Marsylii, przebył wzdłuż całą Francję, zdążając „tam, gdzie błękitna Sekwana bystreml nurty gróć wielki przerzyna“¹⁾).

V.

Wnosząc z elegii do owego tajemniczego Karola, który poecie ciceronował po Paryżu, wrażenie, jakie na nim uczyniła ówczesna stolica Francji, wypadło nader korzystnie.

do 1562 młody (nie stary) Iwan liczył lat 31, miał wtedy 4-letniego syna, któremu Anna, nie matką, ale babką być mogła. Dalej nie wierzy Brückner „w istnienie tego wiersza przed rokiem 1560“, a prócz tego odrzuca legendę, osnutą na złem zrozumieniu słów poety, że pisał, czy zaczął pisać *Szachy* na pokładzie okrętowym. „Ja wiem z lepszego źródła (pisze Brückner), że słabość morska w ostatniej chwili przeszkodziła, a inni domyślili się jeszcze czegoś więcej“.

St. Witkowski przypuszcza, że jeżeli Kochanowski nie czytał *Szachów* Vidy jeszcze w Krakowie (gdzie pisma Vidy drukowano już w roku 1534), to z pewnością musiał je czytać w Padwie, wnet po swoim tamże przybyciu i one to natchnęły go myślą napisania w ojczystym języku poematu o szachach. „Jakkolwiek więc dla powstania *Szachów* można oznaczyć na pewno tylko jako *terminus a quo* rok 1552 (początek studyów w Padwie), zaś jako *terminus in quem* rok 1566 (pierwsze wydanie *Szachów* u Wierzbicy) to jednak wiele powodów zdaje się przemawiać za powstaniem tego poematu przed rokiem 1557 (powrót do kraju). Kto wie nawet, czy Kochanowski nie znał osobiście poety kremonskiego (stawionego już w *Orlandzie* Ariosta). Vida został biskupem Alby w roku 1532. W roku 1551 opuścił Albę i usunął się do swego rodzinnego miasta Kremony, gdzie go widzimy jeszcze w roku 1563. Mógł więc Kochanowski mieć sposobność poznania osobiście autora *Szachów* i *Chrystyady*, bawiącego za czasów jego studyów padewskich w blizkiej Kremonie“.

¹⁾ Nie brak takich (Przyborowski), co w tym towarzyszu podróżny poety widzą słynnego humanistę, rywala Robortella, Karola Sygoniusza. Uzasadniając tę hipotezę, przytaczają fakt, że Karol Sygoniusz był serdecznym przyjacielem Andrzeja Petrycego Nide-

Szczególniej musiało mu się podobać wesołe życie studenckie w *Quartier Latin*, w którym znajdowała się słynna Sorbona i inne zakłady naukowe, a w tej liczbie i *Collège des trois langues* (dzisiejsze *Collège de France*). Odrębny charakter tej dzielnicy, absolutnie różniący się od charakteru innych dzielnic Paryża, ujmował każdego przybysza, jeśli ten przybysz był młody i spragniony nie tylko wiedzy, lecz i rozrywek. Pod tym względem *Quartier Latin* górowało nad resztą stolicy, choć i tam, zarówno na wyspie, w tak zwanej *citée*, jak i na prawym brzegu Sekwany, w okolicach wspaniałego Louvre'u, najwięcej myślano o zabawie. Wido-ownie, że w Paryżu nigdy nie było inaczej. W roku 1556, gdy tu przyjechał Kochanowski¹⁾, „dwór Henryka II, utrzymując świetne tradycje dworu Franciszka I, oddany był jedynie ucztom, tańcom, maskaradom, karuzelom, kawalkadom, łowem, turniejom, których słońcem była sławna, nie- starzejącej się piękności Dyana de Poitiers, która, pomimo 55-go roku życia, umiała stale w swych siłach utrzymać 36-letniego Henryka II i zepchnąć na podrzędne stanowisko prawowitą jego małżonkę“.

kiego, z którym razem pracował nad wydaniem Cyserona. Nie godzi się na to Windakiewicz, który w owym Karolu widzi jakiegoś Francuza... a przeciwko Sygoniuszowi ma argumenty z dzieła Krebsa: *Carl Sigonius*, Frankfurt, 1840. W elegii VIII, księgi III, pisze Kochanowski, zwracając się do owego Karola: „Lecz, gdybym nawet za ryfejskie oddalił się góry, sercem zawsze z tobą będę, Karolu! bo twe wielkie przywiązanie i twą przychylność dobrze poznałam wówczas, gdy jako podróżnik w obcych błąkałam się krajach. Pod twoim kierunkiem zwiedziłam Akwitany i belgijskie niwy, i Marsylię nad samym brzegiem morza leżącą, i domy Celtów“.

¹⁾ Broniąc swego założenia (wbrew twierdzeniu R. Löwenfelda), że elegie do Lidyi łączą się z okresem padewskim w życiu poety, St. Windakiewicz zaznacza mimochodem (w przypisku na stronie 40), że „niema najmniejszego dowodu, żeby Kochanowski roku 1556 lub 1557 we Francji się znajdował, a kilka jest dowodów, że rok 1559 tamże przebywał“... *Pobył Kochanowskiego za granicą*.

Odmienna atmosfera panowała przy ulicy Fouar, w poważnych murach Sorbony, pretendującej do szacunku miana świątyni nauki, a dumnej z tego, że między uczniami jej było siedmiu papieży i wielu najpierwszych dostojników Kościoła, że tutaj uczyli się tacy ludzie, jak Dante Alighieri, Roger Bacon, Brunetto Latini, Erazm z Rotterdamu i wielu innych. Ale ta miniona chwała nie wyszła na dobre Sorbonie, albowiem wbiła ją w pychę, za którą w chwili własnej, gdy tu po światło przyjechał przyszły autor *Trenów*, pokutowała ciężko. Zasklepiona w ciasnym konserwatyzmie, odrzucająca wszelką myśl naukowej reformy, zniewoliła Franciszka I, że namówiony przez słynnego humanistę francuskiego Budé'go, założył w roku 1530 świeckie *Collège royal*, inaczej zwane *Collège des trois langues*, które, wyjęte z pod władzy uniwersytetu, było jego humanistycznym liberalnym uzupełnieniem, a posiadało nie tylko katedry hebrajszczyzny, grezczyzny i łaciny, ale i matematyki, filozofii i medycyny. Odtąd zaczęło się współzawodnictwo między starą Sorboną a młodem kolegium królewskim, współzawodnictwo, które się tak dalece obróciło na niekorzyść pierwszej, że kiedy młodemu cudzoziemcowi, jak Kochanowski, żadnemu prawdziwej nauki, wyzwolonej ze scholastyczno-klerykalnych powijaków, przyszło wybierać pomiędzy temi dwoma zakładami, to przekonał się niebawem, że tylko w *Collège royal* nauka jest traktowana naukowo i postępowo, w Sorbonie zaś... Co myślał o Sorbonie, do jakiego stopnia lekceważył jej autorytet, o tem poucza jego *Satyr*, w którym między innymi znajduje się taki dwuwiersz:

Niech ma zapłatę godność między wami,
Ręczę wam, że zrównacie z ich tam Sorbonami.

„To wyrażenie ostatnie, tak pełne lekceważenia, najwyraźniej wskazuje, jak się zapatrywał na tę uczelnię, żyjącą minioną już sławą. Zarówno zacofanie pod względem humanistycznym, jak i duch jej, pełen nietolerancji, krępujący

wszelką swobodę umysłową, musiały w nim budzić odrazę. Kolegium królewskie więcej odpowiadało jego nawyknieniom, wyniesionym z wszechnicy padewskiej. Przyznać też trzeba, że oprócz orientalisty Postel'a, zmarłego jeszcze w roku 1544 i helenisty Dané'go, który na dwór królewski wstąpił, skład profesorów był prawie ten sam, jak w chwili założenia kolegium. Turnèbe wykładami języka greckiego ściągał młodzież ze wszystkich krajów Europy; Lambin objaśniał ody Horacego, komedye Plauta i pisma Cyserona. Poeta, jeżeli przyszłe swe studia teologiczne czy prawne brał na seryo, to je zapewne na czas późniejszy odkładał; obecnie zaś mogło go tylko pociągać kolegium królewskie, w którym wykłady porównywał z wykładami mistrzów padewskich¹⁾.

Ale więcej, niż prelekcye w *Collège Royal*, więcej, niż uczone prace humanistów francuskich, jak dzieła Budé'go, Doleta i słynnego Skaligera, interesowała Kochanowskiego — w którym już poeta brał górę nad humanistą — współczesna poezya francuska, święcąca swoje odrodzenie. Na czem zasadzało się ono? Przedewszystkiem był to zwrot do klasycyzmu, do źródeł greckich i rzymskich. Na miejsce *rond*, *ballad*, *piosenek* i „wszystkich przestarzałych poezyi francuskich“, zaczęto lutnię, za przykładem Du Bellaya,

¹⁾ Zdaniem prof. Małeckiego, Kochanowski, wybierając się do Paryża, „nie dla nauk tam jechał, a zwłaszcza nie dla uniwersytetu“, albowiem „byłoby to zaprawdę rzeczą dziwną, gdyby po tem wszystkiem, co przeszedł, on, młody człowiek, lat sobie już liczący wtedy conajmniej 25, miał być podjąć ową podróż do Francji, jako presumptywny student szkoły, w którejby nie bez pożytku dla niej mógł zająć miejsce i profesora. Tak być w żaden sposób nie mogło. Mógł chcieć kraj zwiedzić, stolicę jego poznać, języka się nauczyć, wreszcie rozerwać się po kilkoletniej mozolnej pracy“. *Jana Kochanowskiego młodość*, strona 21. Odmiennej opinii jest w tej kwestyi St. Windakiewicz, którego zdaniem tylko „szkoły paryskie“ mogły być celem podróży Kochanowskiego do Francji. *Pobył Kochanowskiego za granicą*, strona 52.

„dostrajać do dźwięków liry greckiej i rzymskiej“, pisząc ody w stylu Horacego, hymny w rodzaju pindarycznym, elegie na wzór Owidiusza i Tibulla, oraz sonety na wzór Petrarcki. Nadto wzięto się do tłumaczenia tragedii Sofoklesa i Eurypidesa, poetą zaś, który w tym grecko-rzymskim kierunku poszedł najdalej, a raczej najbardziej zbliżył się do starożytnych wzorów, i który siłą swego talentu dokonał istotnego przewrotu w literaturze francuskiej, był Piotr Ronsard, przezwany zaszczytnie *Prince de l'ode*, autor *Francjady* i niezliczonej ilości ód, hymnów, elegii, sonetów etc. Poeta ten, Węgier z pochodzenia, uprawiał wszelkie rodzaje poezji, prócz dramatu, a szczególnie był skorym do pisania erotyków, *Les Amours*, choć mówią, że jego miłości więcej były literackie, niż prawdziwie namiętne, i że w nich większą rolę grała wyobraźnia, niż serce, a nawet zmysły. „Napisanie sonetu, pieśni, madrygału, nic go nie kosztowało. Gdy mu zabrakło myśli, sztukował Owidyuszem, Wergilim, Bembusem, a przede wszystkim Petrarcką; gdy nie dopisywało uczucie, nadstawiał grą słów lub jakimś zgrabnym konceptem“. Kochanek, t. j. dam, do których pisywał wiersze, miał mnóstwo, ze swoją *Jeanne impitoyable* na czele. Niemniej jednak, aniżeli na wdzięki niewieście, był wrażliwy na zaszczyty, i dlatego można powiedzieć o nim, iż był równie próżny, jak kochliwy. Jego panegiryki i eklogi na cześć królewskiej rodziny Walezyuszów, których przedstawiał pod czułymi postaciami sentymentalnych pasterzy i pasterek, zarówno jak i jego wiersze na cześć Maryi Stuart i Elżbiety angielskiej, świadczyły, że choć w młodości podobno zraził się do życia dworskiego, w którym, jak mówił, bezpieczniej „więcej słyszeć, niż widzieć“ (a on tymczasem był głuchy jak pień), to jednak w wieku dojrzałym, kiedy zasłynął, jako książę poetów, bardzo sobie cenił stosunki z koronowanymi głowami. „Na cześć jego pisali łacińskie wiersze: Adryan Tournèbe, Belleau, d'Aurat i Joachim du Bellay. Nawet Torquato Tasso, nie mówiąc już

o wielu sonetystach włoskich, składa mu hołdy w Paryżu¹⁾. Nie dość na tem: wszyscy członkowie domu Walezyuszów, poczynając od Henryka II, obsypują go monarszemi względami i nadają bogate opactwa, nie narzucając żadnych obo-

¹⁾ W swoim artykule o Kochanowskim, drukowanym w roku 1878 w *Ateneum*, Pleniewicz, wbrew Löwenfeldowi, nie wierzył we wpływ Ronsarda, sądził natomiast, że na zmianę kierunku twórczości poety daleko więcej innych razem wziętych i ogólniejszego znaczenia przyczyn wpływało. „Naprzód we Włoszech pod tchnieniem renesansu rozwinęła się już bogata narodowa literatura. W czasie swego pobytu w Padwie mógł się być Kochanowski przekonać, że sława Dantego, Petrarcki, Boccaccia, Aryosta, Machiavela nic na tem nie ucierpiała, choć owi mężowie dzieła swe w ojczystym pisali języku. Za Alpami znowu, gdziekolwiek religijna reforma swoim wpływem dosięgła, wszędzie używała krajowego języka do przekładu Pisma świętego i służby bożej, wszędzie wpływała na jego udoskonalenie. Była więc powszechna dążność do jego uprawy i podniesienia go na stanowisko książkowego języka. Nadto, trudno przypuścić, by Kochanowski, wyjeżdżając z kraju, nie wiedział nic o działalności Marcina Bielskiego, który już w roku 1545 wydał *Żywoty filozofów*, a w roku 1550 *Kronikę świata*, lub o *Żywocie Józefa Mikołaja Reja*, ogłoszonym w roku 1545, oraz o zasłudze Jana Seklucjana w przełożeniu Pisma świętego (1551—1552). Prace te mogły go już wtedy przekonać o możliwości użycia narodowego języka w poezji. Jeżeli jednak koniecznie idzie o wpływ literatury francuskiej na kierunek naszego poety, to wpływu tego raczej w teorii Du Bellay'a, niż w utworach Ronsarda, szukać należy“. Tutaj Pleniewicz wymienia dzieło Du Bellay'a *L' Illustration de la langue française*. „W książce tej — powiada Nehring — bardzo czytanej podówczas, Bellay powstaje przeciwko tym, którzy zaniedbują język ojczysty i piszą po łacinie, i przeciwko tym, którzy, nie znając dostatecznie literatury starożytnej, piszą wedle smaku średniowiecznego. Książka ta była niejako manifestem tych, którzy pragnęli zaszczepić kierunek klasyczny na pniu ojczystego języka“. W liczbie poetów francuskich, którzy mogli wpływać na Kochanowskiego, wymienia profesor Nehring jeszcze i Klemensa Marot, liryka i tłumacza psalmów. „Studia klasyczne, Petrarca i dążenia plejady Ronsarda, to były — zdaniem Nehringa — szkoły Kochanowskiego: hasłem zaś dla niego stały się sztuka klasyczna i język ojczysty“. Zdaniem Faleńskiego (bardzo zasłużonego w literaturze

wiązków, nie krępując niczem jego swobody. Poetyczna Małgorzata Sabaudzka i również układająca rymy Marya Stuart uznają w nim swego mistrza i brata w Apolinie; Ka-

o Kochanowskim) o wpływie Ronsarda na Kochanowskiego mówić nie może. „Nic nadto nedorzeczniejszego. Kto wie, jak dziwnie pedantycznym Ronsard był kuglarzem, ten wprzódby wątpiłby musiał o niezmiernie zdrowym naszego Jana rozsądku, niżby jakiegokolwiek pomiędzy tymi dwoma upatrywał zbliżenie. Owszem, wiadomo jest przecie, że Ronsard, całkiem przeciwnie, sztukę u siebie swoją wszelkimi sposoby ku przestarzałemu naśladownictwu źle zrozumianej starożytności cofał i zwietrzałym Olimpem zanieczyszczał; i bodaj, czy nie on to właśnie jest praojcem tego fałszywego klasycyzmu, z którym w następstwie odrodzenie romantyczne miało tyle kłopotu. Więc u takiego, pytam, cóż podobnie trzeźwy umysł, jak był Kochanowski, mógł do skorzystania znaleźć“. Że jednak Ronsard imponował Kochanowskiemu, dowodzi elegia do Karola, gdzie Ronsard tak wysoko jest podniesiony. Mimo to Małeckiemu wpływ Ronsarda na Kochanowskiego, podobnie jak i Faleńskiemu, wydaje się być... żaden! „Jak styczności z żywiołami niemieckimi nie mogłem się w niczem u Kochanowskiego dopatrzeć, tak też i owe mniemane wpływy Ronsarda na niego zdają mi się być przywidzeniem. Wpływ i kierunek stanowczy nadawała mu tylko starożytna i włoska literatura w tej epoce jego młodzieńczej, którą zamknął powrotem z Paryża do ojczyzny w roku 1557“. *Jana Kochanowskiego młodość*, str. 29. Przeciwnie prof. Tarnowski: dla niego wpływ Ronsarda na Kochanowskiego, o ile nie nosi śladów naśladownictwa, o tyle nie da się zaprzeczyć, jeżeli chodzi o przykład. Jeżeli Kochanowski zaczął pisać po polsku, to, zdaniem Tarnowskiego, sprawił to głównie przykład Ronsarda. „Kto nie chce przyznać, że Ronsard wywarł wpływ na Kochanowskiego, ten przyznaje tem samem, że poezja jego miała związek tylko z poezją starożytną lub z nowszą łacińską, a nie z żywymi powstającymi poezjami europejskich narodów; bo najsilniejszym łącznikiem pomiędzy temi a Kochanowskim musiał być Ronsard, i nikt inny być nim nie mógł“. Dlatego też, zdaniem Tarnowskiego, słuszność jest niewątpliwie przy tych, co jak Wiszniewski i Löwenfeld wpływ ten widzą i przyznają, a nie przy tych, co jak Przyborowski, wpływ ten wykluczają. *Jan Kochanowski*, strona 135.

Chmielowski w swej recenzji dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim (*Ateneum*, 1888, IV, 359) również oświadcza się przeciwko

rol IX pisuje do niego wiersze, a Elżbieta angielska, wdzięczna za nucone na jej cześć hymny, zaszczyca go swemi listami i przesyła bogate podarki“.

Cóż dziwnego tedy, że i Kochanowski powiększył ten poczet chwalców Ronsardowej Muzy, że i on uważał się za szczęśliwego, gdy mógł zobaczyć tego nowożytnego Pindara, a nawet zbliżyć się do niego, co mu, jak przypuszcza Pleniewicz, miał ułatwić młody Jan Baptysta Tęczyński¹⁾, syn Stanisława, wojewody krakowskiego, przebywający na

jakiemukolwiek wpływowi Ronsarda, a nawet ma za złe Tarnowskiemu, iż tej kwestyi aż 25 stron poświęcił w swojej książce, „a więc temu, co z przedmiotem dzieła w ścisłym związku nie jest“. Zdaniem Chmielowskiego, jak i wielu innych zresztą, nie Ronsard, ale Włosi, a głównie Petrarka, dokonali tego przełomu w Kochanowskim, że zaczął tworzyć w ojczystym języku. Od nich nauczył się poeta, „jak formy starożytne przenosić do mowy i literatury ojczystej, boć poezja tamtych była świetniejsza i bogatsza od ówczesnej francuskiej, bo tam o wiele wcześniej i lepiej zrobiono to, co zrobił później Ronsard“.

Tegoż zdania jest i Chlebowski w swej recenzji książki Tarnowskiego, drukowanej w *Życiu* z roku 1888, (nr 47), gdzie pisze: „Podczas gdy usilne starania całego szeregu zwolenników wpływu Ronsarda nie wykryły jednego wiersza, jednej myśli, obrazu, zwrotu, któryby stwierdził oddziaływanie francuskiego poety na czarnoleńskiego śpiewaka, istnieją w jego poezjach, zarówno w formie, jak i treści, układzie i stylu, liczne bardzo odbicia wpływu włoskich utworów, często nawet bezpośrednie pożyczki, niemal przekłady z Aryosta. O wpływach włoskich wiedziano u nas od dawna. Maciejowski już zaznaczył związek niektórych pieśni Kochanowskiego z poezjami Petrarki; Spasowicz wspomina o przyswojeniu poezji polskiej form tercyny i sonetu, i oddziaływaniu liryków włoskich, twierdząc, że z Aryostem nie mógł się spokrewnić poeta polski. Tymczasem okazało się, że właśnie Aryost najsilniejszy wpływ wywierał na mistrza poezji polskiej, wpływ, który spotykamy zarówno w *Pieśniach*, jak w *Sobótce* i *Trenach*, w postaci bezpośrednich pożyczek, a w *Szachach* odbił się on zarówno w układzie i stylu poematu, jak i w żartobliwym, sceptycznym nieco tonie opowieści“.

¹⁾ To przypuszczenie Pleniewicza o poznaniu się Kochanowskiego z Ronsardem za pośrednictwem młodego Tęczyńskiego

dworze francuskim. Jakkolwiek to się odbyło, jedno jest pewnem, że w elegii VIII, księgi III, poeta, wspominając o swym pobycie w Paryżu, z dumą rozpisał się o tem, że *Ronsardum vidi*. „Tu (powiada) ujrzałem owego Ronsarda na lutni ojczystej wygrywającego pienia, i nie mniej byłem zdumiony, jak gdybym słyszał Amfiona, na którego śpiew kładły się mury tebańskie, lub Orfeusza i Linusa z Feba zrodzonego: zdało mi się, iż rzeki zachwycone wstrzymały swój bieg, skały zaś, na głos niezwykły, puściły się w płasy. On to chwałę bogów i miłego pokoju pożytki opiewał wówczas, kiedy Mars na powietrznych koniach unosił się w obłoki“. To zetknięcie się z Ronsardem, który wtedy stał na szczycie chwały, a który wygrywał swe pienia „na ojczystej lutni“, nie pozostało bez wpływu na poetę, a przedewszystkiem wpłynęło na zmianę jego kosmopolitycznego stanowiska, jakie dotychczas zajmował w swych utworach łacińskich i polskich. Studyując jego francuskie poezye, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jednak, chcąc być prawdziwym poetą swego narodu, należy uderzać w struny „ojczystej lutni“: można nie zrywać z łaciną, ale nie należy jej dawać pierwszeństwa przed mową rodzinną, bo skoro Ronsard, posługując się językiem francuskim, dorównywał nieśmiertelnym wzorom starożytnej poezyi, to czemużby on nie miał z równą maestrią posługiwać się językiem ojczystym. Wszak to samo, przed Ronsardem, czynił z takim powodzeniem Petrarka, królową łacińską *Afryka* utonęła w fali zapomnienia, a włoskie sonety i kancony były na ustach wszystkich! I Ronsard, gdyby był to samo, co pisał po francusku, pisał po łacinie, nie byłby tak powszechnie wielbiony! Pod tym względem godziło się iść w jego ślady. „Być wieszczem swego narodu, pozyskać uznanie zarówno uczonych, jak i możnych

wyduje się prof. Tarnowskiemu „możliwem niezawodnie, ale znów na domyśle tylko opartem“.

tego świata, zgromadzić koło siebie poetów tychże dążności, a obok tego w uznaniu zasług, położonych dla literatury ojczystej, pozyskać niezależne, dające swobodę stanowisko: oto, co mogło być szczytem marzeń dla młodego człowieka, czującego swą wartość i wyższe poetyckie zdolności“.

W tej myśli, przejęty utworami Ronsarda, nie ustawał w pracy na niwie poezyi, a choć nie rozstał się ze swoją muzą łacińską, to jednak „młoda słowieńska muza“ coraz bardziej nabierała znaczenia w jego oczach. Najlepszy dowód, że jeden ze swoich polskich wierszy, zatytułowany *O dobrodziejstwach Boga*¹⁾, a napisany trochę pod wpływem Ronsardowej *La prière à Dieu*, zdecydował się — na

¹⁾ W rękopisie Osmólskiego nosi ten wiersz tytuł łaciński: *Gratiarum actio pro victu*. Według mniemania prof. Brücknera, który rękopis ten odkrył w bibliotece petersburskiej, wszystkie zawarte w nim utwory Kochanowskiego, a w pierwszym rzędzie elegie łacińskie, odnieść należy do czasu przed rokiem 1562. Na tem założeniu opierają się wszystkie wnioski prof. Brücknera, zarówno w jego artykule o *Nowych przyczynkach do dzieł Jana Kochanowskiego* (*Ateneum*, 1891, II, str. 1—26), jak i w recenzji dzieła Plenkiewicza (*Prace filologiczne*, 1898). Prof. Nehring ma jednak inne, jakie wątpliwości pod tym względem i w takich słowach daje im wyraz (*Kwartalnik historyczny*, 1892, strona 370): „Autor odnosi elegie łacińskie zawarte w rękopisie petersburskim do roku 1862, opierając się widocznie na zawartej w nim na karcie 70 instrukcyi o obowiązkach panów seniorów (ewangelickich) ze stanu rycerskiego roku 1562 dla seniora lubelskiego, Jana Osmólskiego (ewangelika), z tego powodu przypisuje własność manuskryptu Osmólskiemu i odnosi czas powstania rękopisu do roku 1562. Wniosek ten co do daty manuskryptu, w braku innych wskazówek, nie jest dostatecznie uzasadnionym, w rękopisie petersburskim znajdują się bowiem odpisy i znacznie późniejszych rzeczy, n. p. kontrakt Osmólskiego z pewnym kopaczem łąk z roku 1588, pisany na pierwszym miejscu, wprowadzie przez drugą rękę, ale ta druga ręka, która pisała dyaryusz sejmowy z roku 1556 zdaje się być współczesną ręką pierwszej. Sama instrukcyja, nie wiadomo czy właśnie roku 1562 w manuskrypt była wpisana, nie mamy więc, przynajmniej wedle

próbę — posłać do Polski, ażeby się przekonać, jak też będzie przyjęty, czy się to religijne pieńie spodoba ucześniejszej szlachcie. Prawdopodobnie te były pobudki, jakimi się powodował Kochanowski, kiedy swój wiersz posyłał do kraju, a jeśli nie był zupełnie pewny wrażenia, jakie wywrze, to wrażenie to, może nad wszelkie spodziewanie poety, wypadło na jego największą korzyść. Oto, co o niem pisze Jan Szczęsny Herbut z Dobromila, w przedmowie do *Herkulesa Słowieńskiego* Kacpra Miaskowskiego: „Gdy tedy o Polakach uczonych mówił (Zamoyski), wspominał, że był w młodości swej na jednym zieżdzie w sandomierskiej ziemi, gdzie przyjaciele Janá Kochánowskiego, na ten czas w Paryżu na nauce będącego, ukazali gościom tamecznym pieśń, ktorey jest początek: Czego chcesz po nas, Panie. Był też tam Mikołai Rei, którego narod nasz ma mieć w tey cenie, iako Grekowie Hezioda, Rzymianie Enniusza... Wziął tedy Rei tę pieśń Kochanowskiego i pilnie onei przypatrując się, zawołał támtych wszystkich gości i powiedziawszy nieco o swych pracach i naukach, wielce dowcip i wymowę Kochanowskiego chwalać, zawarł mowę swą temi wierszami:

Temu w nauce dánk przed sobą dawam,
i pieśń Bogini słowieńskiéi oddawam“¹⁾.

dotychczasowego opisu, także i co do dwu ksiąg łacińskich elegii Jana Kochanowskiego pewności, że roku 1562 w rękopis petersburski wpisane były. W każdym razie przypuścić można napewno, że redakcyja ich jest rychlejszą, niż wydanie elegii J. Kochanowskiego w czterech księgach roku 1584“... Tegoż zdania jest Pleniewicz, czemu w przedmowie do swego dzieła o Janie Kochanowskim w zasadniczej polemice z prof. Brücknerem o rękopis Osmólskiego obszernie daje wyraz.

¹⁾ Prof. Brückner w *Archiv für slavische Philologie*, zakwestyonował to podanie (zaczepnięte od Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana), dowodząc, że wiersz ten żadną miarą nie da się odnieść do epoki paryskiej, lecz że powstał w epoce przekładania *Psalterza*, któremu nastrojem i całym szeregiem podobnych wyra-

Tymczasem poeta, któremu w ojczyźnie Rey „dank przed sobą dawał“, prowadził życie, nie zawsze licujące z pobożnym nastrojem swego wiersza. Wszedłszy w stosunki z młodzieżą akademicką, bywając na różnych zebra- niach studenckich, w których, jak na podobnych padew-
zeń jest pokrewny. Za Brücknerem poszedł w roku 1888 Chmielowski w recenzji książki St. Tarnowskiego o Kochanowskim. Pleniewicz, choć znane mu były wywody Brücknera, nie dał się im zachwiać i w książce swej — podobnie jak Tarnowski — trzyma się relacyi Herburta. Dało to asumpt prof. Brücknerowi, że w swej recenzji w *Pracach filologicznych* raz jeszcze wznowił daną kwestyę, w następujący sposób starając się osłabić kateryczne twierdzenie Pleniewicza:

Szczytna pieśń *Gratiarum actio pro victu* (Czego chcesz od nas, Panie) ma być napisana w Paryżu, a więc w czasie z roku 1556 na 1557 i przesłana do kraju, gdzie wedle znanej anegdoty Rey, pilnie ją obejrzawszy, zaimprovizował przemowę o własnej pracy literackiej (choć się z reguły do niej nie przyznawał) i zawarł wierszami, w których oddał młodemu rywalowi „pieśń Bogini Słowieńskiej“. Piękna tę facecyę odrzuciłem jako zupełnie niewiarygodną (*Archiv für slavische Philologie*, VIII, str. 495); ujął się za nią p. Bobowski (*Polskie pieśni katolickie*, Rozprawy Akademii wydziału filologicznego, XIX, str. 21, nota) i p. Pleniewicz (str. 216—221). Pomyliłem się coprawda w jednym szczególe: naznaczyłem pieśni powstanie zbyt późne, w czasie, gdy poeta nad psalterzem pracował, dla tonów Dawidowych, jakie z tej pieśni przebrzmiewają. Otóż rękopis Osmólskiego, mieszczący odpis tej pieśni na stronie 56 dowodzi tym samem, że powstała ona przed rokiem 1564, i rzeczywiście, już Grzegorz Paweł Aryanin w wierszu z roku 1564 nadsładuje, zdaje się, niektóre jej zwroty (porównaj *Ateneum*, 1896, II, str. 13 i 14). Przyznając więc pieśni powstanie znacznie wsześniejsze, przeczę stanowczo wiarygodności owej anegdoty. Dlaczego? W każdym razie, jeżeli co tej anegdocie cechę prawdy nadaje, to ów dwuwiersz Reja, który jest jakby żywcem z ust jego wyjęty“ (strona 218). Dziwna rzecz: dla mnie właśnie ów dwuwiersz, odpowiedni stylowo Herburtom, Miaskowskim, Kochanowskim, niemożliwy zaś w ustach Reja, był zawsze dowodem nieautentyczności anegdoty! Proszę niech mi p. Pleniewicz w całym Reju wykaże choćby jeden zwrot, przypominający „Bogini słowieńską“ a chętnie ustąpię. Lecz dla samej „Bogini słowieńskiej“ nie-

skich, uczestniczyły rozpustne syreny nadsekwańskie, nie gardził wesołemi pohulankami w dobranej kompanii, nawet takiemi, gdzie płocze córki Lutecyi, dowcipniejsze i zalotniejsze od „przyjaciółek“ włoskich, dowodziły swem zachowaniem się, że są i bardziej zepsute od tamtych. Ko-

podobna, żeby to były wiersze Reja: wygłosił je ktoś inny, nie Sardanapał nagłowicki, który nigdy o swej „nauce“ wiele nie mniemał, zawsze się „kamieniem“ nazywał... Pieśń ową nazwaliśmy szczytną i przekonaliśmy niemal, że właśnie od niej rozeszła się sława poety po całym kraju. Kiedy ona napisana? Nie wiemy, może około roku 1560, bo pachnie nam ona nie Paryżem ani Ronsardem, lecz łanami sandomierskimi i ziemią ojczyzną. I anegdota, nieprawdziwa co do formy, trafia w sam rdzeń rzeczy: dopiero tą pieśnią „dowiodł poeta, że przed wszystkimi jemu pienia swe muza słowiańska oddała“ (strona 648).

Powyższe argumenty Brücknera, sformułowane w roku 1898, nie przekonały prof. Nehringa, który w roku 1900 w swym „zarysie biograficznym“ o *Janie Kochanowskim* z całą stanowczością idzie za Pleniewiczem, nie Brücknerem, pisząc bez żadnych zastrzeżeń na stronie 25 o pierwszych wierszach polskich Jana Kochanowskiego, że poeta „już roku 1557 przysłał z Francji wspaniałą pieśń: Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary — prawdziwy hymn psalmowy“. To samo twierdzenie, w równie kategorycznej formie, powtarza Nehring na stronie 55, analizując *Pieśni Kochanowskiego*. „Tym sposobem — słowa są Nehringa — Jan Kochanowski, podobnie, jak później Z. Krasiński, od razu sięgnął do wyżyn poezyi, choć mogłoby się zdawać, że hymn ten jest owocem długiej pracy nad psalterzem i późniejszym od niego“. Innego w kwestyi tej zdania był prof. Nehring w roku 1889, kiedy w *Kwartalniku historycznym* zdawał sprawę z dzieła prof. Tarnowskiego o Janie Kochanowskim, pisząc wówczas, co następuje: „Trudno mi się zgodzić na podanie od dawna ustalone i powtórzone przez prof. Tarnowskiego, że Kochanowski pieśń *Czego chcesz od nas* i t. d. napisał za pobytu we Francji i stamtąd przysłał do Polski i t. d. Wiadomość ta, którą podał naprzód Herbut w zaleceniu *Herkulesa Stowieńskiego* K. Minkowskiego w roku 1612, następcą różne wątpliwości. Herbut sam nie słyszał powieści o odczytaniu owej pieśni „z czasów paryskich“ na jakimś sejmiku w ziemi Sandomierskiej wobec Reja — od Zamoyskiego, słyszał tylko od innych, że Zamoyski na tym sejmiku miał być, i miał słyszeć po-

chowanowski wszakże, nie gardząc biesiadami w swobodnem towarzystwie różnych paryskich Fryn i Aspazyi, wcale nie był skory do wplątania się w jaką nową awanturę roman-sową... Ta jego obojętność i nieczułość na wdzięki uróżnionych syren czyniła go interesującym w ich oczach, tak,

chwale Reja; tymczasem Jan Zamoyski wtedy, kiedy Kochanowski był w Paryżu, odbywał studia za granicą (w Paryżu, w Strasburgu, w Padwie); trudno więc przypuścić, żeby będąc od małego chłopca (puer) za granicą, mógł jako 15-letni podrostek (rodził się r. 1541) być na sejmiku gdzieś w Sandomierskiej ziemi. Ale są wątpliwości więcej zasadnicze, to jest język wymienionej pieśni. Wszystko, co prof. Tarnowski mówi o zaletach tego języka, pokazuje, że Kochanowski pisząc tę pieśń, może po skończeniu psalterza, był mistrzem „już skończonym“ (strona 279). Idzie tu Nehring z Brücknerem...

Chmielowski w recenzji dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim również godzi się z Brücknerem (nieuwzględnionym przez Tarnowskiego), że przyjmować opowieści o przysłaniu wiersza: „Czego chcesz od nas, Panie“, z Paryża, bez krytyki już niepodobna, choć i Chmielowski liczy się z faktem, że skoro pieśń ta po raz pierwszy drukowaną była przy *Zuzannie*, należącej do najpierwszych druków Kochanowskiego, wnieśćby należało, że już wtedy poeta nasz tłómaczeniem psalmów się zajmował. Ostatni wniosek bardzo ostabia poprzednie przypuszczenie.

W świeżo wydanem studium o *Pieśniach Kochanowskiego* prof. Stanisł. Dobrzycki „wcale nie chce twierdzić o hymnie *Czego chcesz od nas, Panie*, aby pieśń ta była napisana wtedy, kiedy poeta pracował nad *Psalterzem*, albo, że przekładanie psalterza zaczęło się już w tym okresie (t. j. przed rokiem 1564). Zdaniem Dobrzyckiego napisanie pieśni tej przypaść musi na lata 1557—1562. „Utwór mógł powstać i przed rokiem 1560, i po nim; wielkie zbliżenie do *Phaenomenów* kazałoby go umieścić bliżej nich, po tym roku. W każdym razie to jest pewne, że określenie tego wiersza przez prof. Tarnowskiego, jako wschodu słońca poezyi polskiej, nie straciło wartości. Czy utwór ten był pierwszym utworem polskim Kochanowskiego, czy nie był, pozostaje zawsze pierwszym naprawdę „pięknym“. *Geneza pieśni Kochanowskiego* „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary“, *Pamiętnik literacki*, tom I, str. 433.

W *Pamiętniku literackim*, tom III, z roku 1904, strony 88—93, prof. Teodor Wierzbowski, występuje w obronie opowieści Herbuta, opierając się przedewszystkiem na „nieznanym Brücknerowi

iz reagując przeciw jego dziwnej odporności, jęły nań czytać zamachy. Do takich, co mu się narzucały same, należała niemłoda i nieświeża już Licena. Niestety, odprawa ją spotkała ze strony poety, wyrażona w jego ciętej odzie VII, mogła nietylko ją, ale i inne zniechęcić od pułkarskich nagabywań. „Gdy Wenus i zbiegły Amor z twej

fakcie“, że pieśń „Czego chcesz od nas, Panie“, znaną już była w druku przed rokiem 1564, gdyż wydrukowaną została na ostatniej stronie poematu *Zuzanna*. Zdaniem prof. Wierzbowskiego pieśń Kochanowskiego dostała się z Francji do Polski za pośrednictwem Hieronima Ossolińskiego, który w roku 1557 bawił w Paryżu, widział się z Kochanowskim, któremu wyświadczył niejedną przysługę, o czym wiemy z Elegii VII, księgi III. „Tak rzecz pojmując — słowa są Wierzbowskiego — nie mam podstawy do zaprzeczenia wiarygodności opowiadania Herburtowego. Jeżeli prof. Brücknerowi „pachnie ta pieśń nie Paryżem ani Ronsardem, lecz łanami sandomierskimi i ziemią ojczyzną“, jest to zapewne wrażeniem nawskróś osobistym. Ja takich argumentów nie uznaję, choćby dlatego, że Mickiewicz i inni najpiękniejsze utwory poezji narodowej napisali, mieszkając nie na ziemi rodzinnej, lecz na obczyźnie“ *Ze studyów nad Kochanowskim*.

„Notatkę“ tę prof. Wierzbowskiego nie pozostawił prof. Brückner bez odpowiedzi, lecz w tymże *Pamiętniku literackim*, w kwartale później, na stronie 277, stanął w obronie swego twierdzenia, wypowiedzianego w swych *Dziejach literatury polskiej*, a, w którym, zwalczając ową „bajeczkę dla grzecznych dzieci, ukleconą z Herburt“, przypuszcza, że pieśń Kochanowskiego napisaną została „około roku 1560“. *Ze studyów nad Kochanowskim*, str. 276—7.

Ignacy Chrzanowski w swej świeżo wydanej *Historii literatury polskiej* (Warszawa, 1906) przyjmując opowieść Herburt, pisze o wierszu tym, jako o powstałym w Paryżu i stamtąd przysłanym do Polski. „We Francji — czytamy na stronie 152 — silniej jeszcze (aniżeli we Włoszech) rozwinęło się w Kochanowskim poczucie obowiązku tworzenia w języku narodowym; i tutaj to, w Paryżu, powstała (jak wieść niesie) pierwsza natchniona pieśń polska, wzniosły hymn do Boga: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?“ Jak jaskółka, zwiastująca wiosnę, przyleciała ta pieśń z Paryża do Polski, która dowiedziała się, że ma na koniec natchnionego poetę... A tymczasem młody poeta wciąż jeszcze bawił we Francji i uczył się“.

oboju w inną się zwrócili stronę i starość złowrogimi zmarszczkami twarz twoją szpeci, a niegodny Demochares swą ulubioną Licenę porzucił, dziś mnie sama przyzywasz, sama się o mnie dobijasz, po to zapewne, by gdy inny mięsem się przesycił, jam resztki kości ogryzał“¹⁾.

Ale niedługo wytrwał w tem stoickim panowaniu nad sobą (jeżeli w niem trwał wogóle). Za mało unikał pokus, ażeby w końcu nie spotkać się z taką, której przewyżczenie nie przechodziłoby jego siły charakteru. Jakoż, po niedługim przeciągu czasu, ledwo dał odprawę Licenie, natknął się na kobietę, która go zdołała opętać. Trafił na swoją. Niestety, i ta przyjaciółka nie była lepsza, ani mniej

¹⁾ Tak charakteryzuje tę pierwszą fazę uczuć J. Kochanowskiego w Paryżu prof. Pleniewicz. Zdaniem jego „właśnie ta obojętność, z jaką się do wesołych cór Lutecy odnosił, była dla nich podniecią do knucia zamachów na jego swobodę. Widocznie z początku poeta trzymał się ostro, skoro narzucającej mu się Licenie“ i t. d. Zdaniem autora, Kochanowski stykając się z heterami paryskimi, „doznawszy rozczarowania w stosunkach z Lidyą, nie myślał w tej sferze zawiązywać już nowych. Znadto był pewnym siebie, znadto wytrzeźwiał z szarów miłosnych, by nie odczuwał grożącego mu z tej strony niebezpieczeństwa“. Czy tak było jednak w istocie, to jeszcze pytanie. W tejże samej Odzie VII, *Do Liki*, z której zakończenia prof. Pleniewicz dobył argument na poparcie swojej tezy, znajduje się niezbity dowód, że Kochanowski i w Paryżu wcale nie wytrzeźwiał z szarów miłosnych, i że bynajmniej nie trzymał się ostro w stosunku do wesołych cór Lutecy. Do tejże samej Liceny, którą gardził teraz, z początku płał bardzo gorącym afektem. Oto, co sam w tej kwestyi mówi na początku pomienionej Ody VII: „Liko, dopóki ci szczęście sprzyjało, póki miłość wdzięcznie ci się uśmiechała, póki twarz twoja szła o lepszą z liłiami i różami, dopóty i ów twój Demochares łatwy miał przystęp do ciebie i wszelkich zażywał rozkoszy; nie troszczyłaś się o mnie bynajmniej, iżby spojrzeć na leżącego przed twemi drzwiami i ogrzać u swego ciepłego łona, gdy mię srogie dreszcze nielitościwie trapiły“. Zdaje się, że powyższy ustęp nie bardzo świadczy o owej „obojętności“, z jaką się poeta miał odnosić z początku do Liceny i jej podobnych istot.

interesowna od Lidyi: równie zepsuta, była o wiele sprytniejsza, a nawet cyniczniejsza. Nie dziw! Wszak była Francuzką z moralnym pokostem Paryżanki. Dlatego i sposób, w jaki na siebie zwróciła uwagę poety, był bardziej wyrażony, niż wszystkie przebiegi Lidyi. Przebiegła Francuzka, widocznie mistrzyni w sztuce udawania, poznała od razu, że na to, aby sobie podbić tego wytwornego cudzoziemca, należy czem innem podzielać na jego imaginację, aniżeli zwykłą wesołością i wyuzdaniem. Przeczuta, że na ten lep nie da się złapać; jakoż zaczęła go kokietować... smutkiem. Sposób okazał się odpowiednim, bo poeta, zaintrygowany ponurym wyrazem twarzy tej niezwyklej *beauté diabolique* (tak ją nazywa Pleniewicz), ani się spostrzegł, jak połknął haczyk zręcznie zarzuconej wędkę. Że tak było, świadczy jego oda IX, napisana wyraźnie pod wpływem ód pindarycznych, a będąca prośbą do bogini miłości. „Złota Afrodyto, córo wielkiego gromowładcy, ciebie, co umysły ludzkie koisz, błagam, byś serce me ciężkimi troskami dręczyć przestała. Zlituj się raczej nad memi skargami i przybywaj wysłuchać prośby stroskanego, które niegdyś łaskawem zwykła byłaś przyjmować uchem... Przeznaczona Cyprydo, przybywaj i teraz, i uwolnij mnie od tych utrapień, a cokolwiek serce posiąść pragnie, niechaj posiedzie przy twojej pomocy“. I znowu zaczął prowadzić podobny tryb życia, jak w Padwie, znowu powtórzyły się bachiczne biesiady, z tą różnicą, że poeta, o ile dawniej „bolejąc w sercu“, nieraz, zrozpaczony i zgnębiony zmiennością kochanki, „żądał więzów na zbiegłego Amora“, o tyle dziś, doświadczony, gdy mu ze strony dziewczyny „dolegała jaka cięższa przygoda“, pocieszał się, że „jeśli cię kochanka unika, sama wkrótce poszukiwać cię będzie; jeśli gardzi twemi poda unkami, niedługo sama swoje ci przysyłać zacznie; a jeżeli cię nienawidzi, to mimowoli pokocha cię i rozkazy twoje wypełni“. Poetyckiem odbiciem jednej z takich wesołych uczt koleżeńskich, na której królowała

jego *venusta Galla*, był namiętny epigram *Ad Gallam*, z którego widać jednak, że już poeta mniej był skłonny do miłośnych porywów, niż dawniej. Wprzód szalał bez opamiętania; teraz wymagał od kochanki, ażeby w nim podniecała zapał młodzieńczy, jeśli chce, żeby się dał porwać tej bachanalii. „Dopóki Bachus, Dyana i Amor skrzydlaty panują; dopóki ciebie, piękna Gallo ¹⁾, oczy moje oglądają: dopóty z całych sił szal mój podniecaj, i nie wzbraniaj, smutna, kwiatami się wieńczyć, lub w struny arfy uderzać.

¹⁾ Lat temu kilkanaście wygłosiła w paryskim Towarzystwie historyczno-literackim Seweryna Duchińska odczyt o Kochanowskim w Paryżu, w tym odczycie zaś podała do wiadomości publicznej fakt, o którym dotychczas nie śniło się żadnemu z biografów Kochanowskiego, fakt, że ta „piękna Galia“, do której się odnoszą paryskie elegie poety, „miała być markiza d'Aubusson“. Co prawda, p. Duchińska nazywa ją Lidyą, t. j. przypuszcza, że z Lidyą poeta romansował w Paryżu, nie w Padwie, ale historyjka jest bardzo ładna, wymyślona nie bez fantazyi, więc choć jej na seryo brać nie można, nie zaszkodzi zarejestrować ją na tem miejscu, choć w przypisku, czerpiąc jej streszczenie z dzieła Tarnowskiego o *Janie Kochanowskim*.

„Miały tedy być dwie siostry, panny d'Aubusson, panny emancypowane, bogate, a przynajmniej zamożne, bardzo uczone, czytające i mówiące po grecku, humanistki zapalone, które z greckiej historii, czy literatury, czy filozofii, nabrały takiego uwielbienia dla ateńskich czasów i obyczajów, że wzgardziły naszymi głupimi przesądami a pozazdrościły Aspazyom stanowiska i swobody. Ideał swój miały też urzeczywistniać w praktyce, i bez skrupułu otwarcie z różnymi Periklesami lub Alcibiadesami czytać Platona, a bynajmniej na tem nie poprzestawać, co my nazywamy platoniczną miłością. Nie koniec na tem: jedna z tych emancypowanych humanistek miała przez czas pewien być przyjaciółką Ronsarda, druga siostra, Lidya, naszego Kochanowskiego. Co by się za to dało, żeby wiedzieć, że to naprawdę prawda! Historia jest śliczna i bardzo powabnie ułożona. Naprzód ta egzystencja wyższych nad przesady margrabianek, co za ciekawa ilustracja do epoki odrodzenia! ta mieszanina filozofii, kultury i swawoli, te panny z przewróconemi głowami, bawiące się w Aspazye; te sympozyony, jakie się w ich domu odbywać musiały, nieskończone w późną noc rozmowy ze

Wierz mi, jutro już nie ten sam dzień będzie, co dziś, a i ty będziesz całkiem inną, a nawet już wczoraj wydałaś mi się nie taką, jak dziś". Zdaje się atoli, że „smutna“ Francuzka tak doskonale potrafiła podniecać animusz w trochę wystudzonym poecie, że dużo wody upłynęło w Sekwanie, zanim „przekonany dowodami chciwej kochanki“, spostrzegł się, że dopóki miał pieniądze, był najwierutniej wyzyskiwany przez nią, a skoro wydał wszystko prawie, co miał, naraził się na to, że mu z całym cynizmem powiedziała bez ogródki: „Moje życie, jeżeli mnie chcesz posiąść, musisz płacić, a jeżeli nie masz czem, opuść moje progi". Mimo takie oświadczenie, opętany zmysłowym powabem pięknej hetery, nie miał sił, żeby z nią zerwać. Przeklinał chciwość niewieścią, przeklinał świat, który tak „ulega mamonie“, przeklinał złoto, „przyczynę i początek wszystkiego złego“, ale, opanowany przez namiętność, którą w nim rozbudziła ta „smętna“ Paryżanka, dogadzał jej chciwości, a gdy mu nie wystarczało, zaciągał długi, byle tylko posiadać tę „piękną Gallę“, byle tylko niedopuszczyć do tego, ażeby go porzuciła. I choć na każdym kroku zdradzała się ze swą in-

znakomitymi mężczyznami o filozofii greckiej, a potem do białego dnia czulsze rozmowy z wybranymi; wśród tego ten niedoświadczony, młody, oczarowany, północny poeta! A jeszcze Ronsard w dodatku! cóż prostszego, jak zażyłość i przyjaźń między tymi czułymi przyjaciółmi dwóch sióstr, co prostszego, jak że starszy i sławny wywarł potężny wpływ na młodszego i nieznanego? Ot mamy i stosunek z Ronsardem (jedną z ważnych zagadek w życiu Kochanowskiego), rozwiązany i wyjaśniony. Wszystko składa się tak doskonale jak w romansie: i wszystko też, aż do czasu, kiedy się znajdą dowody, musi być uważane za wymysł i romans. Na czem opiera się ta historia? na czem choćby tylko to odkrycie nazwiska d'Aubusson? pytanie ważne, na które nikt odpowiedzieć nie daje. Między kochankami Ronsarda (prawda, że nie wszystkie znane są z rodzinnego nazwiska), nie wymieniają Francuzi żadnej panny d'Aubusson: a zajmowali się tym poetą tak uczeni i bystrzy, jak St. Beuve, który mu wiele pracy, więcej może, niż każdemu innemu poświęcił".

teresownością, on, zamiast ją obrzydzić sobie, pisał elegię do niej, a w tej elegii, złorzecząc wszystkim chciwym córkom Ewy, życząc im, ażeby je spotkało wszystko najgorsze, choroby, starość, „jad partenopejski“ etc., jej jednej życzy najlepiej. „Takimi przekleństwami słusznie obarczam wszystkie chciwe kobiety; lecz ciebie, moje życie, niechaj ten los ominie! Tak, niechaj cię ominie, jeżeli w niczem mi nie zawiniś, a choćbyś i zawiniła, niechaj Amor łaskawym na cię będzie!“

W takim położeniu, tembardziej opłakanem, że już *dura paupertas* poczęła zaglądać do studenckiej izdebki poety, zastał go Hieronim Ossoliński¹⁾, świeżo przybyły z kraju. Był to bogaty pan, któremu mniejszy lub większy datek, udzielony ziomkowi, nie robił żadnej różnicy. Jakoż, widząc, że Kochanowski jest przedewszystkiem w gwałtownej potrzebie pieniężnej, wspomógł go; widząc jednak, co leży na dnie jego materialnych kłopotów, starał się go wyrwać z syrenich objęć powabnej Paryżanki. Niestety, nie osiągnął celu: poeta zabrnął tak głęboko, że go z tej kałuży „niepozbydnej miłości“ wyciągnąć perswazyami, przemawianiem do rozsądku, było niepodobna. Stanowczo, choć w zasadzie zawsze był przeciwny filozofii głośnego mędrca z Samos, mógł w tej chwili, jak Horacy, powiedzieć o sobie, że był „jednym z trzody Epikura“. Nie znaczy to, ażeby nie był zdolny ocenić czyjejs „życzliwości i dobrodziejstw“; za dowód zaś, że tak nie było, może posłużyć piękna elegia łacińska, w której poeta — po jakimś czasie — wy-

¹⁾ St. Tarnowski, w recenzji życiorysu Jana Kochanowskiego przez K. Bartoszewicza, nie wierzy, by tym Ossolińskim był właśnie Hieronim (*Przegląd Polski*, 1884, wrzesień). Również i Windakiewicz ma poważne wątpliwości, czy to był istotnie Hieronim Ossoliński, sławny mowca sejmowy. Co ważniejsza, że Windakiewicz cały ten epizod z Ossolińskim odnosi do epoki padewskiej, do romansu z Lidą. Obacz *Pobył Jana Kochanowskiego za granicą*, strona 41.

raził swą wdzięczność Ossolińskiemu. „Ile ci, Ossoliński, winienem, za to wywdzięczyc się tobie, choćbym nawet pragnął najusilniej, nie jest w mojej mocy. Bo kiedy na mnie nagle podwójne zmówiło się nieszczęście, i twarde ubóstwo, i miłość niepozbytna, tyś pierwszy przybył na pomoc stroskanemu przyjacielowi i nie dopuścił, bym ciężki cierpiał niedostatek; nadtoś wszelakich dróg próbował, by mnie z obłądu mego i szaleństwa wyleczyć. Lecz wówczas taki żar do szpiku kości moje przejmował, jakim gore Etna lub gorąca woda apoińska; i jak gdybym lotusu skosztował, albo ziół przykuwających do miejsca, anim myślał o powrocie do kraju“. Okazuje się, że go Ossoliński namawiał, aby się zdecydował na wyjazd z Paryża, aby z nim razem wracał do domowych pieleszy; ale poeta nie dał się nakłonić: nie mógł się wyrwać z uroczych więzów.

Wyrwał się przecież. W styczniu 1557 roku umarła sędzina. Na wieść o jej zgonie, poeta, nie namyślając się długo, pospieszył do domu¹⁾: raz dlatego, żeby zapłakać na świeżej mogile matki, a powtórę, że go „dom nieszczę-

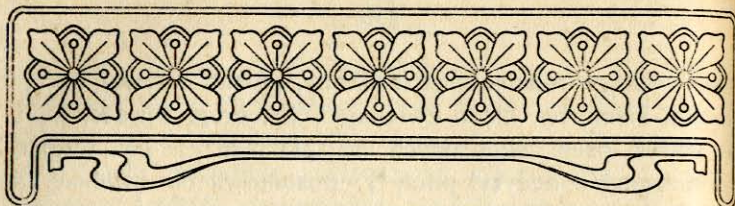
¹⁾ Tym sposobem przypadłoby na pobyt Kochanowskiego we Francji zaledwie parę miesięcy, jeśli się zważy, że według Plenikiewicza poeta opuścił Padwę w końcu października 1556 roku, z Paryża zaś wyjechał już na samym początku roku 1557, na wieść o zgonie matki, zmarłej w styczniu. Kombinacja taka jest nie do przyjęcia. Przypuściwszy nawet, że pobyt we Francji trwał krócej, niż w Niemczech lub we Włoszech, trudno pobyt ten mieścić między końcem roku 1556 a początkiem 1557. Inni biografowie poety, Windakiewicz i Tarnowski w pierwszym rzędzie, wyznaczają na pobyt ten we Francji cały rok, a i to jeszcze wydaje się Plebańskiemu przeciągiem czasu zbyt krótkim. „Inna rzecz (pisze w recenzji dzieła Tarnowskiego), czy po tej powtórnej do Włoch wycieczce, Kochanowski wyprawił się do Francji, jak to p. Windakiewicz przypuszcza. Na podróż do Paryża w tym czasie możnaby się zgodzić chyba dlatego, by dociągnąć do owego *septenium*, które na pobyt Kochanowskiego za granicą nieznany biograf z roku 1612 przeznacza. Nie jest to przecie ani konieczne, ani możliwe. Niekonieczne,

śliwy, obojga rodziców pozbawiony, głośno wzywał do ojczystej ziemi, by, nieco zwlekając, jak drugi Ulisses, wraz ze starym psem, stracił swych nie opłakiwał¹⁾. Ten względ rozstrzygnął o decyzji poety²⁾: postanowił nie zwlekać, a choć „i Loara i Rodan odczuły jego boleść, gdy przyszło galskie opuszczać kraje“, to jednak przemógł się i pojechał.

gdyż poeta, odprowadziwszy do Włoch Kłoczowskiego, mógł do kraju powrócić; niemożliwe zaś, gdyż na pobyt we Francji przez ciąg roku 1557 byłoby czasu za mało“.

¹⁾ Zobacz Elegia VIII, księgi III.

²⁾ W *Pobytku Kochanowskiego za granicą*, Windakiewicz zupełnie odmiennie opisuje jego życie w roku 1557, po śmierci matki. Zdaniem Windakiewicza, poeta w roku 1557 wrócił do kraju z Padwy, a przybywszy do domu, dowiedział się o śmierci matki, ale już w drugiej połowie tego roku (1557) wybrał się powtórnie, tym razem z Kłoczowskim, do Włoch, do Padwy, gdzie, nie zastawszy Robertella, który tym czasem przeniósł się do Bolonii, z przyjaciół zastał St. Fogelwедера, Mikołaja Gelazyna, Jędrzeja Patrycego, Łukasza Górnickiego, a może i Jędrzeja Dudycza. Z tego czasu ma pochodzić napisane przez Kochanowskiego epitafium na śmierć Erazma Kretkowskiego, zmarłego w Padwie 6. maja 1558 r. Tym sposobem do Paryża udałby się poeta dopiero w połowie roku 1558. Wyjechał zaś stamtąd do Polski „po 2. kwietnia a przed 26. lipca 1559 roku“. W Paryżu poznał się Kochanowski, według Windakiewicza, z Janem Zamoyskim (przed jego wyjazdem do Padwy) i z Janem Tęczyńskim. Mniej więcej w połowie maja 1559 — jak przypuszcza Windakiewicz — wyjechał poeta z tym samym Karolem, z którym z Padwy przyjechał do Paryża, zupełnie spokojny ze stolicy, nie wiadomo, w jakim celu, ale zapewne z zamiarem powrotu do Paryża, kiedy gdzieś w drodze mniej więcej w okolicy Lyonu, doszły go wiadomości od rodziny, aby coby prędzej wracał do domu. NB. W *Życiu dworskim Kochanowskiego*, pisze Windakiewicz, że poeta „w czasie pobytu Nideckiego we Włoszech posyła do Padwy wiersze nagrobkowe dla zmarłego tamże kasztelana Erazma Kretkowskiego, a przypuszczalnie i list do nieznanego Karola“, strona 5.



ROZDZIAŁ TRZECI.

Dworzanin (1557—1571).

Początkowe przykrości. I. Na dworach możnowładców. *Wanda*. Kłoczowski i pokusa nowej podróży do Włoch. Pierwszy drukowany utwór poety. Konszachty z Nideckim. W Piotrkowie. Łukasz Górnicki. W Sycynie. Czarnolas. Sprawa umieszczenia się w kancelarii królewskiej. II. Wilno. Na dworze Padniewskiego. *Zgoda* i *Szady*. Myszkowski. *Satyr*. W Warszawie. III. Kapituła poznańska. Dworzanin królewski. Stosunek i przyjaźń z Myszkowskim. Tryb życia. *Wróżki*. Znowu Wilno. Sejm w Piotrkowie. Dudycz i Regina Straszówna. Na Litwie. Probostwo zwoleńskie. Sejm lubelski. Warszawa i Piotrków. Jan Zamoyski. Małżeństwo Dudycza. *Carmen macaronicum*. Wilno i Radoszkowice. Orator. Unia lubelska. *Proporzec*. Babin. Rozstanie z Myszkowskim. W Warszawie. Wyjazd do Czarnolasu. IV. Hanna-Pazyfila. Sroga zima. Troski „nieuśpione“. „Niepobożna niewola“. Nagły zwrot. Brak złudzeń. Zaręczyny. W Czarnolesie. Konkury. Grom z jasnego nieba. Czarne chwile. *Psalterz*. Myszkowski i Muza.

Przybywszy do Sycyny, zastał Kochanowski rodzinę w kłopotach gospodarskich, naradzającą się w drażliwej kwestyi podziału majątkowego. Nadto przybyło mnóstwo spraw sądowych, czemu towarzyszył obowiązek zasiadania w sądach grodzkich, obowiązek, któremu i Jan, jako cenniejszy ziemianin w powiecie, musiał się poddać chcąc nie chcąc. Wszystko to, wraz z obowiązkiem objeżdżania krewnych, przyjaciół i znajomych, ciotek, stryjów, szwagrów,

wpływowych sąsiadów i t. d., którym wypadało się przypomnieć po powrocie z zagranicy, drażniło go, a tem samem potęgowało ową „boleść“, w jakiej rozstawał się ze słoneczną ojczyzną „pięknej Galli“. Bo i wspomnienie tej „smutnej“ kochanki, niby kuszące widmo słodkiej — i zdaje się niepowrotnej — przeszłości, raz po raz mąciło mu spokój.

Na domiar złego, nie brakło i innego widma, które nań nie wpływało kojąco, a tem była myśl o niepewnej przyszłości. Czy obrać stan świecki, czy duchowny?! Pod tym względem był całkowicie niezdecydowany, a pełen najróżnorodniejszych wahań. Jedyna pewność, w której trwał dość stanowczo, to było przeświadczenie, że polem, na którem będzie mógł zużytkować swe zdolności i przyszłość sobie zapewnić, jest kancelarya królewska¹⁾. Wiedział jednak, że chcąc sobie utorować drogę do niej — co zawsze było połączone z trudnościami — należało mieć poparcie ludzi możnych, posiadających wpływy w sferach dworskich.

W tym celu umyślił objechać pobliskie domy możnowładcze, ażeby z nimi wejść w bliższe stosunki.

I.

Zaczął od Firlejów²⁾, z którymi jego rodzina oddawna pozostawała w stosunkach, a których rezydencya w Dąbro-

¹⁾ Że poeta już w roku 1557 był z powrotem w kraju, dowodzi tego, zdaniem Przyborowskiego (i innych) Elegia VII, księgi II, w której Kochanowski wita Zygmunta Augusta, szczęśliwie powracającego z wyprawy inflanckiej przeciw mistrzowi Wilhelmowi Fürstenbergowi. Wyprawę tę podjął i ukończył Zygmunt August w roku 1557, z całego zaś toku elegii pokazuje się widocznie, że ją poeta napisał w kraju bezpośrednio po ukończeniu wyprawy (aspirując do kancelarii królewskiej).

²⁾ Tak przynajmniej utrzymuje Pleniewicz. Windakiewicz przypuszcza, że nastąpiło to w drugiej połowie 1562 roku, już po kilkumiesięcznym pobycie na dworze Padniewskiego. *Życie dworskie Kochanowskiego*, strona 22.

wicy, wykwinie przystrojona na sposób włoski, łącznie mogła pociągać. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, z pewnością nie napisałby swego epigramatu *Na wieś Dąbrowicę*: „Gościu! gdy marmurowy próg przestąpisz, pokłoń się geniuszowi miejsca, ten dom bowiem szczyty się, wychowuje Firlejów“. Jakoż wychowanie to, wybitnie nacechowane kalwinizmem, istotnie przynosiło zaszczyt Firlejowi. Sam kasztelan kształcił się w Lipsku, gdzie się przejął zasadami reformy, a następnie stydyował w padewskiej wszechnicy, gdzie kolegował z J. Kochanowskim. Młodszy brat jego, Mikołaj, słynął, jako *alter Cicero*. Niemniej „uczona“ była młoda pani kasztelanowa, Zofia, z domu Bonarówna, głośna z wielkiej piękności, dziś 23-letnia matka kilkorga dzieci, które wszystkie wychowywano w zasadach wyznania helweckiego: Firlej bowiem, jako głowa i najgorliwszy krzewiciel kalwinizmu, „nie tylko na swym dworze utrzymywał współwierców, ale nadto łupił w swych domach kościoły i zamieniał na zbory; matka zaś od dziecka w otoczeniu różnowierczem wzrastała“. Na szczęście, była córką ojca, który przy wielkich bogactwach lubił się uczonymi otaczać; stąd przywykła cenić naukę. „Tem więcej przeto względów mogła okazywać młodemu Kochanowskiemu, jako niepowседневnej miary poecie“. Jakoż nie narzekał, a rola „domownika“, w jakiej tu przebywał, wcale mu przykrą nie była¹⁾. Po za chwilami, spędzanymi na hu-

¹⁾ Prof. Tarnowski w swej recenzji o dziele Pleniewiczza nie bardzo okazuje się skorym do uwierzenia, by Kochanowski istotnie w roli domownika przebywał na dworze Firlejów. „Twierdzi prof. Pleniewicz, że bawił tam jako domownik, przyjaciel, nie jako niższy sługa, jakiego oznacza wyraz *servitor*, położony przy jego nazwisku, w pełnomocnictwie danem przez Firleja, odkrytem przez p. Windakiewicza. Janów Kochanowski był kilku; nic nie dowodzi, iżby owym *servitorem* miał być ten właśnie“. Tarnowski idzie tu za Plebańskim, który właśnie w recenzji dzieła Tarnowskiego o *Janie Kochanowskim* pierwszy zwrócił na to uwagę, że „rzekomym ten pobyt poety w charakterze *servitora* żadną miarą uzasadnić się

manistycznych gawędach z Andrzejem Trzeciekim, także domownikiem Firlejów, który nie tylko był znakomitym humanistą, poetą, znawcą trzech języków, ale i „hulaką, co dobrze w imię Jezusa Chrystusa“, i po za serdecznym stosunkiem ze Stanisławem Meglewskim, wesołym młodzieńcem, a również dworzaninem Firlejów, używał swobody, towarzyszył Firlejowi na łowy, na których marznąć, układał chłodne wierszyki, dotrzymywał mu placu w wyrywaniu świeckiego i zakonnego duchowieństwa w tych *fraszkach*, pełnych dosadnego humoru, których wiele może nawet w Dąbrowicy powstało; bawił zresztą panią bełką opowiadaniem o włoskich i galskich krainach, dopadał do Lublina dla wypitki lub awantury miłosnej, a w chwilach większego skupienia ducha opracowywał dawniejsze, lub obmyślał nowe utwory“. Tak powstała fraszka *Do Stanisława Meglewskiego*, z którym nieraz „brzając w struny“ „przyśpiewując“ sobie, śmiali się, wspomniawszy na swego „gospodarza dobrego“¹⁾; tak powstała fraszka *Do Andrzeja Trzeciekiego*, który w poecie „niepotrzebne troski“ uspakajał trunkiem; tak powstał epigram łaciński *Do Jana Firleja*; i tak wreszcie, w Dąbrowicy zapewne, powstał fragment *Do Jego M. Pana Mikołaja Firleja*, w którym go poeta prosi, ażeby był życzliwy jego „nowotnym rymom“.

Z Dąbrowicy, w końcu sierpnia lub na początku września 1557 roku, udał się Kochanowski do Kraśnika, na dwór wojewody krakowskiego, Stanisława Tęczyńskiego. Tu go od razu owiała inna atmosfera. O ile w Dąbrowicy panował duch reformy i włoskiego renesansu, o tyle w średniowie-

nie da“, jeżeli się zważy, że w tomie XIV *Źródeł dziejowych Państwa polskiego* znajdujemy kilku Janów Kochanowskich. Zobacz *Biblioteka Warszawska*, 1888, tom IV, str. 269.

Wszystko, co o Kochanowskim, jako *servitorze* Firlejów, napisał Windakiewicz w swych *Nieznanych szczegółach o rodzinie Kochanowskiego* zakwestyonował Plebański, na podstawie dokumentów.

¹⁾ Firleja.

cznym zamku nad Stróżą hołdowano tradycji i surowemu katolicyzmowi. W mecenasów się nie bawiono, co nie znaczy, żeby gorąco nie miłowano nauk. Wszyscy Tęczyńscy jak się wywodzili od jednego z 12 wojewodów, byli znani z zamiłowania do nauk i dalekich podróży. Pytanie: czy tu Kochanowski czuł się w swoim żywiole, czy go niekiedy nie nudziła zbytnia powaga tego zamku? Bardzo być może, że tak było, ale na szczęście dla poety, o którym wiadano w Kraśniku, że w Paryżu spotykał się z młodym wojewodźcem, bawił tu Mielecki, dawny znajomy z Tarnowa, a towarzysz pierwszej podróży do Wiednia. Z nim mieli sobie, po ośmioletnim niewidzeniu się, niemało do powiedzenia, za czym także przemawia piękna elegia Kochanowskiego, poświęcona Mieleckiemu, a niewątpliwie napisana w tym czasie. W jego towarzystwie spędzał poeta „słodkie chwile“ na dworze Tęczyńskich, a że te chwile istotnie były słodkie, to wynika z początkowych słów elegii, po przez które jakby się oglądało widok z Kraśnickiego zamku: „Nie grozi nam tu szalona swawola złowrogiej wojny, ani też niwom naszym nie zagraża nagłe spustoszenie. Nie słysząc tu strasznej trąby wojennej, coby nam sen słodki płoszyła i nieopatrznych trwogą przejmowała. Tu błogi panuje pokój, tu goszczą wczasy przy otwartych wrotach, tu miłość i z lutnią w ręku Apollo łaskawy. Tu pajak tarczę mężów białą powleka tkanką, tu rdza zjada miecze i strąga pociski. Zato w ludnych wioskach kwitną biesiady młodzieży, a powietrze mile rozlega się radosnymi okrzykami. Wnosząc ze słów powyższych, nie musiało Kochanowskiemu być źle w Kraśniku. Mimo to nie zabawił tu długo. Wszystko przemawia za tem, że wyjechał razem z Mieleckim, któremu towarzyszył aż do jego rodzinnego Mielca¹⁾).

¹⁾ Te jazdy Kochanowskiego do Mielca i Wiewiórki, jak i wiele innych epizodów w książce Pleniewiczza, budzą niejako wątpliwości w prof. Tarnowskim, którego zdaniem, choć „możliwe niezawodnie“, ale znowu opierają się tylko na domyśle (str. 410).

Stąd udał się do pobliskiej Wiewiórki, do hetmana Tarnowskiego, pogrążonego w żałobie po świeżo zmarłej pani krakowskiej¹⁾. Była to okoliczność nie sprzyjająca odwiedzinom poety, który pod zwykłym pretekstem ofiarowania swych „powolnych służb“ hetmanowi, naprawdę chciał tylko polecić się jego łaskawej protekcji na przyszłość. Ale w jakimkolwiek usposobieniu zastał hetmana, mógł z przyjemnością, jakiego doznał, być tylko zadowolonym: wszak stawał przed Tarnowskim¹⁾ już nie jako młodzieniaszek obiecujących zdolności, lecz jako skończony humanista, a przeto poeta, któremu nawet sławny Rey „dank przed sobą dawał“. Sędziwy zwycięzca z pod Obertyna, jako mąż wykształcony w tych samych uniwersytetach, z których właśnie wracał Kochanowski, umiał ocenić jego umysłową kulturę i talent poetycki. Zresztą, ponieważ i Włochy i Francja, doskonale były znane hetmanowi z czasów jego młodości, tysiące więc nasuwało się przedmiotów, obudzających ciekawość wielkiego pana, który zarówno pragnął wywieść się o zaszczyt w nich odmianach od czasu swego w nich pobytu, jak i ożywić się wspomnieniami lat młodych. Nie jedną też zapewne chwilę, czy to w hetmańskiej komorze, czy za stołem obiadowym, spędzał poeta na opowiadaniu o tem, co widział, czego doświadczał, jakich poznał ludzi, czy to biegłych w nauce, czy też w sprawie rycerskiej, a to z tem większą swadą, że mu szło o przekonanie hetmana, iż nie napróżno lat tyle na obczyźnie przepędził. Mimo to hetman zauważył w nim pewien brak, który mu nasunęło na myśl bliższe rozpatrzenie się w owocach do-

¹⁾ Zdaniem prof. Brücknera, zajmują Tarnowscy, hetman i syn, w pierwszej fazie twórczości poetyckiej Kochanowskiego to miejsce niemal, które później Firleje objęli; niejeden wiersz lub poemat im poświęcony; można więc przypuścić, że większy zbiór swoich poezji, dwie księgi elegij łacińskich, poeta, jako pierwociny talentu, również Tarnowskim poświęcił. *Ateneum*, 1891. *Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego*.

tychczasowej twórczości poety: oto zapoznawszy się z jego utworami łacińskimi (a można sobie wyobrazić scenę, gdy mu je Kochanowski odczytuje na głos), dostrzegł w nich nadmiar erotycznego żywiołu. Były to rzeczy ładne, jego zdaniem, ale błahe, i dlatego zwrócił uwagę poecie, że dopiero wtedy zasłuży sobie na rzetelną sławę wieszczą, gdy pióro swe przedmiotom podnioslejszym poświęci, zwłaszcza gdy po tematy zwróci się do dziejów własnego narodu, w których z pewnością znajdzie niemało wydarzeń, godnych przekazania potomnym. Życzliwą tę radę wziął sobie Kochanowski do serca, z tem zastrzeżeniem jednak, że jeszcze za młody, ażeby się wyłącznie porywać na tak poważne przedmioty. W tem przeświadczeniu napisał swoją elegię do hetmana, zaczynając się od słów: „Nie wstydi się, Tarnowski, jeśli kiedy swe imię w książkach mych wyczytasz. Chociaż nie opiewam Teb, ni wysokiego Pergamu, jednak i mnie już Amor, zdjawszy sajdak, spleta wawrzynowy wieniec“. Dlatego nie tracę nadziei, że kiedyś i starożytnych bohaterów wywiodę na boje. Wtedy i ciebie opiewać będę. „Teraz wszakże, póki jeszcze pierwszy ogień wre w piersi, pozwól mi iść w dotychczasowym kierunku: pozwól, zdala od obozu, zdala od dźwięku trąb wojennych, opiewać uczty nocne i zgiełk podchmielonych biesiadników“. Tegoż zdania był i Mielecki, który także przybył — w ślad za poetą — do Wiewiórki¹⁾. Jego obecność tutaj, jako wnosząca ożywcze prądy młodości, była bardzo na rękę poecie, rozmiłowany bowiem w „ucztaach nocnych“

¹⁾ Bron. Chlebowski w swym studium o *Pobycie Kochanowskiego na dworach panów Małopolskich pomiędzy Wisłą a Sanem* w następujący sposób motywuje twierdzenie swoje, że poeta przed rokiem 1560 bawił w Małopolsce, głównie pozostając w stosunkach z rodziną hetmana Tarnowskiego. „Prowadząc ruchliwe życie, poświęcone zabiegom o uzyskanie stanowiska, a jednocześnie i wesołemu używaniu, ciążył poeta niewątpliwie ku dworowi Tarnowskich, gdzie go pociągało liczne i świetne rono znakomitości wszel-

rochę czuł się skrępowany dygnitarską powagą hetmana, a na dworze jego, złożonym z samych starych sług, niejednokrotnie tęsknił za „zgiełkiem podchmielonych biesiadni-

kiego rodzaju, zbierających się zarówno dla spraw politycznych, jak i dla miłego spędzenia czasu. Stary hetman był dwukrotnie żonaty: z Tęczyńską i Szydłowiecką. Z tej ostatniej miał dwoje dzieci: Zofię i Krzysztofa. Z drugą Szydłowiecką (rodzoną siostrą) był żonaty Mikołaj Radziwiłł, zajmujący na Litwie potężniejsze jeszcze stanowisko, niż Tarnowski w Małopolsce. (Szydłowieccy należeli do rodu Odrowążów, z którego pochodziła także i matka poety. Stosunki rodzinne matki mogły więc ułatwić Kochanowskiemu wstęp na dwory Tarnowskich i Radziwiłłów, kiedy jeszcze nie zdobył sobie rozgłosu). Pokrewieństwo (przez Tęczyńskich) i sąsiedztwo majątków łączyło Tarnowskich z Mieleckimi. Młody Mikołaj Mielecki pobiera nauki razem z Krzysztofem Tarnowskim. O stosunkach przyjaźni, nawet poufnych, naszego poety z obu tymi młodzieńcami świadczą dość liczne ustępy z pism... Krzysztofowi Tarnowskiemu opisuje w łacińskiej elegii swe troski miłosne, daje mu przyjacielskie przestrogi w wierszu ku uczczeniu pamięci ojca skroślonym, dedykuje *Szady*, pierwszy większego rozmiaru polski utwór. Z różną też poufnością i swobodą przemawia do Mikołaja Mieleckiego (syna wojewody, do którego zwróconą jest elegia łacińska). Jeżeli teraz przekonamy się z mapą w rękę, że siedziby Tarnowskich (zarówno hetmana, jak i wojewody sandomierskiego) mieściły się na obszarze między Wisłą a Sanem, tak wśród podgórza Karpackiego, gdzie spotykamy: Wiewiórkę (rezydencję hetmana o 1½ mili od Dębicy), Gorliczyn nad dopływem Wisłoka (siedzibę Krzysztofa); Tarnów (w pobliżu Dunajca), jak i w nizinie wytworzonej przez zbieg dopływów Wisły i Sanu, gdzie leży: Wielowieś (naprzeciw Sandomierza, rezydencja Stanisława Tarnowskiego, wojewody sandomierskiego), Dzików (nad Wisłą), Rzemień, Rzochów nad Wisłoką (gniazdo Mieleckich) to przekonamy się, że wszystkie charakterystyczne rysy krajobrazów zebranych w pierwszej grupie: lesiste góry, górskie spławne rzeki, jeziora wśród błotnych nizin z gnieźdzącymi się żórawiami — znajdują się w otoczeniu powyższych miejscowości. Jeżeli również zwrócimy uwagę, że między Sandomierzem a Krzeszowem (nad Sanem) jest tylko 7-milowa odległość, wtedy nie będzie nas dziwiła dokładna znajomość okolic tej ostatniej osady, brzegów i dopływów Sanu i miejscowych tradycji, jaką okazuje poeta w wierszu *Dryas zamechska*.

ków". Jakoż, po pewnym czasie, dosyć miał tego katolskiego nastroju, jaki panował w hetmańskiej Wiewiórcie.

Zdaje się, że i Mielecki podzielał to zapatrywanie, gdyż niebawem obaj pożegnali pierwszego dostojnika krakowskiego, przenosząc się do Gorliczyna, gdzie w tej chwili rezydował młody Jan Krzysztof Tarnowski, świeżo ożeniony z Zofią Odrowążówną. Wprawdzie i tu obserwowano żalobę po „pani krakowskiej“, ale inaczej w takich razach zachowuje się podeszły w lata wdowiec, a inaczej młode małżeństwo, gdzie mąż liczy sobie 21 lat, a żona 17. W takim domu, pomimo p. Hieronima Myszopada i statecznej „dwornej pani“, którzy tu czuwali nad młodą parą, musiało być wesele, choćby dlatego tylko, że nie brakło młodego otoczenia obojej płci. Kto wie, czy poeta nie rozgorzał namiętnym afektem do jakiej nadobnej dworki z fraucymeru młodej pani Tarnowskiej, skoro Elegia I, księgi I, przypisana Janowi Krzysztofowi Tarnowskiemu, oprócz ustępu, gdzie poeta zwraca się wprost do niego, tak jest erotyzmem prześiała. Co pewna, to, że epiczna elegia o Wandzie, niewątpliwie napisana pod wpływem owych napomnień hetmana, odnosi się do tych czasów, kiedy poeta bawił w Gorliczynie. Pewno ją czytał młodym Tarnowskim i Mieleckiemu. Bądź co bądź, jest to poemacik epiczny, w którym Kochanowski po raz pierwszy osiągnął wysoki stopień przedmiotowości, a jeśli nie wiadomo, co by powiedział stary hetman, przeczytawszy elegię do swego syna, to można być pewnym, że za Wandę z pewnością pochwaliby jej autora, zachęcając go, ażeby w dalszym ciągu hołdował epickiemu rodzajowi poezji i

Służył ojczyźnie miłej, a jej sprawom sławnym

Nie dopuszczał zamierzknać w ciemnym wieku dawnym¹⁾.

W ten sposób upłynąłby Kochanowskiemu rok 1557. Z początkiem roku 1558 nagłony różnymi sprawami do-

¹⁾ Zobacz *Omen* Kochanowskiego.

mowami i rodzinnymi, powrócił do Sycyny. Tu przedewszystkiem družbował bratu swemu, Piotrowi, żeniącemu się z Anną Odrzywolską, która mu wносиła świetny posąg w sumie 1.000 florenów, a kiedy po skończonem weselu zaczęło się normalne życie ziemiańskie, żył na wzór braci swoich, stawał po sądach, odwiedzał sąsiadów, przyjmował ich odwiedziny, a gdy przyszło do wypitki, za kołnierza nie wylewał.

Coprawda, nie zawsze się potrafił dostroić do poziomu tej prostaczey szlachty, której gruboskórność musiała razić jego wytworną naturę. Jakoż dowodzi tego Pieśń XVIII księgi I, zwrócona do jednego z tych sąsiadów-biesiadników, o których poeta trzymał, że „y tak we łbie rozumu potrzeźwu nie wiele, a ostatek chcą zalać“.

Czołem za cześć, łaskawy mój panie sąsiedzie,
Boże nie day u ciebie bywać na biesiedzie,
Każeś mi pić przez dzięki twe przemierżłe piwo.
Że do dna nie wypijam, patrzysz na mnie krzywo.

Jeślić o sławę idzie, kto więcej pić może,
Daić przodek w tem męstwie...
Jeśli też tak rozumiesz, żebyś mię częstował,
Męczysz mię, nie częstujesz: tociem podziękował.

Cóż dopiero, gdy pijatyka kończyła się bijatyką, gdy kufle zaczynały „jako grad“ latać w powietrzu, gdy jeden i drugi, wzięwszy konwią „aż mu na łbie zostały obręczy“, jęczał pod ławą, inni zaś, „ułożywszy się“ po kątach, „ronili“ wypite piwo, nie przeciwni psom, jeżeli im „gębę ulizali“. Takie biesiady, na których niekiedy przychodziło do walki na ostre, nie mogły się podobać wykwińtemu humaniście i dworakowi, który lubił wesołą gawędę przy kuflu, ale w pewnych granicach. „A więc to biesiada? Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?“

To „u was“ pozwala wnosić, że Kochanowskiemu, w czasie tych biesiad z sandomierską szlachtą, mimowoli nasuwało się porównanie z zagranicą, z wesołemi biesia-

dami padewskich i paryskich studentów, gdzie pito i dokazywano, ale w sposób cywilizowany: tam uczta równała się przyjemności, nastroczała okazyję do miłej gawędy, a tu... Przypadek zdarzył, że w tych czasach więcej miał sposobności do poruszania tego tematu, niż kiedyindziej, mianowicie w rozmowach z Piotrem Kłoczowskim, z tym samym, z którym przed dwoma laty razem jechał do Włoch. Kłoczowski jeszcze studyował w dalszym ciągu, a teraz przyjechał tylko na letnie ferye. W końcu lata znowu wybierał się za Alpy. Kochanowski zazdrościł mu szczerze, a gdy go Piotr namawiał, ażeby jechał z nim razem, że ostatecznie traci czas, siedząc w Sycynie, gdzie jest niepotrzebny wobec oddalonego terminu podziału majątku, i że aż do tego terminu mógłby posiedzieć w Padwie, poeta miał do zwalczania silniejszą pokusę, niż się to mogło zdawać Kłoczowskiemu. Ale przewyciężył się wkońcu, a poetycznym śladem tej pokusy jest poważna fraszka *Do Piotra Kłoczowskiego*¹⁾.

¹⁾ Oto, co w danej kwestyi utrzymuje Plebański, który w recenzji dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim tak pisał w *Bibliotece Warszawskiej*, 1888, tom IV, str. 272: „Prof. Tarnowski również nie uznaje powtórnego wyjazdu Kochanowskiego do Włoch i to swoje przekonanie popiera wierszem, napisanym do Kłoczowskiego, którym właśnie inni uzasadniają nie tylko możliwość, ale i pewność powtórnego w Padwie pobytu. Jakoż zrozumienie tego wiersza nie zdaje się najmniejszej wątpliwości podlegać. Jeżeli poeta, do wybierającego się w roku 1555 w poselstwo Kłoczowskiego, powiada: Nie chcę cię, Pietrze, do Włoch drugi raz prowadzić — to wiadoczną, że z nim kiedyś już podobną podróż odbywał. Gdyby tylko siebie i swój wyjazd w roku 1552 miał na myśli, byłby się inaczej wyraził. Tymczasem rząd słowa wskazuje, iż owo prowadzenie odnosi się do Kłoczowskiego. Wyjazd jednorazowy Kochanowskiego tylko wtedy dałby się uzasadnić, gdyby Kłoczowski wyjechał już w roku 1552 z nim do Włoch. Jeżeli jednak Kłoczowski w roku 1562 wybrany na rektora w Padwie, musiał mieć według statutów uniwersyteckich 22 lat skończonych, to przyszedłby na świat w roku 1540, zatem w chwili wyjazdu Kochanowskiego do Padwy liczyłby

Nie chcę cię, Pietrze, do Włoch drugi raz prowadzić,
Trafisz sam: a mnie też czas o sobie poradzić.
Jeśli mi w rewerendzie, czy lepiej w sajanie,
Jeśli mieszkać przy dworze, czy na swoim łanie.
Ty będziesz wczas do tego: a dokądes młody
Użyj świata za czasu, i pięknej swobody.

Jemu już tego czynić nie przystoi. Nie znaczyło to przecie, ażeby Kłoczowskiego nie miał odprowadzić do Krakowa, tembardziej, że tam miał literacki interes: chciał znaleźć nakładcę na swoją pieśń *O potopie*. Nie wątpił, że go znajdzie, zważywszy, że choć nie drukował żadnego ze swoich dotychczasowych utworów, ani łacińskich, ani polskich, jednak poezye te, krążąc w odpisach, zjednały mu poważny rozgłos w całym kraju¹⁾; ale chcąc w tej sprawie porozumieć się z księgarzem-drukarzem, należało udać się

dopiero lat 12. Czy więc chłopca w tym wieku mogli wysłać do Włoch rodzice? to dopiero należałoby rozstrzygnąć. NB. Skoro jednak statut uniwersytecki padewski wymagał, ażeby wybierany na rektora liczył najmniej lat 22 skończonych, to można też łatwo przypuścić, że Kłoczowski w roku 1562 mógł mieć niekoniecznie lat 22, ale i więcej, choćby 25, a wtedy w roku 1552, jadąc do Włoch pod przewodem Kochanowskiego, liczyłby sobie lat 15, co już by w owych czasach było wiekiem normalnym.

Od drugiej połowy roku 1557 aż do połowy roku 1559 bawił powtórnie w Padwie na studyach Andrzej Patrycy Nidecki. Tęsknił za nim bawiący już wtedy w kraju Kochanowski: i dlatego to, zgnańc wyjeżdżającego do Włoch Piotra Kłoczowskiego, temi słowami w zakończeniu swego wiersza do niego kazał mu pozdrowić swego oddalonego przyjaciela i kolegi z czasów padewskich:

A donieś to mojemu Jędrzejowi słowo:
Że dotąd go nie widzę, musi mię być tęszno,
A tak łaskaw ci-na mnie, niechaj bywa spieszno.

¹⁾ Już około roku 1550 zaczął Kochanowski zdobywać sobie uznanie, jako poeta, jako współzawodnik Reja, nad którym mu niebawem wszyscy — samego Reja nie wyłączając — zaczęli przyznawać wyższość. „Pomnie ja niedawno (czytamy w *Dworzaninie Górnickiego*), kiedy tu na Prądnik przyniesione było dwoje wierszy, jakoby miały być jedne p. Reya, a drugie p. Jana Kochanowskiego:

do stolicy. Że nie pojechał na próżno, tego dowodzi fakt, iż jeszcze w roku 1558 pieśń *O potopie* ukazała się w drukowanej szacie, nakładem Siebeneichera. Był to pierwszy drukowany utwór Kochanowskiego ¹⁾.

Ale doglądając jego druku, poeta myślał nie tylko o nim, lecz i o moralnej korzyści, jaką z tej pieśni osiągnąć może: nie wątpił bowiem, że w stosunkach, jakie przy sposobności pragnął pozawierać w Krakowie, książka, podpisana jego nazwiskiem, tylko mu może ułatwić ich nawią-

wszyscyśmy je z podziwieniem wielkiem chwalili, jako trefne, jako śmieszne, jako uczone". Górnicki odnosi to wspomnienie do roku 1549, z czego się w ten sposób tłumaczy w przedmowie do *Dworzanina*. „Lubo, jego wiersze jeszcze się były nie wslawiły, ale to nic, bo jednak rychło potem p. Kochanowski wiersze pisać począł". Jeśli rychło po r. 1549, to w r. 1558 już się niemi wslawił.

¹⁾ Utworowi temu, z powodu odnalezionego egzemplarza pierwszej edycji, poświęcił Józef Przyborowski w *Ateneum*, (1876, tom I, str. 666—673) osobne „studium bibliograficzne“ p. t. *Jana Kochanowskiego pieśń O potopie*. Autor dowodzi w tej rozprawce, że „pieśń *O potopie* jest utworem Jana Kochanowskiego, że była wydana przed zbiorowym wydaniem, a więc jeszcze za życia poety, że nie jest naśladowana z Kochanowskiego, ale raczej wydana niepoprawnie bez jego wiedzy“.

O pieśni *O potopie* istnieje rozprawka Bron. Chlebowskiego, drukowana w Warszawie w roku 1884 w zbiorowym wydawnictwie na rzecz powodźnian p. t. *Na pomoc*. Zdaniem Chlebowskiego, równocześnie z tą pieśnią *O potopie* napisał Kochanowski (jeszcze w okresie przedpadewskim) pieśń *O zburzeniu Sodomy*. Rzecz tę, jako nieznaną utwór Jana Kochanowskiego, ogłosił Chlebowski, z kancynału toruńskiego, w książce pamiątkowej *Z wieku Reja*, (Warszawa, 1906). Zdaniem Brücknera, autorem tej pieśni *O zburzeniu Sodomy* jest anonimowy minister-protestant. „A co do wiersza *O potopie* — słowa są Brücknera — to nie należy dla niego aktualności, t. j. społecznego wylewu Wisły (albo Wilii!) się doszukiwać: młody poeta potrzebował tematów rodzinnych dla wierszy łacińskich i polskich, n. p. jego elegia o *Wandzie* aktualnością również nie grzeszyła; o wylewach Wisły, byle jakich, wiedział dobrze, więc odę Horacego śmiało naśladował, bez względu na to, czy właśnie tego roku Wisła wylała“. (*Pamiętnik literacki*, 1906, str. 312).

zanie. A zależało mu na tych stosunkach, ile że czas już było „o sobie poradzić“. W tym celu przypomniał się swoim dawnym profesorom uniwersyteckim, odwiedził Jakóba Górskiego, który się właśnie wybijał na godnego zastępcę po nieodżałowanym Maryckim, a że zarówno on, jak i inni poważni profesorowie wszechnicy, nie gardzili „pełną prze zdrowie“, którą zresztą nie gardził żaden prawdziwy humanista, więc przyszło i do wesołych rozmów przy kuflu, które poecie przypomniały jego dawne studenckie czasy, kiedy to zachwycał się nie tylko wykładami Maryckiego, ale i wdziękami „nadobnej“ Zofii.

Przypadek zdarzył, że się z nią spotkał i teraz. Niestety, bardzo się zmieniła od czasu, gdy ją widział po raz ostatni! Zestarzała się, zbrzydła, a nawet i dowcipną być przestała. Co gorsza, to, że jeszcze nie straciła wiary w siebie, że próbowała przypodobać się swemu dawnemu wielbicielowi, który „przed siedmiu lat“ nie był obojętnym na jej wdzięki. Zato dziś zubożała tak dalece, że kiedy ona poczęła się mizdrzyć, on na te zaloty odpowiedział wesołą fraszką *Do Zophy*:

Nie tyś to, o Zophiia, nie ty na mą wiarę.

Ciebie nie wiem jako zwać: co poczniesz, niegrzeczny

Żartom nikt się nie śmieje, na gniew nic nie dbają

A jeśli słowo rzeczesz, jeszczeć y nałają.

Nakoniec, krom imienia, niemasz nic dawnego.

Bierzmy się, proście przebóg, a zbądź już y tego...

O lata z zdrościwe, wszystko precz niesiecie,

Zofia nie Zofią, kiedy wy przypniecie!

Tymczasem zanosilo się na sejm walny, zwołany na 20. listopada do Piotrkowa, sejm budzący wiele obaw i nadziei. „Stąd niezwykle było gwarno i rojno w Piotrkowie, którego szczupły, murami zewnętrznymi zacieśniony obręb, zaledwie mógł senatorów i małą liczbę posłów pomieścić; reszta musiała na przedmieściach, lub nawet po okolicznych

wsiach, szukać kąta dla siebie“. Wraz z tłumami szlachty, przybył tu i Jan Kochanowski, wiedziony potrzebą ustalenia swego losu na przyszłość. Przyjechał z najlepszą otuchą, bo liczył na poparcie swych dotychczasowych protektorów: Tarnowskich, Tęczyńskich, Firlejów, Mieleckich, którzy tu wraz ze swymi dworami przybyli również, a których osobiste stosunki, bądź z królem samym, bądź z podkanclerzem, mogły mu miejsce w kancelarii królewskiej, tak upragnione przezeń, wyjednać. Zrazu wszystko szło jaknajlepiej, choć tło było chmurne, choć burzliwy sejm świadczył o smutnym stanie kraju, w którym jakiś „wróg niewidomy“ — a była nim waśń religijna — „mieszał ludzkie rzeczy“. Ale poeta znajdował się w tem szczęśliwym położeniu, że stał po za tem wszystkim, ludzie zaś, z którymi tu stykać się miał sposobność, w wysokim stopniu — niektórzy przynajmniej — odpowiadali jego usposobieniu. Niedość bowiem, iż się poznał z Rejem, który także zjechał do Piotrkowa, jako poseł ziemi krakowskiej, i że miał możność częstego obcowania z Mieleckim, z młodym Tarnowskim i wielu innymi, ale się poznał z Łukaszem Górnickim, w tej chwili sekretarzem podkanclerzego Przerębskiego, a również wychowawcem padewskim. O trzy lata starszy od poety, był to humanista rzetelny, cyceronianin pierwszej wody, serdeczny przyjaciel Nideckiego, a przytem osobistość wpływowa, dzięki przyjaznym stosunkom z Padniewskim. Wszystko to dodawało mu ogromnego waloru w oczach Kochanowskiego, który rozumiał, że jeżeli kto może go wprowadzić do kancelarii królewskiej, to Padniewski właśnie. Wiedząc o tem, trzymał się Górnickiego, a tak się z nim zaprzyjaźnił w ciągu tej bytności w Piotrkowie, że go aż wspomógł pożyczką. W miarę jednak, jak sejm zbliżał się ku końcowi, t. j. ku zerwaniu, poczęły się rozwiewać nadzieje i złudzenia Kochanowskiego. Przekonał się, że jego sprawa wcale nie była na dobrej drodze, że mu wypadnie wracać z niczem. Na nic się zdała znajomość z Górnickim, na nic się zdały starania

o protekcję Padniewskiego, ten bowiem, wskutek chwilowej konstelacji politycznej, a głównie wskutek tego, że miał przeciwko sobie stronnictwo Przerębskiego, po którym otrzymał podkanclerstwo, znajdował się w tem fatalnem położeniu, że nikogo, pomimo najszczerzych chęci, do kancelarii królewskiej, bez narażenia własnej godności, wprowadzić nie mógł. „W takich zaś okolicznościach trudno było forytować kogoś, zwłaszcza, że do kancelarii królewskiej ciśniono się nie tylko w widokach promocji, ale i dla materialnych korzyści. Za wszystkie bowiem czynności, jak wypisy, listy, przywileje, za każde niemal poruszenie piórem, pobierano grube opłaty. Każdy więc nowoprzybyły, niemiły tu był witany, gdyż pomnażając liczbę pisarzy, umniejszał dawniej pracującym dochodów. Takich zaś zasiedziały kreator Przerębskiego był cały legion w kancelarii królewskiej. Drażnić przeto to gniazdo, gdy ostrożność nakazywała myśleć o zabezpieczeniu własnego stanowiska, byłoby krokiem arcy niepolitycznym, a nawet samemu protegowanemu szkodliwym“. Powyższe względy sprawiły, że poeta musiał zrezygnować z wielu aspiracji, jeżeli nie na zawsze, to chociażwo przynajmniej. Zrezygnował, ale wyjeżdżając z Piotrkowa, wyjeżdżał rozgoryczony, bez wiary w siebie i w przyszłość.

W podobnym nastroju znalazł się z powrotem w Sycynie, gdzie mu dopiero niepowodzenie, zaznane w czasie tej wyprawy po złote runo, na dobre zaczęło się dawać we znaki. Przedewszystkiem starsi zaczęli „mądrzyć“ nad tym wypadkiem. Ani im przez myśl przeszło, iżby mógł powrócić z próżnemi rękoma. Więc na to tak długo siedział za granicą, studiował po Wenecyach, Padwach, Paryżach, ażeby teraz nie mieć żadnych owoców z tej edukacji, która tak była kosztowna! O, stanowczo zmałał w ich oczach! Do owego sejmu imponował im trochę, jako człowiek, co tyle nauk miał za sobą, a pozostawał w przyjaznych stosunkach z pierwszymi rodzinami w kraju, na których dworach przebywał. Ale po powrocie z Piotrkowa? Jużci, gdyby był tak

uczony, jak mówiono, z pewnością poznanoby się na nim, nie dano odjechać z niczem. I zaczęto powątpiewać o jego zdolnościach i mądrości, a gorszyć się życiem bezczynnem, jakie — zdaniem najbliższych — prowadził. Gospodarstwem nie zajmował się, część Sycyny, przypadającą na siebie, puścił w arędę Piotrowi, a pozatem czytał książki, pisał jakieś wiersze, z których, powątpiewano, ażeby mu co przyszło w życiu. Wszak już półtora roku ubiegło, jak wrócił do kraju, a czego dokazał! Tymczasem Piotr, choć także wyższych nauk świadom, ożenił się świetnie, a teraz uprawiał ojczysty zagon, wcale w tem nie widząc ujemy dla siebie. A cóż dopiero Kacper, który już zajmował urząd podstarościego, a korzystnymi zastawami pomnażał fortunę, nietylko swoją, ale i braci. To przynajmniej człowiek do rzeczy! A on nietylko majątku nie przysporzył, ale uszczuplał go swemi ciągłemi wyjazdami. Jednem słowem rozczarowano się nim.

W takim usposobieniu zaczęto poruszać drażliwą kwestyę działów majątkowych, aż wkońcu postanowiono podzielić się rodzicielską spuścizną, tak, by odtąd każdy, gospodarując na przypadłej mu z prawa części, sam o dalszym swym losie stanowił. Była to nad wyraz przykra w życiu poety epoka; niedość bowiem, że wogóle czuł się zrażony do rodziny, którą stryjowie buntowali przeciwko niemu, ale musiał się użerać z niemi, targować o każdy kawał gruntu, jeśli nie chciał dopuścić, aby go skrzywdzono. I tak zasada, której postanowiono przestrzegać w tej sprawie, z góry była ukartowana na jego niekorzyść. Bo jakąż to była zasada? Oto obrano za punkt wyjścia, że ponieważ młodsi bracia mniej od starszych mieli sposobności korzystania z łask rodzicielskich, słuszna więc, by się im najlepsze części dostały. „Że zaś Jan (mówiono) otrzymał tak świetne, jak żaden z braci, wykształcenie, przeto tem samem utracił prawo do równego z nimi podziału: sumy bowiem, jakie pochłonęła zagranica, wartość nie jednej części, przypadającej do

podziału, przeniosły. To więc, co zdobył w nauce, powinno mu część należną w ziemi zastąpić, zwłaszcza, że przeznaczony przez rodziców do duchownego zawodu, miał przed sobą drogę otwartą do godności i bogactw, która przed innymi braćmi nazawsze była zamknięta“. Może było nieco słuszności w tem rozumowaniu, sposób jednak, w jaki mu to poznać dawano, był tego rodzaju, że poeta „teraz dzień i noc nękany troską i pracą“, musiał stać na straży swojego mienia, jeśli nie chciał, żeby mu je wydarto. Zapraszany do Krakowa, gdzie chwilowo bawił Andrzej Dudycz, świeżo przybyły z Nideckim i St. Fogelwederem, musiał sobie odmówić tej przyjemności zobaczenia się ze swymi padewskimi przyjaciółmi, „albowiem (jeśli godzi się małe porównywać z wielkiem), jako niegdyś na Ulissesa z dalekich krajów powracającego czychali zalotnicy, tak też są tacy (pisał w epigramacie do Jędrzeja Dudycza), co i moje, o ile tylko można, zrujnowałyby chcieli, gdybym tylko nie czuwał i gdybym, wieszcz Muzom poświęcony i więcej do pokoju przywykły, jakkolwiek ojcowskim nie bronił się orężem“. W takich warunkach chodził koło tej nieszczęsnej sprawy podziałowej, z upragnieniem oczekując jej końca. Tymczasem sprawa przeciągnęła się aż do lata, jak o tem świadczy akt podziałowy, spisany w grodzie radomskim dnia 13. lipca 1559 roku „po należytej rozwadze i zasięgnięciu zdania przyjaciół“, akt, z którego okazuje się, iż poeta, który koniecznie chciał dostać Sycynę (ostatecznie oddaną Mikołajowi i Jakóbowi) wywalczył sobie *arcu patrio* połowę Czarnolasu, wraz z młynem na rzece Grodzkiej.

Zostawszy właścicielem wschodniej części czarnoleckich obszarów, nie zwłócząc długo, przeniósł się do swojej „uszczyplonej“ dziedziny, mającej odtąd stać się jego *Tusculum*, i zaczął się wdrażać do ziemiańskiego żywota, przeplatane go pracą na niwie poezyi. Czarnolas bardzo się nadawał do podobnych zajęć. Był to folwark niewielki, ale miły. Zwykły dworek szlachecki, położony na wschodnim

krańcu wsi, a „rozdzielony sienią na dwie połowy, tak, iż po jednej stronie mieściły się izby mieszkalne, po drugiej dymna czeladna“, zapewniał spokój i ciepły kąt podczas zimy: słowem, choć pochylony laty, nie pozostawiał, jako dach nad głową, nic do życzenia. Szczupły był, ale własny. A przytem stał w pięknym ogrodzie, w zieleni drzew odwiecznych, z tych zaś najpiękniejszą była stara lipa, rosnąca podedworem. Po przeciwległej stronie, od północy, ciągnął się dziedziniec, obramowany gumnami i oborami, a te dochodziły aż do drogi, prowadzącej od głównego traktu. Do koła czerniał bór, odgraniczony obszarami pól uprawnych, łąk i nieużytków piaszczystych. Zdaje się, iż ostatnich było najwięcej, skoro sam poeta z właściwym sobie humorem przyzna niebawem w jednej ze swych wesołych fraszek, że na jego dziedzictwie obficie rodzą się pieśni, „niż jęczmień i żyto“. O pszenicy nie było mowy. „W tem to ustroniu miał teraz poeta urzeczywistnić swe sielskie obrazy, o których marzył w Padwie. Tylko dziś brakło do posługi Amorka i pani serca, która miała towarzyszyć pracom jego oraczym“. Bo, że mu się często dawało we znaki osamotnienie, z tem się nie tał. Oprócz stryja Filipa, który, jako mieszkający na zachodnim krańcu wsi, był jego najbliższym sąsiadem, a z którym, od chwili działów majątkowych wcale nie pozostawał w dobrych stosunkach, nie miał nikogo, z kimby się mógł podzielić myślami. Po za czeladzią, dla której pewno nie był złym panem, jedynym człowiekiem, z którym mógł pogawędzić przy kuflu, był stary wóldarz miejscowy. Poeta, w braku innego towarzystwa, polubił bardzo tego sługę, a nie tylko dopuszczał go do poufałości z sobą, ale polegając na jego doświadczeniu, wszystko, co było gospodarstwem, zdawał na jego rozum: ostatecznie wiedział, że gospodarując w ten sposób, lepiej wyjdzie na tem, aniżeli gdyby sam wziął na siebie obowiązek obmyślenia i doglądania roboty. Jakoż skończyło się na tem, że wóldarz gospodarował za niego, a on, bądź siedząc pod

lipą przed domem, bądź nie wychodząc ze swej komory, której największą ozdobą była jego *libraria*, służył Apollinowi i Muzom. Wieczorami zaś, po skończonej orce w polu, zapraszał wóldarza, częstował go, wyciągał na rozmowę, a jedną z takich rozmów z nim, jako charakterystyczną rozmówkę chłopską, nawet uwiecznił wierszem:

— Piy-że, Wóldarzu.

— Panie, jużem podpiał sobie.

— Piy ty przedsię. Dziękuję, jako panu, tobie.

— Mało już nie mam za swe, a człowiek się boi,
By słówkiem nie wyleciał, co więc chmiel rad broi.

— Piy-ty Wóldarzu, i mów, coć się będzie zdało,
Prosto, iako za naszych oyców więc bywało.

— Tak ci bywało, panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą:
Dziś wszystko już inaczej: wszystko spoważniało,
Jako mówię: postawy dosyć, wątku mało.

Osiadłszy w Czarnolesie, poeta nie zwątpił jednak o możliwości dostania się do kancelaryi królewskiej. Niestety, Zygmunt August ciągle przebywał w Wilnie, co za sobą pociągało konieczną odwłokę całej sprawy. Ale, co się odwlecze, to nie uciecze, myślał sobie Kochanowski, a skoro mu się nie poszczęściło dotychczas, to jeszcze nie dowód, iżby wątpić o wszelkiej karierze. Swoją drogą dręczył się myślą, że inni jakoś dawali sobie rady w życiu, a jemu szło wszystko oporem. Oto Górnicki, obok sekretarstwa podkanclerskiego, został bibliotekarzem królewskim, a Nidecki, który mu o tem donosił, wszedł w stosunki z Myszkowskim, sekretarzem większym, który mu robił nadzieję, że go umieści w kancelaryi. On tymczasem, przy całej pewności, iż był zdolniejszy od tamtych, rdzewiał w ustronnym Czarnolesie, w dali od wszelkiej atmosfery humanistycznej, w dali od wszystkiego, co było cywilizacją, a czem on tak nasiąkł za granicą. Co robić więc? Jak zaradzić temu położeniu? A żeby spróbować raz jeszcze? Żeby pojechać do Wilna, zbliżyć się do dworu, skorzystać ze stosunków Nideckiego i Górnickiego?

Wszak poprą go, gdy im wyjawi powód, dla którego przedsiębrał tę daleką podróż. W każdym razie, nie ruszając się z Czarnolasu, nic nie wskóra. W tem przeświadczeniu, z nadziejsiem jesieni, po ukończeniu zasiewów, gdy na wsi niema wiele do roboty, pojechał do Wilna.

II.

Jechałeś potym ziemią, tam gdzie Wilna cicha
Górę z wieku sadzoną potajemnie spycha,
Czyniąc sobie gościniec cichy do siostryce,
Której szumny bieg słyszy przez wąskie granice.

Słowa te, wyjęte z *Pamiętki*, odnoszą się równie dobrze do Jana Tęczyńskiego, jak i do ich autora, który teraz przyjeżdżał do stolicy Gedymina. Gród ten, zaparty lesistemi górami, a uwieńczony dwoma zamkami, roił się właśnie — gdy w jego świeżo wzniesione mury wjeżdżał Kochanowski — od pocztów zbrojnych, zalewających wszystkie ulice i place, gdyż była to chwila, w której pospolite ruszenie, pod wodzą Hieronima Chodkiewicza, gotowało się na wyprawę do Inflant. Ta atmosfera wojenna, którą oddychała nie tylko stolica Litwy, ale i kraj cały, odbiła się w elegii do Nideckiego, u którego poeta stanął kwaterą, a który, podobnie jak on, wcale rycerskim duchem się nie odznaczał. „Wojna grozi, Patrycy! czyż i my pójdziem na wojnę, czyż i nam wypadnie zapisać się do twardej żołnierki?“ Nie miał ochoty po temu — jak to wynika z dalszego ciągu elegii — a powtóre, nie po to zjechał do Wilna.

Co go tu sprowadzało, z tem pewno nie tał się przed Nideckim, skoro, ledwo przyjechał, zaraz wszedł w stosunki z wojewodą wileńskim, Mikołajem Radziwiłłem Czarnym, mającym, jako brat Barbary Radziwiłłówny, największy wpływ na króla. Jako zagorzały krzewiciel kalwinizmu, był to „najgorszy z heretyków“; mimo to, pałac jego, położony naprzeciw kościoła św. Jana, słynął ze swojej przysłowiowej go-

ścińności, na której się nie zawiódł i Kochanowski: był bardzo dobrze przyjęty. Co prawda, znajdował się w tem szczęśliwem położeniu, iż nie tylko korzystał z przywilejów człowieka, który już zdążył się wslawić jako poeta, ale nadto zjawił się na dworze wojewody, jako od dawna znany jego żonie Elżbiecie, Szydłowieckiej z domu, a więc Odrowążównie. Ostatnia okoliczność była pewnem ułatwieniem dla Kochanowskiego, bo jako współherbowny z wojewodziną, a nawet pochodzący z tych samych stron, co ona, był dla niej, jako sandomierzanki, nadzwyczaj miłym i pożądanym gościem. „Przynosił z sobą, jakby woń ziemi rodzinnej i budził niejedno z lat młodocianych wspomnienie, które, bodaj czy w jej duszy nie świeciło jaśniej, niż blaski mitry książęcej i dostojeństw, które na nią przez małżonka spływały! Wychowana w tradycjach pobożności, wspólnych całemu rodowi Odrowążów, nagle ujrzała się pod wpływem antykatolickim małżonka, który zadając gwałt jej sumieniu, narzucał jej swe dogmata, aż wkońcu znękał jej umysł, złamał wolę i do odstępstwa przymusił“. Jednem słowem była to kobieta nieszczęśliwa. Co innego mówi dedykacja *Zuzanny*, przypisanej przez Kochanowskiego „iey M. Paniey Elżbiecie z Szydłowca, na Ołkach y Nieświeżu Księżnie, etc.“, w której poeta zapewnia swą protektorkę, iż szczęście jej dochodzi do kresu, „że nie wiem, jeśli prosić o więcej się godzi“. Cóżkolwiekby, pierwsze słowa dedykacji, poprzedzającej ten wdzięczny poemat biblijny, są piękną charakterystyką zacnej, a młodo zmarłej matki dzieci wojewody:

Wszystkich skarbów na świecie, y wszystkiego złota,
Godnaby, zacna pani, twa dobroć i cnota.

Co pewna, to, iż jak *Zuzanna* należy do pierwszorzędnych i najdoskonalszych dzieł poety, tak, ofiarując ją „prostu przybraną“, t. j. w rękopisie¹⁾, wojewodzinie, bardzo

¹⁾ Pleniewicz przypuszcza, że poeta *Zuzannę* osobiście nie w druku, lecz w rękopisie ofiarował Elżbiecie. Nie godzi się

liczył na jej dobroć i wpływ na męża, który go mógł polecić do kancelaryi królewskiej. Niestety, chwila, w której powierzał się opiece i protekcji wojewody, była nieodpowiednia, gdyż była to chwila właśnie, w której Padniewski „brał górę” nad Radziwiłłem, gdy chodziło o wpływ na chwiejny umysł króla. Stąd poszło, iż Radziwiłł, choć mógł mieć najlepsze chęci, nie wiele mógł zdziałać dla poety; paraliżował go Padniewski, świeżo mianowany biskupem krakowskim.

Nie znaczyło to przecież, ażeby sam Padniewski nie chciał czegoś zrobić dla Kochanowskiego, ażeby mu nie zależało na pozyskaniu go sobie. Najlepszy dowód, że wtedy, gdy autor *Zuzanny* zaczął powątpiewać o możliwości dostania się na dwór królewski, on, Padniewski, zaprosił go — przez Nideckiego zapewne — na swój dwór biskupi. „Dostąpiwszy jednej z najwyższych w kościele polskim godności, pragnął teraz otoczyć się blaskiem, któryby zaćmił hulaszczą rozrzutność Gamrata, humanistyczną dworskość Maciejowskiego, wreszcie przepych wielkopański poprzednika, Zebrzydowskiego, słowem, postawić swój dwór na takiej stopie, iżby obok okazałości zewnętrznej, zajaśniał doborem co najpierwszych w kraju humanistycznych zdolności. Jeżeli zaś kto, to Kochanowski trafiał w rym owych chęci”. Ale poeta, wbrew wszelkim oczekiwaniom biskupa, wcale się nie zapalił do roli dworzanina biskupiego, ostatecznie bowiem, choć tu chodziło o coś więcej, bo o rolę nadwornego poety biskupa, to jednak oficjalnie miał być tylko dworzaninem, a to mu nie wystarczało: poprostu nie

na to Brückner na stronie 663 swej recenzji w *Pracach filologicznych*. Godząc się na wiele wniosków Plenkiewiczza, Mazanowski uważa, że napisanie *Zuzanny* podczas pobytu poety w Wilnie nie jest ściśle umotywowane. Prof. Brückner powątpiewa nawet, czy Kochanowski wogóle był kiedy w Wilnie, a przynajmniej nie uważa tego za rzecz pewną. Prof. Nehring nie idzie tak daleko w swym sceptycyzmie, przynajmniej w tym jednym punkcie, i pisząc pod rokiem 1560 o podróży Kochanowskiego do Wilna, nie stawia żadnych znaków zapytania (strona 15).

wyobrażał sobie, ażeby na tej drodze mógł zrobić jakąkolwiek świetniejszą karierę. Innego zdania byli Górnicki i Nidecki, którzy go, jak się zdaje, przekonali wkońcu, że źle czyni, ociągając się z wstąpieniem na dwór Padniewskiego. „Jeżeli szło o kancelaryę królewską (tłómaczyli mu), to wstęp do niej przy protekcji biskupa zawsze był dla niego otwarty; gdyby zaś obrał zawód duchowny, skądże, jeśli nie z jego dworu, najprostsza droga wiodła do beneficjów intratnych”. A powtóre, służba w kancelaryi królewskiej, wymagająca całodziennego pisaniny, redagowania rozmaitych aktów, obrabiania najrozmaitszych spraw i t. d., nie była dla niego, kiedy służba na dworze biskupa, który pragnął zapewnić mu byt nieskrępowany ściśle oznaczonym obowiązkiem, byle tylko mógł tworzyć spokojnie, była jakby dla niego stworzona. Zdaje się, że te i tym podobne argumenty przekonały Kochanowskiego, gdyż wkońcu zdecydował się stać „w pacholczem kole” dworzan Padniewskiego. Jakoż wstąpił na jego dwór.

I nie żałował tego. Okazało się bowiem, że Padniewski był świetnym typem humanisty, „w którym wszystkie przymioty umysłu i właściwości charakteru zlewały się w całość harmonijną, tworząc z niego w pewnej mierze doskonałego człowieka”.

Niezależnie od tego, musiał Kochanowski, w celu uregulowania swych interesów gospodarskich, zajrzeć i do Czarolasu. Wrócił więc, a nie przypuszczał nawet, rozstając się z biskupem, że upłyną dwa lata, zanim go ujrzy znowu. Mimo to, zjechawszy do domu, gdzie bądź co bądź czuł się panem i pierwszą osobą, nie tracił czasu, przerabiał dawne utwory, pisał nowe, studiował Arata, a nawet nie gardził zwykłą dolą ziemianina, który, siedząc na roli, nie stroni od sąsiadów, od rodziny. Bo i z rodziną wolał żyć w zgodzie, aniżeli siebie i ich drażnić ciągłymi zatargami. Jednym słowem, prowadził żywot harmonijny, który jeżeli mu co zakłócało, to chyba zbyt obfite żniwo śmierci. Bo śmierć kosiła

jak zwykle, bez względu i na takich ludzi nawet, jak St. Tęczyński, zmarły w grudniu roku 1560, i hetman Tarnowski, który w dniu 16. maja 1561 roku w Wiewiórcy,

Peten wieku i przystojnej chwały,
Sam się prawie położył, jako kłós dojrzały.

Pod wrażeniem tej śmierci, a następnie wspaniałego, iście królewskiego pogrzebu, w którym wziął udział, napisał Kochanowski, zwracając się do Jana Krzysztofa Tarnowskiego, jako nadziei i podpory wielkiego domu, dwa wiersze: elegię łacińską, bardzo długą, w której opowiedział całe życie hetmana, i pieśń polską *O śmierci Jana Tarnowskiego*, która w tymże roku jeszcze, sumptem syna, wyszła w Krakowie.

Tymczasem w marcu 1562 roku, odbywał Padniewski „przy oklaskach i okrzykach ludu” swój uroczysty wjazd do Krakowa, a poeta nie tylko w tej chwili znajdował się w świeckim otoczeniu biskupa, ale mu, jako „swej ozdobie i ulubieńcowi muz aonijskich” ofiarował kwiecisty „wieńiec z Helikonu” w formie elegii łacińskiej, wychwalającej cnoty podkanclerzego ¹⁾ i wyrażającej radość z jego przyjazdu. „Ciebie matka Wisła, w żółte włosy wplótłszy gałązki wierzbowe, już dawno, wynurzywszy się z nurtów przeźroczystych, radośnie przywołuje... Ciebie, w grodzie Krakusa, najpiękniejsza siedziba i poświęcane wieńce mające skroń twą ozdobić, oczekują; ciebie pragną oglądać dobrzy obywatele; tobie, w pełnych koszach, należne dary niosą wiślane Najady”. Od tego uroczystego dnia poczynszy, przebywał stale Kochanowski w gronie dworzan biskupa, a choć nie brakło najróżnorodniejszych zajęć, które niezawsze były interesujące, to jednak nie skarżył się na swoją dolę. Wy-

¹⁾ Kto wie jednak, czy elegia ta nie została napisana wcześniej, niż przypuszcza prof. Pleniewicz, bo właściwie jest ona, nie wyrazem radości z przyjazdu biskupa, lecz wyrazem niecierpliwego oczekiwania na jego przyjazd, od dwóch lat odkładany z dnia na dzień.

różniani przez Padniewskiego, którego sobie musiał ująć swą elegią, przykładął się do niektórych robót w kancelarii, był używany n. p. do korespondencji, tak z królem, jak z koronnymi panami, lecz wogóle nie przepracowywał się. Natomiast korzystał z miłego i kształcącego towarzystwa kilku sekretarzy kancelarii królewskiej, którzy, przebywając na dworze biskupim, byli, jako *lumina* humanistyczne, jego prawdziwą ozdobą. Wedle słów Jakóba Górskiego, który sam również do tych *luminów* należał, stanowili to wybrane kółko: Andrzej Krajewski, wyćwiczony w akademii bonońskiej, a obecnie kanclerz biskupi; Stempowski, człowiek młody, nadzwyczaj biegły w naukach humanistycznych i piórze; i wreszcie „doktor Patriciusz” Nidecki, którego cyce-rońskie *Fragmenty* świeżo wyszły w Wenecyi. O Kochanowskim wyraża się Górski, że „niegdyś wiele zakosztowawszy nauk, teraz słodszej nad nie oddał się Muzie (*Musae mansuetiosi amantissimus*)”. Oprócz tych *luminów*, z którymi poeta „w biskupiej komorze” niejedną pogodną chwilę przeżył, nie brakło i wesołych birbantów, jak doktor Montana, unieśmiertelniony w tytu *Fraszkach*, lub St. Złotnicki, którego pamięć przetrwa w *Foricoeniach*. W ich towarzystwie, sławiąc „wino, lutnię, podwikę”, i sypiąc *Fraszki*, jak z rękawa, spędzał czas poeta, niewiele myśląc o jutrze, jeno używając błęgiego dzisiaj. Na mieście także miał mnóstwo znajomości, zarówno w sferach duchownych, jak mieszczańskich. Ze Stanisławem Porębskim, poetą, którego *Skotopaski* stawiał na wyżynie sielanek Teokryta, miał możność gawędzenia o literaturze; z Feliksem Kosem, służebnikiem kanonika krakowskiego, niejednokrotnie „weselił się” w miejscowych gospodach; a z mieszczańskimi rodzinami Kirschsteinów i Glaców, należącymi do rodów patrycyuszowskich, żył na serdecznej stopie: tak dalece, że starym Kirschsteinowi, zwanemu także Cezarynem, napisał piękny epigramat, nazywając go „czcicielem prawa i słuszności”, a Josta Glaca aż trzy razy „włożył między fraszki”.

W ten sposób, na przedstawianiu z takimi ludźmi, upłynęło mu dwa miesiące. W czerwcu przeniósł się wraz z całym dworem Padniewskiego, rozpoczynającego objazd dóbr, do Kielc. Tutaj, w ulubionej rezydencji letniej biskupów krakowskich, w obszernym dworze drewnianym, przez Piotra Tomickiego wystawionym, na tle uroczego pejzażu, na który składały się odnóża gór Świętokrzyskich, odwiecznymi lasami pokryte, oddychał Kochanowski, naprzekór swojej opinii człowieka „wolnomyślnego“, nietylko ożywcem powietrzem górskim, ale i atmosferą duchowną i księżą, „środkującą między kościołem a zakrystią“. Dwór roił się tłumem prałatów, kanoników i niższego duchowieństwa, ale poety nie wytrącało to z równowagi: umiał przystosowywać się do każdego otoczenia, mieniąc się, jak Proteusz, „to w smoka, to w deszcz, to w ogień“. To sprawiało, że ciągle trwał w nastroju pogodnym, któremu dawał wyraz w licznych fraszkach i epigramatach, pisanych na różne osobistości z najbliższego otoczenia. Tymczasem, po krótkim pobycie w Kielcach, przeniesiono się do Bodzentyna, do zamku biskupiego, którego białe mury jaśniały na wysokim wzgórzu, a z którego okien rozlegał się widok na wspaniały ogród, słynny ze swoich dzew owocowych i na kopiaiste, lasami pokryte góry. O piękniejszej siedzibie marzyć było trudno. Jedyną okolicznością, zakłócającą ten błogi żywot, było przymusowe towarzyszenie Padniewskiemu, gdy zasiadał na sądach, ale i tak nie brakło czasu na humanistyczne *otia*. Cóż dopiero, gdy się po paru tygodniach przeniesiono do Iłży, do której już sama podróż „przez skały nieprzebyte“ była nadzwyczaj przyjemną rozrywką w czasie skwarne lata. W średniowiecznym zamku iłżeckim, zbudowanym na stromej górze, obronnym murami i basztami, a niedawno przekształconym w stylu renesansu, nie miało się wrażenia, że się przebywa w sępiem gnieździe, pomimo groźnego i posępnego wyglądu zamczyska. „U stóp bowiem kamiennego olbrzyma, od północo-zachodu, było miasto, którego domy,

widziane stąd, maleją do rozmiarów wyciętych z kart budynków, ludzie — do rozbiegłego za pożywieniem mrowiska. W okół zresztą rozłożyły się pola i łąki kwieciste, przetrzniete łozyskiem Iłżanki; wszystko to zaś objęły kołem iglaste lasy. Podobne otoczenie, co prawda, nie wieleby jeszcze nęciło oko, pomimo urozmaicenia okolicy przez rozrzucone tu i owdzie wioski i młyny; ale właśnie ponad te lasy, opadłe w dół, wzrok mógł sięgać na południe w przestrzeń o rozległej a głębokiej perspektywie, w której na ostatnim planie, w przezroczu powietrznym, błękitniało pasmo gór Świętokrzyskich“. Kochanowski nie został obojętnym wobec tych gór, skoro w swojej *Pamiętce* powraca myślą, „tam, gdzie ku niebu patrzą Kazimierskie skały“. Jakoż wspomnienia jego, wyniesione z pobytu w Iłży, były nader przyjemne, jak o tem świadczy epigram do Jakóba Górskiego. „Tu nawet, gdzie Iłża spoziera na żyzne pola, tu przez bystre potoki i skały nieprzebyte, doszła, Górski, wieść głosząca twoje czyny“. I nie dziw, że doszła, bo gdzie było tylu wykształconych mężów, skupionych koło osoby biskupa, tam interesowano się wszystkim, co wchodziło w zakres humanizmu, a takie zdarzenia, jak Górskiego spór z Herbestem, w którym Padniewski był uproszony na rozjemcę, najwięcej dostarczały tematu do rozmów w otoczeniu dworskim. Że to otoczenie nie gardziło i winem, zwłaszcza, jeśli to było wino węgierskie z Muszyny, o tem świadczy fraszka *Do Starosty Muszyńskiego*, którego poeta obiecuje swemi „pijanemi rymy“ aż do nieba wprowadzić, jeśli go i jego towarzyszków, chcąc się popisać swym „smakiem starodawnym“, uczci dobrym węgrynem.

Tak zeszło całe lato. Pod jesień wrócono do Krakowa, właśnie w chwili, gdy uniwersał królewski zapowiadał dokonanie „egzekucyi“ w całej pełni, głosząc bez ogródkki, że „dopóki się ten pień z drogi nie zwali, trudno się ma co o porządku jakimś mówić“. Uniwersał ten, zważywszy, iż różnowiercy domagali się nietylko świeckiej egzekucyi, ale

i duchownej, stał się źródłem różnych obaw na dworze biskupim, przeczuwano bowiem, że się zanosi na zaciętą walkę z różnowiercami, podczas której Padniewskiemu, jako biskupowi, przyjdzie wystąpić w obronie Kościoła, co w danej chwili wcale nie było łatwe. Wiedzano również, że w tej walce musi przyjść do starcia między Padniewskim a Myszkowskim, a to starcie mogło pierwszego z nich zachwiać. Jednym słowem, zapanowała pewna konsternacja na dworze biskupim, co widząc Kochanowski, coraz częściej zaczął przemysliwać o dostaniu się na dwór Myszkowskiego.

Tymczasem dnia 29. lutego 1562 roku rozpoczął się sejm w Piotrkowie, sejm, na którym różnowiercy, ośmieleni uniwersałem Myszkowskiego, chcieli przeprowadzić kościół narodowy. Walka toczyła się zażarta, napaści zaś zwrócone przeciwko biskupowi, były tak silne, że już 5. grudnia Padniewski złożył pieczęć podkanclerską. Była to klęska, którą i Kochanowski musiał odczuć bardzo żywo. Uptywały miesiące, nadszedł luty, a protestanci nie tracili animuszu; przeciwnie, rozzuchwalili się do tego stopnia, że nie tylko napałali na Zygmunta Augusta, nie tylko piorunowali przeciw przywilejom duchowieństwa, domagając się równouprawnienia, ale poprostu zaczęli grozić biskupom. Ci ostatni, widząc, że się nie uporają z potężnym stronnictwem protestanckim, wpadli na pomysł, ażeby wypuścić pismo przeciwko różnowiercom, któreby ich zdyskredytowało w oczach opinii publicznej. W ten sposób powstała *Zgoda* Kochanowskiego¹⁾, napisana z polecenia Padniewskiego, a będąca ciętą odprawą różnowiercom. Kij, wetknięty w mrowisko, mniej czyni zamieszania w pośród mrówek, aniżeli ta broszurka poety, w licznych odpisach rozrzucona pomiędzy postów. Zakłócała w obozie protestanckim, a na Kochanowskiego — którego w tym obozie uważano za swego — po-

¹⁾ Zdaniem Antoniego Mazanowskiego, można, a nawet trzeba przyjąć tak dokładną, ścisłą i logiczną genezę *Zgody*, daleko pewniejszą od wywodu Bobrzyńskiego.

sypały się zarzuty, że został jurgeltnikiem biskupa, że się sprzeniewierzył idei protestanckiej. Ale poeta nic sobie nie robił z tego „świętego oburzenia“ różnowierców, bo pisząc *Zgodę*, choć szedł za wskazówkami Padniewskiego, pisał zgodnie ze swymi przekonaniami. Nie znaczy to, żeby był zadowolony z tego pamfletu, (gdyż nie da się zaprzeczyć, że *Zgoda* była pamfletem): raz dlatego, że upragnionej zgody nie sprowadził, przeciwnie, jeszcze bardziej rozjątrzył zwaśnione żywioły, a powtórę, że *Zgoda* tak zaabsorbowała uwagę wszystkich, iż poemat jego *Szachy*, istne cacko artystyczne, do którego wiele przywiązywał wagi, przeszedł prawie niepostrzeżenie, choć wyszedł na krótko przed sejmem, a był przypisany Janowi K zysztowskiemu Tarnowskiemu. A jednak poeta zdawał sobie sprawę doskonale, że *Szachy*, choć były przeróbką poematu włoskiego, były prawdziwym klejnotem pomiędzy jego dotychczasowymi utworami, jako taki zaś, posiadały wartość pierwszorzewną¹⁾. Mimo to, nie poznano się na nich. To go dotknęło: o tyle boleśniej, że

¹⁾ Stanisław Witkowski w swem cennem studium p. t. *Stosunek „Szachów“ Kochanowskiego do poematu Vidy „Scacchia ludus“* nie tylko dał syntezę dotychczasowych badań w tej materii, uwzględniwszy i oceniwszy krytyczne poglądy Krasickiego, Bentkowskiego, Mickiewicza, Bandtkiego, Dzieduszyckiego, Korytyńskiego, Niedźwiedzkiego, Chlebowskiego, ale sam rzecz zbadał gruntownie, przyczem ostatecznie doszedł do następującego wniosku: „Poemat łaciński Vidy obudził w Kochanowskim myśl napisania, podobnie, jak Vida, poematu o grze w szachy w ojczystym języku. Inwencya poematu jako całości jest zupełnie oryginalną i w niczem od łacińskiego poety niezależną, tak, iż poematu polskiego nie można uważać nie tylko za tłómaczenie, ale nawet za naśladowanie lub parafrazę. Natomiast w inwencji szczegółów, mianowicie odnoszących się do przebiegu gry, poeta polski poszedł za utworem łacińskim, naśladując lub tłómacząc całe ustępy. Ale nawet na tłómaczonych miejscach wycisnął nieraz własne piętno, wzbogacając je z jednej strony drobnymi rysami oryginalnymi, z drugiej, pomijając to, czego nie uważał za zupełnie odpowiednie“. Wkońcu Witkowski uzasadnia twierdzenie, że pod względem inwencji całości utworowi Ko-

wogóle był rozdrażniony przez cały czas trwania owego fatalnego sejmu¹⁾; niedość bowiem, że go szarpano z powodu *Zgody*, ale nadto musiał się procesować ze swym stryjem, Filipem, który go teraz w Piotrkowie zapozwał do sądów asesorskich królewskich, że mu we właściwym terminie nie uiścił się z jakiegoś długu. Ech tej sprawy, która oburzyła autora *Szachów*, jest złośliwa fraszka *Na Stryja*.

Z tegoż czasu datują się dwa *Epitaphia* na śmierć Mikołaja Trzebuchowskiego, zmarłego w ciągu sejmu, a będącego jednym z najzacieklejszych przeciwników Padniewskiego. I Kochanowski, będąc jego sługą, napisał aż dwa „nagrobki“ na śmierć takiego człowieka? Mogło to wydawać się tem dziwniejszem, że i Jan Krzysztof Tarnowski, któremu poeta przypisał *Szachy*, należał do antagonistów biskupa. Jak mógł poeta, nie chcąc się narażać swemu protektorowi, w ten sposób zaznaczać swoje sympatyje dla jego przeciwników?

Tłómaczy się to tem, że autor *Zgody* powoli ostygał w swoim zapale do Padniewskiego. Ostatecznie przekonał się, że biskup, o ile hojnie wynagradzał niektórych z dworzaków swoich, o tyle jego, jakby umyślnie, omijał. To poecie zrażało do niego. Zawiódł się w swych oczekiwaniach. A tymczasem Myszkowski, któremu po skończonym sejmie dostała się — po Padniewskim — pieczęć mniejsza, przeczytawszy *Zgodę*, od razu poznał się na talencie jej autora, a że z Padniewskim był na wojennej stopie, więc tembar-

chanowskiego należy przyznać pierwszeństwo nad poematem Vidy. Zato pod względem formy, zwłaszcza, gdy chodzi o wykwinność i potoczność stylu, Vida góruje nad Kochanowskim, co zresztą jest łatwo zrozumiałem: Kochanowski kształcił dopiero język poetycki polski, Vida zaś posługiwał się językiem już od kilkunastu wieków wyrobionym i do szczytu rozwoju dawno doprowadzonym.

¹⁾ Nie wierzy w to — niczem nieumotywowane — rozdrażnienie prof. Brückner, który również kwestyonuje i „niepopularność *Szachów*, zepchniętych niby na drugi plan przez *Zgodę*“. *Op. cit.* strony 646—647.

dzie zapalił się do myśli, ażeby mu odbić Kochanowskiego. Wszak i Nideckiego już zdołał pozyskać dla siebie. Czemużby mu się to nie miało udać z autorem *Szachów*? Człowiekiem, którego Myszkowski postanowił użyć w celu pozyskania sobie Kochanowskiego, był Nidecki. Przez niego zaczął działać na poetę: najprzód w Piotrkowie jeszcze, przed rozjechaniem się posłów, gdzie Nidecki — jak ongi w Krakowie w roku 1557¹⁾ — starał się wytłómaczyć swemu przyjacielowi, jakie korzyści mógłby osiągnąć z udania się pod opiekuncze skrzydła Myszkowskiego; a następnie, już po swym powrocie do Wilna, dokąd mu towarzyszył Nidecki, listami tegoż, wysyłanymi do Krakowa, dokąd poeta, po krótkich rekreacjach w Bodzentynie udał się wraz z całym dworem biskupim, listami, coraz usilniej nakłaniającymi Jana, żeby nie ociągał się ze zmianą protektora. W listach tych (z których, niestety ani jeden nie dochował się do naszych czasów) było — jak chce prof. Pleniewicz — wiele mowy o kwestyach naukowych filologicznych, mianowicie w kwestyi przekładu *Fenomenów* na język polski, nad którym to przekładem Kochanowski pracował w tym czasie²⁾; ale niemniej w nich miejsca zajmowały formalne

¹⁾ Zobacz książki prof. Pleniewicza strony 280 i 281, gdzie pod rokiem 1557 czytamy, co następuje: „Że poeta odwiedził Patrycego w Krakowie, przed jego wyjazdem do Wilna, to nie ulega wątpliwości“. „Przedewszystkiem (już wtedy!) Nidecki musiał być niemало zdziwiony, iż Kochanowski, pragnąc się umieścić w kancelaryi królewskiej, dotąd nie zbliżył się do Myszkowskiego, który przecież jako sekretarz większy, bezpośrednio kancelaryą zarządzał i królowi od siebie kandydatów zalecał. Poeta musiał uznać trafność tych uwag, zwłaszcza, że jako u wychowanka pańskiego przyjaciela i kolegi Klemensa Janickiego, mógł się spodziewać najlepszego przyjęcia. Podążył więc z Patrycem na ulicę Kanonną“.

²⁾ „Kochanowski — pisze prof. Pleniewicz na stronie 341 swego dzieła — porównyując tekst grecki *Fenomenów* i *Prognozyków* z ocalałym przekładem Cicerona, dopełnił go *proprio ingenio*, już to dorabiając brakujące w nim wiersze, już naprawiając tekst zepsuty własnymi konjekturami, z których kilka weszło nawet

układy z poetą, dotyczące jego przejścia do obozu Myszowskiego, „który pragnął mu otworzyć szeroko wrota do przyszłego zawodu, wyrabiając sekretarstwo królewskie“. Dla poety „przedstawiało się to nader ponętnie, jako dobrodziejstwo, świadczone bez ubocznych widoków, zwłaszcza, iż w zamian nie wymagano nic więcej nad poparcie piórem dążności, które podkanclerzy miał na przyszłym sejmie wypowiedzieć w propozycjach od tronu. Krótko mówiąc, szło o napisanie czegoś podobnego do *Zgody*“. Gdy Kochanowski przyrzekł napisać coś w tym rodzaju, wtedy otrzymał z Wilna treść przyszłego orędzia podkanclerzego, oczywiście z postanowieniem swobody rozwinięcia jej według własnych pomysłów, i w ten sposób powstał jego *Satyr*¹⁾, który, jak się okazało wkrótce, był w wielu miejscach dosłowną parafrazą owego orędzia.

do drugiego wydania *Fragmentów*. Nim jednak podług oryginału zrekonstruował tekst cyceroński i wydrukował w roku 1579 z poprawkami tekstu Nideckiego, wprzód zamierzył drukować przekład *Fenomenów* na język polski i właśnie nad jego wykończeniem pod koniec swego pobytu u Padniewskiego pracował“. W przedmowie swojej, pisanej dnia 13. września 1564 roku, a poprzedzającej wydanie fragmentów, Nidecki wspomina o Kochanowskim, że *Fenomena* „mowie polskiej przyswoił i prawom naszego wiersza podane, potomności przekazał“.

¹⁾ O czasie napisania *Satyra* znajdujemy w recenzji Antoniego Mazanowskiego następujące zastrzeżenia: Słabo motywuje p. Pleniewicz swoją hipotezę o powstaniu *Satyra* przed 22. listopada 1563 roku. Ani bowiem brak wzmianki o zakończeniu sprawy wołoskiej, ani wyrażenie „Jedź do Trydentu“ nie obala zgoła twierdzeń prof. Morawskiego. Dlaczego koniecznie musiał szeroko wyklądać całą sprawę wołoską społecznym, którzy ją znali doskonale i poprzestał tylko na wzmiance i to starczyło; a wyrażenie „Jedź do Trydentu“ niekoniecznie trzeba rozumieć literalnie. Mogły się obrady zbliżyć do końca w Trydencie, a mógł poeta wysyłać innowierców do Trydentu, aby się nauczyli dogmatów wiary katolickiej, tak, jak i dziś z myślą o Trydencie łączy się myśl wzmocnienia jedności kościelnej. Materyjalnego dowodu przeciw dacie 22. listopada 1563 roku te wyrazy nie dają. Ale dają ten dowód

Tymczasem poeta, pewny protekcji nowego patrona, opuściwszy dwór Padniewskiego, z którym się w zgodzie rozstał, udał się do Warszawy, gdzie na listopad był zwołany sejm. Tutaj „kwapiony“ przez Myszowskiego, przerobił i wykończył ostatecznie *Satyrę*, i napisał dedykację, którą z porady Myszowskiego, pragnącego ułatwić mu drogę do przyszłych zaszczytów, zwrócił do Zygmunta Augusta¹⁾. Tym sposobem już około 22-go listopada, w którym to dniu Myszowski odczytał swoje orędzie, *Satyrę*, przepisany w mnóstwie egzemplarzy, mógł być rozrzucony między posłów. Bo chodziło o to, ażeby tem pismem poprzeć i spularyzować poglądy na sytuację polityczną, w orędziu podkanclerskim wyrażone. Czy *Satyrę* osiągnął ten rezultat? Zdaje się, że osiągnął, że był czytany skwapliwie, ponieważ Myszowski nie tał się ze swem zadowoleniem, czego niebawem miał dać dowody.

Zato Padniewski, który także przybył na ten sejm warszawski, bardzo był niezadowolony z *Satyra* i jego autora. Czuł się nim dotknięty osobiście. Dlatego nie obeszło się bez wymówek, gdy się spotkał z poetą. Ale Kochanowski już nie dbał o biskupa, a na jego wymówki odpowiedział złośliwym epigramatem. „Nie służę tobie, nie zrównany

słowa „kwapiona praca“, użyte przez poetę. Prof. Pleniewicz usiłuje wytłómaczyć je odmiennie, niż prof. Morawski; jednak dowód p. Pleniewicza — jak i dowód o czasie pisania jest wątpliwy — i geneza prof. Morawskiego musi się ostać, bo jest zupełnie naturalna i prosta. Jakże można n. p. przypuścić, aby sam Myszowski „chcąc poecie otworzyć drogę do przyszłych zaszczytów“, zachęcał go do dedykowania Zygmuntowi poematu, w którym młody poeta radzi królowi, w myśl mowy Siennickiego, aby „zaczął rząd od siebie“ i t. d. Takie rady mogły chyba zamknąć poecie drogę do zaszczytów, nie zaś otworzyć.

¹⁾ Według Stan. Windakiewicza (*Życie dworskie Kochanowskiego*) poeta zjeżdża do Warszawy z Firlejem (jako jego dworzanin) i tutaj, porzuciwszy służbę u Firleja, oddaje się na usługi Myszowskiemu.

kapłanie, ni konno, ni pieszo, lecz z tego powodu wstyd oblicza mego nie pokryje, nietylko gdybym żądał od ciebie, jakiej nagrody, lecz nawet gdybym się jej, wbrew mojej zasłudze, spodziewał. A przecież skrzętna mrówka, pomna na nadchodzącą zimę, latem wciąż zewsząd znosi zapasy, czem ludziom dobry przykład daje, by i oni, dopóki wiek służy a nogi zdrowe, opatrzyli sobie dom i przysposobili sobie chleb na starość skołataną. Wybacz tedy, że i ja, gdy już prawie zbliża się zima mego życia, jestem nieco troskliwy o zapewnienie sobie własnego kąta¹⁾.

Tymczasem Myszkowski dotrzymał przyrzeczenia: poeta dostał się do kancelaryi królewskiej, a wstępując do niej, nie przypuszczał nawet, że był to tylko szczebel, z którego podkanclerzy umyślił go wynieść do jeszcze wyższej godności w hierarchii dworskiej. Jakoż w rok niespełna, wyrobił mu sekretarstwo królewskie z tytułem *Secretarius regius*, a prawie jednocześnie, dnia 7. lutego 1564 roku, odstąpił mu intratne probostwo katedralne poznańskie¹⁾.

III.

Zostawszy proboszczem poznańskim, musiał Kochanowski, w celu objęcia dóbr, przywiązanych do probostwa, udać się do Poznania, wrażenie zaś, jakie wyniósł stamtąd, nie mogło wypaść inaczej, tylko dodatnio i na korzyść Myszkowskiego; ofiara bowiem, którą podkanclerzy zrobił dla poety, zrzekając się tego probostwa, świadczyła zarówno o jego wspaniałomyślności, jak i o wysokim uzna-

¹⁾ Że już w tym czasie sława poety była rozgłosną w Polsce, dowodzi tego wydany w roku 1562 *Zwierzyniec* Mikołaja Reja z Nagłowic, w którym to utworze znalazł się między innymi i następujący komplement dla Kochanowskiego:

Przypatrz-że się, co umie pocziwe ćwiczenie
Gdy szlachetne przypadnie k'niemu przyrodzenie;
Co rozeznasz z przypadków i z postępów jego,
Tego Kochanowskiego, szlachcica polskiego.

niu dla talentu twórcy *Satyra*. Dochody, jakie przynosiło to probostwo, były bardzo ponętnym kęsem, a napływając z trzech kompleksów dóbr¹⁾, położonych w różnych okolicach Wielkopolski, dawały najkompletniejsze „zapewnienie sobie własnego kąta“, na którym tak zależało autorowi epigramatu do Padniewskiego. To była ich największa zaleta. Ale była i druga, niemniejsza. Oto Kochanowski, otrzymawszy probostwo „tylko dla dochodów“, nie potrzebował wcale (bo nie miał prawa, jako człowiek świecki), brać czynnego udziału w obradach i postanowieniach kapituły — warunek, który mu z pewnością bardzo był na rękę. Wystarczało, żeby się stawiał osobiście przy akcie instalacji na proboszcza kapitulnego, co nastąpiło w dniu 7. lutego 1564 roku, poczem mógł nie zaglądać do Poznania, porzostając na regularnem pobieraniu dochodów. Było za co dziękować Myszkowskiemu.

Podziękował mu w Warszawie, gdzie, po powrocie z Poznania, odrazu zaczął pełnić obowiązki dworzanina-sekretarza przy osobie króla. Na czem polegały one? Przedewszystkiem wymagały odpowiedniego stroju, który na każdy występ musiał być inny, a przynajmniej nie raził je-

Jako go przyrodzenie z ćwiczeniem sprawuje
Co jego wiele pisma jaśnie okazuje,
Mógł ci umieć Tybullus piórkiem przepierować
Lecz nie wiem, umiał li tak cnotą zafarbować.

W słowach tych, pięknie świadczących o pocziwym charakterze Reja, oddał jowialny twórca *Zwierzynca* najwymowniejszy „w nauce dank przed sobą“ Kochanowskiemu.

¹⁾ „Naprzód pierwszą ich grupę tworzyły dobra *Kicin* z przyległościami w północno-wschodniej stronie, niedaleko Poznania. *Kicin* obejmował wówczas połanków kmiecych 11, zagrodników 5, komorników 5, i łąnów pustych 3. Do niego należała karczma *Zjawieniec*, oraz wsie: *Janikowo*, *Czerwonak*, *Kliny* z *Olendrami*, *Hammer* z młynem i karczmą, i *Darmosz*“. Drugi kompleks dóbr, położonych na północno-wschód od miasta Środy, stanowiły wsie: *Środka*, *Mączniki* i *Szewce*. Trzeci kompleks wreszcie, pomiędzy Śwarzędziem i Kistrzyniem, stanowiła wieś *Paczkowo*.

dnostajnością, dworzanie bowiem, pełniący służbę na pokojach królewskich, zawsze musieli występować w strojach świetnych, nie podpadających najmniejszej naganie. Tak nakazywała etykieta dworska. Kochanowskiemu, który zawsze był elegantem, „wonnemi olejkami skropionym“ mogło się to podobać. Na głowie, krótko strzyżonej, z brodą zaokrągloną, a wąsem miernym, nosili dworzanie krągłą czapkę w formie fezu, kolorową lub w złotą łuskę, z naprzód podanem piórkiem przypiętem z boku; kaftany, aksamitne lub jedwabne, z kolorową podszewką, z futrzanymi wyłogami, z kołnierzem i bufiastemi, aż do łokcia porozcinanemi w pasy, rękawami, bywały najrozmaitszych kolorów, a zdobne białą fryzją dokoła szyi, oraz wspaniałym łańcuchem złotym, spadającym na piersi, wyglądały z pod białych, błękitnych lub karmazynowych żupanów, których ozdoby stanowiły olbrzymie guzy lub pętlice ze złotych sznurów; obcisłe, w ciżmy wchodzące spodnie, gładkie lub w pasy, również mogły być najrozmaitszych kolorów, choć najczęściej spotykanym był karmazynowy; u boku, na pasie rzemiennym, chwiała się prosta szpada z ozdobną rękojeścią, którą niekiedy zakrywał rąbek kolistego płaszcza włoskiego lub hiszpańskiego; lewa ręka zawsze była w rękawiczce, na prawej zaś, obnażonej, musiał błyszczeć złoty pierścień. W takim-to malowniczym stroju, w jakim zwykliśmy wyobrażać sobie Romea i tylu innych szekspirowskich bohaterów „miał teraz Kochanowski pełnić dyżury na pokojach królewskich, być każdej chwili, niezależnie od pory dnia lub nocy, gotowym do pisania listów, lub spełniania jakichś rozkazów, odczytywać królowi pisma urzędowe, towarzyszyć mu na posiedzenia senatu, gdzie dlań było miejsce po za tronem, spełniać od króla mniej ważne do ościennych dworów poselstwa, jeździć z listami do nieobecnych na dworze dostojników koronnych, należeć do komisji granicznych dotyczących dóbr stołowych lub starostw, rozpatrywać osobieście wszelkiego rodzaju czyny, wymagające sprawdzenia,

a podpadające pod kompetencję sądów królewskich, a przede wszystkim stać u drzwi komnaty królewskiej, oraz wprowadzać posłów zagranicznych, lub inne dostojne osoby, na posłuchanie do króla, co nie zawsze było łatwym zadaniem ze względu na ciżbę dworską, przez którą nieraz wypadało przebojem sobie drogę torować. Ale nic nie dawało się tak we znaki Kochanowskiemu, jak ustawiczne wystawianie u drzwi komnaty królewskiej i „wycieranie boków o twarde ich podwoje“, przyczem, nie mogąc ruszać się z miejsca, dopóki król nie udał się do stołu, nieraz i głodem przymerzał. „Tu nie zważam na skinienie drugiego, tu progu nie pilnuję, ani też sobie o twarde podwoje czulego nie obrażam boku. Tu, gdym głodny, nie mam potrzeby wyczekiwać, aż się panu jeść zachce, ani też w ciżbie komuś na przebój torować drogi; tu sobie życie nie według obcej urządzam woli, lecz wolno mi wszystkie godziny według własnego rozłożyć upodobania“. W tak niekorzystnym świetle opisze kiedyś Kochanowski, „uprawiając łany ojczyste“, te lata swego dworzanstwa, na to jednak, ażeby mu obrzydło w końcu, złoży się wiele. Tymczasem nie skarżył się na swoją dolę. Blizki osoby króla, pełnił służbę zaszczytną, a choć Zygmunt August, zamknięty w sobie, smutny, a przytem dbały o swą monarszą powagę, nikogo nie dopuszczał do poufałości ze sobą, wszystkich utrzymując w pewnem oddaleniu, to jednak człowieka tej miary, co jego sekretarz, mógł ujmować swem wykształceniem, wykwinnością w obejściu, wytwornym smakiem w rzeczach sztuki i nauki, oraz miłością dobra powszechnego, którego tak gorąco pragnął dla swych poddanych. Pozatem stanowili kontrasty, co nie wpływając na psychikę króla, na psychikę jego niepospolitego dworzanina, bardzo wrażliwego i drażliwego z natury, mogło niekiedy wpływać rozstrajająco. Kochanowski, choć doznał wielu zawodów, właściwie dopiero wstępował na drogę, która go do sławy, a może i do wyższych miała doprowadzić dostojenstw. Tamten czarę ży-

cia oddawna do dna wychylił i po kilku kroplach słodczy dopił się żółci; ten choć nieraz rozkosze czerpał z mętnego źródła, przecież tyle jeszcze miał w swej duszy zasobów młodości, że mógł się wszystkiego po przyszłości spodziewać. Więc też patrzy na świat okiem jasnym, pogodnym i zapewne nie rozumie upodobań Zygmunta do prześiadywania w komnacie czarnym kirem obitej, z takimiż kobierczykami, pokrywającymi ławy i stoły, a które tem więcej nadawały jej pogrzebowy charakter, że je zdobiły listwy białe, aksamitne, misternie haftowane czarnym jedwabiem“.

Na szczęście, to, co miał w sobie żalobnego i ponurego stosunek z Zygmuntem, łagodził przyjemny stosunek z Myszkowskim, do którego z niekłamaną skwapliwością biegł po ukończeniu swej służby przy królu. Ale bo też Myszkowski, jako człowiek, posiadał przymioty nieocenione, nieskończenie pod tym względem przewyższając Padniewskiego. Tamten nigdy nie zapominał wobec dworzan, czem jest w stosunku do nich; przeciwnie Myszkowski: ten ceniąc w Kochanowskim przedewszystkiem jego talent, uważał go za równego sobie i zachowując dygnitarską powagę dla innych, dla niego nietylko miał serce, ale i rękę otwartą (zwłaszcza tę, którą sięgał do trzosa). Przytem, był to człowiek wesoły, zamiłowany w ucztach i bachanaliach, podczas których — czego mu nie mogli darować niektórzy — najczęściej zapominał o swym charakterze kapłańskim. Opinia „wielbiciela nierządnic“ nie była oszczerstwem, tak samo, jak nie kłamali ci, co go nazywali *il piu astuto e fallace uomo di Polonia*, a podejrzewali go o ateizm, zarzucali sprzedajność w rozdziale beneficjów, głosili o jego złem obchodzeniu się z księżmi, których bijał nierzadko, i wreszcie oburzali się na brak wszelkiej miary w biesiadniczej ochocie, którym nieraz gorszył nielicznych Tartuife'ów swego hulaszczego i rozpustnego otoczenia. Do tych, którzy się nie gorszyli jego sybaryckiem, epikurejskiem ży-

ciem, ani jego przestawianiem z ludźmi, niezbyt ortodoksyjnych przekonań, ale owszem przyklaskiwali pogańskiemu prowadzeniu się podkanclerzego (nawet wtedy, gdy ten „dosięgał pięścią gęby“ grającego z nim w karty opata), należał i Kochanowski, któremu ten wesoły tryb życia na dworze Myszkowskiego wcale przypadł do smaku, jak o tem świadczą liczne fraszki i epigramaty z tej epoki.

Chcemy sobie być radzi?

Roskaż, panie, czeladzi,

Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,

A przytem w złote gęśli, albo w lutnię grają.

W takim nastroju, przy biesiadnym stole, „gdy wolały fijołki“, a „pieniły się puhary“, powstała większość epigramatów, a powstała „nie ze źródła aganipejskiego, lecz ze dzbana“; Myszkowski bowiem, któremu z czasem zostały przypisane, „Muzom a tembardziej poecie zabraniał biesiadować w domu“. Nie gardził też „pjanemi rytmami“, które rad „wśród kielichów krążących“ odczytywał, poeta zaś, urągając w takich chwilach „bajaniom o źródle skrzydlatego rumaka“, nie wahał się dowodzić, że „tylko wino stwarza poetów i wdzięczne poddaje piosenki“. Woda nie daje natchnień poetyckich. „Ja sam, mój Piotrze (a przez tego Piotra należy rozumieć Myszkowskiego), najlepiej to poświadczyć mogę: gdym trzeźwy, na nic się nie zdam, a tylko namyślam się, i zębami ogryzam paznogie, co nic nie zawiniły. Lecz gdy sobie trochę podchmielę, a duch się winem rozgrzeje, wtedy czuję zaraz, jak w głębi piersi budzą się niezliczone szeregi wierszy, budzą się i rwą do lotu, wypuszczone zaś, hurmem walą, jak pszczoły nęczone ciepłem wiosennem“. Co prawda, to nietylko wino, ale i towarzystwo, w którym poeta dzielił te biesiady swego mecenasa, w niemałej mierze przyczyniało się do ożywienia weny poetyckiej; do tych bowiem, którym smakował słodki nektar z piwnic Myszkowskiego, a którzy stanowili jego ulubione grono biesiadne, należeli tacy ludzie, jak Nidecki

i Stanisław Fogelweder; a obok wielu innych, jak Piotr Kłoczowski, Mikołaj Firlej, Grzegorz Podlódowski i Jędrzej Trzeciecki, brał udział w tych libacyach i Walenty Bacfark, znakomity lutnista, tak często wspominany we *Fraszkach*.

Ale choć tymi wesołymi biesiadnikami byli przeważnie księża, to jednak i kurtyzany miały przystęp do tych humanistycznych agap. Trudno: przykład szedł z góry, Zygmunt August bowiem, niepokieszony po stracie Barbary, a czując fizyczną odrazę do swojej trzeciej żony, Katarzyny rakuskiej, z którą nie mógł uzyskać rozvodu, bynajmniej nie starał się o to, ażeby świecić przykładem dla dworzan. Przykład, z tak wysoka, nie dziw, że odpowiednio działał i na otoczenie, a że na dworze, oficjalnie składającym się z samych mężczyzn (od czasu separacji z Katarzyną), uwiijało się mnóstwo podejrzanych niewiast, więc i wśród dworaków, choćby tylko dla zabicia czasu, tkwił niezwykle kult pokątnych miłości. Chodziło o wypełnienie próżniaczego życia, do tego zaś, w braku jakiegokolwiek wędzidla moralnego, nic nie nadawało się tak dobrze, jak sute ofiary bez „sykonfancyj” na ołtarzu Bacha i Wenery.

Kochanowski, jak się okazuje z jego fraszki *O swych rymiech* (którym jakiś ksiądz zarzucał zbytnią rozwiązłość), nie był pomiędzy ostatnimi tam, gdzie szło o wino i podwiki.

Ja inaczej nie piszę, ieno iako żyję:
Piłane moje rymy, bo y sam rad piję.
Nie mierzi mię biesiada, nie mierzą mię żarty,
Podczas i czepiec, więc też pełne tego karty.

Zwłaszcza nie mierzył go czepiec, a jeśli się zdarzyła biesiada, na którą każdy uczestnik przychodził ze *swój*ą, wtedy — jak w jednej z pieśni — starał się być przewodnikiem tego rozbawionego chóru.

Miło szaleć, kiedy czas po temu,
A tak bracia przypij każdy swemu:

Bo o głodzie nie chce się tańcować,
A podpiwszy łacniej już błażnować.

*Ale to nowy zysk, że mię słuchacie,
A żadney mi pełney nie podacie.
Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczyni taki nic dobrego.*

Przedsię do mnie, a ja nie zawiodę:
Wy też drudzy co macie pogodę
*Każdy swojej włóż w ucho leda co,
Nie macie tu oglądać się na co.*

I żeby nie pozostać w tyle za innymi, sam nie oglądał się na nic, a zawsze miał jakąś Bogumiłę, Jadwigę, Magdalенę, Kachnę lub Pryszkę¹⁾, którejby przy biesiadzie mógł „kłaść w ucho leda co”, choćby tem *leda co* miało być coś takiego „czego by się przed panną czytać nie godziło”. W żadnej nie kochał się na seryo, ale lubił wszy-

¹⁾ W kwestyi tych miłości i miłości Kochanowskiego, w które poeta przez cały czas swego kawalerskiego życia stałe był uwikłany, tak pisze prof. Dobrzycki, który, choć nie chce iść zbyt daleko w „wyciąganiu z utworów poety danych biograficznych”, to jednak wychodzi z założenia, że wszystkie fraszki i pieśni Kochanowskiego, mające charakter erotyczny, są rzeczywiście odbiciem przeżytych epizodów miłosnych, mniej lub więcej poważnych lub płochych. „Od Lidy aż do ostatniej miłości przed ożenieniem przez pisma jego przesuwają się cała masa imion, które wszystkie świadczą o tem, że poeta nasz bardzo często bywał w więzach miłości, że bardzo często powtarzał sobie słowa mistrza: *Intermissa, Venus, diu rursus bella moves?* Miłości to rozmaite, *amore profano* mienia się z *celeste*, miłość wesoła ze smutną, głęboka z miłostką, ale poeta ciągle kochać musi, podobnie jak w dwa wieki później Goethe. Przesuwają się też przed nami liczne postaci: Lidy, Hanna, Bogumiła, Jadwiga, Anna, Neta, Reina, Magdalena, Zofia, Dorota, nie mówiąc już o bezimiennych. Choćby pewna część tych imion miała znaczenie czysto konwencyjonalne, to i tak zostanie dosyć, aby świadczyć o miłościach poety. Stosunkowo też wielka liczba drobnych utworów poświęcona jest przejściom miłosnym”. *Pieśni Kochanowskiego*, strona 82.

Hoesick F. „Jan Kochanowski”.

kie, a za niektórymi, jak za Magdaleną n. p., na którą patrząc „wszystkę władzę stracił swoją“, szalał przez czas jakiś, uwiedziony ich zmysłowym powabem. Choć zdarzały się i takie, jak „harda Neta“ n. p., u których nie miał powodzenia. I na Magdalenę mógł patrzeć tylko ¹⁾).

¹⁾ Prof. Windakiewicz w swym *Erotyku Kochanowskiego*, mówiąc o tych miłostkach dworskich poety, zwraca uwagę na postać Anny, która w tych czasach była jego pierwszą poważniejszą miłością. „Jest to ta sama Anna, która dobre biesiady wydawała towarzyszom Kochanowskiego“. Zdaniem Windakiewicza była to jedna z literackich znajomości Kochanowskiego, bo do niej zwrócony jest przekład namiętnego wiersza Safony, w którym śpiewaczka mityleńska wyraża omdlewającą rozkosz na wspomnienie chwil przepędzonych razem z kochankiem. „Bliżej jeszcze naturę tej miłości określa zgrabny bilecik — w formie niedokształconego sonetu — zawierający skargę na zawód w umówionym *rendez-vous*. W wierszach tych, wyrażnie do Anny skierowanych, odślania nam się wcale zajmująco rodzaj tej nowej znajomości naszego poety. Annę z Kochanowskim łączyło widocznie szczere uczucie; cenili się nawzajem, sympatyzowali ze sobą, umyślowo byli do siebie zbliżeni. Kochanowski podziwiał jej przymioty towarzyskie, a że potem między tych dwoje ludzi wkraść się bożek miłości, to już było tylko naturalnym następstwem ich sposobu życia i sytuacji społecznej. W nagrobku, napisanym po jej śmierci, wspomina poeta o jej grzeszności, uprzejmości i wesołym usposobieniu. Przymioty te nie zastanawiałyby nas szczególnie, gdyby się nie czuło, że Kochanowski tę kobietę naprawdę szanował. To uczucie nadaje ciepły ton całemu nagrobkowi; przy wyliczaniu jej zalet pojawiają się zaraz przymiotniki „dobra wola“, „uczciwe biesiady“, a za tem szczery żal, że ją śmierć nagle wyrwała z rąk jej prawdziwych przyjaciół i adoratorów“ (strony 11 i 12). Z pośród kobiet, z którymi Kochanowski, za czasów dworskich, żył najbliżej, jak z prawdziwymi i niezawodnymi przyjaciółkami, Windakiewicz wyróżnia dwie: „piękną Zofię“, którą „miłość nosi, że musi skakać, jako sarna w lesie“, a którą Kochanowski namawiał w dość prymitywnej piosnce, by korzystała z czasu i kwitnącej młodości; i Bogumiłę, którą zrazu przecie trudno przyszło zniewolić na kochankę, a z którą później żył na poważnie, szczerze przyjacielskiej stopie (strony 10, 11).

Z powodu Fraszek *Do Anny*, wspomina Pleniewicz, że we fraucymerze królowny Anny była sławna ze swej piękności, Anna

Tymczasem z nadejściem dnia 22. listopada 1568 roku rozpoczął się sejm w Warszawie. Był to pierwszy sejm, na którym Kochanowskiemu wypadło stać za tronem królewskim. Dawało mu to możność uważnego przysłuchiwania się obradom, bardzo burzliwym z powodu egzekucji i sporów religijnych.

Zamieszanie jednak, panujące w izbie sejmowej, wzmoгло się jeszcze, gdy Orzechowski rzucił pomiędzy posłów *Quincunxa*, świeżo wydane wraz z powtórnie wydrukowanym *Dyalogiem o egzekucji*, a wymierzonego przeciwko władzy królewskiej, przeciwko Litwinom, nie mówiąc już o różnowiercach. Zapanowało powszechne wzburzenie, a że królowi i Myszkowskiemu zależało na uspokojeniu umysłów, więc, żeby naprawić zło, jakiego nawarzył Orzechowski,

Zajączkowska, szlachcianka z sieradzkiego województwa, którą później uwiódł król Zygmunt August, obalamuciwszy ją obietnicą małżeństwa. Zdaniem Pleniewicza nie jest niemożliwym, że tą Anną, która taki czar wywierała na Kochanowskiego, była Zajączkowska. Przypuszczenie to nie trafia do przekonania Stan. Zathewowi, który swój sceptycyzm w tej kwestyi motywuje w następujący sposób:

Jeśli wszystkie trzy wiersze *Do Anny* do jednej i tej samej się odnoszą, to ta Anna z Fraszki 88 księgi II obiecała raz poecie, że przyjdzie do niego do domu. Zawiodła go wtedy: on czekał niecierpliwie, nie wiedział, co z sobą ma począć (Fraszka 75, księgi II, *Do Anny*), chciał czytać, ale nie rozumiał tego, co czytał, chciał grać, ale nie mógł rozpocząć, wreszcie zaczął pisać wiersze do tej, która go tak srodcie zawiodła, ale sen wytrącił mu pióro z ręki i uspokoił gniewy. Dajmy na to, że „skandaliczna“, jak ją p. Pleniewicz nazywa, panna Zajączkowska mogła poecie dać obietnicę schadzki (na którą zresztą nie przyszła), i że ta fraszka do niej się odnosi, ale przecie nie do niej odnosi się Fraszka 95, księgi II, pod tytułem *Nagrobek Annie*, w której poeta mówi:

Za swoją dobrą wolę, którąś w domu twoim
Zawždy okazywała Anno gościom swoim,
Godna byś przetrwać była trzystoletnie dziady.

Panna Zajączkowska przecie uczt w swoim domu nie urządziła, a umarła chyba wtedy, kiedy poeta był już stary albo po jego śmierci (król uwiódł ją w roku 1570).

polecono Kochanowskiemu, ażeby *stante pede* napisał coś, coby uciszyło namiętności. W ten sposób powstały *Wróżki*, napisane podczas sejmu na początku roku 1564, a które, artystycznie niższe od pomienionych pism Orzechowskiego, są jakby na nice wywróconym *Quincunxem*¹⁾. Obiegając w licznych odpisach, rozwijały tragiczny wykrzyk Orzechowskiego *Zginiemy!* a źródłem zguby, grożącej Rzeczypospolitej, mieniły *egzekucyą* oraz „niedostatek cnotliwych ludzi“, którym upadły i inne mocarstwa. Wogóle były wyrazem przekonań Myszkowskiego, brały w obronę króla, nad którego Orzechowski wynosił prymasa, potępiały waśń religijną, której, jako przyczyny wszystkich rozruchów w kraju, radziły zaniechać, a różnowiercom przypisywały, że „wnoszą rozterki między ludzi, zaczym pewny upadek idzie Rzpltej“.

Co na to mówił Mikołaj Radziwiłł, jako „najgorszy z heretyków?“ Wszak on, nie kto inny, stał na czele tych, na których poeta zwał przyczynę wszystkiego złego, dowodząc, że „kto wiarę zdawna od wszystkich przyjętą wzrusza, fundamentów Rzeczypospolitej wzrusza, co mu tym więcej za złe ma być poczytano, iż czego Bóg Rzeczypospolitej ku iey naprawie użyzyć raczył, tego on swym niebacznym

¹⁾ *Wróżki* wyszły dopiero w roku 1585 w edycji pośmiertnej dzieł Kochanowskiego, dokonanej przez Jana Januszowskiego.

Z powodu *Wrózek*, tak pisze w swej recenzji w *Pracach filologicznych* Brückner: *Wróżki* nawiązuje Pleniewicz do *Satyry*; powstały mu one „w ciągu sejmu 1564 roku“ pod wpływem pamphletów Orzechowskiego, z inicjatywy Myszkowskiego, potępiającego drażniące wywody żurowickie; wskazałem na wzór Orzechowskiego (pleban do niego, nie do Myszkowskiego się odnosi) *Archiv* t. VIII, str. 53, i wypowiedziałem mniemanie, że gdy śmierć ręką Orzechowskiego ubezwładniła, Kochanowski się roli jego (bez skutku) podjął; naznaczałem więc rok 1567 dla powstania *Wrózek*“ (str. 649). Bobrzyński w rozprawie o *Stanowisku politycznym Kochanowskiego* odnosi napisanie *Wrózek* do roku 1569. To samo Tarnowski, który ich czas napisania opiera na tem, że w nich mowa o Zygmuncie Augustcie, jako o żyjącym, a o Unii lubelskiej, jak o rzeczy dokonanej (strona 317).

postępkiem ku iey skazie używa“. Był to zarzut ciężki, który Radziwiłł łatwo mógł wziąć go serca. Kto wie, czy nie dla zlagodzenia tego potężnego magnata, Kochanowski poświęcił mu Elegię IX księgi III, którą mu wręczył osobiście.

Oprócz tego napisał teraz *Pamiętkę* na śmierć Jana Baptysty Tęczyńskiego¹⁾, o której smutną wieść otrzymano właśnie w czasie sejmu. Śmierć ta, zaszła w chwili, gdy młody wojewoda jechał do Szwecyi, ażeby tam poślubić córkę królewską, na wszystkich zrobiła wstrząsające wrażenie, a Kochanowski odczuł ją silniej jeszcze, niż inni, gdyż był przyjacielem „wsztykimi cnotami hoynie obdarzonego“ hrabiego na Tęczynie. Po zatem, pilnując służby przy królu, nie często chwycił za pióro. Ciągłe posłuchania, przyjmowania posłów zagranicznych, uroczystości na dworze etc., wymagające jego obecności, a nie pozwalające wyręczać się kim innym, nietylko mu pochłaniały wszystek czas, ale jeszcze narażały na różne nieprzyjemne starcia, n. p. z butą magnacką. „Nieznany, nowy dworzanin, zapewne zbyt skrupulatnie pilnujący kolei, obrażał dumę niejednego panka, któremu się zdawało, że przed nim powinny się natychmiast otwierać podwoje komnat królewskich“. Na szczęście, poeta umiał się odcinać, tak, że niejednemu „hardemu“ dostało się jak we Fraszcze VI księgi I, napisanej pod wpływem takiego zajścia u drzwi komnaty Zygmunta.

Nie chcę w tey mierze głowy psować sobie,
Bych się mój panie miał podobać tobie...

Nareszcie, dnia 26. marca, skończył się sejm, posłowie się rozjechali. Znużony po trudach parlamentarnych, Zygmunt August postanowił odpocząć w Warszawie, co pociągało za sobą, że i Kochanowski był skazany na kilkutygodniowy pobyt w tem mieście. Czy był rad z tej decyzji królewskiej? Czy nie wolałby, oderwawszy się od zwykłych

¹⁾ W *Pamiętniku literackim*, 1907, II, zamieścił Karol Badecki ciekawą rozprawkę o pierwszym wydaniu *Pamiętki*.

zająć dworzańskich, pojechać do Sycyny, skąd mu donoszono o projektowanym małżeństwie brata jego, Mikołaja, i nalegano, ażeby koniecznie przyjechał na wesele? Cóż, kiedy nie zależał od siebie, a sytuacja była tego rodzaju — z powodu poselstwa od sułtana Solimana — że nie sprzyjała prośbie o urlop ¹⁾.

Z nadejściem maja, gdy król zdecydował się na wyjazd z Warszawy, rozpoczęło się owo nużące, uciążliwe włóczenie się po całym kraju, włóczenie się rozmyślne, Zygmunta bowiem, nie chcąc żyć pod jednym dachem z Katarzyną, a nie chcąc również, żeby jej przymusowy pobyt

¹⁾ Tutaj Pleniewicz występuje z hipotezą, która — jak i wiele innych zresztą w tem jego dziele — wydaje mi się wielce ryzykowną, a mało prawdopodobną historycznie. Hipoteza stoi w związku z owym poselstwem od Solimana. Poselstwo to domagało się zadosyćuczynienia w sprawie Olbrachta Łaskiego, którego, ażeby uspokoić sułtana, należało skłonić do ustąpienia z Chocima. W tym celu wyprawiono do niego nagłące listy. Przez kogo? Pleniewiczowi wydaje się prawdopodobnem i możliwem, że doręczenie tych listów powierzono Kochanowskiemu. „Pomyślne załatwienie tak ważnego poselstwa — powiada — otwierało mu najpewniejszą drogę do dalszych łask królewskich: cóżby więc było dziwnego (!), gdyby Myszkowski, pragnąc zwrócić na Kochanowskiego uwagę Zygmunta, wskazał nań, jako na osobistość, nadającą się do tej sprawy?“ Wszystko to być może, jednakże dowodów na to, a nawet cienia dowodów, niema absolutnie. Wiemy tylko, że Kochanowski sympatyzował z Łaskim, o czem świadczą jego niektóre wiersze *Do Łaskiego*. Wiemy, że Kochanowski pod koniec życia przesłał Łaskiemu egzemplarz *Psalterza* z dedykacją, ale to jeszcze żaden dowód, ażeby tak ważne i trudne poselstwo, jak owe do Łaskiego, powierzono Kochanowskiemu. Wtedy, gdy Łaski odwiedził Kochanowskiego w Czarnolesie, poeta będzie znanym i sławnym w całej Polsce człowiekiem... Teraz jednak, w roku 1564, Kochanowski jeszcze nie był tem, czem z czasem stał się za Batorego, dzięki Zamoyskiemu. Tegoż zdania jest i Tarnowski w swej recenzji o dziele Pleniewicza, gdzie to poselstwo Kochanowskiego zalicza do wypadków „niedowiedzionych“ (str. 406). Brückner i Mazanowski również mają poważne wątpliwości w tej kwestyi.

w Radomiu był poczytany za więzienie, umyślnie miejsca nigdzie długo nie zagrzewał: to mu dawało możność tłumaczenia się przed Wiedniem, że jeśli nie mieszka razem z królową, to dlatego jedynie, że nie chce jej narażać na męczące trudy podróży. To ustawiczne zmienianie miejsca pobytu, motywowane najrozmaitszemi pozorami, zwłaszcza dawało się we znaki dworzanom, z których „niejeden chciałby uciec z dworu, gdzie, jak w kieracie, ciągle się mozolił“. I nie można się im było dziwić, sposób bowiem, w jaki się odbywały ówczesne podróże dworskie, o ile mógł być mniej uciążliwym dla króla, jadącego w wygodnej karocy, o tyle był w najwyższym stopniu nużącym dla jego otoczenia. „Naprzód szły wozy z zapasami żywności, z beczkami wina i piwa; inne były pełne kotłów, naczyń kuchennych i przyborów do zastawy stołu królewskiego służących; a jeszcze inne ugiwały się pod mnóstwem skrzyń z szatnią, sprzętami do ozdoby komnat królewskich i sepetami należącemi do dworzan. Dopiero za tym taborem wyruszał król w otoczeniu konnych orszaków, poprzedzony oddziałem nadwornego wojska, które tworzyło straż przednią i torowało drogę, uprzatając zawady. Za królem znowu zdążali: podkanclerzy, podkomorzy, marszałek dworu, oboźny, łowczy i inni; za nimi zaś ciągnęły wozy z kancelaryjnemi aktami w skrzyniach, wreszcie służba niższa, zapasowe konie i oddział nadwornego żołnierza, tworzący straż tylną orszaku. Jeżeli sam jednak pochód odbywał się w znośnym porządku, to popasy i noclegi przedstawiały zamęt nie do opisania. Król, z towarzyszącymi mu dostojnikami, we wsi, czy miasteczku, zajmował co największe i najporządniejsze budynki; ale dworzanin każdy musiał przed innymi zdobywać sobie miejsce przebojem. Jeszcze latem — pół biedy: rozbijano namioty, lub zajmowano stodoły; zimą jednak, szczęśliwy był, kto choć w kurnej chacie znalazł kąć znośny dla siebie“. Była to okoliczność, która człowiekowi takiemu, jak Kochanowski, mogła zbrzydzić służbę na dworze, bo w Czarnolesie,

latem i zimą mógł mieć wszelkie wygody. Rozumiał jednak, że tylko przy królu może zrobić jakąkolwiek karierę, i ta myśl godziła go z trudami królewskiej włości.

Tymczasem pociągnięto ku Łomży, a stamtąd na kilka dni do Knyszyna, gdyż królowi przyszła ochota zapolować na niedźwiedzie. Tym razem wszakże, zarówno Kochanowski, jak i Nidecki, nie mieli nic przeciwko temu nadłożeniu drogi, w Knyszynie bowiem, położonym niedaleko od Tykocina, mieli sposobność zobaczyć się z Łukaszem Górnickim. Niestety, już po tygodniu musieli się rozstać z wytwornym naśladowcą Castiglione'a, ponieważ wypadało zdążyć na zjazd do Bielska. Tutaj zabawiono dwa miesiące przeszło, a cały czas zajęły burzliwe obrady sejmowe, zakończone strasznym pożarem zamku od pioruna. „Król, siedząc na koniu, przyglądał się od strony stajen niszczącemu żywiołowi, gdy z gmachów, objętych płomieniem, wynoszono wszystko, co tylko uratować się dało“. Działo się to dnia 20. lipca 1564 roku. Na krótko przedtem przysłano Kochanowskiemu z Krakowa świeżo wydane dwa jego utwory, *Satyra* i *Zgodę*, wydrukowane razem w jednej książce¹⁾. Z Bielska, gdzie spalenie zamku nie pozwalało na dalsze obrady, orszak królewski, zwiększony zastępem posłów litewskich, podążył ku Parczowu, gdzie już zebrana szlachta niecierpliwie oczekiwała króla, a gdzie, po przybyciu tegoż, rozpoczął się głośniejszy sejm parczowski. Tu zabawiono do końca sierpnia. Na wrzesień i październik przeniesiono się do Lublina, co Kochanowskiemu dało możność zaglądania do Czarnolasu i Sycyny, dla zobaczenia się z rodziną, oraz do Dąbrowicy, gdzie w tym czasie panowała żałoba z powodu zgonu pięknej wojewodziny lubelskiej. Poeta, patrząc

¹⁾ W liście, datowanym z Bielska dnia 6. lipca 1564 roku, a pisanym do kardynała Hozjusza, Andrzej Nidecki, przesyłając mu *Satyra*, jako dzieło świeżo wyszłe z pod prasy, nie szczędzi pochwał autorowi, któremu przysnaje pierwszeństwo nad wszystkimi poetami polskimi, piszącymi po łacinie, lub w narodowym języku.

na nieutulony żal młodego wdowca, skreślił dwa rzewne „nagrobki“ z tego powodu, wystawiając w nich

Zofię Bonarównę, której żywot święty
Godzien, aby wszem paniom za przykład był wzięty.

W połowie listopada przeniesiono się do Piotrkowa, dokąd Zygmunt August zwołał sejm na 18. stycznia. Tutaj, na początku marca, już w toku burzliwych obrad, przyjechało poselstwo Maksymiliana II, w którym, ku najwyższemu uradowaniu Kochanowskiego, znudzonego tym długim pobylem na Bugaju, znalazł się w roli świetnego „dyplomaty w fioleciech“ Andrzej Dudycz, w tej chwili już biskup pięciokościelski. Była to nader miła niespodzianka dla poety. Miła i niemiła: Jan bowiem, jakkolwiek mógł być rad z tego przyjazdu swego dawnego kolegi padewskiego, nie mógł jednakże, mimo tę radość, oprzeć się pewnym refleksjom, opadającym go, niby naprzykrzone muchy. „Ten pusty, wesóły Jędrzej, czasów weneckich i padewskich towarzysz, był trzema laty od niego młodszy, nie miał daru poezyi, którym on w kraju imię swoje rozstawił, a pomimo to, jakże różne od niego stanowisko zajmował! W 28 latach, gdy poeta nie mógł się dobić do kancelaryi królewskiej, on już otrzymuje biskupstwo knińskie, następnie czanadzkie, wreszcie — jedno z najbogatszych — pięciokościelskie, a obecnienie, jako poseł jednego z największych monarchów świata, otrzymuje należne swym godnościom na dworze polskim honory, gdzie najdumniejsi panowie starają się o jego wzięty, gdzie król w sprawach najważniejszych tajemne odbywa z nim narady, a on tymczasem, poeta, w tłumie dworzan, torując mu drogę z urzędu, całemi godzinami wystawał przy drzwiach komnat królewskich“. Mimo tę różnicę stanowisk, Dudycz nie myślał wynosić się nad swego przyjaciela i kolegę z czasów studenckich, a kiedy mu wypadło jechać do Radomia, na dwór królowej, wyraził życzenie, aby mu Kochanowskiego dodano do towarzystwa, jako przystawa

z urzędu. Z podróży tej wyniósł poeta bardzo miłe wspomnienie, raz dlatego, że w Dudyczu tkwił niepospolity humanista, który cztery razy całego Cyserona przepisał¹⁾ (zato z brewiarzem nie miał nic do czynienia!), a powtórę, że okoliczności, towarzyszące powstaniu jego wiersza *Do Reyny*, którą była Regina Straszówna, uroczą dworka z fraucymeru królowej, wcale nie trąciły banalnością. Sytuacja była taka. Wystarczyło dwóm młodym przyjaciółom, biskupowi i poecie, stawić się na dworze królowej, na którym poznali się z cudną Reginą, ażeby obaj ulegli czarowi jej niezwykłej urody, ażeby się przekonali osobiście, że wszyscy niedarmo Straszównę dla jej piękności uroczej nazywali „królową”. Zwłaszcza zakochał się w niej Dudycz, który pod wpływem jej niesłychanego powabu poprostu tracił panowanie nad sobą. Sprytna dziewczyna, zorientowawszy się w sytuacji, postanowiła wyzyskać ten namiętny afekt płochego biskupa, a że była świadoma różnych arkanów miłości, więc zdecydowawszy się na złapanie go, wpadła na przewrotny, a wyrafinowany pomysł, ażeby do tego użyć poetę. W jaki sposób? Oto zaczęła kokietować go, on zaś, nie domyślając się podstępu i jakichś ubocznych zamiarów, odrazu połknął zarzucony haczyk. Taką jest psychologiczna geneza wiersza *Do Reyny*, w którym z niemałym wdziękiem zostały opisane „różowe usta” i „śliczne ręce” zalotnej Straszówny. Nadmienić wypada, że Straszówna pochodziła z rodu Odrowążów, co sprawiało, że Kochanowski był — przez matkę — jej stryjcem herbowym. Ale zakochany w cudownej „królowej”, przekonał się niebawem, że go „tylko zabawiała próżnemi słowy”, że jej chodziło nie o niego, lecz o Dudycza, który, podrażniony w swej miłości własnej, istotnie brnął coraz głębiej. Skończyło się na tem, że poeta, ulżywszy sobie wierszem *Do zalotnej*, „podziękował”

¹⁾ Prof. Brückner, opierając się na dziele Stieffa, kwestyonuje to twierdzenie prof. Plenkiewicza o trzy czy czterokrotnem przepisaniu „całego Cyserona” przez Dudycza.

Reginie, to jest wycofał się ze szranków, Dudycz zaś, zapomniawszy o swej powadze posła i kapłana, do reszty stracił głowę¹⁾. Kiedy wyjeżdżali z Radomia, Kochanowski wracał już zrównoważony zupełnie, a Dudycz szalał z miłości. Niedarmo w nim płynęła krew matki Wenecyanki!... W takim nastroju znaleźli się z powrotem w Piotrkowie, gdzie tymczasem zbliżał się koniec sejm.

Po rozpuszczeniu posłów, w czerwcu 1565 roku, po półrocznym pobycie w Piotrkowie, wyruszył król, wraz z całym dworem, na Litwę, umyślnie omijając Radom. Zatrzymał się dopiero w Knyszynie, gdzie po sejmowych trudach wypoczywał przez cały lipiec. W tymże czasie Łukasz Górnicki ostatecznie wykończył swojego *Dworzanina polskiego*, który, dedykowany królowi pod datą dnia 18. lipca 1565 r., z wszelką pewnością — zanim został wystany do druku w Krakowie — był odczytany przyjaciółom autora, Kochanowskiemu i Nideckiemu. Ta okoliczność wystarczała najzupełniej, ażeby poeta nie nudził się tym razem w Knyszynie. Czy się nudził w Grodnie, gdzie wraz z dworem zabawił przez cały sierpień i część września, a gdzie w tym czasie gromadziły się zbrojne zastępy, gotujące się na wyprawę do Inflant? Bądź co bądź, przyjechawszy do Wilna, dzięki towarzystwu Royzyusza, stale tu przemieszkującego przy kościele św. Jana, przeżył czas jakiś bardzo wesoło i hulaszczo, pojąc się nie tylko „sokratycznymi rozmowami i dowcipem obfitym” niepospolitego Hiszpana, ale i jego winem, które mu tak smakowało, „że wszystkie twe złote nauki (powiada do Royzyusza), wszystkie wdzięczne słowa wypadły mi z pamięci i nic więcej do domu nie przyniosłem oprócz cielska Bachem napojonego i od senności chwiejnego”. Cóż dopiero, gdy pod koniec października zjawił się niespodzianie w Wilnie prosto z Krakowa „rozstawni

¹⁾ Prof. Plenkiewicz nie twierdzi jednak, że tak było z wszelką pewnością, ale jest wielkie prawdopodobieństwo, że istotnie Kochanowski odbył tę podróż z Dudyczem.

końmi“ przybyły Dudycz, który, rozkochany w Straszównie, a starając się wejść w stosunki z jej rodziną, jeszcze nie zdążył wyjechać z Polski. Z jego przyjazdem rozpoczęły się najweselsze chwile w życiu poety, a ucztom i „pełnym prze zdrowie“ nie było końca. Wogóle, nawet i po odejściu Dudycza, trwał w pogodnym usposobieniu, zwłaszcza gdy w dowód uznania otrzymał prezentę od króla na świeżo opróżnione po śmierci Boryszewskiego probostwo zwolnieńskie, co było znacznym powiększeniem jego dotychczasowych dochodów. Ażeby mu ułatwić otrzymanie tego *beneficium*, wyznaczono go do sprawowania poselstwa na sejmiki ziemii sandomierskiej: mógł więc, choć na krótko, zajrzeć do swoich stron rodzinnych, oraz korzystając z pobytu biskupa krakowskiego w Łży, tamże dnia 22. lutego 1566 r. instytucję rzeczoną „z włożeniem rąk na głowę“ od Padniewskiego otrzymać. Tymczasem król ściągnął do Lublina, ażeby wziąć udział w sejmie, zwołanym na kwiecień. Kochanowski podążył za dworem, a pod koniec sejmu, gdy posługujący nań Mikołaj Mielecki, udawał się na Litwę, ażeby tam poślubić córkę Mikołaja Radziwiłła Czarnego, poeta dał mu w miejsce kosztownego daru „parę wierszyków na drogę“, ostatnie wiersze przyjazne, jakie Mieleckiemu poświęcił. Z Lublina udano się do Warszawy, gdzie poeta napisał dwa epitafia na śmierć Wojciecha Kryskiego, a stąd po krótkim pobycie znowu zawleczono się do Knyszyna. Tutaj przysła kolej na łowy, co pociągało za sobą, że i Kochanowski musiał całemi godzinami, jako dworzanin, wystawać po kniejach, w śniegu, o chłodzie, a nieraz i o głodzie. Tak przeszła cała zima. Z powodu tych nieustannych łowów królewskich, poecie tak się uprzykrzyła służba na dworze, iż myślał o rzuceniu wszystkiego, o powrocie do Czarnolasu, do zacisznego życia ziemianina i poety. Jeśli nie uczynił tego, to jedynie z przyjaźni i wdzięczności dla Myszkowskiego. Swoją drogą nie tań się z tem, że o ile był zmęczony służbą przy królu, o tyle tęsknił za „wychowankami leśnego Heli-

onu“, które zaniedbywał poprostu dla braku czasu i sposobu¹⁾. Kiedyż miał pisać, skoro nieustannie musiał się zenościć z miasta do miasta, z sejmu na sejm! Ot i teraz p., jeszcze nie upłynęła zima, a już królowi, trapienemu niedogrą od zbyt długiego wystawiania na śniegu, przysła schota wyjazdu do Warszawy. Pojechano tam. Na długo? W marcu przyjechano, a ledwo się zaczął kwiecień, już król zaczął się wybierać do Piotrkowa. Tu zabawiono przez czas sejmu, a więc do czerwca roku 1567.

Sejm ten, na którym uchwalono znaczny podatek na wojnę moskiewską, o tyle stał się pamiętnym dla Kochanowskiego, że z jego okazji poznał się z młodym Janem Zamoyskim, który teraz wstąpił do kancelarii królewskiej, a przyjeżdżając do Piotrkowa, przyjeżdżał poprzedzony wielkim rozgłosem, zdobytym za granicą. Był to ten sam Zamoyski, któremu w swoim czasie „na jednym zieżdzie w sędomierskiej ziemi“ tak się podobał wiersz Kochanowskiego *O dobrodziejstwach Boga*. Zażyłszy stosunek z nim, poparty wieloma duchowemi łącznikami, mógł poecie wynagrodzić stratę Jana Krzysztofa Tarnowskiego, zmarłego w Gorliczyźnie dnia 1. kwietnia 1567 roku, tak, iż pogrzeb jego przypadł na czas, kiedy Jędrzej Dudycz, zrzuciwszy fiolety biskupie, w których czuł się tak skępowanym, i przyjąwszy protestantyzm, ożenił się ze Straszówną. Był to skandal, który wywołał równe oburzenie w sferach katolickich, jak rozradował stronnictwa różnowiercze. A jednak rzecz dziwna: Kochanowski nie tylko nie był oburzony tym postępkem Dudycza, ale, przeciwnie, jakby solidaryzując się z różnowiercami, napisał elegię, w której z zapalem opiewa to odstępstwo swego przyjaciela. „Z wieścią do was przycho-dzę, posłuchajcie dziewice! Oto ozdoba młodzieży, człowiek pełen wiedzy i doświadczenia, wymowny i dzielny piórem,

¹⁾ Znakomitą ilustracją tego chwilowego usposobienia poety, jest jego Epigramat 57, w którym Kochanowski jakby się usprawiedliwiał sam przed sobą.

Dudycz, poseł królów, przedmiot waszej nadziei i zajęcia już ugiął karku pod słodkie jarzmo małżeńskie. Ciebie zaś zacna dziewojo, czeka niepożyta sława, żeś ty jedna uznana za godną Dudycza. Dla ciebie on wzgardził bogactwami i świetną infułą, aż nazbyt bogaty tem, że twą miłością napawać się może“.

A więc poeta pochwalał ten postępek Dudycza? Nietylko pochwalał, ale, rozmyślając nad nim, coraz bardziej zacietrzewiał się w swej nienawiści dla bezżeństwa księży:

1) O całej tej aferze Kochanowskiego z Dudyczem i Straszówną, opowiedzianej przez Pleniewiczza, St. Tarnowski pisze z lekkim odcieniem ironii, co znaczy, że nie koniecznie wierzy, by rzecz miała się tak, jak ją przedstawiono w omawianej książce. Oto odnośny ustęp z recenzji o dziele Pleniewiczza: „Tymczasem Dudycz, poseł cesarski (w sprawie królowej Katarzyny głównie) zwraca na siebie uwagę zachowaniem mało zgodnym z biskupią powagą, a widok ten utwierdza Kochanowskiego w tych wahaniach, jakimi odpięra namowy Myszkowskiego, by się raz przecie na kapłana wyświęcił. Dudycz go razi, a sam boi się być księdzem tak złym, jak tamten. W stosunkach zażyłych jednak z nim zostaje, a nawet jedzie z nim do Radomia na dwór opuszczonej królowej. I tu dzieje się coś dziwnego: niby treść do komedii czy romansu. Regina Straszówna, panna z fraucymeru Katarzyny, zakochuje się w węgierskim biskupie. Trudno mu to wyznać wprost, więc szuka ubocznych sposobów, żeby jego uwagę na siebie zwrócić. Bałamuci Kochanowskiego, w tej nadziei, że on będzie do niej pisywał wiersze, i te wiersze pokaże Dudyczowi, że Dudycz zacznie wtedy na nią patrzeć i o niej myśleć. Wszystkie wiersze *Do Reyny* mają być do tej Straszówny i w tym czasie pisane. Intryga się udała. Poeta zakochał się trochę, nie bardzo; a jego przyjaciel-biskup poszedł za nim, jak jeden z baranów Panurga i zakochał się tak, że aż został wywołką, lutrem i żonatym. Elegia na to skandaliczne ożenienie (XVI, księgi III) jest podług p. Pleniewiczza, nie wyrazem szczerej myśli Kochanowskiego, tylko przeciwnie, srogą ironią na dawnego przyjaciela. Oby tak było. Usunęłaby się w ten sposób z życia poety jedna z rzeczy najbardziej gorszących i najtrudniejszych do zrozumienia“. W innym miejscu swej recenzji (str. 410) wraca jeszcze Tarnowski do tej „całej intrygi Reginy Straszówny, która pośrednio przez Kochanowskiego chciała rozkochać Dudycza“ i uważa, że bio-

dalece, że sam więcej, niż kiedykolwiek przedtem, zaczął się zastanawiać nad wyborem stanu dla siebie. Miał dwie drogi do wyboru; duchowną, związaną z celibatem, świecką, która z chwilą, gdyby się ożenił, pozbawiłaby dochodnych beneficjów. A więc przyjąć święcenia, co się zarazem równało spełnieniu marzeń matki? Któż mu

graf Kochanowskiego poszedł tym razem w domysłowości swej za daleko, co jest „o tyle gorzej, o ile sprawa ważniejsza“.

Całkiem odmiennie, aniżeli Tarnowski, zapatruje się na sprawę Dudycza w stosunku do Kochanowskiego prof. Brückner, który w swej recenzji dzieła Pleniewiczza bardzo namiętnie ujął się za Dudyczem, w którym widzi człowieka zasad. Gdy Pleniewicz pisze o nim, że wywiedziony w pole przez Zygmunta Augusta „na wszystkich punktach pobity, zwątpiwszy o świetnych widokach, o takich marzył, zrzucił fiolety i złożywszy tak duchowne jak poselskie godności, ożenił się z Reginą“, prof. Brückner pisze bez ogródek, że „wszystko to są wierutne baśnie: Dudycz nigdy nie wątpił o świetnych widokach; gdyby się i poselstwo nie było powiodło, łaskę cesarza miał zawsze zapewnioną i najlepiej sam o tem wiedział; mimo to „dobrowolnie zrzekł się wszystkiego, dla zasady!“ W ogóle cały ustęp o Dudyczu w książce Pleniewiczza, który go „zna tylko z Szujskiego i z encyklopedyi“ wydaje się prof. Brücknerowi nietylko mylnym w wielu szczegółach, ale pełnym „in-synuacji“, co wynika z tego, że Pleniewicz na sprawę Dudycza zapatruje się z punktu widzenia katolickiego. Oczywiście, że i cała intryga z Reginą Straszówną, odtworzona przez Pleniewiczza, również nie zyskuje aprobaty Brücknera, który to samo o niej myśli, co Tarnowski, tylko swe zdanie w tej materii wypowiada nierównie bezwzględniej (strony 649—650). O elegii Kochanowskiego na Dudycza tak pisze prof. Brückner. „Ślub uczcił Kochanowski elegią, bijącą mimo łacińskiej szaty nieco żywszem tętnem, zdradającą sympatyę dla świeżej pary. Elegia ta stała się kamieniem obrazu dla niejednego; nie strawił jej i p. Pleniewicz. Dla wywabienia tej plamy z „katolicyzmu“ Kochanowskiego wymyślił on, że piękne słowa poety o Reginie, że życzenia pomyślności dla przyjaciela „raczej na *Schadenfreude* zakrawają, iż (Dudycz) przez własną lekkomyślność zeszedł do rzędu najpospolitszych ludzi“ i t. d., wszystko to „należy wprost za ironię uważać“. W ogóle, zdaniem Brücknera, Pleniewicz za bardzo pragnie ocalić reputację Kochanowskiego, jako katolika, o co sam Kochanowski nie dbał wcale.

zaręczy jednak, czy wtedy, pnąc się na wysokie szczeble hierarchii, nie runie z nich, jak Dudycz. „I rozum, i sumienie, i poczucie własnej godności, ostrzegały go, by nie igrać z ogniem, który tylu innych już strawił, ale raczej obrać drogę pewną, bezpieczną, na której zgodnie z usposobieniem i sumieniem znaleźć mógł szczęście prawe przy boku wybranej sercem niewiasty“. Pod wpływem tych rozmyślań „jakby życie swe urządzić i zdala od zawiści bezpieczny żywot prowadzić“ powstał niby żartobliwy, a w gruncie rzeczy poważniejszy o wiele, niżby się zdawać mogło, *Carmen macaronicum*¹⁾, w którym poeta zastanawia się, czy zostać księdzem, co jest rzeczą praktyczną ze względu na karierę, czy też nie uganiać się za chlebem duchownym, a natomiast „cnotliwą *ducere* *zonam*“. „Nie złą jest rzeczą minichem i kapłanem zostać, i dwory mają swoje dobre strony, ale ty pamiętaj obrać sposób życia, któryby zgodny był z twojem usposobieniem. Jeśli ci natura co innego wskazuje, jak święte kapłaństwo, nie żartuj z bogów i strzeż się srogiego pioruna“. Pamiętaj, że przysięga, dobrowolnie złożona, obowiązuje na całe życie, a igrać z świętościami nie wolno, tak samo, jak „*solos* *grzech est* *ożeniare* *kapłanos*“. Ale zdecydowawszy się na żywot świecki, należy się zdecydować jeszcze, czy być dworzaninem, czy ziemianinem? Zdaniem poety, przekonanego, że „*swojus res optima* *kątus*“, żywot ziemiański zapewnia więcej szczęścia. „Nie patrz na to, co mówią, ale co czynią dworzanie. Bo choć nad inne przekładają swój żywot, prze-

¹⁾ Prof. Brückner nie przystaje na powyższe twierdzenie Plenkiewicza, odnoszącego napisanie *Carmen macaronicum* do roku 1567/8. „Jabym — powiada — cofnął go o jakie dziesięć lat wstecz, do roku 1558, do czasów, kiedy poeta rzeczywiście rozmyślał: Jeśli mi w rewerendzie, czy lepiej w sajanie. Jeśli mieszkać przy dworze, czy na swoim łanie?... do czasów, kiedy rzeczywiście najsroższy *gas* na księży o celibat podnoszono, kiedy on sam 27-letnim „młodzieńcem“ (*juvenis*) mógł się jeszcze nazywać, co do 37-letniego męża (w roku 1567) mniej przystaje (str. 646).

ież, gdy się chętnie nastawia łaski królewskiej, do pług w końcu wracają i zostają ziemianami“. Bo czyż może być coś lepszego nad żywot ziemiański. „Przed nikim nie zgiam kolana, jestem wolny, nikomu nie służę, cieszę się swą wolnością i bezpiecznym pokojem. Nie wystawiam życia na wiatr, szukając dalekich zysków. Same dzieci podają mi do stołu i żona cnotliwa gotowa ze mną znosić wszystko, co szczęście przyniesie“. Kto takie wygłasza zasady, temu widocznie sprzyrzyło się już jałowe życie dworskie, ten widocznie „za miłym domem tęskni“ i tylko myśli o tem, jakby się wyrwać na wieś, do cichego „własnego kąta“.

Że Kochanowski, pisząc tę „pochwale stanu ziemiańskiego“, wygłaszał teorię, którą sam jaknajprędzej pragnął wprowadzić w życie własne, to nie ulega wątpliwości. Na razie jednak, choć przesycony służbą na dworze, był w takim położeniu, że nie mógł myśleć o rychłym urzeczywistnieniu swych marzeń. Dlatego, nie przyznając się do podobnych rojeń, pełnił swe obowiązki przy królu, co podobało mu się, że znowu nigdzie nie popasał długo, że zamiast ziemiańskiego, który sobie tak idealizował w wyobraźni, prowadził żywot koczowniczy, cygański.

Z Piotrkowa, po skończonym sejmie, przeniesiono się do Grodna. Tu zabawiono przez sierpień, poczem zawleczono się do Wilna. Pod jesień, w 100.000 wojska, król pociągnął do Radoszkowic, „skąd się do Moskwy miał ruszyć“ przeciwko Iwanowi Groźnemu. W Radoszkowicach powstał epigramat Kochanowskiego, poświęcony Padniewskiemu, a pełen wrzawy wojennej. „Teraz lutnia ma, przegłoszona bębny i hałaśliwemi trąbami, całkiem zamilkła, i zdaje się, że nie prędzej dawne dźwięki wyda, aż zwycięski August, nowymi wstawiony tryumfy, znamienity pomnik sławy wzniesie na ziemi nieprzyjacielskiej“. Tymczasem „jako rycerz przypasany do miecza“, kosztował odrębności życia obozowego, jako dworzanin jednak, najwięcej temu życiu przyglądał się z góry, z okien królewskiego za-

meczku, który położony pośrodku wielkiej równiny, otoczonej zewsząd lasami, panował nad całą okolicą, a w tej chwili wystrzelał pośrodku stutysięcznego obozu, pośrodku namiotów i taborów wojennych. W nocy, gdy obóz zaiskrzył się tysiącami ognisk, widok, roztaczający się z okien rezydencji królewskiej, był tak malowniczy, że poeta, rozmawiając z nim, napisał piękną *Pieśń* o tej wyprawie wojennej:

O piękna nocy, nad zwyczaj tych czasów,
Patrz na nas jasno w pośród tych tu lasów,
Gdzie, jako pszczoły, wkoło swego pana
Straż dzierzym, niecąc ognie aż do rana...
Bodaj szczęśliwie tę drogę odprawił
I wszystko wedle myśli swojej sprawił...

Jeszcze w listopadzie „siedziano jak na ledzie“ w Radziszewicach, aż skończyło się na tem, iż król, ku niesłychanemu zdumieniu wszystkich, rozpuściwszy większość rycerstwa, którego tylko część wystano pod Ulę, zapowiedział koniec wyprawy, poczem sam wrócił na zimę do Wilna. Towarzyszący mu Kochanowski był smutniejszy tej zimy, niż kiedykolwiek; okolicznością zaś, która się do tego przyczyniła w niemałym stopniu, była wiadomość o śmierci biskupa Jędrzeja Noskowskiego, zmarłego w Płocku dnia 23. listopada. Poeta wiedział, że po Noskowskim zostanie mianowany na jego miejsce Myszkowski, że pewnie skończy się jego podkanclerstwo. Dla niego, który tak był przywiązany do Myszkowskiego, myśl, że mu się przyjdzie rozłączyć z dzisiejszym podkanclerzem, a natomiast być zależnym od innego, była przykrą nad wszelki wyraz. To też, choć Myszkowski jeszcze bawił w Wilnie, choć tu bawili Royzyusz, Nidecki i inni, mimo to, niepewny swej przyszłości, trapił się nieustannie, narzekał, ledwo mógł wytrzymać na Litwie. Z początkiem roku 1568 przeniesiono się do Knyszyna, dokąd znowu przyjechał z Tykocina Górnicki, a jak dawniej czytał Kochanowskiemu i Nideckiemu rozdziały ze swego *Dworzanina*, tak obecnie przeczytał im świeżo napisany przez

niebie rapsod wierszowany *O porażce Grunwaldzkiej*. Kochanowskiemu tak się podobał ten utwór, że nie tylko w jednej ze swych elegij, gdzie mówi o poetach polskich, poświęcił dłuższy ustęp Górnickiemu „co pieśni godne Orfeusza liry składa, co do spraw marsowych liryczną nawiązując strunę, opiewa w srogiej walce Niemce pokonane“, ale sam, podniecony przykładem Górnickiego, poszedł w jego ślady, pisząc swój *Fragment bitwy z Amuratem u Warny*. Z końcem kwietnia wyruszył król do Warszawy, ale i tu nie mógł Kochanowski zabawić tak długo, jakby sobie tego życzył może, bo ledwo przyjechano, zaraz wyprawiono go, jako oratora, w sandomierskie, ażeby tam agitował wśród ziemian, których Zygmunt August pragnął pozyskać dla swych zamysłów co do unii z Litwą. Bo zanosilo się na pamiętny sejm lubelski. Jakoż, z końcem listopada 1568 r., król udał się do Lublina, gdzie 10. stycznia rozpoczęły się obrady. Sejm ten, na którym „Litwa z nami unią uczyniła strojną“, odznaczał się takim duchem inicjatywy, taką powagą i wyrobieniem politycznym, że Kochanowski, będąc jego świadkiem naocznym, mógł być najlepszej myśli co do przyszłości Rzeczypospolitej. Cóż dopiero, gdy dnia 19. lipca, już po dokonanej unii, książę pruski Albert Fryderyk, wobec „zaczynającego senatu koronnego“ i czoła rycerstwa, złożył trzeci hołd lenniczy. Kochanowski, pod wrażeniem tej doniosłej chwili dziejowej, w której

syn książęcy upadł na kolana
I wyznał swe poddaństwo i zwierzchnego pana,

napisał swój *Proporzec*. Ale nie zawsze, przez czas swej kilkumiesięcznej bytności w Lublinie, był nastrojony na tak podniosłą nutę, jak ta, którą tchnie jego opis „hołdu pruskiego“. Ostatecznie, po za długimi godzinami, spędzanymi w sali sejmowej, korzystał z lata, a mając wesołe grono przyjaciół, do którego także przybył pod koniec i Royzyusz, nie stronił od kielicha, o ile ten kielich nie był próżny. Na

podobnych zabawach, jak ta, którą poeta wzmiankuje we fraszce *O doktorze Hiszpanie*, opowiadając o dziwnej przygodzie Royzyusza, jak to jednego wieczoru „poszedł spać trzeźwo, a wstał pijany“, upływały mu wszystkie chwile wolne od obowiązkowych zajęć, a że i Babin, stolica rozgłośniej *Rzeczypospolitej Babińskiej*, był blisko, więc nie obešlo się bez tego, ażeby raz po raz nie pojechano w odwiedziny do Imci Pana Pszonki. Wszak autor *Proporca*, choć go nie zawsze bawiły grube koncepty babińczyków, nosił tytuł poety babińskiego¹⁾, a często bywając w Lublinie, łaskotliwość mu było zaglądać do tej wesołej rzeczypospolitej śmiechu i drwin? Tymczasem skończył się sejm, a dla poety miały się zacząć najsmutniejsze dni jego życia dworskiego. Jakim sposobem? Dość powiedzieć, że „wielce ulubiony Myszkowski“ oddał pieczęć podkanclerską Franciszkowi Krasieńskiemu, a sam udał się do swojej dyecezyi. Dla Kochanowskiego był to niemniejszy cios, niż dla Nideckiego, który pisał temi czasami, że „odkąd mnie Myszkowski opuścił, zdaje mi się, że mnie wszyscy opuścili“. To samo mógł powiedzieć o sobie Kochanowski. Skończyły się owe poufne rozmowy sam na sam, skończyły się owe huczne biesiady z Myszkowskim, wszystko to przeminęło jak piękny sen, a przeminęło bezpowrotnie. To gorzkie przeświadczenie ścinało, jak mróz, wszelką pogodę w duszy poety, bo choć mu pozostał jeszcze Nidecki, to jednak i on, stęskniony za Myszkowskim, nie mógł odzyskać dawnego humoru. A tu, jakby na złość, król nie ruszał się z Lublina, tylko czekał na posłów cesarskich, łudząc się, że mu przywiozą przyzwolenie na upragniony rozwód z Katarzyną. W końcu, nie doczekawszy się, wyruszył do Knyszyna, gdzie już dnia 9.

¹⁾ W *Carmen de jure Babinensi antiquissimo* Bartłomieja z Wrześni, profesora i dziekana Uniwersytetu krakowskiego, znajduje się wzmianka o Kochanowskim:

Hic Kochanovius doctus regiusque faceto
Est vates calamo...

września stanął z całym dworem. Tutaj miano spędzić całą jesień, a może i zimę. Kochanowski ledwo się nie urwał. On, i Nidecki mieli wrażenie, że są skazani na wygnanie. Do Krasieńskiego nie mogli się przyzwyczaić. Jediną oazą, w której cieniu odpoczywali na tej pustyni nudy, było towarzystwo Górnickiego, który, o ile tylko mógł oderwać się od swych zajęć, raz po raz wpadał z Tykocina. Tak upływały blisko cztery miesiące. W grudniu nastąpił wyjazd do Warszawy, gdzie tym razem Zygmunt miał zabawić czas dłuższy, bo dwa lata przeszło¹⁾. Na początku 1571 roku, około Wielkiejnocy, Kochanowski, nie zrywając z dworem, choć już był przesycen służbą przy królu, pojechał do Czarolasu. W jakim celu? Przyczyną była kobieta.

IV.

Czytając, że epigramat, napisany w Radoszkowicach w roku 1567, poeta poświęcił Padniewskiemu, jest się zdziwionym niepomątlą, zważywszy oziębiony stosunek obu, tudzież okoliczność, że w chwili, gdy Kochanowski przebywał na Litwie, Padniewski przez ten czas, jako biskup krakow-

¹⁾ Do tej epoki odnosi prof. Pleniewicz jeszcze jeden epigramat miłosny Kochanowskiego, mianowicie jego romans z Anną Zajączkowską. Dowody jednak, które autor przytacza na uzasadnienie swej hipotezy, są nader wątpliwe. Tegoż zdania jest o nich i St. Tar-nowski, który w swej recenzji w *Przeglądzie Polskim* temi słowami daje wyraz swemu powątpiewaniu: „Po nie bardzo smutnej przygodzie ze Straszówną Kochanowski pisze dużo *Fraszek* i wpada znowu w sidła zdradliwego Amora. Tym razem to ta, co mu przyrzekała schadzkę, a nie przyszła (Fraszka 78, księgi II). Kto ona jest? Ni mniej, ni więcej tylko panna z dworu królowej Anny, Anna Zajączkowska, którą sam król odbił swemu sekretarzowi-poecie, oczywiście nie samą sztuką młodości i wdzięku. Dlaczego ona? Że w innej fraszce poeta szczęśliwy mówi o sobie, że jest „królowi rówien“ (Fraszka 88, księgi II) czy to ma być dostatecznym dowodem, a choćby wskazówką?“

ski, najwięcej przebywał w Krakowie. Wobec tego, mimo-
woli nasuwa się pytanie: co wywołało ten epigramat poety?
Prof. Pleniewicz tak rozwiązuje tę kwestię.

Kiedy się zanośli na wielką wyprawę przeciwko Iwa-
nowi Groźnemu, a król przebywał na Litwie, okazała się po-
trzeba wysłania kilku listów do wybitniejszych dostojników
koronnych, a w tej liczbie do Padniewskiego i królowej
Anny. Skoro przyszło rozstrzygnąć, komu powierzyć wykona-
nie tej misji, wybór padł na Kochanowskiego. Tym sposo-
bem, niespodziewanie zupełnie, odbył on podróż do Krako-
wa. Tutaj doznał tak serdecznego przyjęcia na dworze bi-
skupa, że wywdzięczając się za nie Padniewskiemu, uczcił
go po powrocie na Litwę, pięknym epigramatem łacińskim.
Lecz jadąc do Krakowa, musiał się zatrzymać i w Warsza-
wie, dla oddania listu Annie Jagiellonce. Oddał go, ale in-
nym wyszedł z apartamentów królowy, aniżeli w chwili,
gdy wchodził w podwoje zamkowe. Wchodził spokojny, zrów-
noważony psychicznie, wychodził zakochany, z uczuciem
w piersiach, któremu niebawem dał taki wyraz w elegii łaciń-
skiej: „Znowuż, matko Amorka, wszczynasz bój ze mną?
Nigdyż długiego nie chcesz mi dać pokoju? Zaledwie serce
me z pierwszej wyleczyło się rany, oto znowu Amor strzałą
mi je przeszywa“. Co się stało? Oto na dworze królowej,
w jej „fraucymerze“, ujrzał i poznał istotę, która od razu za-
władnęła jego sercem. Jak się poznali? w jakich okoliczno-
ściach? to nie grało prawie żadnej roli wobec niezwyklej
urody Hanny, wobec czaru, jakim ją obdarzyła natura. Oto,
jak ją opisuje poeta:

... Póki panuje wiosna w twarzy twojej,
Day się, Hanno, napatrzyć wdzięcznej twarzy swoiey,
Która nie da nic naprzd ani Phosphorowi,
Kiedy napięknies z morza wynika ku dniowi.
A wy, malarze, y wy, co marmór ciesiecie,
Jeśli przyszłemu wieku zachować sie chcecie:
Malujcie tę piękną twarz, y rzeźcie w kamieniu.
Nie był iako żyw Zewxis w takim podziwieniu,

Ani zacny Phidias, iako wy możecie,
Z tey tylko samey sztuki, sławni być na świecie.

Zachwycony niepospolitą „gładkością“ tej „urodziwej“
dworki, przybranej w piękne suknie według mody włoskiej,
wziewał, że w tem pięknem ciele musi również mieszkać
i wybrana dusza,

Bo nie leda, Bóg, jako swych darów rozdawa,
Temu łaskawszy, komu co nad ludzi dawa,
Przeto tusz dobrze, Hanno urodziwa, sobie,
Z twoich darów znać, że Bóg jest łaskawym tobie.

Dowodziły tego — w oczach zakochanego poety — i inne
dary Hanny, nie tylko jej „gładkość“. Inteligentna, wykształ-
cona, odznaczała się i przymiotami umysłowymi, słowem,
zasługiwała na pochlebne miano „nauczanej białogłowy“. Widocznie, że pod tym względem zaszczytnie wyróżniała się
z pośród swoich towarzyszek. Ale choćby i nie tak była
„nauczona“, i tak by zdołała oczarować poetę. Za ładną
była poprostu, ażeby swym powabem nie opętać tak wra-
żliwego na niewieście piękno, jak Kochanowski, mężczyznę.
Powtóre, był skłonny do zakochania się, bo dawno już, jak
się nie kochał w nikim¹⁾. Cóż dziwnego więc, iż czuł po-

¹⁾ Prof. Stanisław Windakiewicz w swym subtelnym studium
o *Erotyku Kochanowskiego* (*Pamiętnik literacki*, rocznik I, str. 3—13,
193—209) obszernie rozwodzi się o tym epizodzie w życiu poety,
nazywając go miłością do Bezimiennej. Zdaniem autora monografii
o *Padwie* miłość ta do Bezimiennej była od czasów padewskich
pierwszą prawdziwą miłością w jego sercu, „z czego wynika, że
równie obfity plon wydać mogła, jak poprzednia, a że się w Pol-
sce rozegrała, więc plon ów już literaturze polskiej miał przypaść“
(strona 8). Miłość ta „pierwsza poważna i na gruncie moralnym
nowoczesnym oparta“ wywołała też przełom w erotyku J. Kocha-
nowskiego, wyprowadzając poetę z zakłętą koła wyłącznie kla-
sycznych wzorów. „W *Padwie* pisał Kochanowski same długie,
wymowne, na pół dydaktyczne, a przynajmniej erudycyjne elegie;
w wierszach do Bezimiennej forma ta ginie. Spotykamy teraz naj-
częściej poemata krótkie, ujęciu wrażeń jednolitych poświęcone,

trzebę kochania, takiego zwłaszcza, któreby się mogło zakończyć małżeństwem. Miał lat 37, więc mógł mieć dosyć kawalerskiego życia. Byle tylko spotkał pannę odpowiednią, zarazby się ożenił. Hanna wydała mu się taką. Zaczął się wtedy starać o pozyskanie jej względów, co mu — zdaje się — ułatwiły pomyślnie składające się okoliczności, a mianowicie możliwość spotykania Hanny nie tylko na dworze, w orszaku królowej, ale i u wspólnych znajomych, zamieszkujących na dworze, do których panny z fraucymeru, o ile im czas na to pozwalał, chętnie wrywały się w odwiedziny.

omal nie poemaciki nastrojowe, w których gra najczęściej jedno jasne i wyodrębnione uczucie, bez objaśnień i urozmaiceń erudycyjnych, jak to było w elegiach. W innym miejscu swego studium, rozpatrując erotyki do Bezimiennnej pod względem biograficznym, prof. Windakiewicz wyciąga z nich tylko jedną wskazówkę, a mianowicie, „że Bezimienna miała jakichś krewnych, zapewne braci, ciotki, które prawdopodobnie sprowadziły Kochanowskiego do tego domu, jego matrymonialnym zamiarom sprzyjały“. Dodać należy, że prof. Windakiewicz, choć studium jego ukazało się w cztery lata po wyjściu monografii Plenkiewicza, wcale nie zdaje się podzielać jego hypotetycznego twierdzenia, że Bezimienna była panną z fraucymeru królowej. Nigdzie jej też nie nazywa Hanną. W swym szkicu o *Życiu dworskim Kochanowskiego*, Windakiewicz, mówiąc o jego stosunku do Firlejów, a także i do niektórych rodzin mieszczańskich krakowskich, pisze między innemi, co następuje: „Czy w domu Łazickiego, czy mieszczan krakowskich (Głaców), czy też indziej, obrał sobie Kochanowski ukochaną serca swego, Hannę, trudno odgadnąć. To jednak pewna, że w czasie owym bardzo był zakochany i że się Trzycieskiemu skarżył na zawód w miłości. Okoliczność owa daje powód do wielu fraszek, pieśni i elegij, z którychby ułożyć można jeden wielki poemat miłości w jej drobnych przemianach“ (str. 36). Nadmienić się godzi, że prof. Nehring, przy rozbiórce *Pieśni Kochanowskiego*, wcale nie zdaje się skłaniać do mniemania Plenkiewicza, jakoby „piękna Hanna“ tak ważną rolę odegrała w życiu poety. Zdaniem Nehringa, „poeta zapewne wystawia tylko wyimaginowane sytuacje, podobnie jak w łacińskich elegiach“. Kreśląc życiorys poety, Nehring odrzuca po jego epoce dworskiej mówi o Dorocie Podlódowskiej, nic nie wspominając o żadnym niedoszczem małżeństwie z inną.

ale czy to było w domu ochmistrza, czy ochmistrzyni, czy burgrabiego zamku, fakt pozostanie faktem, że poeta, o ile w Warszawie bawił niedługo (bo długo bawić nie mógł), o tyle wyjechał pod urokiem pięknej Hanny, rozpaczający na myśl o przymusowym rozstaniu z nią, a co najgorsza, niepewny jej wzajemności. Wyjeżdżał dręczony pytaniem, czy Pazyfila (bo takim klasycznym imieniem zdecydował się nazywać „urodziwą Hannę“ w swoich łacińskich elegiach do niej), czy Pazyfila pamiętać o nim będzie? czy choć drobny ślad został po nim w jej sercu? „Czy jaka tęsknota po mnie została? Czy też, jak z oczu, tak i z serca twego ustąpiłem i nie warto ci już nieobecnego wspominać?“ Niepewność tę czyniło jeszcze dotkliwszą przeświadczenie, że wyjeżdżał nie związany ani słowem, ani wyznaniem, bo jakkolwiek Hanna okazywała mu wiele uprzejmości, to jednak nic go nie upoważniało do poczytania tego za skłonność z jej strony. Były to zwykłe oznaki dobrego wychowania, Hanna zaś wiedząc, kim był Jan Kochanowski, tembardziej mogła się starać, ażeby na nim zrobić korzystne wrażenie. A nuż ją uwieczni jakim wierszykiem... To mogło się jej uśmiechać. Pytanie jednak, czy zgodziłaby się zostać jego żoną; nie łudził się bowiem, że „jeżeli go talent poetycki wynosi ponad ogół, to pod względem majątkowym z większością współzawodników mierzyć się nie może“. On w każdym razie, jeżeli pokochał Hannę, to dla niej samej. „Mnie nie ujęły ni sydońskie złotem tkane szaty, ni perły z morza czerwonego, lecz twarz, co obcej barwy nie pożyczą, i obyczaje szlachetne, i rumieniec wstydlivy“. Jednocześnie wyrzucał sobie, że podobnemi podejrzeniami krzywdził swą ukochaną. „Jeżeli moje pismo w czemkolwiek obrazić ci może, przebac! wszak miłość nigdy nie jest bez obawy, która zresztą, chętnie wierzę temu, jest płonna, a nawet sam nie umiem powiedzieć, dlaczego się obawiam, chyba tylko dlatego, że kocham“. Swoją drogą był niespokojny i pełen najboleśniejszych przeczuć, gdy pomyślał, że oto wyjeżdża

nie wiedząc na jak długo, a przez ten czas, któż zaręczy, azali inny nie zdobędzie jej serca. Wiadomo przecie, że nieobecny zawsze dzieje się krzywdą.

W takim uczuciu opuścił Warszawę, w takim uczuciu pędził wśród słoty i wichrów jesiennych na Litwę, do króla, a myśląc o Hannie, układał elegię do niej¹⁾. „Im więcej się oddalam, o moje życie, tem okrutniej dręczy mnie sroga miłość. A gdy mnie sen słodkimi skrzydły obejmie, zdaje mi się, że smutna stajesz przed memi oczyma... Lecz jakże obawiam się tego, że mi tylko marne sny o tobie pozostały“. I lękał się, że Hanna może zapomnieć o nim, i pod wpływem tego niepokoju, który go ścigał aż na Litwę samą, temi słowy kończył swą pierwszą elegię do Pazyfili: „A teraz, gdy przebiegły litewskie przebiegam kraje, nie zapominaj o nieobecnym i bądź pewna, że ja każdej chwili radbym powrócić do ciebie, choć i tak już znaczna część mej duszy pozostała przy tobie“.

Nareszcie, po męczącej podróży, zawitał do Radoszkowic. I tu, wśród wrzawy stutysięcznego obozu, nie zapo-

¹⁾ Z powodu tej elegii, i jeszcze drugiej innej, tak pisze prof. Windakiewicz, rekonstruując przebieg miłości poety do Bezimiennej (która to nieokreślona nazwa lepiej zdaje się być tu użyta, aniżeli konkretne imię Hanny, trudno dające się uzasadnić): „Czwartą wreszcie seryę wiadomości o Bezimiennej zaczerpnijemy z dwu elegij łacińskich, pisanych z Litwy, jak się powszechnie przypuszcza, podczas pochodu wojsk polskich na niedoszłą wyprawę moskiewską roku 1568 (Elegia III, księgi 1, 12). Stanowią one niejako listy poetyckie świeżego rekruta do kraju, z których jeden możnaby nawet uważać za zwykły list oświadczynowy. Bezimienna jest tu nazwana Pazyfilą, a więc pierwszym pewnym, choć po dzisiejszemu nie bardzo dźwięcznym imieniem; poeta przyznaje, że już wówczas znajdował się w dojrzałym wieku (*maturior aetas*) i objaśnia nas, że panna jego wielkiego posagu nie posiadała (*Erotyk Kochanowskiego*, str. 8). Natomiast, jak się domyśla Windakiewicz, panna pochodziła z wysokiego rodu,

Z herbu domów starożytnych
Zacne plemię dziadów bitnych.

niał o Hannie, a zapałszy w gwiazdziste niebo, układał nową elegię do Pazyfili: „Oto król mój wojnę oplakaną gotuje, sam kwiat północnej młodzi towarzyszy mu na tę wyprawę. Ale mnie w obce nie trzeba mieszać się wojny: mam ją ci wewnątrz wroga, co serce me rani. Ty wszakże, Pazyfilo, za którą sama Dyone wojnę prowadzi, przybądź, jako przyjaciółka pokoju“. Marząc jednak, nie potrafił opędzić się jednej refleksyi, mianowicie, że dobiega czterdziestki, że tem samem nie powinien być tak skorym do szalenia z miłości, bo nie jemu wznawiać igraszki młodzieńczego wieku. „To kiedyś przystać mogło, ale wiek dojrzałszy innych już żąda zwyczajów, innych trudów“. Ale od tego przeświadczenia, że „nie jemu już u zamkniętych drzwi odprawiać czaty“, był tylko jeden krok do myśli o zapaleniu pochodni Hymenu. Do tego, ażeby tak szaleć, jak wtedy, kiedy był żakiem, był za poważny dzisiaj; przeciwko ożenieniu jednak, to jest przeciwko poważnemu traktowaniu miłości, nie miał żadnych niechęci: przeciwnie, chciałby się kochać w kobiecie, która byłaby jego żoną, a tą żoną pragnąłby mieć Hannę¹⁾. Ożenić się z nią, ach, czegożby nie dał za to! „Ty, jeśli tylko miłością mą nie wzgardzisz, aż do grobu będziesz przedmiotem mych zabiegów: ty bądź panią w mym domu, tobie jednej niech służy ma chudoba,

¹⁾ Omówiwszy dworskie miłostki poety, poprzedzające jego zakochanie się w Bezimiennej, prof. Windakiewicz czyni następujące, bardzo trafne spostrzeżenie, wiele rzucające światła na psychikę Kochanowskiego w tym czasie: „Drobiazgowe badania tych romansów (z Zofią i Bogumiłą) posiada dla nas o tyle wartość, że pozwala nam zmierzyć istnienie pewnej dozy realnego podkładu w poezyi erotycznej Kochanowskiego: toż naturalna, że w znaczniejszej grupie poematów jednego nastroju (w wierszach mianowicie, natchnionych miłością do Bezimiennej) musi się także zawierać pewien osad rzeczywistości. Spostrzeżenie to nie jest dla nas bez znaczenia, bo niebawem zobaczymy, jak Kochanowski z donżuana czasów Odrodzenia przemienia się na poważnego erotystę czasów nowożytnych. Po tylu wyuzdanych objawach nagle

aczkolwiek tak malutka... Z tobą nie przykro będzie twardym pługiem przewracać glebę, ni bydelko pędzić na paszę. Z tobą Pazyfilo, obym mógł żyć, a kiedyś i życie złożyć na twem łonie!

Tymczasem przeniesiono się do Wilna, ale zmiana miejsca, wobec tego, że Hanna była w Warszawie, w niczem nie wpłynęła na zmianę uczuć poety. Tęsknił za swą ukochaną, myślał o niej, pisał elegie o Pazyfili, w których opisywał różne fazy psychiczne, przez jakie przechodził od rozstania się z panią swego serca, i w ten sposób powstała Elegia III, księgi III, najprawdopodobniej napisana w Wilnie, a wyrażająca myśl, że dwie przeznaczone sobie istoty prze-czuwają się wzajemnie i że każda z nich nosi w duszy swej obraz istoty drugiej, po którym się przy spotkaniu poznają. „Nigdyż ten dzień nie zawita, gdy ty, piękna dziewczyno, do swego przytulisz mnie łona? Czy też próżną żywię nadzieję, a ty innego staniesz się pieszczotą“. Ta obawa, że Hanna może jest przeznaczona innemu, nie jemu, oraz pragnienie ażeby czempredziej z nią się zobaczyć, to były dwie główne osi, około których krążyły jego myśli. Tęsknił, a był smutny i niespokojny, bo niepewny jutra: ale kochał wier-nie, idealnie, a przytem po raz pierwszy na seryo myślał o małżeństwie. Tak przeszła zima. W lutym pojechano do Knyszyna, a przez całe dwa miesiące, które tu król spę-

zachodzi u Kochanowskiego radykalna zmiana. Miasto studenckiego szału i rozmarzenia, spostrzegamy u niego ogromne spoważnienie; zdobywca serc niewieścich i lekkomyślny dworzanin przemienia się w mężczyznę, umiającego kochać spokojnie, poważnie i rozważnie; miasto bezmyślności, szukania w miłostkach podrażnienia nerwów, Kochanowski zaczyna pojmować to uczucie jako podniecie do życia i szukać w niem wzmocnienia energii osobistej; obojętność prze-mienia się u niego w rzetelność, lekkomyślność w szczerłość a na-wet w skrupulatność — i ni stąd ni zowąd w stołecznym wartogło-wie powitamy senzata obywatela, drżącego ze wzruszenia wobec pani swego serca i z lekliwością wyczekującego przyjaznego słowa z jej ust“. (*Erotyk Kochanowskiego*, str. 10).

ził, Kochanowski myślał o tem tylko, kiedy nastąpi pro-jektowany wyjazd do Warszawy. W końcu doczekał się upragnionej chwili: pod koniec kwietnia, gdy „wiosna wró-ciła, a śnieżna zima uleciała“, dwór przeniósł się do stolicy Mazowsza.

Tu zaczęły się dni szczęścia dla poety. Mógł widy-wać się z Hanną, ile chciał. Poeta był w siódmym niebie. W Hannie widział wierne „odbicie z daru bożego“, miłość zaś, którą płonął ku niej, wyszlachetniona tęsknotą, wolna od pożądań zmysłowych, raczej Psychy, niż Afrodyty, szu-kała w ukochanej dziewczynie.

Raj tam, gdzie ona siedzi, a którądy mija,
Za jej stopami róża wstawa i lelija¹⁾.

¹⁾ W swem studyum o *Erotyku* Kochanowskiego prof. Stani-sław Windakiewicz wykazuje dowodnie, iż wiersz ten, jak i inne erotyki, pisane pod wpływem miłości do Bezimiennej, nosi wyra-żne ślady wpływu Petrarke, mianowicie jego *Canzoniere*. Wpraw-dzie i do niej pisał poezje na modłę klasyczną, nacechowane wpły-wem Horacego, Owidyusza i Propercyusza, ale niebawem wzory te nie miały już wystarczyć talentowi, rwącemu się w nieco wyższe i czystsze światy uczuć. „*Segretario antico* okazuje się już przewo-dnikiem bezsilnym i Kochanowski wciska się do *Segretario novello*, t. j. do Petrarke. „Gdybyśmy w pieśniach (do Bezimiennej) wpływ petrarkizmu udowodnić chcieli — pisze Windakiewicz — to na to porównaniem całych sonetów nie poradzimy. Kochanowski w Pol-sce nie musiał mieć włoskich poetów pod ręką. W wierszach (do Bezimiennej) można wykazać wpływ Petrarke, ale jest to jakby Pe-trarka zbity, skondenzowany, a może nawet zbarbaryzowany. Kocha-nowski reprodukuje włoskiego pieśniarza z pamięci, w frazesie je-dnym skupia omal nie całe sonety i widocznie nie pamięta“. Według Windakie-wicza, można przypuścić, że odświeżenie pamięci o Petrarce za-wdzięcza Kochanowski raczej otoczeniu, a nie swojej świadomo-ści, co naturalnie pod względem kulturalnym jest bodaj ciekawszem zjawiskiem, niż gdyby ów Petrarca objawił się u niego intencyo-nalnie. „*Canzoniere*, to musiała być dla niego książka, którą niegdyś w Padwie odczytał, a potem ją rzucił; zdawało mu się, że ta sub-telna poezja nigdy mu się na nic nie przyda; tymczasem zaszły

I zakochany, nie mogąc oczu oderwać od swej lubej, wierzył, że

Taka jeszcze nie była za dawnego wieku
Aniołowi podobna bardziej, niż człowiekowi

i sławił jej „gładkość“ w łacińskich i polskich wierszach, które, zwrócone do Hanny, niemało mogły schlebiać jej próżności.

Wiele oczom powinien, o pani, kto ciebie
Oglądał, a nacieszył twym poyrzeniem siebie¹⁾.
Dalszego czasu może niezamierzać sobie,
Iżby kiedy miał gładszą oglądać po tobie.

Niech się więc nie chlubią starodawne lata,
Z swoimi Helenami: jest za tego świata,
Która gładkością wszytki pierwsze tak minęła,
Aż y przyszłym nadzieję na wieki odjęła.

I „przybywało mu rymów“, kiedy na jej „wdzięczną twarz“ patrzył, a patrzył tak często, że aż napisał wierszyk

zdarzenia (miłość ku Bezimiennej), które pamięć o nim odświeżyły, wspomnienie o tej poezji pomogło mu do skondenzowania swych własnych uczuć i w najwyższym wzmożeniu duchowej istoty, on, klasyk zabity, miał o nowoczesność zawadzić“.

W jednym, i to dość zasadniczym punkcie, nie podzielałbym zapatrywania prof. Windakiewicza: jakoby Kochanowski nie miał mieć w Polsce poezji Petrarki pod ręką. Jeżeli tak, to musiał je z czasów padewskich umieć chyba na pamięć; zestawienie bowiem, uczynione przez tegoż prof. Windakiewicza, wykazujące cały szereg podobieństw między wierszami Petrarki a Kochanowskiego, zbyt jest uderzającym, by w danym wypadku o poważnym świadomym wpływie nie mogło być mowy. Zobacz *Erotyk Kochanowskiego*, w *Pamiętniku literackim*, rocznik I, str. 197—199.

¹⁾ Wiersz ten — jak to wykazał Windakiewicz — nosi wyraźne ślady nie tylko wpływu Petrarki, ale i Dantego. W *Canzoniere* Petrarki czytamy: *Per divina bellezza indarno mira Chi gli occhi di costei giammai non vide* (108). W jednym z sonetów w *Vita nuova* Dantego znajdują się podobne słowa: *Che dà per gli occhi una dolcezza al core Che intender non la può chi non la prova*.

o Hanny, w którym ją błaga, ażeby go czasem wypychała, nie przyjmowała u siebie, bo mu się w głowie miesza, gdy za długo napawa się jej widokiem. Ale niechaj przypadkiem nie widział jej parę dni, zaraz go zaczynała trapić tęsknota, którą raz n. p. wyraził w takim czterowierszu:

A co wiedzieć gdzie chodzisz, moja dziewczko śliczna,
A mnie tymczasem trapi tęsknota ustawiczna.
Jakoby słońce zaszło, kiedy nie masz ciebie:
A z tobą y w pół nocy zda się dzień na niebie.

Jednocześnie, kiedy byli razem, czuł się onieśmielonym w jej obecności; zapytany o coś, „odpowiadał niegrzecznie“; jeśli się na nią natknął niespodziewanie, bladł ze wzruszenia; o ile „często wzdychał“, przyczem niezawsze miał jej wiele do powiedzenia, o tyle „rzadko kiedy się rozśmiał“.

To była jedna strona medalu, dodatnia. Niestety, była druga, jeżeli nie ujemna, to przynajmniej dająca do myślenia. Oto Hanna¹⁾, choć tak często widywała się z poetą, robiła wrażenie, jakby się nie domyślała jego uczuć dla niej, jakby nie rozumiała, „co znaczy twarz blada“ poety, jakby

¹⁾ Bronisław Chlebowski, w swym szkicu o *Pobytku Kochanowskiego na dworach panów małopolskich*, wyraża przekonanie, że dzieje długotrwałej miłości dla Hanny mają także za tło górski krajobraz:

Tu góra drzewy natkniona
A pod nią łąka zielona,
Tu źródło przeźroczystej wody.

powiada w drobnym wierszyku do swej ukochanej... Gdy zniewolony rozstać się na czas jakiś z ukochaną wypowiada swą tęsknotę w pieśni (VII, ks. I) przepełnionej uwielbieniem i miłością, zwraca się tam i do górskiej przyrody:

Zajrzę wam, gęste lasy i wysokie skały,
Że przedemną będziecie taką rozkosz miały...

Nawiasem mówiąc, Chlebowski miłość tę do Hanny (zawsze pomimo protestów krytyki przekonany w głębi duszy, że tą Hanną była Hanna Tarnowska) odnosi do pierwszych lat pobytu poety w kraju po powrocie z za granicy (1557—1560), skoro powiada, że

nie przypuszczała nawet, że w nim mogła rozbudzić namiętną miłość ku sobie, jakby „nie wiedziała“, że on nosi się z myślą proszenia o jej rękę, że tylko upatruje odpowiednią chwilę, ażeby jej uczynić wyznanie. Ta pozorna nieświadomość Hanny, idąc w parze z brakiem pewności siebie, gdy chodziło o poetę, którego jeszcze trapiło złowrogość przeczucie, że może być obojętny swej lubej, sprawiły, że się nie mógł zdecydować na krok stanowczy, że zwlekał i dojutrkował z oświadczeniami.

Bał się zaryzykować, nie śmiał wszystkiego stawiać na jedną kartę.

W takich warunkach wypadło mu wyjechać z Warszawy, a choć niezawodnie dokładał wszelkich starań, ażeby tu powrócić jaknajprędzej, to jednak, przyjechawszy z powrotem, przekonał się, że tylko się spieszył do nowych trosk i udręczeń: Hanna bowiem, lubo dlań była uprzejma i grzeczna, nie robiła wrażenia, iżby tęskniła po nim: była chłodna, obojętna, nieprzystępna, tak, iż poeta, zamiast się posuwać w swych sprawach sercowych, przeciwnie, zaczął

w kilkanaście lat pierwej, niewątpliwie w roku 1574, gdy poeta po przebyciu bolesnych zawodów serca i ambicyi znalazł się ponownie wśród dawno niewidzianych gór, myśl jego mimowolnie zwróciła się do przeszłości. Wyrazem tego uczucia ma być wiersz:

Wysokie góry i odziane lasy
Jako rad na was i swe czasy
Młodsze wspominam, które tu zostały
Kiedy na statek człowiek mało dbały.

Zdaje się, że ostatni wiersz jest aluzją do wesołego życia poety w gronie „dobrych towarzyszków“, co nie licuje z poważnym uczuciem, jakie żywił dla Hanny.

Nie chcę się tu spierać z Chlebowskim, ale mnie się zdaje, że wszystkie te wyrażenia w pomienionych wierszach Kochanowskiego, owe „góry drzewy natknione“, owe „gęste lasy i wysokie skały“, odnoszą się poprostu do okolic Krakowa, do Krzemionek i Panieńskich skał nad Wisłą, do gór na Bielanach. Że Kochanowski lubił błądzić po tych okolicach, dowodzi jego *Carmen macaronicum*, w którym początek jest opisem okolic „wysokiego Krakowa“.

wątpiewać, zali mu się wogóle uda zmiękczyć kamienne serce tego „pięknego stworzenia“. Czuł, że jego szanse zmniejszały się, że oporna dziewczyna nie miała skłonności do niemu.

W tem smutnem przeświadczeniu wyjechał z królem do Lublina, a tutaj, podczas gdy wszystkich umysły były zaprzątnięte kwestyą unii, on, choć tak obarczony zajęciem, nie miał czasu na pisanie wierszy do Hanny, wciąż myślał o niej, co robi? czy myśli o nim? i t. p. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że, korzystając z dwóch przerw całonocnych w 10-miesięcznych obradach sejmu, wpadł do Warszawy dla zobaczenia się z Hanną, ale i te wyjazdy — jeżeli miały miejsce — nie położyły końca jego wątpliwościom. W tem uczuciu napisał parę wierszy, które z czasem weszły do *Fraszek*, jakkolwiek były smutne raczej, niż wesołe:

Długoż masz, o miłości, frasować me lata?
Czy podobno przed czasem chcesz mnie zgładzić z świata?
... Tak li ty chcesz, tak li to niesie szczęście moje
Nie chcę przec, mam czym cieszyć smutne serce swoje.
A ty przebóg niezajrzy, gniew li to twój czuję,
Łaskę li, niech do śmierci tę iedną miłuję.

Na domiar złego, z Lublina nie wrócono prosto do Warszawy, lecz przez Knyszyn, gdzie królowi podobało się zabawić aż do grudnia. Stąd nowe źródło trosk „nieuśpio-nych“ dla poety, który wciąż myślał o swej wymarzonej Pazyfili. W końcu jednak, po miesiącach tęsknoty i niepokoju, znalazł się przy niej znowu, a że król zamieszkał na zamku pod jednym dachem z królowną, więc mogło się zdawać poecie, że teraz, mając tyle okazji do widywania się z Hanną, potrafi przełamać jej obojętność. Niestety, mógł się przekonać niebawem, że wszelkie wysiłki z jego strony, czynione w tym kierunku, nie trafiały do serca dziewczyny. Ceniła jego talent, lecz nie kochała go, jako człowieka. Nawet przestała być zalotną wobec niego. Widząc

to, poeta cierpiał coraz sroższe katusze, bo miłość w nim, zamiast stygnąć w miarę napotykaných przeszkód, zapalała się coraz gwałtowniejszym płomieniem. Zrozpaczony, zaczął przemyślać o znalezieniu owej cudownej przepaski Wenera, co zdobywała serca i myśli uporne, a zwracając się do Afrodyty, która samym lwom i żubrom odejmuje srogość, błagał ją, ażeby ulitowała się jego cierpieniom, ażeby roznieciła iskrę uczucia w Hannie.

Ty mię ratuj, a swoją strzałą ułożoną
Ugódź w serce, a obróć myśl nieunoszoną
Zapamiętałej dziewczki, której ani skokiem
Człowiek dogonić może, ledwie zayżrzeć okiem.

Nie zrażał się jednak, a podniecony swem uczuciem, nie szczędził zabiegów, ażeby to oporne serce przełamać.

Jeśli to rada widzisz, a życzysz mi tego,
Abych przez cię używał frasunku wiecznego,
Cóż ci rzec, dziewczko sroga: poprawdzie jam tobie
Inaczej to zadziałał, a co dziś na sobie
Odnoszę, dziecie mi się nad moje zasługi,
Ledwie taki na świecie niefortunny drugi.
Czego daley chcesz po mnie? czy jeszcze wątpliwa
Moja chęć przeciw tobie? noc w myślach tęskliwa
Y te ogniste gwiazdy rozsiane po niebie
Świadkiem, że nic miłszego nie mam okrom ciebie.
... A ty, ieśli nadzieję chcesz o łasce swoiey
Zgasić we mnie, iuż dawno pragniesz śmierci mojej.

Więc doszło do tego, że Hanna, niewzruszona zakłębieniami poety chciała w nim „zgasić nadzieję o łasce swoiey“, t. j. pragnęła, ażeby ją przestał prześladować swym uczuciem?! Nie podobał się jej, i dosyć! Skoro go nie zdołała pokochać aż dotąd, to już nie pokocha nigdy. Dlatego, niech ją uwolni od siebie, niech się stara zapomnieć o niej, bo wszystko, coby jej jeszcze powiedział o swojej miłości, będzie grochem rzuconym na ścianę, nie znajdzie echa w jej sercu.

Widząc, że nie zdoła przełamać jej uporu, wszedł po-
w nową fazę: oto zaczął słuchać głosu obrażonej du-
sy, doradzającej mu, ażeby za obojętność zaczął odpłacać
wzgardą, ażeby przestał być służką tak „niewdzięcznego
pana“. Czyż nie lepiej wyrzec się tak upokarzającej słu-
by? I zaczął błagać bogini miłości:

Zfolguy mi mało: owa się wyłamię
Z tej niepobożney niewoley, która mię
Tak zfrasowała, że y zdrowia nie mam,
Y o rozumie toż nakoniec mniemam.

zdawało mu się, że byłby gotów „postawić palmę złotą“
w kościele Afrodyty, byle mógł tylko „zbyć jarzma tak cię-
kiego“, byle mógł pokochać inną, skoro Hanna „co jest
przejmość, nie czuje“. Niestety, serce nie sługa, a choć
rozum i podrażniona miłość własna nakazywały odwrócić
się od tej „zapamiętałej dziewczki“, dusza wyrывała się do
niej. Jakoż, pomimo wszelkich refleksyi i perswazyi roz-
sądku, tak się zawziął w swym afekcie, że choć nie ko-
chany i wzgardzony, nie mógł się rozstać z swym uczu-
ciem. Blizki zwątpienia, złamały i wyczerpany, napisał roz-
paczliwy wiersz *O miłości*, który najlepiej maluje jego ów-
czesne usposobienie:

Ma już pokóy Prometheus, lecz ja miasto niego
Jestem przybit na rogu Kaukazu śnieżnego.
Mnie orlica serce żrze, które na swe męki
Odrasta, y żywi zwierz łakomy przez dzięki.
Ma pokóy Andromeda, lecz ja przykowany
Do skały prze cudzy grzech podeymuię rany.
Do mnie płynie wieloryb rozwarłszy paszczękę:
Gdzie ja mam rady szukać? gdzie ja sie uciekę?
Ratuy mężny Herkules, ratuy Perseu sławny,
A odnów (jeno by wczas) na mnie przykład dawny.

Tymczasem życie toczyło się zwykłym trybem, a poeta,
który dotąd widywał się z Hanną tylko na zamku, od nie-
jakiego czasu — zdaje się w ciągu zapust — spotykał się

z nią jeszcze i w niektórych domach na mieście, skąd później wracał do domu z latarką i „bronią w późnych przegodach nieraz doświadczoną“. Ale Hanna nie dała się wzruszyć. Nieszczęśliwy kochanek, choć mu to niepowodzenie opalało skrzydła, brał się na różne sposoby, ażeby trafić do serca swej umiłowanej, a między innymi, ufny w moc poezji, pisał prześliczne „pieśni żałosliwe, na jakie się zdobyło serce nieszczęśliwe“, które przez znajome osoby dochodziły do rąk Hanny. Ale i to nie pomagało.

Jam przegrał, ja, miłości, tyś plac otrzymała,
Tyś mię prawie do zimnej wody już dognęła.

Znaczy to, że miewał chwile rozpacz, w których myślał o samobójczym rzuceniu się do Wisły.

Widzę swój błąd na oko, y próżne nadzieje,
A przed wstydem, y żalem serce prawie mdleje.
Ku temuż mię kresowi swem pochlebstwem wiodła,
Abyś mię czasu swego tak haniebnie zbodła.
Zbodłaś mię, a ten zastrzał twój nielutościwy
Mnie być pamiętny musi pókim jedno żywy.
Acz y żywot w twych ręku; a jeśli litości
Twę nademną nie będzie, jam zginął, miłości!
Zginałem, a lży moje dokonać mię maia,
Które mi z oczu płynąć nigdy nie przestają.

Doszło do tego, że podobnie, jak niegdyś w Padwie, pod wpływem zawodów miłości ku Lydii, zaczął pić lub oszalać się hazardową grą w karty, a kiedy jeszcze zdarzyła się sposobność, że w czasie sejmu 1570 roku mógł pohulać z Jędrzejem Trzecieskim¹⁾, zawsze do kielicha ochoczym, to tak dalece zapominał o przestrzeganiu miary

¹⁾ O roli, jaką w tej nieszczęśliwej miłości Kochanowskiego odegrał Trzecieski, tak pisze Windakiewicz: „Drugą wskazówkę biograficzną co do tego romansu uzyskamy z trzech fraszek do Jędrzeja Trzecieskiego, z których wynika, że po rekuzie użył Kochanowski Trzecieskiego za pośrednika do załagodzenia nieporozumień z Bezimienną, dwa razy odsyłał go z rozmaitemi propozi-

w trunkach, że raz po raz dawał się spoić swemu przyjacielowi. Jeszcze mu później dziękował za to!

Bógżeć zapłać, Jędrzeiu, żeś mię dziś upoił:
Boś we mnie niepotrzebne troski uspokoił,
Które mi serce gryzły: jako to być musi,
Gdy człowieka niewdzięczność opętana dusi.
Wiem dobrze, że nie długo ze mną tey rozkoszy:
Bo to wszystko po chwili trzeźwa myśl rozptoczy,
Ale witaj mi ta noc wolna od frasunku...

W końcu stracił nadzieję i zwątpiwszy, by zdołał zmienić „niewdzięczność“ Hanny, oddał się spokojnej rezygnacji. Pijaństwa zaprzestał, bo mu szkodziło. Widział, że głową muru nie przebije, więc szukał zapomnienia — w pisaniu.

A cóż czynić? Pijaństwo zbytnie zdrowiu szkodzi,
Gra też częściej z utratą, niż z zyskiem przychodzi.
A nadzieie zaś niemasz wzajemnej miłości,
A owa na swą szkodę suszy bardzo kości.
Wy tedy, co kto lubi, moi towarzysze,
Pićcie, graycie, miłuycie: Jan fraszki niech pisze.

Ale te frasunki poety nie uszły baczości jego znajomych, którzy, widząc, że, pomimo tylu przeciwności ze strony nieprzejednanej dziewczyny „opętanej niewdzięcznością“, nie przestawał jej kochać, zaczęli wpływać na Hannę, tłumacząc jej, że źle czyni, odrzucając miłość poety. Czy pod wpływem tych perswazji, czy z innych powodów, dość, że z wiosną, a najpóźniej na początku lata 1570 roku, nastąpił pomyślny zwrot w zachowaniu się panny, pomyślny o tyle, że choć w niej serce nie zabiło goręcej, to jednak

cyami, zarzucał mu, że źle jego interes prowadzi, że perswazyami rodziny narzeczonej zbytnio się powoduje, a ostatecznie widząc, że niewiele poradzi, poszedł z nim do winiarni i smutek swój w butelce wina utopił. To pośrednictwo Trzecieskiego w załatwieniu nieporozumień z Bezimienną wskazuje, że on był właściwym pośrednikiem tej miłości“. *Erotyk Kochanowskiego*, str. 6.

dała się nakłonić ku swemu wielbicielowi. W duszę poety, jak gdyby złoty promień słońca do ciemnej komory, wstąpiła nadzieja. Widząc, że Hanna zmieniła się w stosunku do niego, iż staje się powolniejszą, w jednej chwili zapomniawszy wszelkich uraz, i niepomyślnego wszystkiego, co wycierpiał z powodu tej „zapamiętałej dziewczki“, zanucił pieśń szczęśliwą:

Matko skrzydlatych miłości,
Szafarko trosk y radości:
Wsiądź na swój wóz uzłocony,
Białym Łabęciom zwierzony,
Puść się z nieba w snadnym biegu,
A staw się na Wiślnym brzegu,
Gdzie ku twej czci ołtarz nowy
Stawię swą ręką darnowy.

Tym cię błagam, o królowa
Bogatego Cypru, owa
Abo różne serca zgodzisz,
Abo y mnie wyswobodzisz.
Ale raczey nas oboje
Wzów pod złote jarzmo swoje,
W którym niechay ci służywa,
Póki ia, y ona żywa¹⁾.

W końcu odbyły się zaręczyny, na które nie tylko rodzice Hanny, ale i królewna dała swoje pozwolenie. Z powodu tych zaręczyn napisał Kochanowski krótki wierszyk, który najlepiej maluje, jak dalece „szczęśliwy“ oblubieniec zdawał sobie sprawę z uczuć swej narzeczonej:

¹⁾ Prof. Stanisław Windakiewicz uważa w swym studium o *Erotyku Kochanowskiego* wiersz ten za pierwszy poemat, utworzony z myślą o Bezimiennej. Za twierdzeniem tem przemawia — nawet bardzo stanowczo — elegia do Pazyfili, w której poeta zdradza się, że wierszyk, w którym wzywa Wenerę w kraje nadwiślańskie (Fraszka III, 12) odnosi się właśnie do tego romansu, czyli, że był napisany wcześniej od pomienionej elegii, a więc przed wyjazdem poety na Litwę.

Na palcu masz dyament, w sercu twardy krzemień:
Pierścień mi, Hanno, dajesz, już i serce przemień.

Ale choć się nie łudził co do jej uczuć, to jednak nie wątpił, że gdy ją powiedzie do ołtarza, a potem zawiezie do Czarnolasu, wtedy zdoła w niej wzbudzić przywiązanie, wtedy jej serce potrafi rozgrzać własnym uczuciem. W tej nadziei dokładał wszelkich starań, ażeby o ile możliwości przyspieszyć tę błogą chwilę, układał plany na przyszłość, którą sądził bardzo niedaleką, a tymczasem, rozkochany na zabój, korzystał z przysługujących mu praw narzeczonego, pracując nad wyrównaniem tej przepaści, która ich „różne serca“ dzieliła. Znosił podarki, a czy to podarkami temi, czy swą gotowością na wszelkie usługi, czy skwapliwością, z jaką spełniał nawet kaprysy Hanny, dość, że tyle postąpił w pozyskaniu jej względów, że jeśli nie serce, to sobie przynajmniej zdobył uprzejmość pięknej dziewczki. I w rozmowach stawał się śmielszy, może dlatego, że, czując pewny grunt pod nogami, więcej miał konkretnego tematu do rozmowy. Z pewnością najwięcej gawędzili o tem, jak sobie życie urządzają na wsi, jak będą żażywali swobody sielskiej, tak różnej od krępującej etykiety dworskiej, a można być pewnym, że poeta, rozmawiając ze swą lubą, nie raz zdobywał się na podobną czułość, jak ta, którą nacechował jedną ze swych elegii łacińskich do Pazyfili: „W nadziei twojej miłości, o serce moje, gotówem wzgardzić wszystkim: tyś mi skarbem, ty sławą, ty jedynym zaszczytem. Wiele wprowadzić trzeba się troszczyć w nieszczęsnej miłości, lecz choćby i wcale się nie troszczyć, toć przecie samo czekanie jest przykrością. Kochankowie mierzą rok nie według biegu słońca lub przebytej ścieżyny zmiennego zodyaku; dla nich godzina, to jakby rok cały; nie też dziwnego, że wyglądają blade i przedwcześnie włos noszą siwy. Ty, dziewczyno, co jedna me cierpienie możesz ukończyć, nie gubże mnie długiem zwlekaniem! Niech mi zażdroszczą, niech pęką zawistni, gdy tylko ty mi sprzyjasz,

już sprawa moja niczego się nie lęka. Ty jedna bądź mi przychylną. Napróżno walczyć z Amorem: ziści się wszystko, co tylko on zechce“.

Na nieszczęście, nietylko Hanna trapiła poetę „ciągłem zwlekaniem“, ale i okoliczności składały się w ten sposób, że chcąc nie chcąc należało odłożyć chwilę ślubu. Zaczęły występować trudności, których poeta nie przewidział na razie, a które nie pozwalały na przyspieszenie wesela. „Stary dwór czarnoleski, choć niepozorny i w ziemię zapadły, mógł wystarczać niegdyś poecie. Obecnie przecież, po ośmiolateńskim niezamieszkanu stał się rudą, wiejącą pustką i stęchłą. Jakże tu do niego z królewskich komnat miłościwą panią wprowadzić?“ Przedewszystkiem wypadało pomyśleć o wzniesieniu nowego dworu, o usłaniu w nim wesołego gniazdka, a to wszystko wymagało czasu i zachodu. Nie pozostawało nic innego, tylko przeczekać w Warszawie, na wiosnę pojechać do Czarnolasu, wystawić dwór i dopiero potem wstąpić na ślubny kobierzec. Taki był plan poety, aprobowany przez narzeczoną. Tymczasem nadeszła zima, zapusty. Rozpoczęły się zabawy, tańce, biesiady. Hanna nietylko bywała na nich, ale bywając z narzeczoną, niejednokrotnie swym zachowaniem się jeszcze bardziej rozmarzała poetę. Raz pozwoliła mu zabrać sobie woniejący zioły *facolet*, t. j. chusteczkę od nosa; innym razem dała mu swój fiołkowy wianek z głowy, a starając mu się przypodobać, malowała się i bieliła... Wszystko to sprawiało, że poeta był najlepszej myśli, rozumiejąc, iż Hanna powoli przekonywa się do niego.

W tem błogiem przeświadczeniu, gdy nadeszła Wielkanoc 1571 roku, udał się do Czarnolasu. Tutaj, nie zwlekając, zaraz przystąpił do budowy domu, a miał to być piękny, gontem kryty dwór z dębów czarnoleskich, wzniesiony na podmurowaniu, z piwnicą, z obszerną sienią i kilką komnat. Budowa szła rażno, a poecie serce rosło, gdy patrząc na swą nową siedzibę, roił, że tu niebawem sprowadzi

Hannę. Z myślą o niej, zaczął przyozdabiać wykończone izby, a jeśli nie stać go było na obijanie ścian makatami, to nie znaczy to wcale, ażeby ich nie starał się przybrać w mniej kosztowne opony, ażeby stołów nie zamierzał ponakrywać dywanami, a ław i stołków — pokrowcami. „Jeżeli zaś kto, to poeta mógł ich nagromadzić niemało. Stosunki jego z możnowładcami opłacały mu się niejednym sutym podarkiem. Kosztowna broń i rzędy na konie, pierścienie, łańcuchy, roztruchany, kubki szczerozłote, nalewki i kobierce były nieraz jego wierszy nagrodą. Miał więc czem przystroić dom na przybycie Hanny“. Gdy nareszcie dwór stanął gotowy, poeta, lubując się jego widokiem, napisał ów znany wiersz *Na dom w Czarnolesie*:

Panie, to moja praca, a zdarzenie twoie:
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje.
Inszy niechaj pałace marmurowe mają,
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja, panie, niechaj mieszkam w tym gniaździe oyczystem,
A ty mię zdrowiem opatrz, y sumieniem czystem.

W tymże czasie powstała i fraszka *Do poetów*, najprawdopodobniej Górnickiego i Trzecieckiego, którzy przyjechali zobaczyć nową chudobę Jana, fraszka, świadcząca o swobodnym nastroju umysłu autora, który, rad swoim gościom, wyobrażał sobie, jak to będzie rozkosznie, gdy oprócz serdecznych przyjaciół i Hanna zasiędzie do wieczerzy. „Będzie ser, będzie szołdra, będą wonne śliwy“, a jeśli i muzyki nie zbraknie, wtedy i Hannie chyba nie uprzykrzy się z nimi... Tymczasem, oddalony od niej, co tydzień wyprawiał do Warszawy *tabellarius* z listami do narzeczonej, pośrednikiem zaś, który mu ułatwiał to korespondowanie z panną, był ksiądz St. Fogelweder: na jego ręce szły listy z Czarnolasu, na jego ręce szły listy do Czarnolasu. A nietylko listy przywoził z Warszawy ów *tabellarius* Kochanowskiemu: zdarzało się, że mu przywoził i różne upominki od panny. Raz n. p. przywiózł mu od niej

lutnię, a poeta, otrzymawszy ten podarunek, ucieszył się nim podwójnie: przede wszystkim dlatego, że był to dar ofiarowany mu przez Hannę z własnego popędu, a powtóre, że w samym wyborze podarku nietrudno było dopatrzeć się głębszej myśli. „Jeżeli bowiem dotąd poeta starą swą lirę jedynie na smutne tony nastrojał, to z odmianą na lepsze, z nowem życiem, z nową nadzieją, czy nie było właściwem, aby, jak ton pieśni, i narzędzie muzyczne odmienił?”¹⁾

A tymczasem na dworze promieniała wiosna rozkoszna, pola pokryły się zielonemi kobiercami zbóż, wszystko budziło się do życia, uśmiechało się, dążyło do rozkwitu. I w sercu poety panowała pogoda wiosenna, świeciło słońce, bielity się wonne kwiaty nadziei. Rozumiał, że maluczko, a będzie szczęśliwy, że tylko patrzeć, jak Hanna zjedzie do Czarnolasu. I żył szczęściem, którego sądził się blizkim, i ciesząc się tą sielską teraźniejszością, którą uważał za krótki prolog do jeszcze piękniejszej przyszłości, napisał cudny wiersz do Hanny, który, bardzo być może, że jej wraz z listem, albo zamiast listu, wysłał przez owego *tabellariusza* do Warszawy.

Hanno, tobie kwoli śpiewam,
Skąd jeśli twą łaskę miewam,
Przeszedłem już Amphiona
I lutnistę Ariona.

Ty mię pochwal, moja pani,
Nie dbam, choć kto inszy gani.

A jeśli me niskie progi
Będą godne twojej nogi:
Nogi piękney: nie potrzeba,
Dotrzeć już głową nieba.

¹⁾ Cały ten epizod z lutnią opiera prof. Pleniewicz na Fraszce 33, księgi III, w której poeta między innemi pamiątkami, pozostałemi mu po Hannie, wymienia i lutnię. Mogła przecież Hanna tę lutnię ofiarować poecie równie dobrze w Warszawie, jak przystać mu ją do Czarnolasu.

Samy cię ściany wołają,
Y z dobrą myślą czekają:
Lipa stojąc w pośród dworu,
Wygląda cię coraz z boru.

Każ bystre konie zakładać,
A sama się gotuy wsiadać:
Teraz naweselsze czasy,
Zielenią się piękne lasy.

Łąki kwitną rozmaicie:
Zająca już nie znać w życie,
Przy nadziei oracz ściśły,
Że będzie miał z czem do Wisty.

Kwap się póki iasne zorze
Nie zapadną w bystre morze:
Po chwiliśmy czarne wstaną,
Co noc noszą nienaspaną.

Ta wzmianka o „ćmach czarnych“ była wyrazem różnych niepokojów, które niekiedy w nocy „nienaspane“ obśiadały duszę poety, strasząc go różnemi przywidzeniami, przeczuciami. Obawiał się zawiści ludzkiej, która mu mogła pozazdrościć jego szczęścia, a niemniej lękał się intryg, które, praktykowane po wszystkich dworach, nie były obce i dworowi warszawskiemu. Wiedział, że nie jest bezpiecznie być nieobecny przy narzeczonej, której uroda była oskomą dla tylu innych, a wiedział także, że bardzo szerokie koła interesowały się jego matrymonialnemi zamiarami (o których wieść doszła aż do Wiednia), gdyż byli tacy, którym mniej zależało na jego szczęściu, aniżeli na beneficjach. Ale te „ćmy czarne“, jakkolwiek go prześladowały chwilami, nie zawsze mogły się ostać wobec listów Hanny, z których stęskniony poeta czerpał otuchę. Że tak było, dowodzi Elegia II ks. III, przypisana Myszkowskiemu, z którym Kochanowski również, jak z Hanną i Fogelwederem, pozostawał w korespondencji, elegia, napisana w jednej z tych błogich chwil, kiedy poetę nie dręczyły najmniejsze wątpliwości

o jego przysłem szczęściu, kiedy był pewny, że każdy dzień zbliża go do Hanny. „Tu, Myszkowski, jeżeli kiedy zechcesz uniknąć wrzawy miejskiej, zawróć wartkie koła swej kolasy i nie gardź, bogaczu, progiem lichego domku, bo i ubogie chaty mają swe bóstwa opiekuńcze... Tu cię spokój miły, tu długie czekają wczasy, tu lekkie potrawy i wdzięczna rola, słodkie kwilenie ptasząt i powietrze zdrowe, przeźroczyste jeziora i cieniste gaje... Pazyfila zaś, cokolwiek na cały rok zgromadziła, zastawi przed tobą, kiedy skromną strzechę nawiedzisz, i bacznie przy obiedzie zwać będzie na twe skinienia i z winem napoczęte kielichy podawać; skromnie też poprosi, byś zechciał ubóstwu przebaczyć¹⁾. Tak sobie wyobrażał to swoje przyszłe szczęście, a im więcej myślał o niem, tem bardziej zniechęcał się do życia dworskiego, a zapalał do cichego żywota zie-

¹⁾ Zaliczenie elegii tej przez Plenkiewicza do seryi poezyi, pisanych do Hanny, i wogóle nadawanie tej Hannie imienia Pazyfili, które to imię łączono dotychczas z Dorotą Podlodowską, nie zyskuje aprobaty prof. Tarnowskiego, który w tej kwestyi ma niejedno do zarzucenia. „Nie widzimy powodu — czytamy w jego recenzji — dla którego wiersze, odnoszone dawniej do Doroty Podlodowskiej, miałyby być przyznane tej Hannie; nie widzimy go tem więcej, że biograf jest czasem zbyt śmiałym w tych aneksjach na jej korzyść. Imię Pazyfili n. p. oznaczać ma ją wyłącznie, a nigdy Dorotę. Jednak, o innych argumentach nie mówiąc, trzeba przypomnieć Elegię II, księgi III, w której poeta, zapraszając Myszkowskiego do Czarnolasu, opowiada, jak Pazyfila będzie się krzątała około przyjęcia takiego gościa, i co najlepszego zebrała przez cały rok do swojej spiżarni, to jemu na stół postawi. Czy to o narzeczonej pisane?“

Na pytanie to dał odpowiedź prof. Brückner w swym artykule o *Nowych przyczynkach do dzieł Jana Kochanowskiego*. Z powodu Elegii III, 2, która jest ósmą w rękopisie Osmólskiego, profesor Brückner prostuje dotychczasowe mniemanie biografów Kochanowskiego, którzy ją odnosili do epoki czarnolesskiej w życiu poety: „Elegia nienajkrótsza — pisze Brückner — liczy 62 wiersze, powtarza się bez wszelkich zmian w obu redakcyach, jedną tylko nazwę zastąpił Kochanowski inną i zdrwił srodze z komentatorów.

mianina. „Miła mi mierność moja (pisał w tejże elegii); jeźli rad jestem tak, jakbym twemi, bogaty Krezusie, władał królestwy. Czyja wola, niech oblega progi dojutrków królujących: ja, biedny, ubogi zagon lemieszem odwracać będę

W operetce *Nanon* i w innych utworach lekkiej muzy, pieśnią, złożoną pierwotnie w hołd bogdance, po zmianie nazwiska raczą poważne panie; podobnie i tutaj wszyscyśmy dotąd myśleli, że wierszem tym zapraszał Jan biskupa płockiego, czy krakowskiego, do Czarnolasu, gdzie zarumienioną Pazyfila-Dorotę dygnitarza kościoła przyjmować miała; czerpaliśmy z tej elegii szczegóły o Dorocie, o biskupie-myśliwym. Tymczasem czytamy w pierwszej redakcyi zamiast *Pasiphile in totum* i t. d. — *Lidia et in totum* i t. d. i cała nasza budowa runęła; więc już nie o biskupie, o żonie, o Polsce tu mowa, tylko o innym Myszkowskim, o Lidyi, o Padwie²⁾. Obacz *Ateneum*, 1891, II, 9. Nieco inaczej o tejże samej elegii pisze prof. Brückner w roku 1898 w swej recenzji dzieła Plenkiewicza. Oto, co tam czytamy na stronie 653: „Nie będę wprowadził teraz twierdzeń, że elegia ta dla samej wzmianki o Lidyi cała z Padewskich czasów pochodzić musi koniecznie; że już roku 1562 lub 1563 mógł poeta myśleć o uczczeniu Myszkowskiego, nic dziwnego; mógł go więc poeta prosić do siebie na wieś, by po gwarze miejskim z nim odpocząć, i tę wzmiankę o nim wstawić do elegii, napisanej choćby i wcześniej... Nazwisko Lidyi zastąpione w późniejszej redakcyi (dla druku) przez *Pasiphila*-Hanna: lubował się poeta wedle własnego zeznania w Hannie, użył jego na przykład już w *Szachach*, jeśli nie wcześniej, i oddawał je w późniejszych utworach łacińskich przez zbliżone znaczeniem *Pasiphile*. Lecz że taka Pazyfila od Lidyi nie wiele się różniła, ani własnym stanem, ani uczuciami poety, dowodzi każda o niej wzmianka; n. p. w Elegii III, 1, napisanej roku 1567, wspomina o tem, że staremu już nie przystoi pukać nocą do drzwi, by go wpuszczono; we współczesnej elegii III, 12, przestrzega ją, aby się przekupić nie dała, i t. p. I to miała być panna fraucymeru królowej, z którą on miał się zaręczyć! Niemniej trafnie odnoszono dawniej wzmianki o tej kurtyzance do żony poety, Doroty Podlodowskiej!“ Wszystko też, co napisano „o niepokalanej czystości tej miłości i jej uszlachetniającym wpływie na poetę“ prof. Brückner odrzuca z całą stanowczością, wkłada do frazesek. Nadmienić wypada, że R. Löwenfeld w swojej pracy *Johann Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen* przez Hannę zawsze rozumie Dorotę Podlodowską.

i ufną ręką pewne ziarno posieję". Tak nastrojony, czując przypływ weny poetyckiej, zaczął tłómaczyć psalmy Dawida. W ten sposób upłynęło mu lato roku 1571.

Tymczasem Hanna opuściła dwór królowy, ażeby czas jakiś „przy pani matce“ pomieszkać, z czym w parze szło również i szykowanie wyprawy. Zdaje się, że poeta często odwiedzał Hannę, gdy przebywała u rodziców, bo inaczej nie pisałby, że wrota jej domu były „świadome jego częstych dróg“. Cóżkolwiekby, był zadowolony ze swych konkurów, a po każdym widzeniu się z Hanną, ku której rozpłomieniał się coraz namiętniejszym afektem, z wrastającą lubością marzył o swem weselu. Wesele to, ze względu, że Hanna była dworką królowy, spodziewał się obchodzić nie gdzieindziej, jeno na zamku warszawskim, a więc i z pewnym przepychem. Szło tylko o wyznaczenie terminu, o to, by rodzice narzeczonej, po uprzednim porozumieniu się z królową, oznaczyli dzień zaślubin.

Nagle wybuchła zaraza w Warszawie, zaczęło poszło, że musiano odłożyć gody weselne. Była to fatalność, ale poeta, już pewien swego, rad nie rad pogodził się z tą chwilową przeszkodą: skoro zwyciężył wszystkie przeciwności ziemskie — myślał sobie — to nie potrzebuje się lękać tej zawady ze strony nieba. Co się odwlecze, to nie uciecze! Tak rozumując, był dobrej myśli, ba, nawet mu nie zbywało na humorze: humoru dowodził jego list do Fogelwедера, pełen różnych łacińsko-polskich konceptów, elegia zaś, poświęcona temuż Fogelwederowi, świadczyła o niezamąconej pogodzie umysłu jej autora: z listu wynika, że poeta, oprócz tęsknoty za ukochaną, nie znał innych smutków, a w elegii „żartował sobie“ na temat „poważnej u dworu pracy“ swego przyjaciela i powiernika, którego przeproszał jednocześnie, że go „nudził“ i „trapił“ swemi sprawami osobistymi. „Jak młodzian miłością płonący, któremu dziewczyna z nadejściem zmroku kazała oczekiwać swego przybycia, pragnie, by jaknajprędzej złote słońce zaszło, sądzi bowiem,

że ono jedno przeszkadza jego życzeniom“, podobnie i on tej jesieni czuł się w przededniu szczęścia. „Tak my tam na wsi (pisał do Fogelwедера), kiedy już zasiejemy, komin w koło obsiadziemy, a lada co i mówimy i piszemy“.

Nagle zapadło się wszystko: Hanna odesłała mu pierścionek. Właściwego powodu, który ją skłaniał do zerwania z niekochanym i po za czterdziestkę wybiegłym „probo-szczem poznańskim“, nie podała żadnego. Dopiero teraz zrozumiał Kochanowski, co leżało na dnie owego dziwnego zachowania się Hanny, gdy u niej był po raz ostatni. Rozżalony, chwycił za pióro, a pieśń, którą skreślił pod wrażeniem fatalnej wieści, najlepiej maluje jego chwilowy nastrój:

Nie za staraniem, ani prze mą sprawę,
Miła, po tobie znam taką postawę¹⁾:
Szukay, iako chcesz, nie naydziesz przyczyny,
Chyba żeć milszy podobno kto inny.

¹⁾ Prof. Brückner w swem doniosłem, a w literaturze o Janie z Czarnolasu prawdziwie epokowym studium, przynoszącem na podstawie rękopisu Osmólskiego *Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego*, wszystkie te erotyki, które Plenkiewicz odnosi do Hanny a Windakiewicz do Bezimiennej, zalicza do czasów padewskich, jako pisane do Lidy. Oto odnośny ustęp z pomienionej pracy, ustęp, mojem zdaniem, otwierający szerokie pole do dyskusji:

Zaznaczmyż jeszcze — czytamy tam na stronie 21 — że miłość Lidy stanowi treść i większej części pieśni erotycznych polskich. Szukano w nich mylnie wszystkiego, tylko nie tego stosunku, gdy tymczasem na podstawie porównania elegii łacińskich z wszelką pewnością szereg tych pieśni do Lidy odnieść się daje. A więc na przykład wiersze: „Juno, porzuć swój gniew długi“ i „Złota to strzała i krom wszego jadu była, którą mię niepochybna miłość uderzyła“, i te wiersze o „Pannie wszech piękniejszej i jej świętych obyczajach“, o których bajano, że Dorocie ofiarowane, to są to wiersze właśnie „nowotnej Muzy słowiańskiej“, o których w elegii I, 6, mowa; dalej wiersz o podróży z opisem przygody Europy, wiersz na rozstanie się z „panią wszechpiękniejszą, co ich kolwiek przyniosła chwila terażniejsza. Już mi z myśli wypadły te obecne twarzy“ i t. d. (porównajmy „zglądam już z myśli wręcz wszystkie kształty, które na różnych miejscach podziwiałem“, elegia I, 6)

A ja co mam rzec? nie chcę się przeciwzić:
Temu się iedno nie mogę wydziwić,
Zkąd tę niestałość białęgłowy maia,
Że się, iako wiatr letni odmieniaia.

Niedawne czasy, gdy mię poczytano
W liczbę fortunnych, y za tego miano,
Który mógł wszystko otrzymać u ciebie,
A mnie się zdało, żem był wszytek w niebie.

Dziś inne wiatry przeciwko mnie wieia,
Straciłem wszystko zaraz y z nadzieia:
Nie wiem, co mię za wiedźma osypała
Y lichem zdradnych słów oczarowała.

i wiersz do nieobecnej, gdzie ją znowu zapewnia o swej wierze i miłości, a twierdzi „nietylkoś nad inne gładszą się urodziła, ale i zwyczajmi twarzy nic nie zelżyła“. Oto kilka wierszy z epoki pierwszego niezamąconego większym żalem szczęścia, ale po jego użyciu gorycz została, a więc pierwsze otwarte wyznanie, że się zawiodł, we wierszu „Muszę wyznać, bo się już nie masz na co chować“, wymówki i przestrogi we wierszu „Nie za staraniem ani prze mą sprawę miła! po tobie znam taką postawę“, żale i wyrzuty we wierszach „Rozumie mój! próżno się masz frasować“ i „Nieźle czasem zamilczec, co człowieka boli“, daremne wyczekiwanie pod furtką „Ty śpisz, a ja sam na dworze... cierpię nocne niepogody“ i t. d. i skargi tej furty „Zmiłuj się kto dobry a potłucz zawiasy“ i t. d., наконец sarkazmy i skargi przed przyjacielem Nideckim, w których otwarcie wyznaje, że zbyt schlebiał bogdancę, że wstydi się teraz tej przesady, bo ona ani tak piękną, ani jej obyczaje jakiej chwały godne, więc też jego nieprawdę fałszem mu oddaje: we wierszach „Próżna twa chluba, nie kochaj się w sobie“, „A cóż radzisz Jędrzeju“, „Który mój nieprzyjaciół“, „Bogini, która miłością szafujesz“ i inne. Porównanie tych pieśni między sobą i z elegiami lacińskimi, w których te same motywa lub nawet zwroty się powtarzają, wykazuje dowodnie, do kogo się wszystkie odnoszą. Tyle o Lidy. Obacz *Ateneum*, 1891, II, 21. W swej recenzji w *Pracach filologicznych* (na stronie 652) prof. Brückner podaje w wątpliwość cały „trzeci najobszerniejszy romans“ poety z Hanną z fraucymeru królowny Anny. Romans ten „zszyty z kilkunastu fraszek, paru elegii, kilku niby wskazówek“, a nadto ze „samych domniemań, hipotez, prawdopodobieństw“ robi na prof. Brücknerze wrażenie „zlepku“, „pełnego rażących sprzeczności“, słowem, czegoś „wymysło-

Niech ci się, miła, wszystko dobre wodzi,
Z kimkolwiek przestać twoie serce godzi.
Ale rozeznac umieć przyjaciela,
A trudno należeć masz jednego z wielu.

Nie dufaj temu, kto gładkość miłuje,
Bo ten na słabym gruncie się buduje:
Słońce iednako y padnie y wschodzi,
Nam zawždy z laty cokolwiek odchodzi.

A gdy czas przyydzie ostatniej potrzebie,
Ledwie się naydzie, kto ciało pogrzebie.
Takim ia chcę być przyjacielem tobie.
Lecz wolę, że ty płaczesz na mym grobie.

Przypuszczenie poety, że znalazł się ktoś inny, co pod jego nieobecność zdołał zawładnąć sercem Hanny, a przynajmniej był lepszą partią od niego, okazało się słusznem. Mimo to, wzgardzony poeta nie od razu dał za wygraną, lecz pojechał do Hanny, ażeby z jej własnych ust dowiedzieć się o przyczynie takiego obrotu sprawy. Pojechał, scena zaś, jaka się rozegrała pomiędzy nim a Hanną, nie obeszła się bez skarg i żez z jej strony; Kochanowski jednak, nie przekonany ani temi „żzami krokodyłowemi“ Hanny, ani „zmyślonemi skargami“ jej rodziców, odjechał w tem przeświadczeniu, że mu za jego szczere uczucia odpłacono „niecnotą y fałszną zdradą“, a kiedy mijał wrota, prowadzące do posiadłości swych krzywdzicieli, patrząc na nie, pewny, że je widzi po raz ostatni, takie im rzucił pożegnanie:

nego“, co się kwalifikuje do tej samej kategorii zmyśleń w życiu Jana Kochanowskiego, co córka Stanisława Tarnowskiego ze studium Chlebowskiego i margrabianka d'Aubusson z opowiadania Aëra (Rzążewskiego). Choć w nawiasie dodać należy, że wedle autora „Obrazka historycznego z XVI wieku“, zatytułowanego *Jan Kochanowski dziedzic z Czarnolasu*, Hanna była panna Koniecpolska. Dla czego Koniecpolska? Gdzie na to dowód, choć cień dowodu? Autor o tem milczy, dyskretnie... Wymaga, żeby mu wierzone na słowo, uważając widocznie, że nie potrzebuje tłumaczyć się przed czytelnikiem, a cóż dopiero przed krytyką!

Bóg was żegnay, niewdzięczne, y nieludzkie wrota,
Świadome mych częstych dróg, y mego kłopotu:
Boday tu pajęczyna, y pleśń na was padła,
A te niewierne zamki rdza plugawa ziadła.

Cierpiełem ia tak wiele, że mię wstyd powiadać,
A mógłby mi bezpiecznie każdy głupstwo zadać:
Żem sye dał za nos wodzić czas tak bardzo długi,
Bacząc, że w małej wadze były me posługi.

Chciałem złość jakokolwiek wytrwać uprzejmością,
A zwyciężyć niewdzięczność swoją statecznością:
Ale moia uprzejmość, y statek był próżny,
A iey niebaczny umysł zawżdy memu różny¹⁾...

Do domu powrócił rozszalaony i rozgoryczony, pełen wątpliwości o sobie. Ale dotkliwie zdrażniony w swej miłości własnej, pocieszał się myślą, że „ludziom złym będzie swa zapłacona wina“, a tymczasem choć „cierpiał, jako mógł“ i „frasował się ustawnie“, starał się przeboleć doznana krzywdę, zapomnieć o płochy dziewczynie. „Mężem być trzeba“...

¹⁾ O ile w pierwszej, majorowej fazie miłości Kochanowskiego do Bezymiennej naśladownictwo Petrarce nie ulega żadnej wątpliwości, o tyle w fazie następnej, minorowej, poeta otrząsa się z pod uroku śpiewaka z Wokluzy. Jeżeli była chwila, że Kochanowski wiele miał do zawdzięczenia Petrarce, gdy w najważniejszym przełomie moralnym i twórczym autor *Canzoniere* dopomógł mu do przedostania się na znacznie wyższy stopień samoistności, gdy go nauczył klarować czysto liryczne uczucia, wskazał drogę do ujmowania ich w formę bardziej nowoczesną; to gdy ta błoga chwila minęła, wpływ Petrarce znika zupełnie. W pieśniach z tego dramatycznego okresu znać męską duszę poety, hart, trzeźwość, wytrawność, obcą Petrarce. „Widocznie — słowa są Windakiewicz — że Kochanowski dużo w tym czasie przebolewał, przemyślał, i wśród tego bardzo zmęźniał i wykształcił się. Miłość staje się bardziej samowiedną i osobistą, proces cały toczy się w głębi jego duszy spokojnie i rozważnie, a choć porusza najtkliwsze struny serca, poeta już nie szaleje obecnie, nad uczuciem swem osobiście panuje i sam się w sobie ukoić potrafi“ (strona 201).

Ale jeszcze się nie zdążył uspokoić po odniesionej klęsce, kiedy go w kilka tygodni niespełna, bo jeszcze przed końcem roku 1571, doszła wiadomość z Warszawy, że Hanna wyszła za mąż, a wesele odbyło się na zamku, w obecności królowej i króla¹⁾. Choć to było do przewidzenia, jednakże na wieść o tem, poeta nie umiał ukryć swej boleści: dopiero teraz przekonał się, jak namiętnie kochał, jak się czuł nieszczęśliwy z powodu utraty tej dziewczyny:

¹⁾ „Cyrus, który wciąż na dworze polskim w charakterze posła cesarskiego przebywał i o najdrobniejszych szczegółach dotyczących dworu, do Wiednia na gorąco donosił, pisze pod dniem 26-go grudnia 1571 roku, iż na weselu, które królowa Anna wyprawiła dla jednej z pańien, należącej do jej fraucymeru, obecnym był i król Zygmunt“. Na tej informacji, podanej przez Cyrusa, opiera się hipoteza prof. Pleniewiczza, że to właśnie Hanna była ową panną, której królowa w tych czasach wyprawiła wesele na zamku. Pewności jednak, że to było wesele wyprawił narzeczonej Kochanowskiego, niema żadnej. Stan. Tarnowski też się odnosi bardzo niedowierząco do tej kwestyi. „Poseł cesarski Cyrus — czytamy w sprawozdaniu Tarnowskiego — donosi w relacji z roku 1571, że królowa Anna wyprawiła jednej ze swoich pańien wesele, na którym i król był obecny, i to za dyspensą, bo w czasie niekanonicznym (w adwencie?). To oczywiście ta Hanna! Podobał się jej kto inny, zdradziła Kochanowskiego, a ślub brała w wielkim pośpiechu za dyspensą, żeby się zdradzony nie dowiedział i nie stawiał przeszkód. Tak się tłumaczy żal i gorycz Kochanowskiego. Istotnie, żal i gorycz tłumaczy się doskonale; tylko co się nie tłumaczy, to tożsamość owej zaślubionej w adwencie bezimiennej panny, z tą, co zdradziła poetę, to związek owej relacji Cyrusa z jego zerwanymi zaręczynami“. Wogóle cała ta żalosna historia o Hannie wydaje się prof. Tarnowskiemu niedostatecznie w książce Pleniewiczza uzasadnioną. Oto, jak te swoje wątpliwości tłumaczy w recenzji w *Przeglądzie polskim*: „Ostatnia przed ożenieniem wielka i smutna jego miłość, owa Hanna, która go zdradziła, to znowu kombinacja zbyt śmiała. Że był zaręczony, i zdradzony, i smutny, to dość z jego wierszy widoczne. Ale że jakaś panna z dworu królowej wzięła ślub za dyspensą, to musi być zaraz konieczne ta sama panna? Jaki związek pomiędzy podstawą a wnioskiem? jakie ogniwo łączy te dwa fakta i czyni je za-

Muszę wyznać, bo się już nie masz na co chować:
Nigdybych był nie wierzył, bych tak miał żałować,
Tego zwłaszcza, co nigdy mym własnym nie było:
Poprawdź mi nie prawie źle serce tuszyło.

Aleciem bardzo nagle wypadł z tej nadziei,
A mojej się przygodzie nieprzyjaciel śmieie:
Kto drugi ma bez prace, o co snadź dbał mało,
A mnie za me staranie złe szczęście podkało.

Samem swą własną ręką tę winnicę grodził,
Aby iey był ani zwierz, ani zły ptak szkodził.
Polewałem, żeby iey słońce nie suszyło,
Nakrywałem, żeby iey zimno nie mroziło.

leżnemi od siebie? Nie widzimy żadnego. P. Chlebowski w swoim czasie wiedział nawet, jak się ta niewierna nazywała (Tarnowska) i za kogo wyszła; u prof. Pleniewiczza domysłność jest na pozór mniej śmiała, ale naprawdę równie dowolna. Stan. Zathey, w swem studium o *Fraszce Kochanowskiego (Rozprawy Akademii Umiejętności Wydziału filologicznego, tom XXXIV)* akceptuje wywody Pleniewiczza, odnoszące się do miłości ku Hannie, przyznając, że była to miłość prawdziwa, gorąca i wielki wpływ mająca na poetę. „Największa część jego miłosnych utworów do niej się odnosi. W tych utworach zawarta jest cała historia uczucia — brak tylko szczegółów, któreby nam ułatwiły poznanie nazwiska niewiernej Hanny”. Streściwszy narrację Pleniewiczza, Zathey stawia następującą konkluzję, z którą trudno się nie zgodzić: „Tak mniej więcej opowiada nam dzieje tej miłości prof. Pleniewicz. Czy opowiada zgodnie z rzeczywistością? Trudno o tem sądzić, gdy się rzeczywistości nie zna. W każdym razie w opowiadaniu jego za wiele jest nie dość uzasadnionych przypuszczeń czy hipotez. My na pewno twierdzić możemy tyle tylko, że poeta kochał się w jakiejś Hannie, że dostał od niej obrączkę, że ona później wzgardziła jego uczuciem. Czy to było w roku 1569, czy w innym, czy Hanna należała do fraucymeru królowny Anny, czy nie, czy król był na jej weselu, czy nie był, o tem trudno wyrokować, trudno dowodzić, że tak było, ale też nie łatwo dowieść, że było inaczej. Zresztą jądro opowiadania stanowią szczegóły zebrane z utworów Kochanowskiego, więc opowiadanie w głównych zarysach jest prawdziwe, a ma wartość przez to, że zręcznie składając szczegóły w całość, daje nam pojęcie o rozwoju uczucia i jego związku z twórczością poety” (strona 405).

A kiedy mię najlepsze miały podkać gody,
Nie wiem co za zły człowiek oberwał jagody.
Y używa z rozkoszą, czego dostał snadnie,
A mnie patrząc ieno się serce nie rozpadnie.

Bodayże nie przechował, a boday poleżał:
Nie wiem iako mię do gron tak pięknych ubieżał.
Ja sobie tak dobrych lat doczekać nie tuszę:
Podobno, iako niedźwiedź, łapę lizać muszę.

Widząc przecież, że nie pomogą żadne gorzkie zale,
a czując jednocześnie, jak ta boleść podkopywała jego zdrowie, usiłował nie frasować się dłużej, „być niepożyty w wszelkiem nieszczęściu”, zwłaszcza, że w jego ostatniej kłęsce „jużci nie cnota traciła swe myto”.

Przeto choć drogo,
Szczęście się z tobą
Obchodzi, sobą
Nic nie trwóż,

sowiec bowiem „Bóg zwykł nagradzać temu, kto zdradzać nie zwykł nikogo”. Jednocześnie pocieszał się myślą, że Hanna nie była żoną dla niego: zakochana w sobie, próżna i płytka, była to pospolita dusza w pięknym ciele, a choć to ciało było powabnem rzeczywiście, to jednak nie w tym stopniu, jak to się wydawało Hannie. Bo nie wszystko było prawdą, co on, w uniesieniu miłosnem, wypisywał o jej piękności, kiedy się sadził na wierszowane pochlebstwa, których jej próżność tak była żądną.

Próżna twa chluba, nie kochay się w sobie:
Nie wszystkoć prawda, com pisał o tobie.
Miłość mię zwiodła, y przez mię mówiła,
Że nad cię nigdy wdzięczniejsza nie była.
... Teraz w mych oczach wszystko się zmieniło
Obłudne serce wszystko pokazało...

Złudzenie pierzchło, ale bolesny cień został w sercu.
Poeta nie mógł spokojnie myśleć o Hannie, a kiedy sobie przypomniał o niej, czuł niesmak i gorycz.

Czego mi tedy stateczne namowy
 Nie mogły wybić żadną miarą z głowy:
 Czegom zbydź nie mógł, przez zioła, przez czary,
 To sam dziś wyznam na sie z prawey wiary:
 Żem był zabłądził w swej niemądrey sprawie,
 A byłim, jeśli komu, jak żyw prawie¹⁾.
 Ale żeś tego wdzięczna być nie chciała,
 Daley nie będziesz ze mnie sługi miała.
 To com ci służył, niech już w niwecz idzie,
 Bo jednak ten czas kiedykolwiek przyjdzie,
 Że ty wspomniawszy na me powolności,
 Musisz zapłakać nie raz od żałości,
 A ia, bych ieno o tobie nie wiedział,
 Y w pustych lesiech sam rad będę siedział²⁾.

¹⁾ Byłem ci całą duszą oddany.

²⁾ W swym *Erotyku Kochanowskiego* zwraca prof. Winda-kiewicz uwagę jeszcze na jeden epizod tej nieszczęśliwej miłości poety, epizod, niezaznaczony przez prof. Plenkiewicza. „Najciekawszym momentem z całej historii erotycznej Kochanowskiego w drugiej fazie jest zniszczenie erotyków do Bezimiennej po zerwaniu z nią stosunków. Po wyrzuceniu pamiątek od Bezimiennej, to jest po oddaniu tryumfującym Amorkowi faceletu z obrączką złotą, szpady używanej do późnych powrotów po nieoświeconych ulicach, wreszcie próżnej sakiewki i lutni erotycznej, Kochanowski przystępuje w jednym z ówczesnych poematów do przeglądania swych erotyków i częściowego palenia tychże. Zdarzeniu temu poświęca osobny poemat, pisany w momencie, kiedy już przychodził do zupełnego ukojenia. Poeta nazywa w tym wierszu swą miłość „niemądrą sprawą“, wyrzuca kochance niewdzięczność, obłudne serce, a o swej poezji powiada, że ją tworzył w zaślepieniu, kiedy go „miłość zwiodła“. Poemat ten powstał widocznie przy czytaniu takich pieśni, jak „Kto mi dać wiary nie chce“, albo „Złota to strzała była“, pisanych po pierwszym zbliżeniu, i miał na celu zniszczyć pamięć jego pierwszych uniesień w literaturze, o ile naturalnie stały się publiczną własnością. Tymczasem dla zatarcia tych wspomnień poeta rzuca dawne erotyki do ognia — „to, com ci służył, niech już w niwecz idzie“ — i tem całopaleniem zakończy smutną historię swej miłości (Fraszka 34). Do tego ciekawego momentu targania i palenia rękopisów erotycznych odnosi się także jedna fraszka, w której wyraźnie oświadcza, że chce „zatlumić“ pamięć swej miłości i poezje swe nazywa „rymy głupie, rymy nie-

„Rad będę siedział“. Rad, bo jeśli chodzi o klucz do psychologii poety w tym czasie, to należy go szukać w ostatnich słowach powyższego fragmentu: one zawierały cały program, jaki sobie Kochanowski, po swej matrymonialnej

obaczne“, bo „szaleństwo jego jak w zwierciadle okazują“ (Fraszka II, 74).

Pierwszym, który na podstawie utworów Kochanowskiego odkrył ten interesujący epizod miłosny w życiu poety, był Bronisław Chlebowski, w swej, bądź co bądź, nietuzinkowej pracy o *Janie Kochanowskim w świetle własnych utworów* (Warszawa, 1884). On też, na stronach 89—106, w treściwym zarysie opowiedział całą historię tej dramatycznej miłości, tylko, że w swych subtelnych wywodach poszedł za daleko. Albowiem, opierając się na jednym z wierszów poety, gdzie powiedziano, „że ciernie inszy owoc prócz tarnki dać może“, doszedł do przekonania, że owa Hanna, do której adresowane są namienne erotyki Kochanowskiego, była jedną z sześciu córek podskarbiego koronnego, Stanisława Tarnowskiego, której również było na imię Hanna.

Hypoteza ta nie przyjęła się w literaturze: uważano, że dowód był zbyt subtelny... Cokolwiek bądź, w literaturze francuskiej niektórzy badacze uciekają się do podobnych konjektur, uważając metodę tę nie za gorszą od innych. Oto n. p. w jaki sposób biograf Ronsarda, zasłużony wydawca jego dzieł, p. Prosper Blanchemain, dowodzi, że druga z kochanek Ronsarda, opiewana przez niego, jako Marya, nazywała się du Pin.

„S'il m'était permis se hasarder une conjecture, ce nom serait Marie du Pin. Ne s'écrite-t-il pas:

J'aime un Pin de Bourgueil, où Venus appendit
 Ma jeune liberté..

Et plus loin:

Si quelque amoureux passe en Anjou, par Bourgueil,
 Voye un Pin eslevé pardessus le village...

Enfin, dans le voyage de Tours:

J'irois jusqu'à Bourgueil
 Et là, dessous un Pin, couché sur la verdure...

Je ne crois pas qu'il en faille davantage pour justifier ma supposition aux yeux de qui connaît l'esprit du XVI siècle“.

Jakkolwiek Chlebowski mógłby o swojej hipotezie powiedzieć to samo, krytyka przeszła nad nią do porządku, przyjąwszy

porażce, ułożył na resztę życia. Rozczarowany, zniechęcony i zrażony do ludzi, a do niewiast zwłaszcza, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, które już raz wypowiedział w *Carmem macaronicum*¹⁾, że nie ma jak żywot ziemiański. „Przed nikim nie zginam kolana, jestem wolny, nikomu nie służę, cieszę się swą wolnością i bezpiecznym pokojem“. Tylko, że wtedy, marząc o podobnym życiu, wyobrażał je sobie na tle życia rodzinnego. „Same dzieci podają mi

tylko sam fakt miłości do Hanny, który to romantyczny epizod wciągnęła do biografii poety. Uczynił to w pierwszym rzędzie Tarnowski w swym dziele o *Janie Kochanowskim*, gdzie miłość tę w taki sposób scharakteryzował: „Z tych wszystkich przytoczonych wierszy wyciągam mniemanie, że przed swoim ożenieniem, a na czas niedługi przed opuszczeniem dworu, Kochanowski przebywał miłość nieszczęśliwą, ze wszystkich dotąd może najsilniejszą, że przedmiotem tej miłości była panna, że chciał i miał nadzieję z nią się ożenić. Że jacyś niegodziwi ludzie stanęli między nim a jego szczęściem, z jakich powodów i co zrobili, dojść nie można, przypuszczał tylko, że był nie dość bogatym, nie dość świetnym pretendentem; wreszcie, że panna, czy zmienna z natury, czy też nieśmiała a zmuszona, odstąpiła go także, bo i do niej żal jest widoczny. Że wreszcie on cierpiał nad tem bardzo i że ta miłość była jednym z powodów, może głównym powodem tego zniechęcenia do ludzi, pragnienia samotności i spokoju, które sprawiły, że chciał zmienić miejsce pobytu i otoczenie, oderwał się od dworu, a wyrwał na wieś“.

¹⁾ Bron. Chlebowski odnosi napisanie *Carmen macaronicum* do roku 1579, do czasów czarnoleskich, w parę lat po ożenieniu, a na krótko przed śmiercią Urszuli. Inaczej prof. Małeck, który ten utwór byłby skłonny odnieść do bujnej studenckiej epoki padewskiej. Do utworu tego bowiem dostarczyły mu formy gotowej wzory tego właśnie rodzaju, już wtedy istniejące we włoskiej literaturze, a właśnie z Padwą zostające w ścisłym związku. Szczególnie sławnym był wydany w końcu XV wieku poemat *Typhis Odaxii Patavini*, *Carmen macaronicum de Patavinis quibusdam arte magica delusis*. Treść utworu Kochanowskiego nie zostaje w żadnej zawisłości od tej włoskiej publikacji, ale tytuł obydwóch podobny, a sposób i mieszanina językowa ta sama. Obacz *Jana Kochanowskiego młodość*, strona 24.

do stołu i żona cnotliwa, gotowa ze mną znosić wszystko, co szczęście przyniesie“. Teraz, pokoszowawszy zatrutych kołaczy białogłowskiej niestateczności, zrezygnował z rozkoszy ojca i głowy rodziny, a pisząc, że „w pustych lesiech sam rad będzie siedział“, nie wątpił, że i samotny, siedząc na roli, będzie się czuł szczęśliwszy, aniżeli gdyby po tem wszystkim, co zaszło, wrócił na dwór. Tylko by się naraził na złośliwe drwiny swych towarzyszków dworskich, którzy i tak, gdy się rozeszła wieść, że jego Hanna wychodzi za innego, a jemu dała odkosza, śmieli się z niego, jak dawniej naigrawali się z jego niefortunnym konkururow... Wiedział, że i tak „nieprzyjacieli śmiał się jego przygodzie“. Toż musiano sobie stroić żarty, kiedy się odbywało wesele Hanny! I w takich warunkach miałyby wracać na ten „zwodniczy“ i „zawodny“ dwór, po którym się tyle spodziewał niegdyś, a na którym wogóle zawiódł się tak boleśnie. A zresztą dosyć już miał tego czczego i próżniaczego życia, urozmaicanego plotkami i intrygami, pijactwem i rozpustą! Gdyby nie Hanna, już by je dawno porzucił!

W takim nastroju ułożył Elegię XV, ks. III, streszczając się w znamiennym wykrzyku: „Żegnaj dworze zwodniczy! Nie dbam o twoje wielkie obietnice. Wolność droższa mi nad perły“. Równocześnie wrócił do pracy nad *Psalterzem*, tylko o ile z początku, gdy przystępował do tłumaczenia tych Dawidowych natchnień, nosił się z myślą dedykowania swego przekładu królowi (jak tego dowodzi list do Fogelwедера), o tyle teraz, ostatecznie zrażony do dworu, pozwalał dojrzewać innemu zamiarowi, który pomijał króla, a miał na celu zaszczytne wyróżnienie Myszkowskiego¹⁾.

¹⁾ Psychologiczną genezę przekładu *Psalterza* Kochanowskiego tak sobie wyobraża prof. Brückner: „Jak każdego humanistę-poetę, tak i Kochanowskiego zajmował *Psalterz*; i jego trapiła chęć przelewania hymnów hebrajskich we formy klasyczne; nie zadowoliło i jego płaskie, suche wykonanie pomysłu tego przez prze-

Prawie wszystko bowiem, co miał, co zyskał w ciągu swej służby dworskiej, zawdzięczał Myszkowskiemu, nie królowi. Bądź co bądź, nastrój psychiczny, w jakim obecnie zabrał

chwalonego Erbana Hessa. Lecz zjawiała się w druku roku 1565 *Paraphrasis psalorum* Szkota Buchanana i raz na zawsze udaremniała nowe wysiłki innych odtwarzania Psalmów w szacie łacińskiej; zachwycił się nią i Kochanowski, złożył jej też winne hołdy w znanym epigramacie, lecz rozczytywanie się w Buchananie pobudzało poetę (który, jak Słowacki, miał coś z bluszczowej natury, chętnie o obce pomysły się zaczepiał) do tworzenia wedle miary jego, lecz naturalnie nie w łacińskim a w narodowym języku. I tak w ciągu sześciu lat 1566—1571 uzbierało się ze trzydzieści psalmów polskich, a gdy takim sposobem jedna piąta część całego psalterza wytlómaczoną została, powstała chęć zaokrąglenia całości, do czego i namowy przyjaciół skłaniały, i wykonał to poeta w ciągu następnego sześćciolecia (*Prace filologiczne*, tom V, str. 656). Plenkiewicz, choć uwzględnia wpływ Buchanana, nie kładzie w dziele swem na wpływ ten należytego nacisku. Może dlatego, że w chwili pisania swego dzieła nie znał, zdaje się, bardzo ciekawej w tym względzie rozprawy Antoniego Siennickiego o *Stosunku Psalterza przekładania J. Kochanowskiego do Paraphrasis psalorum Jerzego Buchanana* (sprawozdanie c. kr. gimnazjum w Samborze za rok 1893). Mówiąc o sposobie w jaki Kochanowski przekładał psalterz, że nie odrazu, lecz zrazu przygodnie, często z powodu rozmaitych okoliczności, do których poeta odpowiednio dobierał właściwe psalmy, prof. Brückner powołuje się na świadectwo Klonowicza, który pisze, że Kochanowski nowo przełożone psalmy luźnie puszczał w świat, w odpisach, Czernym i innym, skąd się rozchodziły dalej, przedostając się nawet między mieszczan w Lublinie. Wiersz Klonowicza, który o tem wspomina, brzmi, jak następuje:

Nacieszywszy naprzód uszy domowe swych panów
Posyłał też nowe psalmy do innych ziemianów;
Potem też przy dobrej myśli czasem się przydało,
Że się też to, choć nie wyszło, między gmin podało.

Wójcicki pisze w *Tygodniku ilustrowanym* z dnia 14. listopada 1863 r., że znajdował kilka psalmów Kochanowskiego w zbiorowych księgach familijnych, t. zw. *Silva rerum*, należących do różnych rodzin, już pod latami 1568, 1569 i 1570.

W ogłoszonym niedawno (*Pamiętnik literacki*, 1905, tom IV, str. 499) stutium o *Psalterzu Kochanowskiego w stosunku do innych*

się do kontynuowania swej pracy, tak odpowiadał smutkowi, więcejemu z psalmów króla-proroka, że poeta, przekładając je, znajdował niemałe ukojenie w przygnębiającym ucisku ducha. I on bowiem, jak psalmista, mógł powiedzieć o sobie:

... od wszystkiego świata opuszczony,
Pełne mam serce nieznośnej żałości.

I on, doznawszy krzywdy od ludzi, mógł skarżyć się, jak Dawid w psalmie XXXV: „Lecz oni, gdym ja chorował, weselili się i zbierali przeciwko mnie, jakoby byli dla mnie utrapieni, czegom ja nie spostrzegł“. I on, wspominając różne przykrości, których doświadczył od zawistnych dworaków, mógł wołać w oburzeniu: „Z obłudnikami, z naśmiewcami, z pochlebcami zgrzytali na mnie zębami swemi“. Jak dalece poeta nie mógł wyjść z siebie, nie mógł zapomnieć o doznanych krzywdach, kiedy mu wypadło tłómaczyć powyższe ustępy, o tem świadczy dowolność, z jaką je przełożył, a która mu dała możność napiętnowania swych krzywdzicieli:

A oni się w mej pladze weselili
I schadzki o mnie tajemne czynili,
Chasza nikczemna!

Jego pism, St. Dobrzycki, wykazując wpływ przekładu tego na bardzo wiele utworów poety, twierdzi jednocześnie, że do tłómaczenia *Psalterza* nie skłoniło wcale Kochanowskiego uczucie religijne. Wywarła tu wpływ „literatura“, kierunek literacki: przekłady i parafrazy Psalterza należą w literaturze renesansu do faktów nadzwyczajnie częstych, a to samo było i w Polsce. Stąd pobudka do stworzenia psalterza polskiego była literacką, nie religijno-uczuciową. Jednakże w ciągu pracy nad psalterzem rzecz się zmienia. Niepodobna zajmować się intensywnie psalterzem przez kilka lat, aby nie uleść silnemu jego wpływowi, jeżeli się jest do tego poetą i jeżeli się ten psalterz tłómaczy. Wpływ ten objawił się wzmożeniem się uczucia religijnego, które odtąd w pismach Kochanowskiego pojawia się częściej. „Na wszystkich tych utworach, w których poeta wypowiada swoje uczucia religijne, znać wpływ psalmów, w wyrażeniach, obrazach, myślach“.

Głodni pochlebce cześci mi uwłaczali,
Mną sobie gęby dwornicy wymywali
Darmojadowicie.

Panie, kto Tobie równy? Ty ubogich
Trapić możniejszym nie dasz; Ty z rąk srogich
Nędzne wyrwasz.

Widzisz, o Panie, jawną krzywdę moją...
Wstań a rozciągnij swój sąd sprawiedliwy,
A uznaj, kto z nas praw jest, a kto krzywy.

Osądź mię według swej sprawiedliwości,
A nie daj, Panie, przeklętej zazdrości
Pociechy ze mnie.

Te osobiste skargi nie tylko przekształcały ton i formę oryginału, lecz wprowadzały „nieznane psalmiście obrazy i wyrażenia“¹⁾. Podobnie stało się z psalmem XXXVIII, w którym poeta-tłómacz jakby wyrzucał swym bliskim, że niedość współczuli jego nieszczęściu.

Bliscy moi zdaleka na mój ból patrzali,
Powinowaci zgola wszyscy mnie nie znali,
A zły człowiek tymczasem czynił o mnie radę,
I mówił, co chciał, i zmyślał zdradę!...

Ale jak nie ma reguły bez wyjątków, tak i w tym razie, jeżeli chodzi o „bliskich“ i „powinowatych“ poety, znaleźli się tacy, którzy na jego „ból“ nie patrzyli obojętnie

¹⁾ Zobacz *Ateneum* za październik rok 1897: *Artyzm Jana Kochanowskiego* przez Bron. Chlebowskiego, za którego pracą Jan Kochanowski w świetle własnych utworów idzie także i prof. Pleniewicz. „Każdą zwrotkę w tym wspaniałym wybuchu uczuć przedstawia nam rosnące gwałtownie crescendo oburzenia czy protestu, przerwane, jakby potężnym akordem w innej tonacji, półwierszem nierymującym się wcale. Psalm ten czeka na muzykę, któryby zrozumiał poetę i odtworzył tonami całą gamę uczuć, od prośby pokornej do wybuchu gniewu i nienawiści“. Tak o tym psalmie pisze Bronisław Chlebowski, a prof. Pleniewicz, zestawiając jego tekst z oryginałem, dodaje: „Jak widzimy, podobnych epitetów, jak cha-

zdaleka“, lecz głęboko brali go do serca. Do takich, oprócz niezamężnej siostry, Anny, która mu prowadziła gospodarstwo domowe, i oprócz Mikołajostwa Kochanowskich, z którymi, jako swymi najbliższymi sąsiadami, żył w przykładowej zgodzie i przyjaźni, należał przede wszystkim Myszkowski, który ze swej rezydencji w Płocku raz po raz przypominał się poecie. Kochanowski, wdzięczny z natury, umiał ocenić te dowody życzliwości ze strony swego dostojnego przyjaciela i mecenasa. Ujęty niemi, a pomny wszystkich dobrodziejstw, jakie zawdzięczał Myszkowskiemu, napisał *Muzę*, poemacik, w którym się poleca opiece mieszkanki Helikonu, prosząc ją, aby mu pozwoliła opiewać szlachetne czyny biskupa. Bo kogóż miał unieśmiertelniać on, który „za cześć poczytał sobie, że się dróg innych, niż pospółstwo, chwycił“, on, który „sobie śpiewał a muzom“, a który, wzgardziwszy złotem, o to dbał tylko, aby po swej śmierci

był u ludzi w powieści właściwej,
A nie podlegał wszytek śmierci zazdrościwej.

Bo choć za życia mało znał takich, „coby serce ucieszyć chcieli jego pieśniami“, ale za to wielu takich, co „łapając grosza zewsząd, a podobno k rzecz“, nie wahali się twierdzić, że z rymów nie ma żadnej korzyści, „krom próżnego dźwięku“, to jednak miał nadzieję,

„za nikczemną, głodni pochlebce etc., niema w obu wersetach, ani w żadnym ze znanych przekładów Biblii, nie wyłączając Psalterza Floryańskiego. Nie trudno też odgadnąć, kogo ową tłuszcza podłóż nazywa poeta. Również tekst nic nie mówi o głodnych darmojadach dworskich: to już dodatek poety“.

Nie godzi się na powyższy wywód Pleniewicz prof. Brückner, któremu „cała ta kombinacja“ wydaje się mylną, przede wszystkim dlatego, że „oparta na katastrofie matrymonialnej, o której nic nie wiemy“, a powtórnie na wyrazie dwornicy, który wcale nie musi oznaczać „dworskich“, a którego poeta wcale mógł nie mieć na myśli, lecz oznacza *petulantes* (dworować z kogo, dworny *curiosus* i t. d. bardzo częste w XVI wieku).

że przedsię za laty
 Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty:
 A co mi za żywota uymie czas dzisiejszy
 To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

Lecz będąc pewnym, jako poeta, swej nieśmiertelności, przagnął „uczcić pieśniami swemi nad złoto droższymi“, tych przedewszystkiem, którzy jego prace zaczęte „szczęścili swą przyjaźnią“, a do takich należał przed innymi Myszkowski,

Który swą hoyną ręką podeprzeć mię raczył.
 Nie przeto, żebym przed nim stał w pacholczym kole,
 Albo y przy nastółce ciągnął się przez pole,
 Ale żebym wygnawszy niedostatek z domu,
 Tym głośniej śpiewał, a nie podlegał nikomu.
 Tę łaskę jego, proszę, siostry wiekopomne,
 Pomnicie opowiadać na czasy potomne,

bo już Horacy powiedział, że tylko ten przejdzie do nieśmiertelności, kto znalazł swego poetę, opiewającego jego czyny.

Nie sama od przyjaciół, ni od matki łona
 W obce kraie Helena morzem uniesiona.
 Nie ieden Menelaus o żonę się wadził;
 Nie pierwszy Agamemnon tysiąc naw prowadził.
 Nie raz Troia burzona: przed Hektorem siła
 Mężnych było, którym śmierć przy oyczyźnie miła.
 Ale wszyscy w milczeniu wiecznem pogrążeni,
 Że poety zacnego rymy przebaczeni.

Z tych pobudek zrodziła się *Muza*¹⁾, jedno z arcydzieł Kochanowskiego, utwór, w którym się wzniosł na wyżyny, i filozoficzne, i artystyczne, na jakich jeszcze nie przebywał dotąd. „Czy jednak sama wdzięczność dla Myszkowskiego, zapytuje prof. Pleniewicz, na te wyżyny talent jego pod-

¹⁾ W swej recenzji w *Pracach filologicznych* oświadcza prof. Brückner, powołując się na swój artykuł w *Archiv für slavische Philologie*, że właściwy tytuł tego poematu brzmiał *Muzy*, nie *Muza*. W wydaniu pomnikowym *Dzieł Jana Kochanowskiego*, t. II, str. 28. wydrukowano *Muza*.

iosła i w takiej go objawiła potędze? Wdzięczność bez wątpienia, o ile jest rzadkiem, o tyle silnem uczuciem, ale silniejszą od niej jest zawiedziona miłość, która, jeżeli nie łamie skrzydeł, do tym silniejszego lotu pobudza. *Solus amor docuit blandos me fingere versus*¹⁾, powiada sam o sobie poeta; ale gdy zmysłowa miłość dla Lidy trawiła go tylko ziemskim płomieniem; miłość dla Hanny, z samej swojej natury, nie mogła sprawić w jego duchu podobnych, jak tamta, spustoszeń. Pożar pierwszej spopielał w samym zarodzie każde podniosłejsze natchnienie; płomień drugiej przetopił tylko złoto jego serca i wydzielił z niego wszystkie żuźle, które tam z lat dawniejszych osiadły. Więc też poeta z próby ostatniej wyszedł czysty, bez skazy, nie urośnięwszy nic z swojej godności człowieka²⁾. Dwie te miłości są epokowemi wypadkami w jego życiu; tylko pierwsza trzymała go przy ziemi, druga zaś podniosła na wyżyny, których już nie miał nigdy opuścić.

Nie znaczy to jednak, ażeby Kochanowski, oczyszczony w ogniu tej zawiedzionej miłości, łatwo i prędko przestał cierpieć z jej powodu. Tak nie było bynajmniej.

¹⁾ „Sama miłość nauczyła mię słodkie składać wiersze“. Elegja I, księgi I.

²⁾ Analizując erotyki z tej drugiej fazy miłości ku Bezimienniej, prof. Windakiewicz czyni następujące spostrzeżenie, doskonale uzupełniające końcowe fazy tego żalostnego romansu, odtworzone przez prof. Pleniewicza. „Kochanowski pisał swoje poezje w drugiej fazie swych stosunków z Bezimienną przeważnie w wierszu trzynastozgłoskowym i nadawał im formę urywkową, nastrojową. Była to wcale szczęśliwa kombinacja antyku z nowoczesnością. Przecież, żeby się nie zdawało, że wyłącznie klasycznym formom hołdował, napisał także w tej fazie jedną pieśń popularną, do śpiewu przeznaczoną. Śliczna ta piosenka stanowi rodzaj tęsknego podziwku za niepowrotną przeszłością i rodzaj cichego westchnienia nad dawno przebolełą stratą. Pieśń ta zaczyna się od słów „Rozumie mój próżno się masz frasować“ i jest kantyleną ludową w niedokształconej oktawie z refrenem co oktawę. „Co zginęło, trudno tego wetować“. Kochanowski stwierdza w niej zupełne zerwa-

Zakopał się w swych „głuchych lesiech“, a więcej oddany książkom, rozmyślaniu i poezji, ludziom udzielał się jak najmniej. Za towarzyszkę miał swą siostrę Annę, pod którą, dzięki jej dobroczynnym wpływom powoli zblizniała się jego rana po porażeniu. Serdeczna, ale towarzystwo jej, choć umilało mu pustkę domową, łagodząc boleść, nie usuwało ciernia, który sercu dolegał¹⁾. Reszty miał dokonać czas, ów „doktor każdemu“, lecz nie brakło także wypadków, które iskrę tej „opętanej miłości“ rozdmuchiwały na nowo. Do takich wypadków, niewinnych na pozór, należało wesele brata poety, Andrzeja, z Zofią Sobieską, wesele, które miało się odbyć zaraz po Trzech Królach roku 1572. Kochanowskiemu, jako jedynemu nieżonatemu bratu pana młodego, wypadło być starszym drużbą! Odmówić nie mógł, drużbować musiał, ale mu to drużbowanie mocno musiało iść nie w smak, zważywszy, iż w całej okolicy wiadano o jego przygodzie. Mimo to

nie; wspomina, że niegdyś miał tak łatwy przystęp do panny, tak łatwo wszystko mógł uzyskać; teraz już wszystko się zmieniło: „W czym się kochasz, to cię daleko mija“. Przypuszcza jednak, że nie jemu samemu żal tego zerwania; zapewne matka, brat, albo która ciotka tego żałują, choć ukryć swe uczucia usiłują; on nie potrafił grać komedii: otwarcie wyznaje, że go to boli:

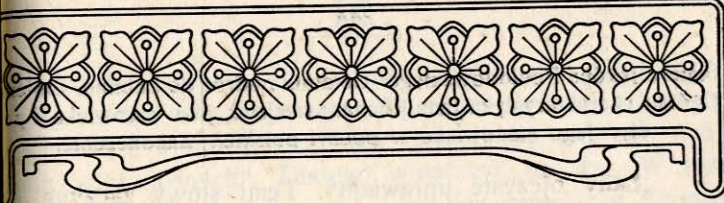
Wszakóż widzę, że sye próżno frasować,
Co zginięło, trudno tego wetować.

Myśli w tej Kantylenie są dosyć pokrewne z pieśnią, pisaną tuż po zerwaniu „Nie za staraniem ani prze mą sprawę“; ale porównawszy je, widać wielki odskok w uczuciu i zapomnieniu; Kochanowskiego ogarnęło już spokojne ukojenie, tylko ból pozostał cichy i pamięć tęskna, a sam się już stanowczo „przełomił“ i przezwyciężył. (P. I, str. 22). *Erotyk Kochanowskiego*, str. 205.

¹⁾ Scharakteryzowawszy po kolei wszystkie głównejsze erotyki Kochanowskiego, natchnione nieszczęśliwą miłością ku Bezymiennej, prof. Windakiewicz bardzo trafnie określa ich charakter ogólny. „Jest to, jego zdaniem, zbiorek pieśni zupełnie prostych i prawie naiwnych, utworzony przez tegoż literata, żyjącego pełnią życia bieżącego, ale radzącego się nieraz rozmaitych autorów, z którego da się prawie odtworzyć dzisiejszy romans książkowy.

nie mógł nie brać udziału w weselu brata, musiał wystąpić publicznie, a tem samem narażać się na złośliwe uśmiechy bliższych i dalszych sąsiadów, wytrzymywać ich znaczące pojrzenia.

Wzornie niema w nim nic nadzwyczajnego. Obejmuje zwykłą historię serca ludzkiego, opowiedzianą przez poetę, nie przetwarzając życia w kierunku idealnym, tylko poetycznie odczuwającego „wre przygody“. Ten absolutny brak wszelkiej pozy, będący jedną z właściwości natury artystycznej Kochanowskiego, sprawił, że poecie tak trafnie udało się uchwycić własny proces psychologiczny, wyszukać sobie wzory stosowne do rozmaitych przeżyć duchowych bez silenia się na wielką sztukę utworzyć wspaniały zbiorek erotyków. Naturalnie jest to wynik studyów nad wybornymi autorami dawniejszymi i nowszymi, ale wynik studyów wytrawnych i umiejętnie z istotą życia bieżącego spojonych. „Kochanowski — słowa Windakiewicza — był poetą odrodzenia o tyle, że przez pryzmat realizmu patrzył na współczesność i to świetne dziedzictwo pozostawił naszej literaturze. A potem zastanawia, że całą tę historię potrafił opowiedzieć tak dokładnie. Widocznie wśród walk wewnętrznych uzyskał świadomość, jak należy myśleć swą klarować; przez sztukę współczesną i dawniejszą spoufalił się z środkami technicznymi, dowiedział się, co to znaczy artystyczne ujęcie przedmiotu ekspresyja, nauczył się wyławiać na dnie duszy żywe drgnięcia, czuć, spajać je i tworzyć z nich poemata, pełne prawdy, życia wyrazistości“. *Erotyk Kochanowskiego*, strona 208.



ROZDZIAŁ CZWARTY.

W Czarnolesie (1572—1584).

Żywot ziemiański poety. I. Żniwo śmierci. Sytuacja polityczna. Kochanowski w Krakowie. Wybór Henryka. Nadzieje poety. Powrót do Czarnolasu. Rozmowy z siostrą. Dorota Podlódowska. Geneza *Sobótki* i *Dziwostęba*. Wjazd króla Henryka. Znajomości. Rozczarowanie. Powrót do domu. Postanowienie ożenienia się. Ucieczka Henryka. Ślub poety. — II. Miodowe miesiące. Zjazd w Stężyca. Myszkowski w Czarnolesie. Odwiedziny Olbrachta Łaskiego. Odpowiedź Kochanowskiego na wiersz Desportes'a *Adieu à la Pologne*. Napad Tatarów. Na sejmie konwokacyjnym. Przekład *Psałterza*. Dzień 18. kwietnia 1576 roku. Jan Zamoyski w Czarnolesie. *Odprawa posłów greckich*. Ponowna praca nad *Psałterzem*. Śmierć Kacpra Kochanowskiego i mowa pogrzebowa Jana. Życie rodzinne. Zajęcie Inkwizytora. Wojna. Dwa listy od Zamoyskiego. *Orfeus Sarmaticus*. Zaślubiny Jana Zamoyskiego. Nowe żądania Zamoyskiego. *Diyas* i *Pan*. Podróż do Wilna. Myszkowski mianowany biskupem krakowskim. Kochanowski w Krakowie. W Promniku. Powrót na wieś. Znowu Myszkowski. Jasne dni w Bodzentynie. W domu. W Krakowie. *Orthographia polska Jana Kochanowskiego*. Druk *Psałterza*. Oblężenie i wzięcie Połocka. *Liryca* łacińskie. Przywilej królewski. Wojski ziemi sandomierskiej. Poeta oficjalny. Dostatek. Śmierć Urszuli. *Treny*. Trzy nowe utwory dla Zamoyskiego. Druk *Trenów*. Śmierć drugiej córki. Wojna na północnym wschodzie. Batory pod Pskowem. Smutny nastrój poety. Złe wiadomości polityczne. *Epi-gramy*. Epitalamium na ślub Zamoyskiego z Batorówną. *Jezda do Moskwy*. Duchowy upadek. — III. Przeczucie śmierci. Rok 1583. Zbiorowe wydanie dzieł. Układy z Janem Januszowskim. *Fraszki*.

Śmierć Jakóba Podlodowskiego. Ostatnia podróż do Lublina. Śmierć. Ogólna charakterystyka Jana Kochanowskiego, jako człowieka i poety. Jego stanowisko w poezji polskiej. Zakończenie.

„Łany ojczyste uprawiam“. Temi słowy zaczyna się Elegia XV, księgi III, napisana w chwili, gdy już poeta zdecydował się osiaść na wsi, gdy się utwierdził w przekonaniu, że więcej ma w sobie danych na ziemianina, aniżeli na królewskiego sługę, lub na opata klasztoru Benedyktynów w Sieciechowie, którą to godność, ofiarowaną mu po zgonie opata Rogawskiego, również po namyśle odrzucił¹⁾. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: życie wiejskie, spokojne, niezależne, nadzwyczaj odpowiadało jego charakterowi, jego dążeniu do psychicznej równowagi i harmonii, a jeśli chodziło o poezję, o pracę umysłową, to na wsi, gdzie mu było wolno „wszystkie godziny według własnego rozłożyć upodobania“, mógł pracować o wiele lepiej, niż na dworze, w rozstrajającej atmosferze zawiści i intrygi. To też, odkąd powrócił do Czarnolasu, pisał więcej, niż kiedykolwiek. Przekonał się również, że gospodarzowi, dogladającemu pracy w polu i gumnie, nic nie przeszkadza być wykształconym humanistą i poetą, rozmiłowanym w pisarzach greckich i rzymskich. „Więc albo się Sokratesa naukom przysłuchuję (pisał we wspomnianej elegii), by duch nawykał z nich własnych pozbywać się błędów; albo składam pieśni, zgodne z tworam i łacińskiej Muzy, które mój Sarmata miękkim głosem śpiewać będzie; nie wstyd mi też płodnych hodować owieczek; większy wstyd, sądzę, czymś mienić się sługą“. Wieś, jego zdaniem, była początkiem wszystkiego, z niej wyszła cywilizacja, ona jest rozsadni-

¹⁾ O tym okresie życia tak pisze pierwszy Kochanowskiego biograf: „Utrzymywał go król przy sobie różnemi sposobami: ofiarował mu wiele znacznych Prelatur: nad to postarał się, że go Sieciechowskim opatem obrano, ale on nieporuszony w swoim przedsięwzięciu, i z tych, które już miał, dochodów duchownych wyzwszy się, powrócił do wsi swojej Czarnolesia“. Przekład Bohomolca.

dem cnót, podobnie, jak pańskie i królewskie dwory szereg zgorzenie i złe obyczaje. „Wprzód były wsie, niż grody obwiedzione murami; bez nich cierpiano by głód po miastach wieżonośnych“. Dlatego wołał żyć na wsi. W tem uczuciu, podobnie, jak przed paru laty napisał w *Carmen macaronicum* „kilka słów na pochwałę żywota ziemiańskiego“, tak obecnie, tylko patrzeć, jak napisze w *Sobótce*:

Wsi spokojna, wsi wesola,
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki,
Może wspomnieć zaraz wszystkie?

Człowiek w twej pieczy uczciwie,
Bez wszelakiej lichwy żywie:
Pobożne jego staranie
Y bezpieczne nabywanie.

Inszy sye ciągną przy dworze,
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżej niż na piędzi.

Oracz pługiem zarżnie w ziemię:
Ztąd y siebie, y swe plemię,
Ztąd roczną czeladź i wszytek
Opatruie swój dobytek.

I.

Ale i na wsi życie nie bywa całkiem wolne od utrapień: wystarczy mieć przyjaciół, rozrzuconych po różnych stronach kraju, i otrzymywać smutne wiadomości o ich zejściu ze świata. A zdarzyło się właśnie, iż poeta, odkąd na stałe osiadł w Czarnolesie, takich żałobnych wieści otrzymał cały szereg: umarł Royzyusz, umarł Jan Leopolda, umarł Stanisław Grzepski, umarł Padniewski. Pod wrażeniem tych smutnych nowin, zwłaszcza pod wrażeniem dwóch ostatnich, Kochanowski napisał trzy epigramaty: jeden na śmierć „wymownego“ Grzepskiego, na którego złotoustą mowę „za-

równie Grajowie, jak i Auzonowie, nadstawiali uszu", i dwa na zgon biskupa krakowskiego, w którym bądź co bądź widział swego pierwszego protektora.

Niebawem jednak, bo już w połowie lipca 1572 roku, przyszła kolej na zgon donioślejszego znaczenia: w Knyszynie zmarł Zygmunt August. Cały kraj przywdział żałobę po ostatnim z Jagiellonów, spodziewając się może, iż ta bolesna strata wywoła jakie podniosłe *requiem*, skreślone natchnionym piórem czarnońskiego wieszczą, ale niedawny sekretarz nieboszczyka, rzecz szczególna, jakoś nie uderzał w swój poetyczny bardon. I nie uderzył. Tymczasem zaczęło się pamiętne bezkrólewie, podczas którego, gdy się zastanawiano nad pytaniem: w jaki sposób dokonać obioru króla? niepopularny dotychczas Zamoyski, ogłosiwszy zasadę wolnej elekcji *viritem*, od razu stał się najpopularniejszym mężem w całej Polsce. Kochanowski, jak się okazuje z jego *Marszałka*, był przeciwny temu pomysłowi; mimo to, zjechawszy na sejmik wiślicki, dał się unieść przeważnemu prądowi, tak, że gdy zwołano sejm konwokacyjny do Warszawy na dzień 15. stycznia 1573 roku, ruszył do stolicy Mazowsza. Tu zetknął się z Myszkowskim, a że ten pospołu z Jędrzejem Dudyczem i Janem Firlejem, usilnie pracował nad przeprowadzeniem kandydatury rakuskiej, więc i poeta, jako serdeczny przyjaciel wszystkich trzech, od razu przejął się sympatjami dla arcyksięcia Ernesta, wotując przeciwko jego współzawodnikom. Obrano jednak Henryka Walezego, królewicza francuskiego. Gdy poselstwo wyruszyło do Paryża po króla, Kochanowski wrócił do domu, a niebardzo ubolewając nad upadkiem swego kandydata, nie mało spodziewał się po owym „panu Gawęckim“ (jak Henryka nazywała gardłująca za nim, a przekupiona przez Montluca, szlachta mazowiecka): zdawało mu się, że nie tylko Rzeczpospolita, ale i on, jako poeta, mógł nie wyjść źle na wyborze Walezego. „Ten młody książę wyrósł w tradycjach, które od czasów Franciszka I starannie pielęgnowano na dworze fran-

cuskim. Od kolebki żył w atmosferze poezji. Czemużby, powołany na tron nad Wisłą, nie miał tu podnieść nauk, zapiekiwać się młodą muzą słowiańską?“ Ożywiony podobnymi nadziejami, proboszcz poznański, ledwo się znalazł pod dachem swego czarnońskiego dworku, od razu został nagabnięty przez cały chór ciotek, sióstr i bratowych, aby się żenił. Być może, iż wszystkie szturmę, które te zacne białołowy przypuszczały do niego, rozbiłyby się o jego nie- możność zdecydowania się na ten krok ryzykowny, gdyby nie siostra Anna, która, mieszkając przy poecie, miała nie- małą przewagę nad nim: jej namowy, żeby porzucił stan kawalerski, nie pozostały bez wpływu. „Poeta żywił dla niej nie tylko głębokie przywiązanie, lecz miał i ufność w jej rozum, oparty na doświadczeniu i instynkcie niewieścim. Jeśli leż w radach innych widział zwykłą niewiastom chęć swa- lania, to w jej namowach odgadywał siostrzaną troskę o za- pewnienie mu szczęścia“. Cóż, kiedy różnili się zasadniczo w poglądach na kwestię małżeństwa: poeta, choć sam nie młody, chciał żony młodej i pięknej, któraby go pociągała swoim powabem, a przytem i materialne względy brał w ra- chubę: mianowicie nie chciał brać panny ubogiej, wiedział bowiem, że ożeniwszy się, utraci swe beneficya duchowne, że będzie musiał rzec się lwiej części swoich dotychcza- sowych dochodów, a żyć z tego tylko, co mu przynie- sie gospodarka, lękał się. Wbrew przeciwnego zdania była Anna, która dowodziła w ten sposób:

— A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia,
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba:
Jako wstydu, a cnoty...
Bo acz to wszystko dobre, y ma swe przysmaki,
Ale z cnotą złożywszy, pójdzie między braki.
Cnota tedy ma przodek, iako w każdej rzeczy,
Tak y w małżeństwie, y tę naprzód miej na pieczy.
Bo gdzie ta jest, by dobrze nic więcej nie było,
Człowiekowi z nią samą żyć na świecie miło.

Gdzie tey nie masz, tam wszystko swoją cenę traci:
Zacność precz, a uroda przez niey już nieplaci¹⁾.

Jakkolwiek niełatwo, to jednak, rozważywszy argumenty siostry, poeta dał się przekonać w końcu, ale w połowie tylko. Zgadzał się, że dla cnotliwej i zacnej żony można się wyrzec posagu; zgadzał się nawet i na to, co mówiła siostra, że „jeżeli chcesz mieć dostatek przy żonie, to wyrz go z roli, a ostatek Bogu poruczaj“; ale poczyniwszy tyle ustępstw, jednej rzeczy wymagał bezwarunkowo: musi mieć *piękną* żonę. Innej nie pojmie.

— Proszę cię, miało li-by kiedy przyysć do tego,
Niechaj nic nie miłuję, co jest szkaradnego,
Ostatek na twą łaskę puszczam. Niemiec złota
Jeszcze nie szkoda, ale szkoda co sromota.

Usłyszawszy podobną gotowość z ust brata, Anna podsunęła mu myśl ożenienia się z Dorotą Podlódowską. Była to panna jakby stworzona dla niego. Nie pierwszej ale i nie przekwitłej młodości, bo 26-letnia, pochodziła z zacnego i znanego gniazda, o którym Rey wspomina w swoim *Zwierzynku*, nazywając ród Podlódowskich „mnożnym, jak zające, choć się z ich obyczajami nigdy nie rodzili“, a ojciec jej Stanisław przydomku *Lupa*, dokładnie znany z *Dworzanina* Górnickiego, cieszył się, jako podstoli sandomierski, wielką popularnością wśród okolicznej szlachty. Niezmiernie prawy i uczciwy, był to namiętny konserwatysta, przeciwnik obyczajów włoskich, a rubaszny i jowialny w sposobie wystawiania się; wszystko, co miał na sercu, miał i na języku.

¹⁾ Zobacz *Dziwostąb* Kochanowskiego, napisany — jak przypuszcza Pleniewicz — na krótko przed ożenieniem poety, a który jakoby powstał pod wpływem rozmów z Anną. Pozwala się tego domyślać zakończenie poemaciku, gdzie poeta wskazuje na siostrę:

Tom ja pisał na siostry swej miley żądanie,
Które u mnie tak ważne, iako rozkazanie.
Y sama się do tego dobrze przyłożyła:
Należć rym, to największa moja praca była.

Serce miał pocziwe, szczeropolskie! Żona jego, Elżbieta Bielskówna z Fałęcic, Mazurka z ziemi Czerskiej, była kobietą religijną, a jako Mazurka, wcale nie skłonną do przyjmowania nowinek. Stąd poszło, że Dorota otrzymała wychowanie w duchu ultra-katolickim. Nadto, od dziecka wychowywała się w zasadach uległości, prostoty obyczajów, surowego przestrzegania uczciwości i cnoty. Czy zasługiwała, jak Hanna, na miano „uczonej białogłowy?“ W ogóle pani Podlódowska bardzo dbała o wykształcenie swych dzieci. Młodszy z jej synów, Grzegorz, kształcił się w uniwersytecie, współcześnie z Kochanowskim. W tej chwili gospodarował na paru wsiach ojcowskich, dzierżąc urząd starosty radomskiego. Z Kochanowskim, z którym także kolegował z kancelaryi królewskiej, sympatyzowali zawsze, a ponieważ jeden z jego stryjów, Wawrzyniec, był ożeniony z Katarzyną Białaczowską, więc ich łączyło nawet pewne dalekie powinowactwo. Jak stały sprawy majątkowe Podlódowskich? Podstoli sandomierski, umierając, zostawił dość znaczny majątek, bo oprócz rodzinnego Przytyka, był posiadaczem kilku mniejszych i większych wsi i folwarków, z których jednak kilka, jako królewszczyzny, zakwestyonowano po jego śmierci. Mimo to nie była Dorota panną bez grosza: tyle tylko, że wiano, które mogła wnieść swemu przyszłemu mężowi, nie było wielkie. Zdaniem jednak Anny, przemawiało to raczej za Dorotą: bo nie trzeba brać żony znacznie bogatszej od siebie, lub świetniejszej pochodzeniem: najlepiej niech się żeni równy z równą.

Podlejszą¹⁾ żonę pomyi, tak ja radzę tobie,
Bowiem inaczej równi nie będziecie sobie.

Ale poeta, godząc się w zasadzie na rozumowania siostry, miał różne argumenty, któremi motywował swoją niemożność zdecydowania się na krok stanowczy. Przede-

¹⁾ Niższego stanu.

wszystkiem nie znał Doroty, nie mógł wiedzieć, czy mu się spodoba dostatecznie. Powtórnie nie miał pewności, czy przez pannę będzie dobrze przyjęty. To go odstręczało od występowania w roli jawnego konkurenta. Następnie, zapominając nie należało, nie był już młodzieniaszkiem, miał lat 42, a wszyscy wiedzieli o jego narzeczeństwie z Hanną. To także nie była okoliczność zachęcająca do ponownego próbowania szczęścia. „Gdyby zresztą ową Dosię gdzie spotkał przypadkiem, zawiązał znajomość bez nasuwania ludziom domysłów, że o nią się starać zamierza, ha! to rzecz inna. Ale zalecać się bez pewności, czy go nowy zawód nie spotka“, nie bardzo by mu się uśmiechało.

Anna tedy, przyzwawszy na pomoc Mikołaja i Barbarę Kochanowskich, uciekła się do fortelu. Z końcem czerwca przypadał dzień św. Jana Chrzyciela. W dniu tym, według prastarego zwyczaju, palono Sobótki po wsiach. W Czarnolesie także. A nużby tak, z powodu tej uroczystości, sprosić bliższych i dalszych sąsiadów, a w tej liczbie i Podlódowskich z Dorotą. „O to, by się panna przybyć wzdragała, nie było chyba obawy. Nie poeta podejmować miał gości, lecz państwo Mikołajowie; nie jedna Dorota miała być zaproszona, lecz wiele panien z sąsiedztwa: wszystko więc tak się składało, że spotkanie młodych ludzi w tych warunkach mogło łatwo nastąpić“. Jakoż gdy nadszedł dzień św. Jana, odbyło się ukartowane przyjęcie u Mikołajów, na które ku niemałemu zdziwieniu poety, pomiędzy zjeżdżającymi się gośćmi, przybyli i Podlódowscy „z panną uderzającą urody“. Kochanowski z ciekawością przyglądał się Dorocie, wrażenie zaś, jakiego doznał, kiedy się zbliżył do niej, odrazu wypadło na jej korzyść. Gdy ją porównywał z innymi pannami, tylko zyskiwała na tem porównaniu.

Nieprzeplacona Doroto,
Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami
Toś ty jest między dziewczkami.

Była to panna słusznego wzrostu, ślicznie zbudowana, rysach regularnych, rasowych, a oczy jej czarne, jak węgle, ocienione ciemnymi rzęsami i brwiami, tem większą były ozdobą jej pięknej twarzy, że była to świeża twarz młodowłosej blondynki.

Twoja kosa rozczosana,
Jako brzoza przyodziana:
Twarz iako kwiatki mieszane,
Leliowe, y różane.

Nos jako sznur upleciony,
Czoło iak marmor gładzony:
Brwi wyniosłe y czarnawe:
A oczy dwa węgle prawe.

Usta twoie koralowe:
A zęby szczere perłowe:
Szyja pełna, okazała:
Piersi iawne, ręka biała¹⁾.

Wobec tak niepowszedniej urody, cóż dziwnego, że poeta, zbliżając się do panny, przystępował z jaknajlepszym usposobieniem, skłonniejszy do odkrywania zalet, aniżeli wad jej charakteru, a nawet do uwierzenia, że tych wad nie posiada zgoła. I nie rozczarował się pod tym względem: Dorota, nietylko nie straciła przy bliższym poznaniu,

¹⁾ Prof. Nehring w swej książce o Kochanowskim (*Jan Kochanowski, Życie i dzieła*, Petersburg, 1900) idąc za Chlebowskiem, powątpiewa, czy na podstawie tego opisu Doroty w *Sobótkach* można wnioskować o jej zewnętrznej postawie: „Domyślają się, że poeta wielbił ją w wierszach polskich jako nauczoną białogłową pod imieniem Hanny, ale nie wszystkie wiersze do Hanny potwierdzają ten domysł, pieśń zaś XI w *Sobótkach* o pięknej Dorocie jest tłumaczeniem portretu Alcyny w *Orlando furioso*, więc do żony Kochanowskiego odnieść się nie da“, (strona 17). Mnie by się zdawało, że okoliczność ta niczego jeszcze nie dowodzi i że Kochanowski dlatego właśnie do opisu Doroty użył aryostowego wizerunku Alcyny, ponieważ wizerunek ten odpowiadał zewnętrznemu wyglądowi panny Podlódowskiej. Bardzo trafnie w tej kwestyi jest

ale, przeciwnie, zyskiwała ogromnie, im dłużej się z nią przestawało. W rozmowie była przyjemna, swobodna, pełna wdzięku, a to, co mówiła, świadczyło o umyśle wykształconym, a duszy prawej i szlachetnej. To też poeta, zachwycony rozmową z nią, omal nie powiedział jej, jak w *Sobótce*:

Serce mi zakwitnie prawie
Przy twej przyjemnej rozprawie...

Nadto przekonał się, że uroczą podstolanka, choć obdarzona tak niezwykłą urodą, nic nie miała tej zbytniej pewności siebie, która tak często cechuje kobiety piękne.

A co cię skutniejszą czyni:
Nie masz w tobie nic hardości,
Co więc rzadko przy gładkości.

Tą skromnością, z którą jej tak było do twarzy, był ujęty najbardziej:

Tymeś ludziom wszystkim miła
I mnieś wiecznie zniewoliła:
Przeto cię me głośne strony,
Będą sławić na wsze strony.

Okoliczności, na których tle oglądał dnia tego Dorotę, niezmiernie sprzyjały rozbudzeniu się w nim uczuć miłosnych. Bo jeśli piękna podstolanka już i w biały dzień czarowała go swą urodą, to przy świetle rozpalonych Sobótek, gdy goście i domowi „sypali się ku ogniewi“, mogła mu się wydać jeszcze piękniejszą. Jakoż doznał błędnego uczucia, że „w tę noc świętojańską znalazł kwiat cudowny paproci, który mu wszelkie skarby otworzy, nie

postrzeżenie prof. Windakiewicza, który twierdzi, że „o Kochanowskim raz to sobie musimy powiedzieć, że choć często powtarza rozmaite obce zwroty dosłownie, jednak powtarza je tylko do rzeczy i tylko takie, które mu się istotnie w danej chwili podobały, podobnie, jak my nieraz cytujemy rozmaite wiersze, które według naszego wyobrażenia piękniej i pełniej nasze myśli wyrażają“. (*Erotyk Kochanowskiego*, strona 7).

klejnotach i złocie, ale w sercu zacnej, nad wyraz piękną duszą i ciałem niewiasty“.

Pod wrażeniem tej nocy, mającej stanowić epokę w jego życiu, napisał swoją *Sobótkę*¹⁾, poemat, o którym powiada prof. Pleniewicz, że przezeń Kochanowski daleko więcej zbliża się do Göthego, niż przez *Odprawę posłów greckich*²⁾. W tym czasie powstał *Dziwosłób*, który, jako echo rozmów poety z siostrą, może służyć za dowód, że tego autor dużo przemyślał teraz o małżeństwie w ogóle, a o Dorocie w szczególności³⁾.

¹⁾ Z tym poglądem Pleniewicza, który napisanie *Sobótki* odnosi do roku 1574, nie godzi się prof. Brückner, którego zdaniem, „*Sobótki*, bo tak się pierwotnie zwały, powstały może w roku 1571, na co dosłownie z nich powtarzający się ustęp w liście do Fogelwiedera z 6. października 1571 roku wskazywać się zdaje.

²⁾ Na powyższe twierdzenie Pleniewicza nie godzi się Antoni Mazanowski, który swe odmienne zapatrywanie tak motywuje: „O *Sobótce* n. p. wypowiada (autor) zdanie: przez *Sobótkę* daleko więcej zbliża się on do Göthego, niż przez *Odprawę posłów greckich*, jak to powszechnie mniemano. Otóż to powszechne mniemanie upowszechnił Mickiewicz w *Literaturze słowiańskiej*, zestawiając *Odprawę z Ifigenią*, Mickiewicz jednak miał argumenta; ale dlaczego przez *Sobótkę* swą tak się zbliża Kochanowski do Göthego? Na to p. Pleniewicz wyjaśnień nie udziela“.

Ze studyów o *Sobótce* zasługują na wyróżnienie prace Chmielewskiego z roku 1875 (porównanie *Sobótki* Kochanowskiego z *Sobótką* Goszczyńskiego, drukowane w *Tygodniku ilustrowanym*, następnie przedrukowane w *Studiach i Szkicach*), Rymarkiewicza studyum z roku 1876 drukowane w *Ateum*.

³⁾ O *Dziwosłobie* Kochanowskiego czyni prof. Windakiewicz następujące przypuszczenie, które, choć śmiałe, to jednak psychologicznie daje się usprawiedliwić bardzo łatwo. „Zdaje się, że znajomość poety z przyszłą żoną trwała dosyć krótko, że się prędko pobrali i że dlatego tak mało poematów, odnoszących się do tego narzeczeństwa, posiadamy. Otóż w *Dziwosłobie*, poemacie dydaktycznym, napisanym przez Kochanowskiego z namowy siostry, prawdopodobnie na to, żeby nowy krok w życiu usprawiedliwić, spotykamy wzmiankę, że konkurent przy wyborze powinien się mniej oglądać na majątek żony, ale bardzo zważać na dobry ród i paren-

Nie mało też myślał o Henryku Walezym, którego przyjazdu oczekiwał z niecierpliwością, tusząc, że nowy król, jako rozdawca przywilejów, wynagrodzi mu stratę beneficjów duchownych na wypadek jego ożenienia się: borusząc się z matrymonialnymi zamiarami, poeta nie rezygnował z dostatku, w jakim żył, będąc proboszczem poznańskim. Niedostatku się lękał. Temi pobudkami powodowany, pragnąc w chwili przyjazdu nowego monarchy polecić się jego łaskawości i szczodropliwości, napisał odegłacińską *Do Henryka Walezego bawiącego we Francyi*, wyzywając tego „największego z królów, na najpiękniejsze powołanego królestwo“, ażeby nie zwlekał, lecz wyrwawszy się z tkliwego uścisku stroskanej matki, uciekł przed łzami zasmuconych sióstr i jaknajprędzej „na dzielnym rumaku pokazał się na sarmackich równinach, pośród orszaku matek z pacholętami i wśród pospólstwa, zbiegającego się w zbitych

tele. Nie naciągając zanadto ani nie upierając się zbytecznie, odnieśliemy ten frazes do otoczenia Bezimiennnej. Nam *Dziewostęb*, podobnie jak *Sobótka*, wydaje się utworem intencyonalnym, pełnym aluzji do zerwanego romansu; odważylibyśmy się nawet twierdzić, że cała oryginalność *Pieśni Świętojańskiej* wypłynęła z tego, żeby na cześć żony napisać poemat, któryby przewyższył erotyki do Bezimiennnej. W drugiej pieśni do Hanny znajdujemy znów wzmiankę o wysokim rodzie jej poprzedniczki w sercu poety:

Mnie sama twarz nie uwiedzie:
Y choć druga na plac jedzie
Z herby domów starożytnych,
Zacne plemię dziadów bitnych.

Ja chcę podobać się w mowie
Nauczanej białegłowie:
Ty mię pochwal, moja pani,
Nie dbam choć kto inszy gani.

Zwrotki te są dosłowną powtórką z elegii Propercjusza do Cyntyi, mimo to wobec równoczesnego nacisku na tę okoliczność w *Dziewostębie* nie bardzo byśmy się wahali upatrywać w nim aluzji osobistych“. *Erotyk* Kochanowskiego, strony 6—7.

rumach, by zobaczyć nowego króla“. W tej nadziei, z początkiem roku 1574, wyruszył do Warszawy. Tutaj przyłączył się do żałobnego orszaku 60-ciu dworzan jadących — konno — za trumną Zygmunta Augusta, i po dwutygodniowym pochodzie, w dniu 14-go lutego, stanął wraz z całym konduktem pogrzebowym w Krakowie, gdzie śmiertelne szczątki ostatniego z Jagiellonów złożono w grobach na Wawelu. Kochanowski, biorąc udział w tym pogrzebie, miał podwójne wyrachowanie: przedewszystkiem, za dawną służbę, zwłaszcza za ostatnie lata, przypadała mu należność. Liczył też i na to, że król nieboszczyk, pomnąc na jego 17-letnie zasługi, obdarzył go w testamencie jakim zapisem. Wypadało przeto wraz z innymi się stawić, by nie powiedziano, że do brania jest, a obowiązku nie pełni“. Nadto zależało mu i na tem jeszcze, ażeby, żegnając swego dawnego pana, jednocześnie być przy powitaniu nowego, być obecnym przy jego wjeździe do stolicy. Wjazd ten, nadzwyczaj uroczysty, odbył się przy słonecznej pogodzie dnia 16. lutego 1574 roku. Kochanowski, kiedy pospołu z innymi dworzanami „uzarskim strojem przybranymi“ jechał konno za pocztami senatorów, jechał z tem błogiem przeświadczeniem, że nowy król okaże się hojniejszym od starego, że inaczej oceni poetę. Nie wątpiąc o tem, napisał epigramat *Do króla Henryka Walezego przybywającego do Krakowa*, w którym opisał tę chwilę „gdy całe miasto wysypało się na powitanie wielkiego króla, gdy lud i senat i rycerstwo z okrzykami go przyjmowało“; a pewno ta wzrastała w nim, gdy niebawem znalazł się wraz z innymi dworzanami w orszaku koronacyjnym. Cóż dopiero, gdy mu się udało za pośrednictwem biskupa poznańskiego, Konarskiego, być przedstawionym młodemu monarsze, gdy wręczył mu swoje utwory, sławiące jego dostojną osobę. Jak wielką wagę przywiązywał Kochanowski do tej prezentacji, świadczą wiersz dziękczynny *Do Jadama Konarskiego*, napisany pod świeżem wrażeniem przyjazdu Henryka.

Ciebie rzesza, y uszy cesarskie słuchały,
Świeżo y król francuzki sławny, z którey strony
Przywiodłeś nam Monarchę pod zimne Triony.

Jednocześnie wszedł w stosunki z Francuzami, przybyłymi z Henrykiem, a w tej liczbie i z poetą francuskim, Filipem Desportes, cieszącym się pewną sławą, należącym do słynnej Plejady, zaprzyjaźnionym z Ronsardem.

Lecz płynęły dni i tygodnie, upłynął marzec, a spodziewane łaski jakoś nie spadały na poetę. Na nic się nie przydały znajomości z Francuzami, z którymi tyle wino wypił podczas uroczystości koronacyjnych. „Przy kielichu *les bons camarades* obiecywali przypomnieć go swojemu panu; lecz po wytrzeźwieniu każdy myślał o tem, by swe przy nim stanowisko na własną korzyść wyzyskać“. I królem także się rozczarował, widząc, że jako sekretarz królewski nie miał co robić przy boku nowego pana: Henryk bowiem, po za urzędowymi stosunkami, w których zaledwo senatorów przypuszczał do siebie, jaknajściślej zamykał się w otoczeniu dworaków francuskich. Niemniejsze rozczarowanie czekało poetę, gdy się dowiedział, jak zadecydowano wykonać testament Zygmunta Augusta. Testament zawierał ustęp o dworzanach „którzy ustawicznie służb naszych pilni byli“, ale gdy przyszło do spełnienia legatu, skończyło się na tem, że ani Kochanowskiemu, ani innym dworzanom, nic się nie dostało.

Zawiedziony, boleśnie dotknięty w swej dumie, że „on, wieszcz poświęcony, nie znalazł należytego uznania“, wrócił do Czarnolasu, a już w czerwcu zrzekł się prelatury poznańskiej, co się pozwala domyślać, że się w tym czasie zaręczył z Dorotą. Zadowolony ze swej doli, do czego najwięcej przyczyniało się błogie przeświadczenie o wzajemności ze strony panny, napisał swego *Marszałka*, który „w takim samym stopniu daje klucz do wyrozumienia w jego życiu nowego zwrotu, polegającego na umiłowaniu złotej mierności, jak *Carmen macaronicum* do wyjaśnienia pobudek, które go do obrania stanu świeckiego skłoniły“.

To tylko krótko powiem: dochody szczuplejsze,
Ale myśl bezpieczniejsza, y serce wolniejsze.

W tych słowach zamykała się jego teraźniejsza filozofia życia. Nie dbał „o pompę, ani o infuły“, jak Nidecki (który niedawno, gwoli intratnych beneficjów, przyjął święcenia kapłańskie), a wzgardziwszy bogactwem, miłował „życie spokojne i miarę“, nie wzbraniając się „pługu jąć czasem albo y woły poganiać“. Być może, iż rozumowałby inaczej, gdyby nie był zakochany w pięknej podstolance. Ale faktem było, że tylko marzył o tem, ażeby Dorotę jaknajprędzej wprowadzić pod dach czarnoleskiego dworu. W końcu nadeszła owa upragniona chwila: oblubieńcy stanęli na słubnym kobiercu. Stało się to w połowie roku 1574¹⁾. „Poeta przebył ostatnią przemianę, sięgającą najgłębszych podwalin jego istoty, stworzył ognisko domowe, którego czci strzedz miała odtąd szlachetna, podniosłych uczuć niewiasta. Jako głowa przyszłej rodziny, wnosił w nią stoicki pogląd na życie i ducha, wypróbowanego w zapasach ze zmienną losów koleją. Zarówno błędy młodości, jak i zasoby i rozczarowania wieku męskiego, tak często ze strun jego lutni odzywające się jękiem bolesnym, podnosiły go coraz wyżej duchowo“.

¹⁾ Jest powód do mniemania, że ślub ten odbył się dopiero w roku 1575. Z ogłoszonych bowiem przez Windakiewicza *Nieznanych szczegółów o rodzinie Kochanowskich* okazuje się, że poeta, przysięgawszy w roku 1566 instytucję na probostwo zwolenińskie, złożył je dopiero w roku 1575. „To ostatnie odkrycie — słowa są Tarnowskiego — to nowy kłopot, a prawie klęska: zdawało się, że złożenie probostwa poznańskiego oznaczało stanowczo rok ożenienia poety, tymczasem znaleziony dokument obala tę datę, i trzeba znówu wszystko prostować i zmieniać, i ślub ten jeszcze o jeden rok dalej posuwać“. *Co u nas o Kochanowskim pisano*, strona 268. W swej książce o *Janie Kochanowskim* na str. 335, mówiąc o ożenieniu się poety, Tarnowski liczy się z tą okolicznością i dlatego nie odnosi ślubu jego stanowczo do roku 1574, lecz przypuszcza również i rok 1575. Pleniewicz usiłuje dowieść, iż pomimo tego ślub mógł się odbyć już w roku 1574.

napisał drugi, jeszcze złośliwszy: *De electione, coronatione et fuga Galli*, w którym w jaskrawych barwach schłostał ukoronowanego zbiega.

Tymczasem, dnia 8. września, Tatarzy wpadli na Połaniec, i spaliwszy mnóstwo wsi i miast, uprowadzili 55.000 jeńców, nie licząc zabitych. „Była trwoga na ten czas po Polsce tak wielka, że ludzie wszędzie uciekali, Tatarów nie widząc, i do Krakowa był zbieg wielki“. Pod wrażeniem tej klęski, oburzony niezaradnością tych, co powinni czuwać nad nietykalnością Rzeczypospolitej, napisał Kochanowski swą słynną, pełną goryczy, a Juwenala godną Pieśń V, księgi II, malującą i piętnującą nierząd ówczesnego społeczeństwa.

Wieczna sromota y nienagrodzona
Szkoda, Polaku: ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprośny
Nad Dniestrem siedząc, dzieli łup żalosny.

Zbóyce, niestety, zbóyce nas wołują,
Którzy ani miast, ani wsi budują:
Pod kotarzami tylko w polach siedzą,
A nas nierządne, ach, nierządne! iedzą.

Wkrótce po napisaniu tego wiersza, z którym prawie jednocześnie powstały dwa inne, mianowicie Pieśń XIX, księgi II, wzywająca do służenia „pocziwej stawie“ i łacińska oda *Do zgody*, będącej „zbawieniem państw“, wybrał się poeta w połowie jesieni, do Warszawy, na sejm konwokacyjny. Tutaj, wpadł w wir walki przedelekcyjnej, idąc ręką w rękę z Myszkowskim i Dudyczem, którzy znów, jak przed elekcyą Henryka, agitowali za kandydatem austriackim. Ale, jak i poprzednim razem, tak i teraz, nie byli pewni zwycięstwa, pomimo, że ostatecznie stronnictwo ich wraz z potężnem stronnictwem Piasta zdystansowało inne. Cóż, kiedy szlachta, głosująca za Piastem, za Janem Kostką, wojewodą sandomierskim, lub Jędrzejem Tęczyńskim, woje-

wodą bełzkim, stawiający się zbrojnie, niczem pospolite ruszenie, zaległa całe pole elekcyjne, w wojennem pogotowiu, rozciągając się na wszystkie strony, którzyby nie chcieli głosować na rzecz Piasta. Wobec tego, a zwłaszcza wobec popularności, jaką cieszyła ta kandydatura, niezmiernie kłopotliwem było położenie tych, co popierali innych kandydatów. Jeszcze trudniejsze było zadanie Myszkowskiego, który dnia 18. listopada, przemawiając w senacie, usunął wszystkie kandydatury, a zalecając jedynie cesarza, jako monarchę, mogącego zadosyćuczynić potrzebom Polski, rozprawił się także ze stronnictwem Piasta, wykazując, że król-polak nie należy się przydać Rzeczypospolitej. W tym duchu należało działać na koło rycerskie, uparcie obstające za Piastem, na co zaś, ażeby działać skutecznie, wypadło działać przez kogoś, którego głos mógłby znaleźć posłuch u szlachty. Nikt, z wyjątkiem Myszkowskiego, tak dobrze nie nadawał się do tej roli, jak Kochanowski. Namówił go więc, ażeby agitował na rzecz rakuszanina, a zwalczał Piastę. Poeta zgodził się, lecz przyrzekł popierać nie starego cesarza, stojącego nad grobem, ale dwóch kandydatów młodych: arcyksięcia Ernesta, syna Maksymiliana, i carewicza Fiedora. Widocznie Myszkowski przystał i na ten warunek, skoro niebawem Kochanowski wystąpił z wielką oracyą do szlachty, oracyą, której, jak powiada Orzelski, „przez uszanowanie dla jego osoby, wysłuchano powolnem uchem“, która jednak „zdawała się nieodpowiednią jego wziętości“. Różne były przyczyny, że to publiczne wystąpienie poety, powszechnie uważanego za „człeka niegłupiego“, przybrało tak niefortunny obrót. Przedewszystkiem stanął wobec zgromadzenia, które widząc w nim wysłańca Myszkowskiego, z góry było dlań przedzone niechętnie. Powtórę, stawał przed szlachtą, przebieżając z inowierców złożoną, która go uważała za odstępce od różnowierczego obozu. Dlatego, kiedy poeta, chcąc sobie ująć swych słuchaczy-protestantów, zaraz na samym wstępie powołał się na Pismo Święte, wyrażając się,

że „całe chrześcijaństwo, zrodzone z siemienia Abrahama-
wego zostało“, przerwał mu Mikołaj Siennicki, podkomo-
rzy chełmski, że „różne jest to duchowe królestwo, o któ-
rem mówi Paweł święty, od ziemskiego królestwa monar-
chów świeckich“. Ta opozycja Siennickiego, który, jako
wieloletni marszałek izby poselskiej, posiadał w walkach
sejmowych, był znakomitą mowcą, a nadto znał wszystkie
arkana dyalektyki, głównie się przyczyniła do niepowodzenia
tego oratorskiego występu poety; Siennicki bowiem, stary
gracz w walce na słowa, chwycił się znanej taktyki, pole-
gającej na ciągłym przerywaniu mowcy, nękał poetę, nieo-
bytego z życiem parlamentarnym, nieustannymi wycieczkami,
raz po raz zbijając jego słowa. Kiedy Kochanowski, godząc
w elekcyę Piasta, dowodził, że „wstyd będzie Polakom, że
po haniebnej od nich ucieczce jednego króla, musieliby aż
ze swego narodu obierać nowego, bo żaden obcy nie chce
u nich panować“, Siennicki przerywając mu, zrobił złośliwą
uwagę, że „głos niechętnych umilknąć musi, bo oto cudzo-
ziemce takich starań i intryg używają, ubiegając się o
koronę“. To słowo takich wyraźnie godziło w poetę. Ten
jednak niezbity z tropu, dorzucił śmiało, że „każdy polski
szlachcic będzie się puszył nadzieją zostania królem“, na
co mu odpowiedział Siennicki: „Jeżeli go wszyscy uznają
godnym korony i jeżeli będzie wola boska, być może, że
tronu dostąpi“. Znużony tą podjazdową walką, z której nie
wychodził zwycięzcą, lecz zwyciężanym, zastrzegł sobie
Kochanowski, pozostawiając Piasta na stronie, że nie myśli
popierać cesarza, któremu zgromadzeni są tak przeciwni,
lecz proponuje arcyksięcia Ernesta lub carewicza Fiedora.
„Obaj młodzi — mówił — przywykną słuchać senatu, jako
młode żrebce, które biegły jeździec ujeżdża“. Ale i te kan-
dydatury nie znalazły uznania, raz dlatego, że „Piast we
łbach wszystkich cwałował“, a powtórę, że poeta nie zna-
lazł odpowiedzi na argument Siennickiego, który podchwyt-
ując jego porównanie, rzekł: „Panowie nasi, są to jeźdźce

bardzo różnej fantazyi i humoru, a wyłączne przewodzenie
jednego z nich, o ile trudne, o tyle niebezpieczne“. Poeta
umilkł, a gdy ani jeden głos nie podniósł się za nim, nie
pozostawało mu nic innego, tylko opuścić zgromadzenie¹⁾.

Kogoż wybrano ostatecznie? Wybrano dwóch: sena-
torowie „obwarowawszy się i dobrze opatrzywszy strzelbą“
w dniu 12. grudnia obrali królem Maksymiliana, a stronnicy
Piasta, kiedy ich obaj kandydaci, wobec tumultu i obawy
wojny domowej, dobrowolnie cofnęli się z elekcyjnych szran-
ków, poszli za myślą Zamoyskiego, który zaproponował wy-
bór Anny Jagiellonki, przeznaczając jej na małżonka Stefana
Batorego, kandydata stronnictwa Zborowskich. Dnia 14. gru-
dnia, gdy Siennicki wybór ten ogłosił, całe pole elekcyjne
rozbrzmiało imionami Anny i Stefana; Kochanowski, kiedy
mu wypadło przyłączyć się do jednego z dwóch stronnictw,
z których oba były mu wstrętne, wołał głosować za kan-
dydatem Myszkowskiego, niż popierać kandydata Siennic-
kiego, i dlatego dnia 18. grudnia 1575 r. wbrew przekona-
niom wygłoszonym w kole rycerskim, położył swój podpis
— obok podpisów Mikołaja Firleja i Piotra Kłoczowskiego —

¹⁾ Świadek tej sceny, starosta radziejowski Orzelski, dodaje
w swej relacji, że „mowa Jana Kochanowskiego, człeka niegłu-
piego, zdawała się nieodpowiednią jego wziętości, jednak
przez uszanowanie dla osoby poety wysłuchano ją powol-
nem uchem“. Z powodu tej relacji Orzelskiego tak pisze Kazimierz
Bartoszewicz, w swem doskonałym „treściwie zebranem“ *Życiu
Jana Kochanowskiego*: „Świadek wziętości Kochanowskiego u
współczesnych, więcej mówi, niż wszelkie domysłania się i frazesy
jego biografów. Orzelski notuje tę wziętość, choć jest przeciwni-
kiem politycznym poety i podnosi wysłuchanie mowy powolnem
uchem przez uszanowanie dla poety. Kto zna dzieje walki
elekcyjnej po ucieczce Henryka, kto wreszcie zwróci uwagę na to,
że chwila, w której Kochanowski przemawiał, była zaledwie o kil-
kanaście dni oddaloną od podwójnej elekcyi, a więc namiętności
i spory wrzały w całej pełni, ten dopiero zrozumie znaczenie owego
powolnego ucha i uszanowania, a co za tem idzie, pozna sto-
pień wziętości Kochanowskiego u współbraci.

na akcie elekcyi Maksymiliana. Swoją drogą, w głębi przekonania, był przeciwny zarówno Maksymilianowi, jak Batoremu, zarówno stronnictwu cezarianów, jak stronnictwu batoryanów. „Pierwsze, kierowane rachubą, miało na celu jedynie frymarki korony; drugie, złożone z najróżnorodniejszych żywiołów, mogło być narzędziem polityki Zamoyskiego, który, jak na pierwszym sejmie konwokacyjnym, tak i obecnie, zdawał się mieć jakieś osobiste cele na oku. Dla poety, który po ucieczce Henryka wciąż o tem marzył, by porzuconą przezeń koronę osadzić na głowie potężnego dynasty, któryby przyćmiony blask jej podniósł i w oczach świata poszanowanie dla niej nakazał, co mógł znaczyć król wybrany nawet nie z książąt dziedzicznych, ale wojewoda, osadzony na księstwie, położonem gdzieś na szarym końcu Europy, i nie hołdownik, jak dawniej cesarza, ale sułtana, od którego swoją godność otrzymał. Wprawdzie mówiono, że był dzielny, bogaty, że choć lennik Porty, dał jej uczuć potęgę swego ramienia; ale czyż starczyło to, by wobec butnego możnowładztwa zachował przynależną królewskiemu majestatowi powagę? Samo małżeństwo z Anną, zaszłą już pod pięćdziesiątkę, zatem niezdolną do wydania potomstwa, wydawało się jedynie środkiem do wprowadzenia na tron człowieka, który ani królewskością rodu, ani powagą stanowiska, z którego sięgał po koronę, nie mógł potężnym imponować sąsiadom. Zamiast takiego króla, stokroć już lepiej było popierać cesarza, którego wybór mógł przynajmniej budzić poszanowanie dla państwa“. Te względy sprawiły, że z dwojga złego — jak mniemał — głosował za mniejszem, byle oszczędzić ojczyźnie dalszych rozterek wewnętrznych. Boć nie o siebie chodziło mu, ani o postawienie na swoim, gdy się angażował do polityki, która zresztą była zupełnie obca jego harmonijnej i poetyckiej naturze, ale o szczęście i pomyślność Rzeczypospolitej, której był wiernym i przywiązany synem. W tem uczuciu obywatelskiem, na krótko przed ukończonym sejmem,

napisał swą Odeę VI, w której ogłosił takie osobiste zapamiętywanie na chwilową sytuację polityczną: „Ja, kapłan Muz i klaryjskiego Apolina, mało się o to troszczę, czy potężny cesarz włączyć będzie Sarmacyą, czy też berło dzielnemu Batoremu się dostanie. Kogokolwiek ojciec bogów i ludów na tron Augusta wyniesie, o to go tylko błagam, by wybór ten przyniósł szczęście mej ojczyźnie“.

Po napisaniu tej ody, zatytułowanej *Na zjeździe warszawskim*, a przeznaczonej dla licznych uczestników tego burzliwego zjazdu, dla których zawierała szereg nauk moralnych i wskazań politycznych, poeta wrócił do Czarnolasu, do stęsknionej za nim Doroty, i tu zajmując się gospodarstwem, jednocześnie wziął się do pracy nad *Psalterzem*. Polityce dał za wygrane, a na zjazd w Jędrzejowie, naznaczony na 14. stycznia 1576 roku, choć na ten zjazd stawili się tysiące szlachty, nie pojechał. Wolał zostać w domu, przy żonie i córce Ewie — bo już mu Bóg dał córkę — i stąd, pilnując wiosennych zasiewów, śledzić bieg wypadków, tembardziej, że to, co się działo, nie odpowiadało jego aspiracyom politycznym. Oto Maksymilian, za którym on wotował w Warszawie, coraz bardziej tracił szanse utrzymania się przy tronie, a szanse te, gdy przyszło do zjazdu jędrzejowskiego, zmalowały do tyła, że poseł cesarski Rozenberg, widząc słabość stronników swego pana, zniechęcony powrócił do Wiednia, a tymczasem szlachta wyprawiła poselstwo po Batorego, który, odbywszy uroczysty wjazd do Krakowa, w dniu 3-go maja koronował się wraz z świeżo poślubioną Anną Jagiellonką. Tymczasem Maksymilian, także jadący na koronację do Polski, wybierał się tak wolno, że nie dojechał w końcu. Zniecierpliwiony jego kunktatorstwem, które ostatecznie popsło całą sprawę, Kochanowski, nie mogąc strawić koronacji Batorego, napisał epigram łaciński, tak w nim upominając cesarza: „Potężny Batory już nosi królewską koronę, a ty, wielki cesarzu, wybac: jeszcze zwlekasz. Jeden tylko człowiek zwle-

kaniem sprawę ocalił, dla innych prawie wszystkich zwłoka zgubną była“.

Ale łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i zakłopotanie poety, gdy wkrótce po koronacji Stefana, który Zamoyskiego mianował swoim podkanclerzym, tenże Zamoyski któregoś dnia zajechał z nielicznym poczem przed dwór Czarnoleski, a przyjeżdżał, jak się okazało, umyślnie, ażeby się rozmówić z poetą, i tak dla siebie, jak i dla króla pozyskać, przyczem ofiarował mu — na początek — kasztelaninę połaniecką. Ale tu doznał zawodu, poeta bowiem, widząc, że kasztelaństwo o ile jest zaszczytnem, o tyle pociąga znaczne koszta, a dochody przynosi niewielkie, podziękował za ten zaszczyt, gdyż — jak się miał wyrazić do swego dostojnego gościa — „nie chciał wpuszczać do swego domu pysznego kasztelana, któryby zjadł to, co Kochanowski zarobił“¹⁾. Nie znaczyło to jednak, ażeby wymawiając się od przyjęcia kasztelanii, nie był gotów ofiarować swego pióra królowi i Rzeczypospolitej, jeśli ten król — jak mówił Zamoyski — istotnie jest mężem rzymskiego hartu, rwącym się do czynu, snującym wielkie projekty w celu podniesienia upadającej powagi i potęgi Rzeczypospolitej. Wtajemniczony w daleko sięgające zamysły królewskie, Kochanowski, choć do tej chwili niechętny Batoremu, wyraził gotowość uczynienia wszystkiego, co będzie w jego mocy,

¹⁾ Wkrótce po odjeździe Zamoyskiego, a w każdym razie — jak przypuszcza prof. Pleniewicz — pod wpływem wyrzutów ze strony niektórych osób, zarzucających mu, że nie przyjął kasztelaństwa, napisał poeta najprzód Pieśń V, księgi I, a następnie Fraszkę IV, księgi III. We fraszcze tej, będącej wolną przeróbką z Anakreonta, powiada Kochanowski:

Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocao dzbana.

O Kasztelanii połanieckiej Kochanowskiego obacz studium Juliana Bartoszewicza, w jego *Studiach historycznych i literackich*, tom II.

a coby królowi mogło ułatwić prowadzenie nawy państwowej; nie wiedział tylko, czy on, poeta, nieświadomy spraw politycznych, zdoła przydać się na wiele. Jeżeli miał jakie wątpliwości pod tym względem, to je Zamoyski rozprószył natychmiast, żądając od niego, aby czempredziej napisał utwór, „w którymby naród mógł się jak we zwierciadle zobaczyć, poznać kardynalne swe wady i przerażony ich skutkami wszedł w samego siebie i o poprawie pomyślał“. Ponieważ chodziło o to, ażeby te wady nie tylko wytknąć, ale je unaocznnić w działaniu, tak, by dochodząc do świadomości narodu przez zmysły, wstrząsnęły jego uczuciami i oddziaływały na wolę, utworem więc, jakiego obecnie Zamoyski żądał od Kochanowskiego, była tragedia, możliwa do odegrania, n. p. podczas jednego z najbliższych sejmów. „Zadanie to jednak musiało wprawić w niemały kłopot poetę. Naprzód pisanie tragedii stawało na poprzek wykończeniu *Psalterza*; powtóre, on sam, uprawiając dotąd przeważnie *lirykę, dydaktykę, i próbując eposu*, czuł, że nie był mistrzem po temu; wreszcie samo wynalezienie przedmiotu wymagało dłuższego rozmysłu. Tymczasem Zamoyski nie należał do ludzi, którzy coś robią w połowie. Na samej obietnicy napisania tragedii poprzestać nie chciał, ale pragnął upewnić się i co do wyboru osnowy i — jak się okazuje z listu poety — dopóty nie ustąpił, aż mu ją ten podał w głównych zarysach“.

Zamoyski odjechał, a poeta, odłożywszy przekład *Psalterza*, nie zwłócząc, zabrał się do pisania *Odprawy posłów greckich*, bo taki miał być tytuł przyręczonej tragedii. W jakim nastroju przystępował Kochanowski do tej pracy? Przedewszystkiem był rad z siebie, że się nie połakomił na owo kasztelaństwo; bo

Siła posiadał włości,
Kto ujął chciwości,

a „serca nie zlecza żadne złotogłowy“. Zdziwił się jednak, gdy ukończywszy pisanie swej sztuki, próżno czekał na ja-

kieś wezwanie podkanclerzego, aby mu przysłał rękopis. Tymczasem Zamoyski — według szczęśliwego wyrażenia Plenkiewicza — nadto wiele miał na swej głowie rzeczywistych tragedii, ażeby się mógł jeszcze grecką zajmować: sprawy się wikłały, sejm nie radził o niczem, ale odmówił podatku na wojnę przeciw Gdańszczanom, którzy, obstając za Maksymilianem, nie chcieli uznać Batorego: słowem, sytuacja była trudna. Te były powody, dla których *Odprawa posłów greckich* tak długo musiała leżeć pomiędzy papierami poety. Ostatni, widząc, że Zamoyski jakoś nie zgłasza się po nią, i myśląc już, że dzieło pójdzie ostatecznie „mólom na pokarm albo na trąbki do apteki“, wrócił do przerwanej pracy nad *Psalterzem*, a równocześnie przywdział żałobę po najstarszym z braci, Kasprze, zmarłym na samym początku roku 1577. Na pogrzebie, wobec licznie zebranych ziemian i członków rodziny, wystąpił z mową, w której podnosząc cnoty nieboszczyka, między innymi wyraził się o nim, że nie tylko był bratem dla całego rodzeństwa, ale mu jakby zastępował ojca. „Bo po zeszcii rodziców naszych — mówił — mając on nie tylko laty, ale i rozumem przed inszą bracią (pierwszeństwo), wszystkie trudności nasze wspólne, które więc po zmarłym ojcu na dzieci pospolicie przypadają, wziął był na swoją pieczę i tak się z nimi sprawał, żeśmy za pilnością jego żadnego uszczerbku w sprawiedliwości swej nie wzięli. A nie tylkoć w młodszych leciech i w niebytności drugich nam był radzien i pomocen, ale przez wszystek wiek swój trudności naszych wszelakich przestrzegał i bronił“. Ale życie lubi kontrasty: wkrótce po tym pogrzebie wypadło urządzić chrzciny: urodziła mu się trzecia córka, Urszula. Wprawdzie życzeniem rodziców, a zwłaszcza ojca, było, aby im Bóg dał syna, ale skoro dał córkę, cieszyli się i z córki, tembardziej, że „był to sobie taki sam robaczek, jak inne noworodki, tylko jakiś cichy, nie skrzeczący, bez zwykłych im lamentów“. Jakby w przeżuciu, że „przyszło to, jak gwiazdka spadająca w noc le-

tnią, jak aniołeczek, na czas tylko, na nietrwałe pociechy rodzicom pożyczony od Boga“, poeta miał dziwną słabość do tej dzieciny: żadnej z poprzednich córek, ani Ewy, ani Polikseny, nie kochał tak, jak Urszulkę. Swoją drogą pragnął mieć syna, a jeśli prawdą jest, co mówi stary Gerwazy w *Panu Tadeuszu*, że w czasie wojny zawsze synowie się rodzą, to mógł się spodziewać męskiego potomka, ile, że był to czas wojny. Dzielny Batory, wyzwany oporem Gdańszczan, wyruszył przeciwko nim wojenną wyprawą, a gdy pod Elblągiem i Gdańskiem toczyły się krwawe walki, jednocześnie — w sierpniu 1577 roku — nadeszła złowroga wieść, że car Iwan Groźny zajął Inflanty. Wobec tak trudnego położenia Batorego, zrozumiał Kochanowski, że „za temi czasów odwłokami (t. j. wojną gdańską) i jego tragedii odwlec się miało“, gdy nagle, dnia 21. grudnia, zjawia się posłaniec z dwoma listami od podkanclerzego, w których tenże prosił o natychmiastowe wysłanie przyobiecanej tragedii, gdyż chciał nią uświetnić swoje zaślubiny z Krystyną Radziwiłłówną. Tymczasem *Odprawa* wymagała jeszcze przepisania na czysto. Poeta, przysiedziawszy łańdów, skutecznie to w ciągu jednego dnia¹⁾, tak, że już nazajutrz, wyprawiając posłańca z powrotem, mógł pisać do Zamoyskiego: „Wczoraj dopiero oddano mi dwa listy naraz, któreś W. M. do mnie około tej Traiediey pisał“, a już dzisiaj „dwudziestego wtórego dnia grudnia“, odsyłał mu *Odprawę*, niespokojny, zali odpowie oczekiwaniom. „Jakom listy W. M. przeczytał, nie było czasu poprawować: bom wszyscyć miał *inumere* na przepisanie. *Quidquid id est*, a baczę że błazeństwo, y W. M. sam podobno rzeczesz: posyłam W. M. tym śmieley, chocia nie masz co, zem to ieszcze z przodku W. M. opowiedał, że to nie miało być *ad amusem*: bo mistrz nie po temu. Bardzobych to był rad uczynił, żebych był sam *praesens* W. M. teraz służby swe ofia-

¹⁾ Streszczam tu tylko Plenkiewicza.

rował, ale mi złe zdrowie nie da". Złe zdrowie! Coraz częściej zacznie się skarżyć na nie, aż w końcu, stęskniony za owymi błogimi czasami, kiedy to nic mu nie szkodziło, napisze swój melancholijny wiersz *Do zdrowia*:

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.

I jemu zaczynało się ono psuć coraz bardziej! Tymczasem, ledwo wyprawił swą tragedię, kiedy w parę dni później otrzymał nowy list od podkanclerzego, naglący o napisanie utworu, któryby wobec już postanowionej wojny przeciwko Iwanowi „uderzał silnie w struny bojowe i wstrząsnął odwykłym od orężnej walki narodem”. Chodziło o obudzenie wojennego zapału w szlachcie. *Odprawa posłów greckich*, jako mająca na celu powst. zzymanie od wojny, nie odpowiadała potrzebom chwili. Co innego było przed rokiem, przed zajęciem Inflant, gdy szło jedynie o uplastycznienie wad i narowów społeczeństwa, a co innego dziś, gdy dach płonął nad głową. Zrozumiał to Kochanowski i, czyniąc za- dość wezwaniu, napisał wiersz p. t. *Orpheus Sarmaticus*. Napisał go po łacinie, ponieważ chodziło o to, ażeby i król, obecny na uroczystości weselnej, zrozumiał treść utworu, w którym poeta wskazywał dwa główne cele narodowi: wojnę z Turkiem, zagrażającym całej Europie, i obronę naje- chanych Inflant. Dnia 12. stycznia 1578 roku, w Jazdowie, odbyło się wesele Zamoyskiego. Gdy przyszła kolej na teatr i śpiewy, naprzód odegrano *Odprawę*¹⁾, która *a nobilissimis*

¹⁾ O *Odprawie posłów greckich* istnieje cała literatura. Do najcenniejszych rozpraw o tym dramacie, nie mającym, wedle słów Mickiewicza, nic równego sobie w literaturze powszechnej XVI w., należy studium prof. Józefa Kallenbacha o „wzorach i genezie” *Odprawy posłów greckich Jana Kochanowskiego* (Kraków, 1883, od- bitka z tomu X Rozpraw Wydziału filologicznego Akademii Umie-

quibusque adolescentibus acta fuit, poczem Krzysztof Klabon odśpiewał *Orfeusza*. Wrażenie, zwłaszcza na młodzież, było ogromne. A nie tylko na młodzież, lecz i na posłów, którzy, uniesieni zapałem patryotycznym, zgodzili się zarówno na wypowiedzenie wojny, jak i na dwuletni podatek. Wkrótce

jętności). Autor rozróżnia w dramacie wpływy greckie i rzymskie, ostatnie silniejsze i liczniejsze od pierwszych, z wpływu poetów łacińskich najczęściej Seneki i Owidyusza, z greckich Homera i Eury- pidesa. Lecz o ile wzory są starożytne, o tyle popęd i geneza są polskie. „Pokazuje się — pisze Tarnowski, streszczając tę rozprawę Kallenbacha — że *Odprawa*, jak w swoim czasie *Satyr* była przed- sejmową broszurą, obliczoną na to, by na umysły działała w myśl króla i kanclerza, i do wojny zaczętej je zapaliła. Autor zestawia wszystkie te ustępy tendencyjne *Odprawy* (Ulisses, Antenor, Ro- mistrz) z mową Myszkowskiego podkanclerzego na sejmie roku 1578, i pokazuje się z porównania, że jedno prozą a drugie wier- szem, ale mówią to samo. Co więcej: sejm ów otwierał się 14-go stycznia; 12. stycznia grany był w Jazdowie dramat. Dramat koń- czył się wyraźnie wezwaniem do wstępnej zaczętej wojny: o tak- kiej wojnie mówią instrukcje rozesłane z kancelarii królewskiej do wszystkich sejmików przed tym sejmem w listopadzie. W grudniu Zamoyski dwa razy pisze do Kochanowskiego, żeby prędko przy- syłał *Odprawę*: znać pilno mu, znać potrzebuje jej i na nią liczy. Związek między jednym a drugim ukazuje się jasno jak na dłoni, bije w oczy: cel *Odprawy* widoczny”. *Co u nas o Kochanowskim pi- sano*, strony 266—267. To samo stanowisko wobec *Odprawy* zaj- muje Tarnowski w dziele o *Janie Kochanowskim*, gdzie też zazna- cza nadto, „oprócz swojej piękności, swego znaczenia pierwszej a na długo jedynej tragedii, jest *Odprawa* może najbardziej, naj- mądrzej politycznym z dzieł Kochanowskiego” (strona 378).

Odmienne zapatrywanie w tej sprawie wypowiada prof. Neh- ring, który w recenzji dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim nie może się zgodzić na ocenę *Odprawy posłów* jako „broszury polity- cznej” w formie dramatu. „W rozprawie mojej o wymienionej tra- gedyi zająłem inne stanowisko, nie przecząc i teraz, że polity- czne myśli odzywają się ze słów patryotów greckich i trojańskich; niech mi też wolno będzie przypomnieć, że współcześni, co prawda, ocenili *Odprawę posłów* jako rzecz napisaną i przedstawioną *exci- tendorum animorum iuventutis ad bellum contra Russos causu* (Hei- denstein, *Vita Zamosci*, strona 41). Jest więc pewna podstawa do

potem, bo jeszcze przed 6. marca, oba utwory, i *Odprawa posłów greckich*, i *Orfeusz*, wyszły w Warszawie, wydrukowane sumptem podkanclerskim. Ale Zamoyski, widząc, jakim atutem były pisma Kochanowskiego, gdy chodziło o wpływ na umysły, wnet pospieszył z nowym żądaniem. Oto zależało mu na dwu utworach łacińskich, któremiby mógł króla, wybierającego się do Lwowa, uczcić w Zamchu podczas łowów. W ten sposób powstały *Drias Zamchana* i *Pan Zamchanus*, utwory, które lubo zatracą o politykę, jednak i poetycznych ustępów zawierały sporo. Jakoż, dnia 8. maja odśpiewane wobec króla, zyskały ogólny aplauz, poeta zaś, przywiązując szczególną wagę do zapatrywań politycznych,

oceny takiego, jakie przeprowadził prof. Tarnowski (za którym także idzie i Pleniewicz), tylko wątpię, aby Kochanowskiemu głównie o myśl polityczną chodziło, aby z Zamoyskim naradzał się co do treści i tendencji i t. d., owszem, prawdopodobną jest rzeczą, że poeta na ślub Jana Zamoyskiego chciał napisać dramat, w którym miała kobieta odegrać rolę przeważną (z tego powodu zaczął tłumaczyć *Alcestis*); zamiar taki poeta wykonał, a kiedy „po długich czasach przewłokach“ otrzymał od Zamoyskiego naraz dwa listy z upomnieniem się o tragedję, wtedy już tylko czas stączył na to, aby poemat przepisać i podkanclerzemu w liście się wytłumaczyć, że tam nie wszystko tak jest, jak być powinno, wedle tragedji greckiej. *Kwartalnik historyczny*, 1889, strona 280.

Z innych prac o *Odprawie posłów greckich* godzi się wymienić: 1. Studium Nehringa (w *Studjach literackich*); 2. Pleniewicza *Geneza i rozbiór Odprawy posłów greckich w Bibliotece Warszawskiej*, 1896, III, 231; 3. P. Chmielowski, rozdział w *Naszej literaturze dramatycznej* poświęconej Janowi Kochanowskiemu; 4. estetyczny rozbiór tragedji J. Kochanowskiego w dziele Tarnowskiego o *Janie Kochanowskim* (jeden z najlepszych ustępów w książce); 5. H. Biegeleisen *Geneza Odprawy posłów greckich*, usiłująca dać syntezę dotychczasowych badań w tym kierunku (*Muzeum*, 1897).

Na powtórzenie zasługuje tu uwaga Felicjana o *Odprawie posłów greckich*: „W chwili, gdy Kochanowski napisał ten dramat, Lope de Vega miał w owej porze lat dopiero piętnaście, a Szekspir trzynastoletnie, w Niemczech zaś sztuka dramatyczna tak dobrze, jakby wcale nie istniała“. *Pogadanka o Fraszkach Kochanowskiego*.

wypowiedzianych w *Dryadzie*, sam ją przetłumaczył na język polski, ażeby z nią i szerokie koła zapoznać.

Ale zanim się wziął do tego tłumaczenia, naprzód, w końcu kwietnia mniej więcej, pojechał na Litwę, nie mogąc odmówić zaprosinom Mikołaja Radziwiłła Rudego, którego syn, Krzysztof, miał zawrzeć nowe związki małżeńskie z Katarzyną Ostrogską. I ojcu i synowi bardzo zależało na tem, ażeby Kochanowski, którego obaj uważali za swego serdecznego przyjaciela, był obecny na uroczystości zaślubin. Poeta jednak, mimo najszczerzej chęci, nie mógł zostać tak długo, zważywszy, że wesele miało się odbyć dnia 27. lipca, on zaś, jeśli o tyle wcześniej z domu wyjechał, to dlatego, że chciał — a do pewnego stopnia musiał — być obecnym w Krakowie, na uroczystości ingresu Myszowskiego, który po śmierci Franciszka Krasińskiego, został mianowany biskupem krakowskim. Widocznie, że Radziwiłłowie uwzględnili położenie poety, bo kiedy się miała odbyć pomieniona uroczystość, znalazł się przy boku Myszowskiego, w Krakowie, gdzie swą obecność zaznaczył w Elegji X, księgi III. „Myszowski! pośród tylu orszaków konnych i pieszych, co tłumnie naprzeciw biskupa swego wystąpiły, pragnąc oblicze oglądać i słodkie twoje słowa słyszeć, i mnie także przez rozkoszny Bug, przez twoje wody, o Wisło wspaniała, miłość przywiodła“. Tutaj, na dworze biskupim, w otoczeniu dawnych znajomych, a przede wszystkim w miłym towarzystwie Myszowskiego samego, który go, jako wierny, wypróbowany przyjaciel, wyróżniał na każdym kroku, jako pierwszorzędnego poetę¹⁾,

¹⁾ Bardzo ładną charakterystykę Myszowskiego, jako protektora Kochanowskiego, skreślił w swym studium o *Pieśniach Kochanowskiego* prof. St. Dobrzycki (str. 136—137). „I w pieśni: *Niewzwykłym i nie leda piórem opatrzony*, i we wstępie do *Psalterza w Muzach*, wszędzie spotykamy się z nazwiskiem Myszowskiego. To zaszczytne miejsce należy mu się. Należy mu się zwłaszcza tam, gdzie Kochanowski mówi o swojej poezji“. Bo jeśli chodzi o takich

kosztował słodkich wczasów. „Ten biskup, książę siewierski, gdy innych, znużony ceremoniałem przyjęcia, rad był co najrychlej pożegnać, jego, jako powiernika swej myśli, zatrzymywał w swym domu, tak, że obydwom zdawać się mogło, że znowu wróciły te chwile, które niegdyś spędzali razem na dworze Zygmunta“. Ale Król-dojutrek już odpoczywał w swej trumnie, a tymczasem o Batorym, właśnie przebywającym we Lwowie, dochodziły tak zadziwiające wieści, o jego dzielności, przedsiębiorczości i energii, że nawet taki rozgorzały rakuszanin, jak Myszkowski, przedzierzgał się w zapalonego wielbiciela Stefana. I nie tylko sam zmienił się, ale i na Kochanowskiego, z którym wiele rozmawiał o królu, wywarł stanowczy wpływ w tym kierunku. O czym także mówili często, to o *Psalterzu*, który już był doprowa-

mecenasów, jakim dla Horacego był *dilectus Maecenas*, to dla Kochanowskiego jedynym takim mecenasem był Myszkowski. „Gdy inni, jak Zamoyski, patrzyli na jego poezję, jak na środek do osiągnięcia celów pozaliterackich, Myszkowski jedyny bezinteresownie ją podziwiał. Miał zrozumienie dla prawdziwej, własnej poezji Kochanowskiego, podziwiał ją, a poecie był prawdziwym przyjacielem. Takie rzeczy się odczuwa. To też gdy Zamoyskiego Kochanowski podziwiał, jako polityka, i cieszył się, że Polska ma takiego człowieka, Myszkowskiego kocha całym sercem. Gdy na cześć Zamoyskiego pisze urzędowe wiersze, Myszkowskiemu wystawia najpiękniejszy pomnik, jaki mógł wystawić. Myszkowskiego imię związał ze swą poezją. To też dopóki ta poezja trwać będzie, znanem będzie i imię „wielce ulubionego Myszkowskiego“. Historia dyplomatycznych zabiegów XVI wieku pamiętać będzie o podkanclerzym; historyk kościoła polskiego nie zapomni biskupa płockiego i krakowskiego; historyk rodów szlacheckich wspomni twórcę ordynacji Myszkowskiej. Ale dla ogółu imię to pozostałoby nieznanne, gdyby nie pomnik, jaki mu zbudował Kochanowski. Po prostu wdzięczni jesteśmy poecie za to. *Kein Augustisch Alter blühte, Keines Medicäers Güte...* można śmiało rzec o polskim piśmiennictwie. Przykra jest dla nas obojętność ostatnich Jagiellonów wobec literatury polskiej. Magnaci dbali o nią tyle, o ile ona ich lub ich dom uświetniała. Na takim tle piękniej odbija Myszkowski, zwłaszcza, że jego protegowanym był nie kto inny, jak Jan Kochanowski.“

dzony tak daleko, że można było teraz, korzystając z pobytu w Krakowie, wejść w układy z drukarzem, Łazarzem Andrysowiczem. Na drukłożył Myszkowski. Tymczasem, z nadejściem lata, rozpoczynając objazd swych dóbr biskupich, udał się do letniej rezydencji w Promniku, a poeta¹⁾ pojechał z nim razem. W Promniku, w rozkosznej renesansowej willi, niegdyś wzniesionej przez Samuela Maciejowskiego, a unieśmiertelnionej przez Górnickiego w *Dworzaniu*, powstała Oda X *Na wieś Promnik*, dowodząca niezbicie, że się tu nie przykrzyło poecie: „Witaj mi, wiosko, co kosztem szczodrego Maciejowskiego wzniesiona, dziś w Myszkowskim, podporze dostojnego senatu, otrzymałaś nowego pana, nieustępującego poprzedniemu właścicielowi! Witaj mi, ustronie pracy, rodzicielko ciszy, pokoju duszy, odpoczynku po troskach, matko wczasów, gościno muz! Witajcie mi i wy, łąki, na których nigdy nie wysychają strumyki!“ Dobrze mu było w Promniku. Nie zapomniał przecie, że w domu tęsknie wyczekiwała żona. Wróciwszy do niej, ledwo cokolwiek zagrzał miejsce, którego mu i tak długo zagrzewać nie pozwalały częste wycieczki do przyjaciół i możliwych sąsiadów, kiedy po krótkim czasie znowu otrzymał list od Myszkowskiego, gwałtem zapraszający go do Bodzentyna. Cóż miał robić? Pojechał. Ale zbliżał się czas żniw, a Dorota, wogóle nierada jego wyjazdom, nagliła, żeby wracał. Wzruszony jej czułymi listami, poeta pożegnał się z biskupem, a na wyjeździe, dziękując za gościnę, wywzajemnił się następującym wierszem:

¹⁾ Na jednej z takich wycieczek, które zawsze odbywał konno, w towarzystwie pachołka, o mało co nie postradał życia. Mianowicie koń jego, którego był sobie kupił niedawno, potknął się, a tak fatalnie, że poeta, wysadzony z siodła, zleciał i potłukł się boleśnie. Rozgniewany na swego wierzchowca, sprzedał go jakiemuś dostawcy koni do żup solnych w Bochni czy Wieliczce, gdzie biedne konisko musiało „do śmierci kręcić maszynę, ustawioną ponad ciemnym szybem i ciężko się z bryłami soli mozolić“.

Jaką rozumiesz zazdrość ziednałeś sobie,
Zacny Biskupie, w moiej małej osobie:
Żeś mię z domu wyciągnął w te dalsze strony,
Od małych dziełek, y od teskliwej żony?

Nie myśleć ona o tym, że ia przy tobie
Głowy nie ufrasuję bynajmniej sobie:
Że w twym pałacu mieszkam, że przy twym boku
Siadam: koń mój, sługa mój, na twym obroku...

Rychley, niesposobnego będąc świadoma
Zdrowia mego, frasuie swe serce doma:
Żebych iakiey choroby nagłej nie użył,
Nie mając ktoby mi iey sercem służył.

Ciężar także domowy społeczny nama
Teraz w mey niebytności musi nieść sama:
Strzegąc w domu porządku, warując szkody,
Dziełek lichych pilnując, zakładów zgody.

To, y czego jest więcej, zawždy w miłości
Serca trapi, chocia też zostawa ufnosci.
A ty nie bądź przyczyną, biskupie drogi,
Nicziiley, lubo słuszney, lub płoney trwogi.

Ale złącz, iakoś rozwiódł, bo acz oboie
Twój urząd niesie, wszakże wyroki twoie
Na ludzkiej chęci wiszą: y ia, y ona,
Nie pragniewa do śmierci być rozdzielona.

Na wsi wrócił do normalnego trybu życia, a to życie układało się pomyślnie, bezkłopotliwie. „Stodoły z każdym dniem coraz bardziej pod ślemiona wypełniały się zbożem; w sadach pięknie dojrzewały owoce, a wszystko to budziło uczucie zadowolenia i dosytu w duszy ziemianina-poety, który z pod swej cienistej lipy mógł ogarniać wzrokiem swoje dziedzictwo, i cieszyć się widokiem córek, biegających w ogrodzie, lub wiodących ku niemu spragnioną pieśczęt Urszulkę“. Pod jesień przybyła mu czwarta córka, a kiedy się uporał z drobniejszymi pracami, jak n. p. *Epitalamium* na ślub Krzysztofa Radziwiłła, zabrał się do osta-

tecznego wykończenia *Psalterza*, aż wreszcie, dokonawszy całkowitego przekładu tych natchnień króla-proroka, skreślił dedykację, w której swe dzieło przypisał Myszkowskiemu.

Żniwa swego pierwszy snop tobie ofiaruję,
Cny Myszkowski, którego dobrodziejstwem czuję
Uwiązane swe serce...
Tym, żeś mi serca dodał, żem sye rymy swemi
Ważył zetrzeć z Poëty coznakomitszemi,
I wdarłem sye na skałę piękney Kalliopy,
Gdzie dotychczas nie było znaku polskiej stopy,
Y teraz ci z Libanu niosę Dawidowe
Złote gęśli, a przy nich Polskie pieśni nowe...

W grudniu, mając cały skrypt gotowy do druku, pojechał do Krakowa. Przybywszy tu, nie tylko stykał się z Myszkowskim, któremu przedstawił rękopis ukończonego dzieła, ale i z Zamoyskim, który mu wyjednał posłuchanie u króla, a następnie skłonił do podjęcia pracy z zakresu ortografii, ażeby zapobiedz prostemu widzi mi się drukarzów. Poeta zgodził się i sporządził referat w tej kwestyi p. t. *Orthographia polska Jana Kochanowskiego*, referat, który jednak nie musiał zadowolnić Zamoyskiego, skoro go zaraz nie wydrukował¹⁾. Tymczasem rozpoczął się druk *Psalterza*, a poeta wrócił do Czarnolasu, ażeby tam zażywać spokoju u domowego ogniska. Ale nie wszędzie było tak spokojnie, jak w zacisznym Czarnolesie. Już upłynęło parę miesięcy, jak król wyruszył pod oblegany w tej chwili Połock. Niestety, oblężenie szło nie tak, jak przewidywano z początku. Miasto broniło się zaciekle, tak, iż wobec niepomysłnych wieści, nadchodzących z królewskiego obozu, zaczęto przebąkiwać, iż król zamyśla zwołać pospolite ruszenie. Wiadomość ta mocno zaniepokoiła poetę, wiedział bowiem, że

¹⁾ Pracę tę, już po śmierci Kochanowskiego, wydał w roku 1594 Jan Januszowski, zeznając, że jej rękopism z rąk Jana Zamoyskiego otrzymał.

jako osiadły ziemianin, był obowiązany, po rozesłaniu trzech wici, stanąć w rynsztunku bojowym. Nie uśmiechało mu się to, wogóle bowiem, jako wykwinny humanista, nigdy nie czuł pociągu do hazardów wojennych, a dziś, jako ojciec rodziny, coraz bardziej podupadający na zdrowiu, tem mniej miał ochoty do wojaczki. To też, gdy nie ustawały się szerzyć pogłoski o pospolitem ruszeniu, a w województwie zawałował urząd wojskiego ziemi sandomierskiej, Kochanowski wystąpił ze swą kandydaturą, wojscy bowiem, nawet wówczas, gdy wszystkich powoływano do obrony krajowej, jeszcze nie potrzebowali służyć wojskowo. Tymczasem nadeszła radosna wieść o zdobyciu Połocka. Upojony tem zwycięstwem Batorowego oręża, poeta uderzył w struny lutni, pisząc polską Pieśń XIII, ks. II, i łacińską Odę XII.

Znowu tedy, skąd był wyszedł,
W ręce polskie Połock przyszedł,
Za powodem szczęśliwego
Stefana, króla polskiego.

Nie pomogły kule częste,
Zręby mocne, baszty gęste,
Puściły żelazne brony.
A ty królu niezmierzony,

Nietylko zamki budowne,
Y twierdze bierzesz warowne:
Ale, co chwalniejsza tobie,
Jesteś silen y sam w sobie.

Wiersze te nie były jedynymi, które poeta pisał w onym czasie. Gdy umarł kardynał Hozyusz, Kochanowski, podkreślając swe uwielbienie dla tego filaru katolicyzmu w Polsce, napisał epigramat, w którym z entuzjazmem podnosząc Hozyuszową „żarliwość w obronie wiary“, stawiał go za „wzór obyczaju i cnoty“. Równocześnie przygotowywał do druku rozpoczętą już w roku 1562 pracę filologiczną *M. T. Ciceronis Aratus*, która wyszła jeszcze w tym roku, oraz krzątał się około wydania swoich utworów łacińskich, ma-

jących w roku 1580 p. t. *Lyrice* wyjść z oficyny Łazarzowej. *Aratus* był poświęcony Zamoyskiemu, od którego poeta miał przyrzeczony przywilej u króla na wydanie *Psalterza*. Przywilej ten, zabraniający przedruku danej książki „pod groźbą kary tysiąca grzywien i utraty nakładu“, podpisał Batory w Wilnie dnia 8. października 1579 roku, nazajutrz zaś, najwidoczniej za wstawieniem się kanclerza, usankcjonował nominację Kochanowskiego na wojskiego ziemi sandomierskiej¹⁾. Lecz nie tu miała się zakończyć łaska królew-

¹⁾ Nominacja ta, podpisana w Wilnie przez króla, wracającego z pod Połocka, tak brzmi w przekładzie łacińskiego oryginału: „Stefan z Bożej łaski król polski i t. d. Oznajmiamy wszystkim i każdemu z osobna komu o tem wiedzieć należy. Po usunięciu urodzonego Andrzeja Gołuchowskiego na podkomorstwo sandomierskie, gdy urząd, który sprawował, wojskiego sandomierskiego, komu innemu dać trzeba, zauważyliśmy, że przy osadzeniu go szczególniey względ mieć powinniśmy na urodzonego Jana Kochanowskiego z Czarnolasu. Tego bowiem jego liczne i szlachetne przymioty (*praeclarissimae virtutes*), jego dla kraju zasługi, jego przeznaczone i wyborne zdolności (*nobilissimum ac praestans ingenium*), tudzież niezwykła nauka, od nas zdają się wymagać i niejako kryjomo dopominać, aby jak pomnikowemi dziełami swego dowcipu przynosi ojczyźnie chlubę i użytek, tak nawzajem od niej zaszczyty i godności odbierał. Urząd zatem wojskiego, który według naszego zdania najlepiej przypada do jego usposobienia i do trybu życia, dać mu postanowiliśmy; jakoż go przez obecne pismo nasze dajemy i zlecamy: ze wszystkimi jego prawami i dochodami, jakie poprzednio wojskim służyły, a to dożywotnio lub do czasu dostąpienia, czy to wyższego jakiego urzędu, czy dostojności. O takowem zaś daniu przez nas tego urzędu powiadamy wogóle dygnitarzy, urzędników, panów stanu rycerskiego i wszystkich, którzy o tem wiedzieć powinni, rozkazując tu wymienionym, aby rzeczzonego Jana Kochanowskiego za prawego wojskiego sandomierskiego mieli i jemu miejsce, prawa i przywileje służące, oraz dochody do tego urzędu przywiązane, według przyjętego zwyczaju, tudzież uległość, jaką mu kto winien, zapewnili. Na wiarę czego pismo to ręką naszą podznaczyliśmy i pieczęcią urzędową rozkazaliśmy opatrzyć. Dano w Wilnie, dnia 9. października r. p. 1579, panowania naszego czwartego roku, Stefan, król, podpisał“.

ska! Wiedząc o „szlachetnych przymiotach“ poety, o jego „zasługach względem kraju, przeznaczonych a wybornych zdolnościach, tudzież niezwyklej nauce“ i pragnąc, aby „jak pomnikowemi dziełami swego dowcipu przynosi ojczyźnie chlubę i pożytek, tak nawzajem od niej zaszczyty i godności odbierał“, mianował go swoim poetą nadwornym, przyrzecząc mu wyznaczyć 1.200 florenów rocznej pensyi ¹⁾.

Te i tym podobne okoliczności znakomicie poprawiły stan majątkowy poety. Dość powiedzieć, że już w roku 1580 będzie mógł pożyczyć Mikołajowi Firlejowi z Dąbrowicy 7700 florenów! Świadczyło to, że poeta-humanista miał zmysł i do rzeczywistości (najwidoczniej odziedziczony po ojcu), że nie tylko przestawał z muzami, ale umiał i gospodarować należycie. Coprawda, było o kim myśleć. Wszak był ojcem czterech córek, dla których musiał składać posagi.

Cóżkolwiekby, żadnej z nich nie miłował tak wielce, jak Urszulki. Ale

Bo też ledwie się kiedy dziecię urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było.

„Ta dziecina ze złotemi kręcącemi się włoskami, rozwijała się szybko, jak roślina, wystawiona na słońce pod szkłem nakryciem. To nic, że umiała różne figielki, których nikt jej nie uczył, ale że przez te duże, błękitne jej oczęta, patrzące powłóczyście, szeroko, zdawała się przeziierać nad wiek rozumna duszyczka, jakby uwięziona w ciałku dziecię-

¹⁾ Fakt ten o przyznaniu J. Kochanowskiemu pensyi rocznej 1200 florenów i mianowaniu go przez króla poetą nadwornym, zapisany jest u Starowolskiego. Przyborowski nie wierzy w owe 1200 złotych od Batorego, przenosząc to podanie na czasy Zygmunta Augusta (1567). Bronisław Chlebowski pisze w tej kwestyi: „Podany przez Starowolskiego szczegół o proponowaniu przez Batorego miejscu na dworze z pensją 1200 złotych (bardzo wysoką na owe czasy), może być prawdziwym; uwydatniałby on tem jaskrawiej ironię kaprysów losu“. Jan Kochanowski w świetle własnych utworów, strona 194.

cem, w którym jej było za ciasno“. A kiedy zaczęła chodzić i mówić, wszystkich zastanawiała swą nadzwyczajnością. Nie dość, że była posłuszna i usługująca, wolna od wszelkich grymasów i wad dziecięcych, ale się odznaczała jakimś przedziwnym darem naśladowczym, który jej pozwalał odzwierciedlać każdy ruch i postawę, lub powtórzyć usłyszaną piosenkę. Cóż dziwnego tedy, że ojciec, słuchając jej szczebiotu, widział w niej „Safonę słowiańską“ w przyszości, że gwoli tej duszy poetyckiej, którą, jakby odbicie swej własnej, widział w Urszulce, więcej Ignął do niej, aniżeli do jej starszych siostrzyczek. I tamte były miłemi dziełczynkami, ale Urszula miała jakiś szczególny wdzięk, była „najmilszą“ ze wszystkich. A gdy ją zawodzić swe piosenki, „ustek nigdy nie zamykając“, to była podobna do „słowiczka w krzaku zielonym, co przez noc całą pieści słuch gardłkiem uciesznem“. Ale

Tak wiele cnót jej młodość i takiej dzielności
Nie mogła znieść: upadła od swej bujności.

Nad wiek rozwinięta, choć z początku była zdrowa, pozwoliła zacząć jakby niknąć w oczach, słabnąć, szczupłeć, aż w końcu stało się widocznem, że była skazana i na śmierć przedwczesną. W przeczuciu jej, na krótko przed zamknięciem powiek, żegnając matkę, mówiła, że już jej chyba przyjdzie z domu rodziców precz jechać i nazawsze z nimi się rozstać. Wreszcie umarła ¹⁾.

Jeszcze się zrozpaczony ojciec nie zdołał uspokoić po jej stracie, gdy nagle zjawił się posłaniec od Zamoyskiego, z natarczywym żądaniem, ażeby poeta czemprędzej nadesłał

¹⁾ Prof. Pleniewicz dość obszernie rozpisuje się o chorobie Urszulki, przyczem pisze, że zmarła na *meningitis*. Prof. Tarnowski bardzo niedowierzająco odnosi się do tej dyagnozy. „Skąd wiadomość, że była skrofaliczna, że miała czoło zbyt wypukłe, że umarła na *meningitis*? Mogła tak samo umrzeć na krup, na szkarlatynę, na ospę, na każdą inną chorobę, bo żadnej żadne współczesne podanie nie oznacza“.

parę utworów, któreby, odpowiadając obecnym okolicznościom, we wskazany sposób mogły oddziaływać na umysły zebranych posłów: chodziło o to, ażeby w nich rozbudzić zapal dla króla, który wróciwszy zwycięzcą, gdy zwołał sejm do Warszawy, raptem spotkał się z sarkaniem na uciążliwość wojny, które to sarkanie było tylko wyrazem niechęci ku energicznemu władcy, zaczynającemu budzić obawy wśród szlachty, czy nie zechce ukrócić jej samowoli. Poruszywszy wszystkie sprężyny, ażeby zażegnać grożącą burzę, Zamoyski napisał do Kochanowskiego, jako oficjalnego poety, ażeby przysłał utwór, w którymby wojenne czyny Batorego ukazały się oczom narodu w całym blasku. Poeta jednak, złamany boleścią po stracie Urszuli, nie miał „aspektu“ do pisania, więc tylko rozszerzył trochę napisaną już *Pieśń o wzięciu Połocka* i pieśń tę, wraz z dwoma innymi wierszami, z wierszem *O statecznym studze Rzeczypospolitej*, na który się zdobył z wielkim wysiłkiem, i wierszem *O uczciwej małżonce*, którym uczcił Dorotę, posłał Zamoyskiemu, dołączając do nich listowne wytłómaczenie się, czemu nie posyła nic więcej. „Nie pomnisz W. M., co on więzień wielkiego Aleksandra uczynił, że bojąc się, aby był pierścienia nie chybił, a sławy dobrego strzelca nie utracił, umyślił był raczej gardło dać, niż łuku przed królem pociągnąć. I jam tegoż mało nie uczynił, wprowadzie nie tak doskonały strzelec, jeno że łaska W. M. droższa u mnie, niż wszystka *poetica*. Jeśli co nie grzechy, a bodaj nie wszystko, któż winien? Ja naprzód, W. M. też po części, *qui scribere cogis*, chociaż zły aspekt. Chcesz li mię W. M. na świecie mieć dłużej, nie każ mi W. M. teraz nic pisać“.

Nie znaczyło to jednak, ażeby, nie będąc usposobionym do pisania na urząd, nie czuł dusznej potrzeby dania wyrazu swej osobistej boleści po stracie ukochanego dziecięcia, boleści, która mu się raz po raz wyrwała z piersi okrzykiem: „Nie masz cię, Urszulo moja!“ To dało początek *Trenom*.

W poemacie tym, pisanym krwią serca ojcowskiego, odbiło się jak w żadnym innym — zdaniem Pleniewicza — piętno indywidualności autora. Jest to, obok przekładu *Psalterza*, nietylko arcydzieło wieszczą z Czarnolasu, ale i arcydzieło liryki, doskonałe pod względem formy, jakkolwiek pełne reminiscencji z całego szeregu pisarzy starożytnych. Jako takie, są te nieśmiertelne lamentacje i medytacje, natchnione niepowetowaną stratą dziecka, jakby słupem granicznym, oznaczającym pewien zwrot w twórczości Kochanowskiego. „Po raz pierwszy — powiada Chlebowski — otworzy on głębie uczucia przed ludźmi i dobędzie z serca tony rozrzucające swą szczerością i prostotą. Po raz pierwszy przemawiać będzie do czytelnika nie dworny mowca i mentor, nie natchniony kaznodzieja i polityk, lub osamotniony na swym piedestale śpiewak, lecz cierpiący człowiek, nieszczęśliwy ojciec, chcący się podzielić z braćmi-ludźmi swą boleścią, szukający ulgi w ich współczuciu, jako „jeden z wielu“ nieszczęśliwych. Jak Werther wołający: „Serce takie ja mam tylko sam!“ tak i Kochanowski upewnia nas z całą siłą przeświadczenia:

Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował.

Nietylko do *Werthera* jednak, lecz i do niektórych filozoficznych utworów autora *Fausta* można porównać *Treny* Kochanowskiego, wszystko bowiem, co poeta przemyślał, co stanowiło jego pogląd na życie, na wiedzę ludzką, znalazło swój poetycki wyraz w tem lirycznym *requiem*. Oto, co w tej mierze pisze Pleniewicz: „Nietylko stoicyzm, na tak wątpliej jak siła woli zbudowany podstawie, ale i wiedza rzeczywista, choćby najgłębiej pojęta, nie może przynieść w podobnych razach (w cierpieniu) człowiekowi pociechy¹⁾. To

¹⁾ W rozprawie o *Filozofii Jana Kochanowskiego* Kallenbach podkreśla u poety w epoce pisania *Trenów* widoczny bardzo wpływ Seneki, a zwłaszcza jego *Consolationes*. Tak na przykład pomysł

też poeta biada tylko, że tej mądrości żywot swój cały poświęcił, bo dziś, gdy mu całego hartu ducha potrzeba, znalazł się wobec nieszczęścia równie słabym, jak najostateczniejszy z prostaczków". Jako dzieło sztuki, są *Treny* jednym z najdoskonalszych utworów Jana, pomimo że może żadne z jego dzieł nie było pisane z tak gorączkowym pospiechem, jak one właśnie. Dość powiedzieć, że Urszulka umarła w roku 1579, a w roku 1580 *Treny* były już wydrukowane.

Śmierć atoli, zabrawszy Urszulę, nie poprzestała na niej jednej. Wkrótce po niej, właśnie, gdy poeta „nad dziełmi pióro swe zabawiał“, umarła mu czwarta córka, Hanna. Ledwo zdążył napisać krótkie *Epitaphium* pod wpływem tego nowego ciosu, musiał się zdobyć na napisanie innego, na zgon wojewodziny sandomierskiej, dla której, gdy jeszcze była za Janem Krzysztofem Tarnowskim, tyle żywił uczuć sympatii. W tymże czasie doszła go z pod Wielkich Łuk, gdzie właśnie Batory gromił wojska moskiewskie, wieść o bohaterskiej śmierci Piotra Kłoczowskiego, tego samego, którego on niegdyś „do Włoch prowadził“. Wkrótce potem, bo na początku roku 1581, umarł brat poety, Mikołaj, a prawie jednocześnie Dorota utraciła swego starszego brata, Grzegorza.

Przybity tyloma ciosami, nie dziw, że pomimo pomyślnego zakończenia wojny z Moskwą, zakończonej odzyskaniem Inflant, poeta czuł się wyczerpany i nie skory do pióra. A jednak musiał chwycić za nie znowu! Ledwo skończył się fatalny sejm z roku 1582, jeden z tych licznych sejmów, które zerwano, gdy nadbiegł posłaniec od Zamoyskiego, który, pragnąc w jakikolwiek sposób dać zadosyćuczynienie królowi, „a przede wszystkim odwołaniem się od sejmu do narodu przywieść do upamiętania obałamuczone umysły i za-

rozmowy matki z synem w Trenie ostatnim, do wzoru Senekowego odnieść należy.

rzutom opozycji przeciwstawić czyny dokonane w ciągu sześcioletnich rządów Stefana“, znowu się zwrócił do poety, z żądaniem, by napisał coś, co by w całym blasku wojennej chwały uprzytomniło narodowi panowanie dzielnego króla. Choć i teraz, jak wkrótce po śmierci Urszulki, znajdował się w „złym aspekcie“ do pisania, to jednak przezwyciężył się i ułożył długą pieśń zwycięską p. t. *Epinicion*, w której znalazło się wszystko, co można zdziałać rutyną i biegłością pisarską, ale też i nic nadto. Znać na tym wierszu, że autor, gdy pisał te strofy łacińskie, niemało utracił ze swej duchowej mocy. Tymczasem, jakby na przekór temu chwilowemu odpływowi poetyckiej weny, był zniewolony do ciągłego płodzenia nowych utworów, co oczywiście nie wychodziło na ich korzyść. Zaledwo się uporał z *Epinicionem*, musiał zadosyćuczynić nowemu żądaniu Zamoyskiego, który, żeniąc się z Gryzeldą Batorówną, chciał swe wesele uświetnić nietylko odpowiednim *epitalamium* łacińskim (łacińskim, bo zarówno król, jak i jego synowica, nie rozumieli po polsku), ale gorąco zapraszał poetę, ażeby osobiście przybył na tę uroczystość. Kochanowski spełnił tylko pierwsze życzenie kanclerza, pisząc swój *Epitalamion*, do Krakowa jednak, z powodu „niesposobnego zdrowia“, nie pojechał. Tym sposobem, nie będąc świadkiem wielkich fet na zamku królewskim, nie słyszał, jak Krzysztof Klabon odśpiewał podczas uczyty jego pieśń weselną, ani jak tenże nadworny śpiewak, w dniu następnym, gdy młodej kanclerzynie składano podarunki ślubne, wykonał z towarzyszeniem liry jego *Epinicion* na cześć obecnego króla. Zamoyski jednak, choć w roli pana młodego, nie zapominał o polityce, czego dał dowód wymowny, zwracając się z nowym żądaniem do poety, a mianowicie: żeby nie zwłócząc wziął się do napisania polskiego wiersza, opiewającego waleczne czyny Krzysztofa Radziwiłła, który się tak w wojnie ostatniej odznaczył. Wraz z listem w tej sprawie nadesłał mu dyaryusz ze szczegółowym opisem wszystkich wypadków,

w których Radziwiłł brał czynny udział. Widocznie, iż kanclerzowi bardzo zależało na pozyskaniu litewskiego potentata, skoro go sobie kaptował aż poezjami Jana Kochanowskiego. W ten sposób, według Plenkiewicza, powstała *Jezda do Moskwy*¹⁾, utwór, który pospołu z dwoma poprzedniami, miał się złożyć na całkowity obraz wielkiej wojny północnej, który przecież, słaby pod względem formy, świadczy nie tylko o znużeniu ducha poety, ale i o jego słabnącem poczuciu artystycznym.

III.

Już w *Trenie* III, gdy pisał, że mu się trzeba gotować w drogę za Urszulą, i w *Epitaphium* na śmierć jej młodszej siostrzyczki, gdy mówił, że musi „zaraz odżałować wszystkiego, a na trwalsze rozkosze się chować“, poeta dawał poznać wcale niedwuznacznie, że często myśli o śmierci, że przeczuwa jej zbliżanie się ku niemu. Jakoż „niesposobne zdrowie“, które mu się psuło coraz bardziej, upoważniało do tak złowrogich przeczuć.

Poeta jednak, pogodny z natury, i o śmierci myślał z filozoficznym spokojem: tyle tylko, że zaczął więcej dbać o siebie, że mniej się wychylał z domu, że unikał męczących podróży. Choć był i drugi powód, dla którego wołał nie ruszać się z Czarnolasu: tym był wzgląd na Dorotę, która, troskliwa o męża, nie lubiła rozstawać się z nim, choćby na krótko.

¹⁾ O pierwszym wydaniu *Jezdy do Moskwy* istnieje ciekawe studium A. Pawińskiego, p. t. *Jan Kochanowski, przyczynek do bibliografii roku 1583. Tygodnik ilustrowany*, 1884, str. 75. Zdaniem Pawińskiego, Kochanowski nie pisał swej *Jezdy* w roku 1581 i pisać nie mógł. „Prawdopodobnie wieszcz nasz z Czarnolasu dopiero w następnym 1582 roku miał sposobność zebrania tylu ciekawych szczegółów o wyprawie Radziwiłła, jakie w swym poemacie podał, i wtedy też złożył owe pieśni pochwalne na cześć swego bohatera. I utwór ten niebawem ukazał się w druku, w Krakowie,

Ale mię (czego tać zgoła nie mogę),
Niewiasta smutna trzyma: której gdy drogę
Wspomionę, wnet twarz blednie, oczy łzy leją,
A mnie patrząc, y serce, y członki mdleją.

A zresztą, poco miał wyjeżdżać, kiedy mu nigdzie — nawet w gościnie u Myszkowskiego — nie było tak dobrze, jak w domu, przy Dorocie, przy dzieciach. Tych miał czworo, bo po śmierci Urszuli i Hanny, jeszcze mu przybyło dwoje: dwie córki, Halszka i Krystyna. Mimo to nie tracił nadziei, że go w końcu Pan Bóg obdarzy synem. Bo syna chciał mieć koniecznie.

Tymczasem, dopóki mu się rodziły córki, a sił nie przybywało, lecz przeciwnie, ubywało, troszczył się o zabezpieczenie bytu rodzinie, ale myśląc o tych ziemskich sprawach, nie zapominał i o podnioslejszych, bardziej nieuchwytnych, do których mianowicie należała ojcowska troska o jego dzieci duchowe. „Ponieważ musi zniszczyć ciało, więc trzeba w dziełach trwały ślad zostawić po sobie“. A że te dzieła mogły mu zapewnić nieśmiertelność, o tem nie potrzebował wątpić; powodzenie, jakim się już teraz cieszyły wśród społeczeństwa, upoważniało do podobnych nadziei. Na początku roku 1583 wyszły z oficyny Łazarzowej — sumptem Zamoyskiego — *Epitalamion*, *Epinicion*, i *Jezda do Moskwy*, a jednocześnie ukazało się drugie wydanie *Trenów* i *Psalterza*. Świadczyło to, że oba utwory cieszyły się poczytnością, że znalazły oddźwięk w duszy narodu. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, można być pewnym, że tak znakomity muzyk, jakim był Mikołaj Gomółka, nie dorobiłby

1583 roku, w drukarni Łazarzowej, w 410 wierszach, p. n. *Jezda do Moskwy y posługi z młodych lat na y przez wszystek czas przeszłej wojny z Moskiewskim* i t. d. Ten dodatek w tytule „przeszłej wojny“ jest wskazówką, że właśnie niedawno co się owa wojna skończyła. To zatem wydanie za pierwsze, zdaniem Pawińskiego, uważać należy. Jedyńy dziś znany egzemplarz tego pierwszego wydania znajduje się w bibliotece hr. Tarnowskich w Dzikowie.

swoich *Melodyi* do *Psalterza*, czem go jeszcze bardziej spularyzował. Wszystko to świadczyło o uznaniu, jakim się cieszyły jego poezye.

A nie brakło i innych dowodów, stwierdzających to wybitne stanowisko, jakie poeta zdobył sobie na Parnasie polskim. Oto Jan Januszowski, księgarz-wydawca, okazał się bardzo skorym do zbiorowego wydania pism Kochanowskiego, a układy, w które z nim wszedł już w roku 1579 po wydrukowaniu *Psalterza* i *Siedmiu psalmów pokutnych*, przybrały tak pomyślny obrót, że wypadło czempnąć do starczyć materiału na tom pierwszy. Poeta zaczął od *Fraszek*. Ale tu zdarzył się szkopał, który wywołał dość długie pertraktacje pomiędzy autorem a wydawcą. Ten ostatni, otrzymawszy rękopis *Fraszek*, kiedy je przeczytał, zgorszony nieprzyzwoitością niektórych, zaproponował poecie, ażeby je usunąć. Poeta się temu sprzeciwił, a choć uznawał, że ich „pannom czytać się nie godzi“, że je ludzie za wszeTeczne uznać będą mieli wszelkie prawo, to jednak oparł się wszelkim opuszczeniom, twierdząc, że mu się to nie zda, „bo to jest jakoby dusza ich“. Skończyło się na tem, że *Fraszki* zostały wydrukowane w całości. Zaraz po nich przystąpiono do druku utworów łacińskich p. t. *Carmina latina*, obejmujących cztery księgi elegii, tudzież *Foricoenia sive Epigrammata*.

I *Fraszki* i *Carmina latina*, w których nie brakło i najmniej nieprzyzwoitych epigramatów, niż we *Fraszkach*, wyszły na początku roku 1584. Jednocześnie zabrał się poeta do kompletnego wydania swoich utworów polskich. Właśnie przystępował do tej pracy, gdy nagle spadła nań, jak piorun z jasnego nieba, żałobna wieść o śmierci Jakóba Podłowskiego. Był to najmłodszy z braci Doroty, Benjaminek całej rodziny. Wkrótce po wstąpieniu na tron Batorego, poeta, korzystając ze swych stosunków z głównymi dygnitarzami Rzeczypospolitej, umieścił go na dworze królewskim. Później, gdy wybuchła wojna z Moskwą, Jakób podążył do

Inflant, przyłączył się do rycerstwa, a w drugiej wyprawie wslawił się dzielnością pod Toporcem. Po skończonej wojnie, wrócił na dwór królewski, a niedawno został przez Batorego wyprawiony do Turcyi, w celu zakupu koni do stajni królewskiej. W czasie przeprawy przez Bałkany, napadnięty przez opryszków, został przez nich dla ograbienia z pieniędzy zamordowany sromotnie. Wiadomość o tem, tem straszniejsza, że niespodziewana, gdy dotarła do Czarnolasu, mogła się stać przyczyną nowego nieszczęścia, bo właśnie Dorota była w stanie odmiennym. Ale dzielna niewiasta potrafiła zapanować nad wzruszeniem, tak, że zniosła cios spokojnie i z prawdziwie macierzyńskim bohaterstwem. Poeta jednak, który widział, ile ten pozorny spokój kosztował nieszczęśliwą kobietę, postanowił upomnieć się o zadosyćuczynienie dla niej, uważał bowiem, że to zabicie królewskiego wysłańca, dla którego najlepszym glejtem powinien być sam urok potęgi Rzpltej, nie mogło ująć bezkarnie, że należało się domagać przykładnego skarcenia Turków, nie przestrzegających najprostszych zasad prawa międzynarodowego. Zabili posła polskiego, a wszak to był wystarczający powód do wypowiedzenia wojny. Ta myśl, że gwoli pomśzczenia tej śmierci, tak obrażającej powagę i majestat Rzpltej, król powinien wypowiedzieć wojnę Turcyi, czepiła się poety, jak pijawka, poprostu opętała go. Wmówił w siebie, że Batory powinien wypowiedzieć wojnę, że inaczej skrzywdzi jego, Kochanowskiego, który mu jako poeta, opiekujący jego czyny, służył tak wiernie, że mu się należy to zadosyćuczynienie etc. Tymczasem Batory bawił na Litwie, więc należało czekać, dopóki nie zjedzie bliżej, na to bowiem, ażeby odbywać daleką podróż do Wilna, poeta czuł się zbyt podkopany na zdrowiu. Na szczęście nie potrzebował czekać długo, ponieważ Batory rozesłał listy do senatorów koronnych, z żądaniem, by na sierpień stawili się do Lublina, gdzie się z nimi w sprawach pierwszorzędnej wagi porozumieć pragnął. Było to Kochanowskiemu na rękę.

Jakoż, z nadejściem sierpnia, wyruszył z domu, pełen otuchy, że król wysłucha jego uzasadnionych pretensyi, a wysłuchawszy, sprawi, aby słuszności stało się zadość. „Król (rozumował sobie poeta) zabezpieczony od północy na przeciąg kilkoletni, miał ręce rozwiązane zupełnie, mógł wszystkie siły przeciwko Islamowi obrócić, zgnieść wroga chrześcijaństwa i stąd sobie na sławę nieśmiertelną zarobić. Kto wie, czy go nawet te same myśli nie ożywiają w tej chwili, czy z deliberacyi nad otrzymaniem rozejmu (w której to sprawie przybyło do Lublina specjalne poselstwo z Moskwy), nie wyniknie wojna z pohanem, zwłaszcza, że do niej nadarza się tak ważna, jak zabicie posła królewskiego, przyczyna“. W tem przekonaniu wyjednał sobie audyencyę u króla. Nie przeczuwając zgola, że w ogóle trafia na moment, gdzie Batory z konieczności był daleki od myśli o wojnie z Turcyą, stawiał się przed jego obliczem, pewny, że dopnie swego. Stefan jednak, wysłuchawszy wywodów poety, nie podzielał jego zapatrywań. „Sprawa Podlodowskiego nie dawała jeszcze przyczyny do wojny. Nie był on posłem, lecz dworzaninem królewskim, wysłanym prywatnie w celu zakupu koni; zabójstwa na nim nie dopuściła się Porta, lecz nieznanymi jacyś złoczyńcy; najwyżej można było żądać wynagrodzenia i ukarania winnych, ale nadto nic więcej“. Powyższe argumenty wszakże, tak przekonywające dla każdego nieuprzedzonego, nie przekonały poety. Opuściwszy komnatę królewską, wzburzony i dotknięty do żywego, że wychodził z niczem, padł nagle, rażony apopleksyą. Stało się to dnia 22. sierpnia 1584¹⁾ roku.

¹⁾ Pleniewicz w opisie tej sceny pomiędzy Kochanowskim a Batorem, pisze, że król dał szorstką odpowiedź pocie. Nie wydaje się to prawdopodobnem Antoniemu Mazanowskiemu, który, podkreśliwszy „kapitalne zalety dzieła“, zaznacza również, że „częstokroć domysłność prof. Pleniewicza przekracza miarę, źródłami wskazaną, i sięga sfery wyobraźni“. Do takich miejsc zalicza recenzent: ustęp o wycieczkach młodego żaka do Dubia, o korzyściach

Nagła śmierć poety, tem sensacyjniejsza, iż nastąpiła w komnatach królewskich, obita się głośnie echem w sercach całego społeczeństwa. „Na tejsze konwokacyi w Lublinie (pisze Joachim Bielski, zapisując pod rokiem 1584 wiadomość o zjeździe króla z senatorami) umarł Jan Kochanowski, herbu Korwin, poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze nie był, ani się takiego drugiego spodziewać możemy“. Że tego zdania był nie tylko Jan Bielski, ale i naród cały, tego dowodzi chociażby ten fakt, że zaraz po śmierci poety, prawie jednocześnie, a w każdym razie w roku 1585, ukazały się dwa utwory, natchnione wieścią o zgonie Czarnoleskiego wieszczą, utwory, tem godniejsze uwagi, że każdy z nich „reprezentuje jeden ze stanów, które lubo pod względem politycznym nie jednakowe miały w Rzeczypospolitej znaczenie, zawsze przecież pod względem umysłowym przedstawiały godnie u nas wiek XVI, idąc o lepsze na tem polu w zawody“¹⁾. Pierwszy reprezentował Sebastian Fabian Klonowicz, napisawszy *Zale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego*; drugi wyobrażał Kasper Miskowski, jako autor *Lutni Jana Kochanowskiego*. A jeżeli cały naród tak głęboko odczuł stratę autora *Psalterza Dawidowego*, to o ileż głębiej musiała ją odczuć jego „nieprzeplacona Dorota!“ W każdym razie, lubo cios był bardzo ciężki, zniosła go mężnie, tak, iż uratowała życie dziecka,

z powodu pobytu na dworze Tamowskiego, o charakterze posiedzeń studenckich w Padwie, o wrażeniu, jakie sprawiło na rodzinę oblicze poety, kiedy wrócił z Włoch z niewygasłą jeszcze w sercu namiętnością ku Lidy, o tajemnych pobudkach Myszkowskiego, które go skłoniły do popierania poety, o podróży Kochanowskiego z Dudyczem do Radomia. Nie ulega wątpliwości, że recenzentowi nikt nie odmówi słuszności w tym względzie.

¹⁾ Pierwszym, który śmierć Kochanowskiego uczcił wierszem, był jego przyjaciel serdeczny Andrzej Trzycieski. Wiersz ten — łaciński — ogłosił w roku 1883 w *Ateneum* (tom I, strona 498) Rafael Löwenfeld, w nader ciekawym i ważnym artykule p. t. *Andrzeja Trzycieskiego wiersz na śmierć Jana Kochanowskiego*.

które już nosiła w swem łonie, a którem miał być syn. Niestety, kiedy się urodził, ojciec już się nim nacieszyć nie mógł. Przez pamięć na swego ukochanego małżonka, Dorota, gdy przyszło do chrzcin jego ostatniego dziecięcia, dała mu na imię Jan, jednocześnie zaś, wybraawszy sobie na opiekunów Jana Podlódowskiego i Piotra Kochanowskiego, oddała się całą duszą wychowaniu dzieci i pielęgnowaniu sławy mężowskiej, zbierając skrzętnie pozostałe po nim prace i przesyłając je Januszowskiemu do druku. „Jakoż już w grudniu 1585 roku wydaje on dzieła polskie Jana, zarówno ogłaszane drukiem, jak i pozostające dotąd w rękopiśmie, z wyjątkiem *Psalterza* i *Fraszek*, które stanowić miały osobne, po wielekroć powtarzające się wydania. Wreszcie ogłaszając w roku 1590 resztę nie wydanych utworów, objętych tytułem *Fragmenta*, dał narodowi całość dzieł poety, stanowiących artystyczny wiek XVI dorobek“¹⁾.

¹⁾ Dorota, po śmierci męża, odnosiła się z niezwykłą, niemal religijną czcią do wszystkiego, co było pozostałością po nim: tak dalece, iż nawet kopce graniczne, które pokopano za życia poety, chciała widzieć nienaruszone, a gdy je inni zburzyć chcieli, ona wyraziła stanowcze życzenie, „iż to wszystko, cokolwiek nieboszczyk pan Jan Kochanowski wykopał, ma w pokoju zostać“. O jej dalszym życiu wiemy niewiele. Oddana wychowaniu córek, dwie z nich, Ewę i Poliksenę, jeszcze sama wydała za mąż: pierwszą za Filipa Owadowskiego, drugą za Łukasza Łędzkiego. Przedtem, we dwa lata po śmierci męża, pochowała jego pogrobowego syna, Jana, zmarłego w końcu roku 1586. „Dziecię to poczęte w smutku, oczekiwane wśród najstraszniejszych katastrof, jakichby nie przeniosło wiele niewiast bez szwanku, i urodzone w sierotwie, musiało pójść za ojcem niedługo“. W końcu roku 1599, lub na początku 1600 poszła za nim i matka, osierocając swą śmiercią dwie córki najmłodsze. Te w kilka lat po jej zgonie wyszły za mąż, obie bardzo dobrze: Halszka za Stanisława Witowskiego, dziedzica Jedlińska, z czasem kasztelana brzezińskiego; Krystyna za Wojciecha Michowskiego, łowczego lubelskiego.

Tak się przedstawia całokształt żywota Jana Kochanowskiego, odtworzony z olbrzymim nakładem pracy przez prof. Plenkiewicza, który tą monografią, cokolwiek jej zarzucić można, wystawił sobie bądź co bądź *monumentum aerae perennius*. Jest to nie tylko jeden z najbardziej wyczerpujących życiorysów, jakimi pochwilić się może nasza literatura monograficzna, ale i jeden z najsumienniejszych opracowanych, nie mówiąc o tem, że temat jest jednym z najsympatyczniejszych dla polskiego czytelnika. Bo nie da się zaprzeczyć, że Kochanowski należy do najpiękniejszych postaci naszej narodowej przeszłości. „Wychowaniec wszechnicy krakowskiej, dość wcześnie odczuwa naukowe jej braki i szuka podstaw gruntowniejszej wiedzy w Wenecyi, w klasycznej Padwie i starożytnej Lutecyi. Wreszcie po latach kilku wraca do kraju, jako humanista wykształcony gruntownie, z zadatkami pierwszorzędnego talentu. Wśród swarów politycznych i religijnych rozterek, wśród namiętności targających sercami, stoi on zawsze spokojny, poważny, niekiedy uśmiechnięty z wdziękiem atyckim, niby posąg na niewzruszonej, granitowej podstawie, duchem „ponad próżne troski ludzkie“ wzniesiony, szybujący myślą w obłokach. I przez pierś jego, zasobną w skarby uczucia, przepływają te same prądy, które w piersiach innych nurtują; ale choć żywo odczuwa i własne bole i klęski lub tryumfy narodu, nigdy przecież nie daje się porwać wirum wypadków, ani zaprządz w usługi sekty lub politycznego stronnictwa. On nie wniesie, jak tylu innych współczesnych mu pisarzy, do społeczeństwa rozkładowych żywiołów, ale owszem, owe sprzeczności epoki, jak mistrz dysonanse w muzyce, we własnym życiu i w pieśni do harmonii sprowadzi. Nie propaganda religijna jego gwiazdą przewodnią, ale idea piękna, zaczerpana ze źródeł greckich i rzymskich, które on po mistrzowsku wcielił w kształty mowy ojczystej. Słowem, czego wszechnica jagiellońska z posiewu Kazimierza W. nie umiała urzeczywistnić w nauce, tego on świadomie na polu poezyi

dokonał". Jako taki, „jest on jednym z najwyższych przedstawicieli cywilizacji zachodniej pomiędzy pisarzami XVI stulecia u nas i najdzielniejszym krzewicielem ducha humanitarnego, który był jej wykwitem“.

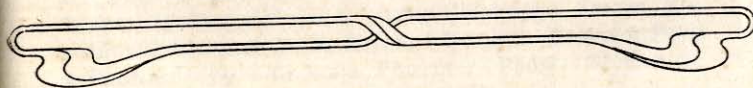
Jako człowiek, niepospolity i szlachetny z gruntu, był wdzięcznym synem, dobrym bratem, czułym i kochającym mężem i ojcem. Rodziców kochał i poważał, zarówno ojca, o którym wspomina w *Muzie*, jak i matkę, którą unieśmiertnił w *Trenach*; o tem zaś, jak czczył pamięć obojga, świadczy ich nagrobek w Zwoleniu, na którym aż po dziś dzień czytać można między innemi, że „gdy po zgonie dobroczyńców, dla okazania im wdzięczności nader szczupłe pozostały środki, Jan Kochanowski, rodzicom najczulszym ten kamień, długo wylewanemi łzami skropiony, położył“. Jako brat, był zgodny, a choć duchem wyższy od swego rodzeństwa, nie wynoszący się ponad nie. Dość wspomnieć o jego mowie na pogrzebie najstarszego z braci Kacpra, lub o *Dziwostębie*, rzucającym nie małe światło na jego stosunek do sióstr. Z żoną żył w idealnej harmonii, a jak ją nie tylko kochał, ale czczył i poważał, o tem świadczy jego wiersz *O dobrej żonie*. Ale bo też i zasługiwała na to! „Ona i matka jego, to — według pięknego wyrażenia Pleniewiczza — jakoby dwa białe opiekuńcze anioły, które zlewają ułogostawienie na jego laurem uwieńczoną głowę. Jedna z zaraniu żywota czuwa nad jego kołyską i pierwsze jego kroki prowadzi, rozbudza w jego duszy drzemającą iskrę poezji, a potem wysyła go po wiedzę do zaczarowanych krain południa, by wyrósł jej na pociechę, a ojczyźnie na chlubę. Wreszcie do lat najpóźniejszych wpływ nań dobroczynny nawet z za grobu wywiera. Druga, sercem przezeń wybrana, opromienia miłością zachód jego żywota, i duszą jasną, jakby słonecznej natury, staje się źródłem jego natchnień i głowy poświęconej koroną. A jak tamta nad kolebką opiekuńcze skrzydła rozciąga, tak ona we wdowiej szacie chyli swą głowę nad jego mogiłą

i po kres żywota przechowuje wiernie pamięć po zmarłym“. Dzieci kochał nadzwyczaj: nie przeszkadzały mu nigdy, nawet wtedy, gdy pisał w cieniu swej ulubionej lipy: owszem, widząc je bawiące się nieopodal, odkładał pióro, ażeby się pobawić z niemi, popieścić je, lub używać do drobnych posług. Dla przyjaciół był wylany i szczery, a w przyjaźni stały; jeśli nim być przestał, to wtedy tylko, jeśli swego przyjaciela, jak Nideckiego n. p. musiał przestać szanować, jeśli go widział sprzeniewierzającego się swoim zasadom lub ideałom, jeśli w nim dostrzegł instynktów, któremi gardził w człowieku wyższym. Uważał, że jeśli się wyznaje pewne *credo* moralne, to winno się postępować tak, ażeby z niem nigdy nie być w rozterce. To była jego zasada, której przez całe życie przestrzegał święcie. Jej zawdzięczając, żył tak skromnie, że, jak sam się wyraził w *Trenach*, ledwie kto wiedział o nim, co wobec rozwijającego się pieniactwa było niemal wyjątkowem zjawiskiem. A jak był szczerym w przyjaźni, z którą jeszcze łączył tak rzadkie uczucie wdzięczności za wyświadczone przysługi lub dobrodziejstwa, tak był dobrym sąsiadem: od objęcia Czarnolasu aż po ostatni kres życia niema z nikim żadnego zatargu. „W gorączkowym pościgu za fortuną i on z początku siedł za innymi i przyszłość swą budował to na względach możliwych, to na łaskach królewskich; w końcu jednak wzgardził tem wszystkim, skoro przekonał się, że ani fortuny, ani wyższych dostojeństw nie zdobędzie bez poniżenia własnej godności. Gdy mu wreszcie życie postawiło dylemat: albo dostatki w stanie duchownym bez powołania, albo szczęście rodzinne w ożenieniu się z panną bez posagu: bez wahania wybrał to ostatnie, poprzestając na tych skarbach jedynie, które znalazł w sercu ukochanej przez się niewiasty“. Wszystko to, razem wzięte, upoważnia do wniosku, że Kochanowski, jako człowiek, stoi wysoko ponad poziomem moralnym ówczesnego ogółu, że był nie tylko poetą znamienitym, ale i charakterem nieposzlakowanym.

A jako poeta? I pod tym względem zdobył sobie pierwsze miejsce pomiędzy współczesnymi, a jedno z najpierwszych w całej poezji swego narodu. Przedewszystkiem jest to poeta-artysta w najrozleglejszym znaczeniu tego słowa, poeta, o duszy poetyckiej, wykształcony na wiecznie pięknych wzorach poezji starożytnej, a obdarzony poczuciem artystycznym, jak nimi było tylko niewielu po nim. To jego pierwszy tytuł do chwały. Drugim jest niewątpliwie ogromny wpływ, jaki wywarł na dalszy rozwój poezji swego narodu, poezji, której słuszenie może być nazwany ojcem. Bo nie należy zapominać, a godzi się podkreślić, że nie tylko poeci XVI i XVII stulecia, tacy, jak Górnicki, Miaskowski, Szymonowicz, Zimorowicz i wielu innych, ale i wszyscy poeci XIX wieku, poczynając od Brodzińskiego, a kończąc na Mickiewiczu i Słowackim, kształcili się na utworach autora *Trenów*, czerpiąc z dzieł jego, niby z przebogatej skarbnicy, mnóstwo pereł swego poetycznego języka. Wszystkie rodzaje i gatunki poezji greckiej i rzymskiej, a nadto włoski sonet i canzonę on mowie polskiej przyswoił, na jej jałowy grunt z obcych niw przeszczepił, a jeśli się zważy ówczesny stan poezji czysto polskiej, która do jego wystąpienia chlubiła się jedynie Rejem i Trzecieskim, to bardzo łatwo jest się gotowym podpisać pod pytaniem Plenkiewicza, zali Kochanowski nie dokonał większego przewrotu w poezji ojczystej, niż romantyzm XIX wieku. „Ten przynajmniej miał bogate zadatki z przeszłości: język wyrobiony przez pisarzy XVI i XVIII stulecia, no, i jakby zaczątki nowego zwrotu w poezjach Karpińskiego i Książnina. Do czasów zaś Kochanowskiego nie było nawet języka, któryby godnie mową bogów przemawiał. On to wszystko, co istotę poezji stanowi, albo wysnuł z własnego ducha, albo z pod nieb obcych sprowadził“. Ale choć można powiedzieć o Kochanowskim, że stworzył język poetycki polski, język, który aż po dziś dzień, po trzech wiekach, nie traci swej piękności i woni, to jednak nie tu kończą

się niespożyte zasługi jego, jako poety. Bo zaprzeczyć się nie da, że wcale nie mniejszą rolę, niż ta, jaką gra w dziejach naszej poezji, gra on i w dziejach naszej narodowej cywilizacji. „Jak Kopernik dowiódł, że nie słońce około ziemi się obraca, ale ona jego prawom podlega, tak Kochanowski, stając na gruncie wszechświatowym, wytknął dla poezji polskiej nieomylnie drogi dalszego jej rozwoju. Zamiast zasklepieć się wyłącznie w narodowym partykularyzmie, ma ona ciążyć ku słońcu cywilizacji powszechnej i od niego, dla rozwinięcia w pełni swych czysto swojskich pierwiastków, przejmować ciepło i życie“. To piętno europejskości, które Kochanowski wycisnął na wszystkich swoich utworach, to jedna z jego największych zasług: on pierwszy wprowadził „młodą muzę słowiańską“ na europejski Parnas, a uczyniwszy to, nie należy wyłącznie do polskiej poezji jedynie. Jakie jest jego stanowisko w poezji wszechświatowej? Zdaniem Plenkiewicza, „nie zajmuje on w literaturze powszechnej stanowiska, jakie się geniuszom należy; owszem, jest ono skromne, co najwyżej środkujące pomiędzy Horacym a Ronsardem, boć i oni urosli przyswajaniem obcych pierwiastków, każdy dla poezji swego narodu; ale pomimo to, jest on wielki w tych ograniczonych dążeniach, bo co zamierzył, na wielką stopę dokonał: stąd wart *czegoś więcej* nad skromny pomnik w kaplicy kościoła parafialnego w Zwoleniu“¹⁾.

¹⁾ Tem „czemś więcej“ jest — jak na teraz — Wydanie pomnikowe „dzieł wszystkich“ Jana Kochanowskiego, tudzież bogata o nim literatura monograficzna, z wyczerpującymi monografiami Tarnowskiego i Plenkiewicza na czele.



T R E Ś Ć.

Przedmowa	strona 5
---------------------	----------

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

W Sycynie (1530—1544).

Urodziny poety. I. Piotr i Anna z Białaczowskich Kochanowscy. II. Rodzina poety. Żyłka literacka „jakoby dziedziczna“ wśród Kochanowskich. Kraj lat dziecinnych. Pierwsze wrażenia. Wpływ rodziny. Atmosfera domowa. Kierunek wychowania. Uczucia katolickie matki. Pierwsze nauki. Pierwszy nauczyciel. Wyjazd do Krakowa . . .	strona 23
--	-----------

ROZDZIAŁ DRUGI.

Lata nauki i wędrówki (1544—1557).

Kraków i Uniwersytet Jagielloński w XVI wieku. I. Kochanowski na wydziale *artium*. Wykłady w półroczu letniem 1544 r. Wojciech Nowopolski. Szymon Marycki. Atmosfera reformy i... gamratek. Zofia. Pierwsze próby poetyckie. Przyjaciele. II. Śmierć ojca. Wyjazd do Tarnowa. Na dworze kasztelana. Wyjazd do Włoch. III. W Wiedniu. Wenecja. Paweł Manucyusz i jego akademie. Jędrzej Dudycz. Jędrzej Barzy. Franciszek Robortello i szkoła rządowa wenecka. Lato roku 1551 w Sycynie. Dwa półrocza studyów pod Robortellem. IV. Padwa i jej uniwersytet. Andrzej Patrycy Nidecki. Kochanowskiego twórczość łacińska. Wpływ Petrarke. Wiersze polskie. Zebrania koleżeńskie. „Przyjaciółki“. Lidya. Andrzej Dudycz w Padwie. Obawy Nideckiego. Zaraza. Kochanowskiego podróż do Rzymu i Neapolu. Królowa Bona w Padwie. Wyjazd do kraju. Powrót do Padwy. Wyjazd do

Paryża. V. Paryż. Sorbona. *Collège des trois langues*. Poe-
zya francuska. Piotr Ronsard. Twórczość Kochanowskiego.
„Czego chcesz od nas Panie“... *Venusta Galla*. Ossoliński
i elegia do niego. Śmierć matki poety. Powrót do kraju . 41

ROZDZIAŁ TRZECI.

Dworzanin (1557—1571).

Początkowe przykrości. I. Na dworach możnowładców. *Wanda*.
Kłoczowski i pokusa nowej podróży do Włoch. Pierwszy
drukowany utwór poety. Konszachty z Nideckim. W Piotrkowie.
Łukasz Górnicki. W Sycynie. Czarnolas. Sprawa
umieszczenia się w kancelarii królewskiej. II. Wilno. Na
dworze Padniewskiego. *Zgoda* i *Szachy*. Myszkowski. *Satyr*.
W Warszawie. III. Kapituła poznańska. Dworzanin królew-
ski. Stosunek i przyjaźń z Myszkowskim. Tryb życia. *Wróżki*.
Znowu Wilno. Sejm w Piotrkowie. Dudyc i Regina Stra-
szówna. Na Litwie. Probstwo zwoleńskie. Sejm lubelski.
Warszawa i Piotrków. Jan Zamoyski. Małżeństwo Dudy-
cza. *Carmen macaronicum*. Wilno i Radoszkowice. Orator.
Unia lubelska. *Proporzec*. Babin. Rozstanie z Myszkowskim.
W Warszawie. Wyjazd do Czarnolasu. IV. Hanna-Pazy-
fila. Sroga zima Troski „nieuśpione“. „Niepobożna niewo-
la“. Nagły zwrot. Brak złudzeń. Zaręczyny. W Czarnolesie.
Konkury. Grom z jasnego nieba. Czarne chwile. *Psalterz*.
Myszkowski i Muza strona 136

ROZDZIAŁ CZWARTY.

W Czarnolesie (1572—1584).

Żywot ziemiański poety. I. Żniwo śmierci. Sytuacja polityczna.
Kochanowski w Krakowie. Wybór Henryka. Nadzieje poety.
Powrót do Czarnolasu. Rozmowy z siostrą. Dorota Podło-
dowska. Geneza *Sobótki* i *Dziwostęba*. Wjazd króla Hen-
ryka. Znajomości. Rozczarowanie. Powrót do domu. Posta-
nowienie ożenienia się. Ucieczka Henryka. Ślub poety. —
II. Miodowe miesiące. Zjazd w Stężycy. Myszkowski w Czar-
nolesie. Odwiedziny Olbrachta Łaskiego. Odpowiedź Ko-
chanowskiego na wiersz Desportes'a *Adieu à la Pologne*.
Napad Tatarów. Na sejmie konwokacyjnym. Przekład *Psat-*
terza. Dzień 18. kwietnia 1576 roku. Jan Zamoyski w Czar-

nolesie. *Odprawa posłów greckich*. Ponowna praca nad *Psat-*
terzem. Śmierć Kacpra Kochanowskiego i mowa pogrzebo-
wa Jana. Życie rodzinne. Zajęcie Inflant. Wojna. Dwa listy
od Zamoyskiego. *Orfeus Sarmaticus*. Zaślubiny Jana Za-
moyskiego. Nowe żądania Zamoyskiego. *Dryas* i *Pan*. Po-
dróż do Wilna. Myszkowski mianowany biskupem krakow-
skim. Kochanowski w Krakowie. W Promniku. Powrót na
wieś. Znowu u Myszkowskiego. Jasne dni w Bodzentynie.
W domu. W Krakowie. *Orthographia polska Jana Kocha-*
nowskiego. Druk *Psalterza*. Obłężenie i wzięcie Połocka.
Liryca łacińskie. Przywilej królewski. Wojski ziemi sando-
mierskiej. Poeta oficjalny. Dostatek. Śmierć Urszuli. *Treny*.
Trzy nowe utwory dla Zamoyskiego. Druk *Trenów*. Śmierć
drugiej córki. Wojna na północnym wschodzie. Batory pod
Pskowem. Smutny nastrój poety. Złe wiadomości polity-
czne. *Epinicyon*. Epitalamium na ślub Zamoyskiego z Ba-
torówną. *Jezda do Moskwy*. Duchowy upadek. — III. Prze-
czucie śmierci. Rok 1583. Zbiorowe wydanie dzieł. Układy
z Janem Januszowskim. *Fraszki*. Śmierć Jakóba Podłodow-
skiego. Ostatnia podróż do Lublina. Śmierć. Ogólna charak-
terystyka Jana Kochanowskiego, jako człowieka i poety.
Jego stanowisko w poezji polskiej. Zakończenie . strona 243

